

Ścieżki mroku 4 Morze Mieczy

R.A. Salvatore



calibre 0.7.37

R. A. Salvatore

Morze Mieczy

(Sea of Swords)

Tłumaczenie: Piotr Kucharski

PROLOG

Wykonywał swymi sejmitarami gładkie, pewne, okrężne ruchy, przemieszczając je delikatnymi i złudnymi łukami. Gdy pojawiła się sposobność, wystąpił naprzód i ciał jedną z kling w, wydawałoby się, odsłonięty bark. Jednakże elf, o łysej, lśniącej w słońcu głowie, był szybszy. Elf cofnął stopę i uniosł długi miecz w silnym parowaniu, po czym zaszarżował prosto przed siebie, wykonując pchnięcie sztyletem, a następnie znów postąpił o krok, by pchnąć mieczem.

Tańczył w idealnej harmonii z płynnymi ruchami elfa, kręcąc defensywnie swymi bliźniaczymi sejmitarami, kierując każdy w dół i wokół, by zderzyły się z brzękiem z wykonującym pchnięcie mieczem. Elf znów pchnął, w środek korpusu, a następnie trzeci raz, celując nisko.

Sejmitary podążyły wokół i w dół, wykonując klasyczny, podwójny dolny blok. Następnie te bliźniacze klingi uniosły się, gdy zwinny, bezwłosy elf próbował wykonać kopnięcie poprzez blok.

Kopnięcie było jedynie fintą i gdy sejmitary się uniosły, elf opadł do przykucu i wypuścił sztylet. Nóż przemknął, zanim zdołał opuścić sejmitary na tyle nisko, by zablokować, zanim zdołał odpowiednio ustawić stopy i uchylić się na bok.

Diabelski sztylet, ciśnięty idealnie, by wypatroszyć, trafił w brzuch.

* * *

– To Deudermont, pewnym – zawołał nerwowym głosem członek załogi. – Znowuż nas zauważył!

– Ba, ale on nie może wiedzieć, kim jesteśmy – przypomniał inny.

– Przeprowadź nas po prostu przez rafę i obok pirsów – Sheila Kree poleciała swemu pilotowi.

Wysoka i tęga, z rękoma twardymi jak skała od lat ciężkiej pracy i zielonymi oczyma, w których widać było urazę wobec tych lat, rudowłosa kobieta wpatrywała się ze złością w pościg. Trójmasztowy szkuner zmusił ją do odwrotu, a co za tym idzie, rezygnacji ze spodziewanego, niemal pewnego, korzystnego połowu, jakim byłby lekko uzbrojony okręt kupiecki.

– Sprowadź nam mgłę, coby nie mogli patrzeć – dodała paskudna piratka, wrzeszcząc do Bellany, zaklinaczki pracującej na Krwawym Kilu.

– Mgłę – prychnęła zaklinaczka, potrząsając głową, by jej kruczoczarne włosy załopotały wokół

ramion.

Piratka, która częściej przemawiała za pomocą swego miecza niż języka, po prostu nie rozumiała. Bellany wzruszyła ramionami i zaczęła rzucać swój najsilniejszy czar – kulę ognistą. Gdy skończyła, skierowała wybuch nie na odległy, ścigający ich statek – który był daleko poza zasięgiem, a poza tym, jeśli rzeczywiście był to Duszek Morski, i tak nie miałby kłopotów z odbiciem takiego ataku – lecz w wodę za Krwawym Kilem.

Piana morska zasyczała i prysnęła w proteście, gdy liznęły ją płomienie, podnosząc za płynącym szybko okrętem gęstą parę. Sheila Kree uśmiechnęła się i pokiwała aprobująco głową. Jej pilotka, przysadzista kobieta o wielkiej twarzy, dołkach w policzkach i żółtym uśmiechu, znała wody wokół zachodniego krańca Grzbietu Świata lepiej niż ktokolwiek żyjący. Mogła po nich nawigować nawet w najciemniejsze noce, nie korzystając z niczego więcej poza odgłosem fal rozbijających się na rafach. Okręt Deudermonta nie ośmielił się podążyć za nimi na rozciągające się dalej niebezpieczne wody. Wkrótce Krwawy Kil przeplynie za trzeci pirs, okrążając skalisty cypel, a następnie ruszy na otwarte wody albo jeszcze bardziej zbliży się do lądu, między rafy i skały – do miejsca, które Sheila i jej towarzysze zwykli nazywać domem.

– On nie może wiedzieć, co to byli my – powtórzył marynarz.

Sheila Kree przytaknęła i miała nadzieję, że mężczyzna miał rację – raczej tak było, bowiem choć Duszek Morski, trójmasztowy szkuner, miał tak bardzo charakterystyczne żagle, Krwawy Kil wyglądał jedynie jak kolejna mała, niewyróżniająca się karawela. Podobnie jednak jak każdy inny rozsądny pirat wzdłuż Wybrzeża Mieczy, Sheila Kree nie zamierzała krzyżować kursu z legendarnym Duszką Morskim Deudermonta ani z jego wyszkoloną oraz niebezpieczną załogą, nieważne, za kogo ją uważał.

Słyszała zaś plotki, że Deudermont jej szukał, choć mogła jedynie zgadywać, dlaczego słynny łowca piratów mógłby za nią podążać. Odruchowo potężna kobieta sięgnęła ręką przez ramię, by poczuć piętno, jakim się naznaczyła, symbol swej nowoodkrytej potęgi oraz ambicji. Podobnie jak wszystkie kobiety w nowej morskiej i lądowej grupie Kree, Sheila nosiła znak potężnego młota bojowego, który kupiła u głupca z Luskan, znak Aegis-fanga.

Czy więc to było źródłem nagłego zainteresowania Deudermonta? Sheila Kree poznała trochę historię młota, dowiedziała się, że jego poprzedni właściciel, zapijaczony osiłek o imieniu Wulfgar, był znanym przyjacielem kapitana Deudermonta. To była więź, lecz piratka nie mogła być pewna. W końcu, czyż Wulfgar nie został skazany w Luskan za próbę zamordowania Deudermonta?

Niedługo później Sheila Kree otrząsnęła się z tych myśli, bowiem Krwawy Kil przedzierał się niebezpiecznie pomiędzy miriadami skał i raf do sekretnej, osłoniętej Złotej Zatoczki. Pomimo doskonałego pilotowania, Krwawy Kil nieraz otarł się o poszarpaną krawędź i w chwili, gdy wpłynęli do zatoczki, karawela miała przechył na lewo.

Nie miało to jednak znaczenia, bowiem w tej pirackiej zatoczce, otoczonej górującymi ścianami

poszarpanych skał, Sheila i jej załoga mieli środki, aby naprawić okręt. Wprowadzili Krwawy Kila do wielkiej jaskini, będącej początkiem kompleksu tuneli oraz grot, który szedł przez wschodni kraniec Grzbietu Świata, naturalnych tuneli osmolonych teraz od wiszących na ścianach pochodni, oraz kamiennych jaskiń, wygodnych dzięki łupom najlepszej i najefektywniejszej pirackiej bandy na północnych rubieżach Wybrzeża Mieczy.

Niska, czarnowłosa zaklinaczka westchnęła. Wiedziała, że to zapewne jej magia dokona większości prac przy koniecznych naprawach.

– Niech cholera weźmie tego Deudermonta! – stwierdziła Bellany.

– Niech cholera weźmie nasze tchórzostwo, chciałaś chyba powiedzieć – rzucił przechodząc obok smrodliwy wilk morski.

Sheila Kree stanęła przed narzekającym mężczyzną, wyszczerzyła do niego zęby i powaliła go na deski prawym sierpowym.

– Sądzę, że nawet nas nie widział – zaprotestował leżący mężczyzna, spoglądając na rudowłosą piratkę z miną wyrażającą czyste przerażenie.

Gdyby to któraś ze składających się na załogę Krwawego Kila kobiet zaszła za skórę Sheili, najprawdopodobniej zostałaby obita, lecz jeśli mężczyzna pozwolił sobie na zbyt wiele, najczęściej dowiadywał się, skąd okręt wziął swą nazwę. Przeciąganie pod kilem było w końcu jedną z ulubionych rozrywek Sheili Kree.

Sheila Kree pozwoliła mu się odczołgać, jej myśli skupiały się bardziej na pojawieniu się Deudermonta. Musiała przyznać, że było możliwe, że Duszek Morski w ogóle ich nie zauważył, a nawet jeśli Deudermont i jego załoga dostrzegli odległe żagle Krwawego Kila, nie znali prawdziwej tożsamości okrętu.

Jednak Sheila Kree wolała zachować ostrożność, jeśli w grę wchodził kapitan Deudermont. Jeśli kapitan i jego wyszkolona załoga rzeczywiście postanowili ją odszukać, niech stanie się to tutaj, w Złotej Zatoczce, w kamiennej fortecy, którą Sheila Kree i jej załoga dzielili ze sporym klanem ogrów.

* * *

Sztylet trafił dokładnie w niego...

... i odbił się, spadając nieszkodliwie na ziemię.

– Drizt Do'Urden nigdy nie złapałby się na taką fintę – Le'lorinel, elf o łysej głowie, mruknął

wysokim i melodyjnym głosem. Oczy elfa, niebieskie przetykane złotem, lśniły z niebezpieczną intensywnością zza zawsze noszonej przez Le'lorinela maski. Machnięciem nadgarstka wsunął miecz z powrotem do pochwy.

– Gdyby tak zrobił, przesunąłby się wystarczająco szybko, aby uniknąć rzutu albo dość szybko opuściłby sejmitar, by zablokować – elf dokończył z prychnięciem.

– Nie jestem Drizztem Do'Urdenem – powiedział po prostu półelf, Tunevec. Przeszedł na skraj dachu i pochylił się nisko nad krenelażem, starając się odzyskać dech.

– Mahskevic zaklął cię magicznym przyspieszeniem, aby to zrekompensować – odparł elf, chowając sztylet i poprawiając pozbawioną rękawów jasnobrązową tunikę.

Tunevec parsknął na swego przeciwnika.

– Nawet nie wiesz, jak walczy Drizzt Do'Urden – przypomniał.

– Naprawdę! Widziałeś go kiedyś w walce? Czy kiedykolwiek obserwowałeś ruchy – niemożliwe ruchy, powiadam! – które mu tak ochoczo przypisujesz?

Jeśli Le'lorinel był pod wrażeniem tego rozumowania, nie pokazał tego po sobie.

– Opowieści o jego stylu walki oraz męstwie są powszechne na ziemiach północy.

– Powszechne i zapewne przesadzone – przypomniał Tunevec.

Łysa głowa Le'lorinela kręciła się, zanim Tunevec dokończył jeszcze to zdanie, bowiem elf wielokrotnie przybliżał umiejętności Drizzta swemu półelfiemu partnerowi do sparingów.

– Płacę ci dobrze za twój udział w tych sesjach treningowych – powiedział Le'lorinel. – Lepiej, żebyś uważał każde słowo, jakie powiedziałem ci o Drizzcie Do'Urdenie, za prawdę i naśladował jego styl walki najlepiej, jak możesz przy swych mizernych zdolnościach.

Tunevec, obnażony do pasa, wytarł swe chude i muskularne ciało. Podał ręcznik Le'lorinelowi, który jedynie popatrzył na niego z pogardą, zwyczajową przy takich porażkach. Elf przeszedł obok niego, kierując się do drzwi zapadniowych, prowadzących na najwyższe piętro wieży.

– Twoje zaklęcie kamiennej skóry zapewne się już zużyło – elf powiedział z wyraźną pogardą.

Zostawszy sam na dachu, Tunevec zachichotał bezradnie i potrząsnął głową. Ruszył po swą koszulę, lecz zanim do niej dotarł, zauważył migotanie w powietrzu. Półelf przystanął, obserwując, jak w polu widzenia materializuje się stary czarodziej Mahskevic.

– Zadowolileś go dziś? – siwobrody mężczyzna spytał głosem, który brzmiał jak wyciągany siłą z

jego zaciśniętego gardła. Lekko kpiący uśmiech Mahskevika, pełen żółtych zębów, ukazywał, że znał już odpowiedź.

– Le’lorinel ma na jego punkcie obsesję – odpowiedział Tunevec. – Większą niż sądziłem, że jest możliwa.

Mahskevic jedynie wzruszył ramionami, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

– Pracuje dla mnie od ponad pięciu lat, zarówno by zarobić na moje czary, jak i by dobrze opłacać ciebie – przypomniał czarodziej. – Szukaliśmy przez wiele miesięcy, by odnaleźć kogoś, kto wydawał się obiecujący, jeśli chodzi o naśladowanie ruchów tego mrocznego elfa, Drizzta Do’Urdena, by odnaleźć ciebie.

– Po co więc tracić czas? – zripostował sfrustrowany półelf. – Dlaczego nie udasz się z Le’lorinelem, aby znaleźć tego paskudnego drowa i skończyć z nim raz na zawsze? Wydaje się to o wiele łatwiejsze niż te niekończące się sparingi.

Mahskevic zachichotał, jakby mówiąc Tunevekowi wyraźnie, że nie doceniał tego dość niezwykłego drowa, którego wyczyny, jak dowiedzieli się Le’lorinel i Mahskevic, rzeczywiście robiły wrażenie.

– Wiadomo jest, że Drizzt jest przyjacielem krasnoluda zwanego Bruenorem Battlehammerem – wyjaśnił czarodziej. – Znasz to imię?

Tunevec, zakładając szarą koszulę, popatrzył na starego człowieka i potrząsnął głową.

– Król Mithrilowej Hali – wytłumaczył Mahskevic. – A przynajmniej nim był. Nie mam zbyt wielkiej ochoty kierować przeciwko sobie klanu dzikich krasnoludów, zmory wszystkich czarodziejów. Uczynienie sobie wroga z Bruenora Battlehammera nie wydaje mi się korzystne dla bogactwa ani zdrowia.

– Poza tym, nie żywię urazy wobec tego Drizzta Do’Urdena – dodał Mahskevic. – Dlaczego miałbym pragnąć go zniszczyć?

– Ponieważ Le’lorinel jest twoim przyjacielem.

– Le’lorinel – powtórzył Mahskevic, znów z tym chichotem. – Lubię go, przyznaję, i starając się wypełniać moje, wynikające z przyjaźni obowiązki, często próbuję go przekonać, że jego droga jest prowadzącym do samozniszczenia szaleństwem, niczym więcej.

– Jestem pewien, że cię nie słucha – powiedział Tunevec.

– Owszem – zgodził się Mahskevic. – Naprawdę uparty jest Le’lorinel Tel’e’brenequiette.

– Jeśli to w ogóle jego nazwisko – parsknął Tunevec, będący w raczej kiepskim nastroju, zwłaszcza jeśli chodziło o jego partnera do sparingów. – Ja tobie jak ty mi – przetłumaczył, bowiem rzeczywiście nazwisko Le’lorinela było jedynie odmianą dość powszechnego elfiego powiedzenia.

– To filozofia szacunku i przyjaźni, czyż nie? – zapytał stary czarodziej.

– Oraz zemsty – odrzekł ponuro Tunevec.

* * *

Poniżej, na środkowym piętrze wieży, sam w małym, prywatnym pokoju, Le’lorinel ściągnął maskę i usiadł na łóżku, wrząc ze złości i nienawiści wobec Drizzta Do’Urdena.

– Ile lat to zajmie? – spytał elf, kończąc krótkim śmiechem, gdy bawił się onyksowym pierścieniem. – Stuleci? Nieważne!

Le’lorinel ściągnął pierścień i uniósł go przed błyszczące oczy. Potrzeba było dwóch lat ciężkiej pracy, aby zarobić sobie u Mahskevika na ten przedmiot. Pierścień był magiczny, zaprojektowany tak, by mieścić w sobie zaklęcia. W tym tutaj było ich cztery, cztery czary, jakie według Le’lorinela pozwolą mu zabić Drizzta Do’Urdena.

Oczywiście Le’lorinel wiedział, że użycie owych czarów w planowany sposób zaowocuje zapewne śmiercią obydwu walczących.

Nie miało to znaczenia.

Jeśli tylko Drizzt Do’Urden zginie, Le’lorinel z zadowoleniem wkroczy w zaświaty.

CIEŃ MROKU

Dobrze jest być w domu. Dobrze jest słyszeć wicher Doliny Lodowego Wichru, czuć jego orzeźwiający ukąszenia, jakby przypominające, że żyję.

Wydaje się to takie oczywiste, że ja, że my, jesteśmy żywi, a jednak obawiam się, że nazbyt często i zbyt łatwo zapominamy o ważności tego prostego faktu. Tak łatwo jest zapomnieć, że naprawdę żyjemy, a przynajmniej doceniać, że się naprawdę żyje, że można obserwować każdy wschód słońca i cieszyć się każdym jego zachodem.

A przez wszystkie te godziny pomiędzy nimi, oraz przez wszystkie godziny po zmierzchu, można robić, co się chce.

Łatwo jest przegapić możliwość, że każda osoba, której ścieżka zetknie się z twoją może stać się wydarzeniem i wspomnieniem, dobrym bądź złym, aby wypełniać godziny doświadczeniem zamiast nudy, aby przełamywać monotonię mijających chwil. Te stracone chwile, te identyczne godziny, rutyna, są wrogiem, są małymi obszarami śmierci w obrębie życia.

Tak, dobrze jest być w domu, na dzikiej ziemi Doliny Lodowego Wichru, gdzie potwory wałęsają się chmurami, a łotrzykowie grożą na każdym zakręcie drogi. Jestem bardziej żywy i bardziej zadowolony niż kiedykolwiek od wielu lat. Zbyt długo zmagalem się z dziedzictwem mej mrocznej przeszłości. Zbyt długo zmagalem się z rzeczywistością mej długowieczności, z tym, że zapewne umrę na długo po Bruenorze, Wulfgarze i Regisie.

I Catti-brie.

Jakimż jestem głupcem, że żałuję kresu jej dni, nie ciesząc się dniami, które ma, które my mamy teraz! Jakimż jestem głupcem, że pozwalam, by terażniejszość wślizgiwała się do przeszłości, gdy lamentuję nad potencjalną – i tylko potencjalną – przyszłością!

Wszyscy umieramy, w każdej chwili, która mija każdego dnia. Nie da się uciec przed tą prawdą istnienia. Prawda ta może nas sparaliżować strachem lub nasaczyć niecierpliwością, pragnieniem odkrywania oraz doświadczenia, nadzieją – nie, żelazną wolą! – znajdowania wspomnień w każdym czynie. Aby być żywym, pod światłem słońca lub światłem gwiazd, w pogodzie pięknej lub burzowej. Aby tańczyć na każdym kroku, czy to w ogrodach pięknych kwiatów, czy w głębokich śniegach.

Młodzi znają tę prawdę, o której zapomniało tak wielu starych, a nawet w średnim wieku. Na

tym polega źródło gniewu, zazdrości, jaką tak wielu żywi wobec młodych. Tak wiele razy słyszałem powszechne żale: „Gdybym tylko mógł się cofnąć do tego wieku, wiedząc to, co wiem!”. Słowa te wzbudzają we mnie wielkie rozbawienie, bowiem naprawdę powinno to brzmieć: „Gdybym tylko mógł odzyskać pożądanie i radość, jakie znałem wtedy!”.

Doszedłem do zrozumienia, że na tym polega sens życia, a w owym zrozumieniu istotnie odkryłem to pożądanie i tę radość. Dwadzieścia lat, podczas których obecne jest to pożądanie i radość, podczas których rozumie się tę prawdę, mogą być pełniejsze niż stulecia o pochylonej głowie i zgarbionych ramionach.

Pamiętam swą pierwszą walkę u boku Wulfgara, gdy z szerokim uśmiechem i żądzą życia poprowadziłem go przeciw potężnym gigantom, posiadającym ogromną przewagę liczebną. Jakże dziwne, że gdy mam więcej do stracenia, pozwoliłem, by owo pożądanie się zmniejszyło!

Potrzebowałem tak wiele czasu, paru gorzkich strat, aby dostrzec niewłaściwość tego rozumowania. Potrzebowałem tak wiele czasu, powrotu do Doliny Lodowego Wichru po niechcianym oddaniu Kryształowego Reliktu Jarlaxle'owi oraz zakończeniu nareszcie (i modłę się, oby na zawsze) mojego związku z Artemisem Entrerim, abym obudził się w moim własnym życiu, abym docenił otaczające mnie piękno, abym znajdował i nie stronił od podniecenia, które należy przeżywać.

Pozostają oczywiście zmartwienia i obawy. Wulfgar od nas odszedł, nie wiem dokąd, i boję się o jego głowę, jego serce oraz jego ciało. Zaakceptowałem jednak, że wybór jego drogi zależy od niego samego i że dla dobra całej trójki – głowy, serca oraz dala – musiał się od nas odsunąć. Modłę się, aby nasze ścieżki znów się spotkały, aby znalazł drogę do domu. Modłę się, aby doszły do nas jakieś wieści o nim, albo uspokajające nasze obawy, albo ponaglące nas do działania, aby go odzyskać.

Mogę jednak być cierpliwy i przekonywać się, co jest najlepsze. Bowiem, pielęgnując moje obawy o niego, zaprzeczam całemu sensowi mojego własnego życia.

Tego nie uczynię.

Jest zbyt wiele piękna.

Jest zbyt wiele potworów i zbyt wielu łotrów.

Jest zbyt wiele zabawy.

Drizzt Do'Urden

PLECY W PLECY

Jego długie, białe włosy spływały po ramieniu Catti-brie, muskając jej nagie przedramię, zaś jej gęste kasztanowe włosy opadały na rękę i pierś Drizzta.

Siedzieli plecy w plecy na brzegu Maer Dualdon, największego jeziora w Dolinie Lodowego Wichru, wpatrując się w mgliste letnie niebo. Leniwe białe obłoki dryfowały powoli nad ich głowami, ich puchate kontury przełamywały się czasami, gdy któryś z licznych wielkich padlinożernych schinlooków, nazywanych też wypatrywaczami, przemykał pod nimi. To chmury, a nie liczne tego dnia ptaki przykuwały tak ich uwagę.

– Pstrąg kłykciowy na ościeniu – Catti-brie powiedziała o jednej z niezwykłych formacji chmur, podłużnym kształcie o łagodnych brzegach, ciągnącym za sobą długą białą linię – Gdzie ty to widzisz? – mroczny elf zaprotestował ze śmiechem.

Catti-brie odwróciła głowę, by popatrzeć na swego czarnoskórego, fioletowookiego towarzysza.

– A ty ni? – spytała. – To tak wyraźne co biała linia twych brwi.

Drizzt znów się roześmiał, lecz nie tyle z tego, co mówiła kobieta, a z tego, jak to mówiła. Znów mieszkała z klanem Bruenora w krasnoludzkich kopalniach tuż za Dekapolis i najwyraźniej na powrót dawały o sobie znać maniere oraz akcent nieokrzęsanych krasnoludów.

Drizzt również obrócił lekko głowę w stronę kobiety, tak że jego prawe oko znalazło się jedynie kilka centymetrów od lewego Catti-brie. Ujrzał w nim iskrę – nie dającą się z niczym pomylić – wyraz zadowolenia i radości, dopiero teraz powracający po miesiącach, jakie minęły, odkąd opuścił ich Wulfgar, spojrzenie wydające się wręcz intensywniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Drizzt roześmiał się i popatrzył znów na niebo.

– Twoja ryba się zerwała – oznajmił, bowiem wicher oderwał wąską linię od większego kształtu.

– To je ryba – nalegała nadąsana Catti-brie, a przynajmniej jej głos brzmiał tak, jakby była nadąsana.

Uśmiechnięty Drizzt nie spierał się w tej kwestii.

– Ty durny mały głupku! – mamrotał i warczał Bruenor Battlehammer, pryskając śliną z narastającego gniewu. Krasnolud urwał i tupnął zaciekle twardym buciorem o ziemię, po czym nasunął na głowę jednorogi hełm, tak że jego gęste, potargane pomarańczowe włosy spływały spod sfatygowanego nakrycia głowy. – Myślę tu sobie, co mam przyjaciela w radzie, a ty bez żadnej walki pozwalasz Kempowi z Targos opuścić cenę!

Niziołek Regis, chudszy niż przed laty i, z powodu koszarnej rany, jaką odniósł podczas ostatnich przygód ze swymi przyjaciółmi, posługujący się częściej jedną ręką, jedynie wzruszył ramionami i odparł:

– Kemp z Targos mówił tylko o cenie rudy dla rybaków.

– A rybacy kupują znaczącą część rudy! – ryknął Bruenor. – Po co cię umieściłem na powrót w radzie, Pasibrzuchu, skoro nijak mi nie ułatwiasz życia?

Regis uśmiechnął się lekko na tę tyradę. Zastanawiał się, czy nie przypomnieć Bruenorowi, że to nie on umieścił go w radzie, że to mieszkańcy Samotnego Lasu, potrzebujący nowego reprezentanta, odkąd poprzedni skończył w żołądku yeti, poprosili go, by poszedł, lecz rozsądnie zachował to dla siebie.

– Rybacy – powiedział krasnolud i splunął na ziemię przed włochatymi, nieobutymi stopami Regisa.

Niziołek znów jedynie się uśmiechnął i ominął plwocinę. Wiedział, że Bruenor bardziej porykiwał niż gryzł i że dość szybko krasnolud zapomni o sprawie – gdy tylko pojawi się następny kryzys. Bruenor Battlehammer zawsze był pobudliwy.

Krasnolud wciąż pomrukiwał, gdy okrążyli zakręt ścieżki i przed ich oczami ukazali się Drizzt z Catti-brie, wciąż siedzący na porośniętym mchem brzegu, zagubieni w marzeniach o obłokach i jedynie cieszący się nawzajem swym towarzystwem. Regis wciągnął oddech, sądząc, że Bruenor może wybuchnąć na widok swej ukochanej przybranej córki w tak intymnej pozycji z Drizstem – lub kimkolwiek innym – lecz Bruenor jedynie potrząsnął włochatą głową i popędził w przeciwną stronę.

– Durny głupi elf – mówił, gdy Regis go dogonił. – Może by po prostu pocałował dziewczuchę i z tym nareszcie skończył?

Uśmiech Regisa sięgnął niemal od ucha do ucha.

– A skąd wiesz, że tego nie zrobił? – rzekł, jedynie po to, by ujrzeć jak policzki krasnoluda stają się równie czerwone jak jego włosy i broda.

Oczywiście Regis szybko umknął daleko od śmiercionośnych rąk Bruenora.

Krasnolud jedynie opuścił głowę, mamrocząc przekleństwa i idąc powoli dalej. Regis ledwo mógł uwierzyć, że jego buty mogą tak hałasować na miękkiej, porośniętej mchem ścieżce.

* * *

Wrzawa w sali rady w Brynn Shander była dla Regisa mniejszym zaskoczeniem. Starał się, naprawdę się starał zważać na to, co się działo, gdy starosta Cassius, najwyższy przywódca w całym Dekapolis, kierował dyskusją nad proceduralnymi kwestiami. Zawsze do tej pory dziesięć miast rządziło się niezależnie lub poprzez radę, składającą się z jednego reprezentanta każdego z miast, lecz zasługi Cassiusa dla regionu były tak wielkie, że nie był już reprezentantem żadnej ze społeczności, nawet Brynn Shander, domu Cassiusa oraz zdecydowanie największego z miast. Oczywiście nie odpowiadało to Kempowi z Targos, przywódcy drugiego miasta Dekapolis. Był poróżniony z Cassiusem, a po awansie Cassiusa oraz wyborze nowego radcy z Brynn Shander, Kemp czuł się przytłoczony przewagą liczebną.

Cassius jednak wciąż wznosił się ponad to wszystko i nawet uparty Kemp doszedł w ciągu ostatnich miesięcy niechętnie do wniosku, że mężczyzna działał w ogólnie sprawiedliwy i bezstronny sposób.

Jednakże dla radcy z Samotnego Lasu poziom spokoju i wspólnoty w sali rady w Brynn Shander jedynie wzmagał nudę. Niziołek uwielbiał dobre debaty i dobre kłótnie, zwłaszcza gdy nie grał w nich głównej roli, lecz mógł uderzać z boku, podsycając emocje oraz intensywność.

Och, dobre stare czasy!

Regis starał się pozostać przytomnym – naprawdę się starał – gdy dyskusja przeszła na przydzielanie obszarów głębszych wód Maer Dualdon poszczególnym łodziom rybackim, aby strefy łowieckie nie pokrywały się ze sobą i by nie rozkwitały o nie spory.

Taka retoryka miała miejsce w Dekapolis od dziesięcioleci i Regis wiedział, że żadne regulacje nie oddzielały od siebie łodzi na chłodnych wodach wielkiego jeziora. Tam, gdzie znajdzie się pstrąga kłykciowego, tam podążą łodzie, niezależnie od ustaleń. Pstrąg kłykciowy, doskonały do rzeźb i obdarzony wyśmienitym mięsem, był podstawą gospodarki miast, magnezem, który sprowadzał do Dekapolis tak wielu poszukujących fortuny awanturników.

Zasady ustalone w tym pomieszczeniu, leżącym tak daleko od brzegów trzech wielkich jezior Doliny Lodowego Wichru, były jedynie narzędziami, używanymi przez radców do napędzania kolejnych tyrad, gdy wszelkie ustalenia będą ignorowane.

Gdy niziołczy radca z Samotnego Lasu się obudził, dyskusja przeszła – na szczęście – na bardziej

konkretne kwestie, dotyczące Regisa bezpośrednio. Tak naprawdę, co niziołek uświadomił sobie dopiero po chwili, do otwarcia oczu skłoniło go to, że Cassius zwrócił się do niego.

– Wybacz, że zakłócam twój sen – starosta Dekapolis powiedział cicho do Regisa.

– Ja... uhm... pracowałem przez wiele dni i nocy przygotowując się... uhm... do przybycia tutaj – wyjąkał zawstydzony niziołek. – A do Brynn Shander jest kawałek drogi.

Cassius, uśmiechając się, podniósł dłoń, by uciszyć Regisa, zanim niziołek przyniesie sobie jeszcze większy wstyd. Regis w żadnym wypadku nie musiał usprawiedliwiać się przed tą grupą. Rozumieli jego mankamenty i jego wartość – wartość, która w niemalym stopniu zależała od jego potężnych przyjaciół.

– Mógłbyś zająć się dla nas tą sprawą? – spytał opryskliwie Kemp z Targos, najmniej spośród radców przepadający za Regisem.

– Sprawą? – zapytał Regis. Kemp pochylił głowę i zaklął cicho.

– Sprawą rozbójników – wyjaśnił Cassius. – Ponieważ ta niedawno zauważona banda grasuje wzdłuż Shaengarne i na południe od Bremen, wiemy, że będzie to długa przejażdżka dla twoich przyjaciół, lecz z pewnością docenimy wysiłki, jeśli ty i twoi towarzysze moglibyście na powrót zabezpieczyć drogi w okolicy.

Regis oparł się wygodnie, skrzyżował ręce na wcięż, choć już nie tak jak dawniej, okazałym brzuchu i przybrał dość wyniosłą minę. A więc o to chodziło, zamyślił się. Kolejna okazja dla niego i jego przyjaciół, by posłużyć za bohaterów dla ludzi z Dekapolis. To tutaj Regis znajdował się w pełni w swoim żywiole, nawet jeśli musiał przyznać, że zwykle był jedynie pomniejszym graczem w bohaterstwie swych potężniejszych przyjaciół. Jednakże na sesjach rady to właśnie były te chwile, podczas których Regis mógł zabłysnąć, gdy mógł dorównać potężnemu Kempowi. Zastanowił się nad zadaniem, które przedłożył mu Cassius. Z wszystkich miast Dekapolis, Bremen leżało najdalej na zachód, za rzeką Shaengarne, której wody teraz, późnym latem, musiały być niskie.

– Spodziewam się, że możemy tam być w przeciągu dekadnia, zabezpieczając drogę – Regis powiedział po stosownej pauzie.

Wiedział, że jego przyjaciele w końcu się zgodzą. Jakże wiele razy w ciągu ostatnich kilku miesięcy ruszali za potworami i rozbójnikami? Szczególnie Drizt i Catti-brie rozkoszowali się takimi rolami, a Bruenor, pomimo swego bezustannego narzekania, tak naprawdę nie miał nic przeciwko temu.

Siedząc tam i myśląc o tym wszystkim, Regis uświadomił sobie, że on również nie martwił się zbyt wiele dowiadując się, że będzie musiał znów zająć się wraz z przyjaciółmi poszukiwaniem przygód. Coś stało się podczas ostatniej długiej podróży z uczuciami niziołka, gdy poczuł przeszywający ból gobliniejskiej włóczni w barku – gdy niemal zginął. Regis nie dostrzegł wtedy

zmiany. Jedyną rzeczą, której wtedy pragnął, był powrót do komfortowego małego domku w Samotnym Lesie, do rzeźbienia kości pstrąga kłykciowego i spokojnego łowienia ryb z brzegów Maer Dualdon. Jednak po przybyciu do wygodnego domku, Regis odkrył, że pokazywanie blizny wprawia go w większą ekscytację niż przypuszczał.

Tak więc, gdy Drizzt i pozostali podążą na spotkanie tego najnowszego zagrożenia, Regis z radością będzie im towarzyszył, odgrywając każdą rolę, jaką tylko będzie mógł.

* * *

Koniec pierwszego dekadnia na drodze na południe od Bremen wydawał się zapowiadać na kolejny drętwy dzień. Komary i moskity bzycały w powietrzu całymi żarłocznymi hordami. Błoto, uwolnione z dziewięciomiesięcznych okowów zimnej pory w Dolinie Lodowego Wichru, chwyciło mocno za koła małego wozu oraz za sfatygowane buty Drizzta, gdy drow osłaniał posunięcia swych towarzyszy.

Catti-brie powoziła zaprzężonym w jednego konia wozem. Miała na sobie długą, brudną wełnianą suknię, sięgającą od barków do palców stóp, oraz związane ciasno włosy. Regis, przebrany za małego chłopca, siedział obok niej, z twarzą ogorzałą od godzin spędzonych pod letnim niebem.

Najbardziej niewygodnie było jednak Bruenorowi i to zgodnie z jego własnym planem. Skonstruował dla siebie skrzynkę i siedział w niej dobrze ukryty, przybiwszy ją pod środkową częścią wozu. Jechał tak dzień za dniem.

Drizzt starannie wybierał drogę w pełnej błota okolicy, spędzając dnie na marszu, wiecznie czujny. W otwartej tundrze Doliny Lodowego Wichru istniały dalece większe niebezpieczeństwa niż banda rozbójników, których mieli schwytać. Choć większość yeti z tundry była teraz zapewne bardziej na południu, podążywszy za stadami karibu ku podnóżom Grzbietu Świata, niektóre wciąż mogły być w pobliżu. Giganci i gobliny często schodzili o tej porze roku z odległych gór, szukając łatwej zwierzyny i łatwych bogactw. Poza tym, wielokrotnie pokonując obszary skał i bagien, Drizzt musiał szybko przemykać obok śmiercionośnych węży o szarej sierści, czasami mierzących sześć lub więcej metrów długości, których jadowite ugryzienie mogło powalić giganta.

Pamiętając o tym wszystkim, drow wciąż musiał kącikiem oka obserwować pozostający w polu jego widzenia wóz i rozglądać się dookoła, w każdym kierunku. Jeśli to miała być łatwa zdobycz, musiał dostrzec rozbójników, zanim oni ujrzą jego.

Przynajmniej łatwiejsza, zamyślił się drow. Mieli dość dobry opis bandy i nie wydawała się szczególnie imponująca ani jeśli chodziło o liczbę członków, ani o umiejętności. Niemal natychmiast Drizzt przypomniał sobie jednak, by uprzedzenia nie przywiodły go do zbytnej pewności siebie. Pojedynczy udany strzał z łuku mógł zredukować jego grupę do trzech osób.

Tak więc insekty roiły się pomimo wiatru, słońce paliło mu oczy, każda błotnista kałuża mogła skrywać porośniętego szarą sierścią węża gotowego, by uczynić sobie z niego posiłek, albo przyczajonego w ukryciu yeti, zaś w okolicy znajdowała się zgodnie z doniesieniami banda niebezpiecznych bandytów, zagrażając jemu oraz jego przyjaciółom.

Drizzt Do'Urden był we wspaniałym nastroju!

Szybko przeskoczył nad małym strumieniem, po czym zatrzymał się, zauważając szereg zagadkowych kałuż, o wielkości stopy i umieszczonych tak jak kroki idącego szybko człowieka. Drow przemknął do najbliższej i przykucnął, by się przyjrzeć. Wiedział, że tropy nie utrzymywały się tutaj długo, tak więc ten był świeży. Palec Drizzta zanurzył się w wodzie aż do drugiego knykcia, zanim dotknął opuszką ziemi – i znów głębokość wskazywała na ślady dorosłego mężczyzny.

Drow wstał, kładąc dłonie na rękojeściach sejmitarów pod fałdami kamuflującego płaszcza. Błysk spoczywał na prawym biodrze, Lodowa Śmierć na lewym, gotowe do błyskawicznego wyciągnięcia i powalenia dowolnego niebezpieczeństwa.

Drizzt zmrużył fioletowe oczy, unosząc dłoń, by jeszcze bardziej osłonić je przed światłem słońca. Tropy kierowały się w stronę drogi, do miejsca, które wkrótce będzie mijał wóz.

Leżał tam mężczyzna, ubłocony i rozciągnięty płasko na ziemi, czekając.

Drizzt nie udał się w jego stronę, lecz pochylony, zaczął zataczać koło, zamierzając przejść przez drogę za toczącym się wozem, aby rozejrzeć się za podobnymi zasadzkami po drugiej stronie. Opuścił niżej kaptur szarego płaszcza, upewniając się, że skrywa jego białe włosy, po czym pobiegł, przy każdym ochoczym kroku pocierając czarnymi palcami o wnętrza dłoni.

* * *

Regis ziewnął i przeciągnął się, po czym oparł się o Catti-brie, przytulając się do jej boku i zamykając wielkie, brązowe oczy.

– Świetna chwila na drzemkę – wyszeptała kobieta.

– Świetna chwila, by każdy, kto nas obserwuje pomyślał, że drzemię – sprostował Regis. – Widzisz ich tam z boku?

– Ano – powiedziała Catti-brie. – Para brudasów. Mówiąc to, kobieta zdjęła jedną dłoń z lejców i wsunęła ją pod przednią krawędź ławki. Regis obserwował, jak jej palce zaciskają się na przedmiocie i wiedział, że uspokajała się myślą, iż Taulmaril Poszukiwacz Serc, jej groźny łuk, był na miejscu i w gotowości.

Niziołek również uspokoił się trochę tym faktem.

Sięgnął dłonią za ławkę woźnicy i kiwnął nią niedbale, acz mocno, stukając w tworzące podłogę wozu deski i dając tym samym znak Bruenorowi, aby miał się na baczności.

– No i mamy – Catti-brie wyszeptała do niego chwilę później. Regis dalej trzymał zamknięte oczy i stukał dłonią, tym razem w szybszym tempie. Uchylił leciutko lewe oko, akurat by ujrzeć idącą drogą trójkę niechlujnie wyglądających łotrów. Catti-brie zatrzymała wóz.

– Och, dobrzy panowie! – krzyknęła. – Moglibyście pomóc mi i chłopcu? Mój mężczyzna dał się zabić na górskiej przełęczy i sądzę, żeśmy się trochę zgubili. Dnie całe jeździmy w tę i w tę, a nie wiemy, którą drogą najlepiej dojechać do Dekapolis.

– Bardzo sprytnie – wyszeptał Regis, ukrywając swe słowa w pomlaskiwaniu wargami i wierząc się, jakby bardzo smacznie spał.

Niziołek był naprawdę pod wrażeniem sposobu, w jaki Catti-brie ukryła ich ruchy, w tę i z powrotem wzdłuż drogi, w przeciągu ostatnich kilku dni. Jeśli banda obserwowała, będą teraz mniej podejrzliwi.

– Ale ja nie wiem, co robić! – błagała Catti-brie. Jej głos przybrał przenikliwy, wystraszony ton.
– Ja i mój chłopiec jesteśmy sami i zagubieni!

– Pomożemy wam – powiedział wychudzony mężczyzna w środku, rudy i z brodą sięgającą mu niemal do pasa.

– Ale za opłatą – wyjaśnił zbój z jego lewej, największy z trójki, trzymając wielki topór bojowy na ramieniu.

– Opłatą? – spytała Catti-brie.

– Opłatą będzie twój wóz – rzekł trzeci, wyglądający na najbardziej wykwintnego z całej grupy, zarówno akcentem, jak i wyglądem. Miał na sobie kolorową kamizelkę oraz tunikę, obie żółtoczerwone, oraz niezły rapier przypięty do pasa na lewym biodrze.

Regis i Catti-brie wymienili spojrzenia, niezbyt zaskoczeni.

Za sobą usłyszeli stuknięcie i Regis przygryzł wargę, mając nadzieję, że Bruenor nie wypadnie i nie popsuje wszystkiego. Wszystko mieli starannie zaplanowane, choreografia pierwszych posunięć był ustalona co do kroku.

Z tyłu dobiegł kolejny stukot, lecz niziołek przełożył już ręką przez ławkę i sam stuknął pięścią w oparcie, aby zamaskować ten odgłos.

Popatrzył na Catti-brie, na wyraz jej niebieskich oczu i wiedział, że bardzo szybko nastąpi kolej na jego ruch.

* * *

On będzie najgroźniejszy – powiedziała sobie Catti-brie, spoglądając na łotra z prawej, najbardziej wykwintego z całej trójki. Zerknęła jednak także na drugi koniec szeregu, na wielkiego mężczyznę. Nawet przez chwilę nie wątpiła, że mógłby ją przeciąć na pół tym swoim potwornym toporem.

– I trochę kobiecego ciała – stwierdził zbój z lewej, ukazując ochoczy, szczerbaty uśmiech. Mężczyzna pośrodku również uśmiechnął się paskudnie, lecz ten z prawej popatrzył z pogardą na pozostałych dwóch.

– Ba, ale ona straciła męża, tak mówi! – spierał się osiłek. – Przydałaby się jej dobra jazda, sądzę.

Przez myśli Catti-brie przemknął obraz Khazid-hei, jej ostrego jak brzytwa miecza, wbijającego się w pachwinę bufona, lecz starannie ukryła uśmiech.

– Twój wóz chyba wystarczy – wyjaśnił wykwinny rozbójnik, a Catti-brie zauważyła, że nie wykluczył zupełnie zabawy z nią.

Tak, dość dobrze go rozumiała. Spróbuje osiąść swym urokiem to, co osiłek posiadłby swymi mięśniami. Będzie miał lepszą zabawę, jeśli ona przyłączy się do gry.

– I wszystko, co jest na nim, oczywiście – ciągnął wykwinny zbój. – Szkoda że musimy przyjąć dotację z twoich towarów, lecz obawiam się, że my również musimy z czegoś tu żyć, patrolując drogi.

– To więc robicie? – spytała Catti-brie. – Ja sama nazwałabym was bandą bezwartościowych złodziei.

Jakże otworzyli oczy!

– Dwóch z prawej i trzech z lewej – Catti-brie wyszeptała do Regisa. – Psy z przodu są moje.

– Oczywiście, że tak – odparł Regis, a Catti-brie zerknęła na niego, zaskoczona.

Zaskoczenie to trwało jednak tylko chwilę, tylko przez czas potrzebny Catti-brie, by przypomnieć sobie, że Regis dobrze ją rozumiał i z pewnością podążał za jej emocjami podczas dyskusji z rozbójnikiem równie wyraźnie, jak ona sama je rozumiała.

Obróciła się do niziołka, uśmiechnęła krzywo i wykonała delikatny ruch, po czym skierowała się znowu do zbójów.

– Nie macie prawa, by cokolwiek zabierać – powiedziała do złodziei, wkładając w swój głos akurat wystarczającą ilość trwogi, by pomyśleli, że jej śmiała postawa jest jedynie fasadą, ukrywającą najczystsze przerażenie.

Regis ziewnął i przeciągnął się, po czym otworzył szeroko oczy, udając zaskoczenie i strach. Kwiknął i zeskoczył na prawą stronę wozu, biegnąc w błoto.

Catti-brie podjęła akcję, wstając i jednym pociągnięciem zrywając fałszywą wełnianą suknię, ciskając ją na bok i ujawniając się jako wojowniczką. Wyłoniła się Khazid-hea, śmiercionośna Przecinaczka, po czym kobieta sięgnęła pod ławkę wozu, wyciągając swój hak. Skoczyła naprzód, wykonując jeden sus wzdłuż lejców i zeskakując na ziemię obok konia, a następnie pchnęła zwierzę gwałtownie do przodu, używając jego ciała, by oddzielić wielkiego mężczyznę od towarzyszy.

* * *

Trzej zbóje na lewo od wozu ujrzeli poruszenie i zerwali się z błota, wyciągając miecze i wyjąc podczas szarży.

Niedaleko od nich, zza małego pagórka podniosła się szczupła i energiczna sylwetka, cicho jak duch i niemal wydając się unosić w powietrzu, tak szybko jej stopy poruszały się po grząskiej ziemi.

Lśniące bliźniacze sejmitary wyłoniły się spod fałd szarego płaszcza, a szarżującą trójkę powitał biały uśmiech oraz fioletowe oczy.

– Tam, brać go! – krzyknął jeden ze zbirów i wszyscy trzej rzucili się na drowa. Ich ruchy, dwa pchnięcia i szaleńcze cięcie, były nieskoordynowane i niezdarne.

Prawa ręka Drizzta ruszyła prosto na bok, ustawiając Lodową Śmierć pod idealnym kątem, by odbić wysoko przeciągłe cięcie, zaś lewa dłoń przedostała się dookoła i do wewnątrz, opuszczając wklęsłą stronę Błysku na obydwie wykonujące pchnięcie klingi. Lodowa Śmierć opadła, gdy Błysł się cofnął, aby uderzyć w wyciągnięte miecze, po czym Błysł padł w poprzek, aby znów je obie trafić. Lekkie pochylenie i cofnięcie usunęło głowę drowa poza zasięg wykonanego przez zbója cięcia na odlew, a Drizzt wystarczająco szybko poderwał Lodową Śmierć, by ugodzić mężczyznę w dłoń, gdy obok przemykał jego miecz.

Zbir zawył i zwolnił chwyt – jego miecz poleciał.

Jednak niedaleko, bowiem drow działał już lewą dłonią. Umieścił Błysł w poprzek, by zahaczyć

o wypuszczoną klingę. Nastąpił taniec, który zauroczył trzech zbójów. Lekki ruch bliźniaczych seymitarów obracał mieczem w powietrzu, od góry, od dołu i z boków, wydawało się jakby drow odgrywał pieśń po obu jego stronach.

Drizzt zakończył górnym i okrężnym manewrem Lodową Śmiercią, który doskonale oddał miecz z powrotem jego pierwotnemu właścicielowi.

– Z pewnością stać cię na więcej – rzekł uśmiechnięty drow, gdy rękojeść miecza wylądowała prosto w dłoni oszołomionego zbója.

Mężczyzna wrzasnął i upuścił broń na ziemię, obracając się i uciekając.

– To Drizzit! – wrzasnął drugi, podążając w jego ślady.

Trzeci jednak, czy to ze strachu, ze złości, czy z głupoty, rzucił się do natarcia. Jego miecz poruszał się zaciekle, wykonując pchnięcie, po czym cofając się, następnie wyżej i okrężnie z powrotem w dół.

A przynajmniej skierował się w dół.

Seymitary drowa uniosły się w górę, trafiając w niego raz za razem, każdy dwukrotnie. Następnie błysk ruszył od góry, spychając miecz w dół, a drow przeszedł do zacieklego ataku, uderzając mocno swymi klingami, bok w bok w miecz zbója, trafiając tak szybko i z taką furją, że odgłosy zlały się w jedną długą nutę.

Mężczyzna z pewnością poczuł drętwienie w rękę, lecz próbował wykorzystać ruchy przeciwnika, nacierając gwałtownie naprzód, wyraźnie starając się zbliżyć i zająć szybkie jak błyskawice dłonie drowa.

Zauważył, że nie ma broni, choć nie wiedział dlaczego. Zbir rzucił się naprzód, rozkładając szeroko ręce, by pochwycić swego przeciwnika w niedźwiedzi uścisk, lecz złapał jedynie powietrze.

Poczuł bolesne ukąszenie pomiędzy nogami, gdy drow, w jakiś sposób znalazłszy się za nim, uderzył go płazem seymitara, zmuszając do stanięcia na palcach.

Drizzt cofnął szybko seymitar, a mężczyzna podskoczył, po czym zatoczył się do przodu, niemal przewracając.

Następnie mroczny elf postawił stopę na grzbiecie zbója, pomiędzy łopatkami, i wbił mu twarz w błoto.

– Dobrze zrobisz pozostając tu, dopóki nie powiem ci, żebyś wstał – powiedział Drizzt. Popatrzawszy na wozy, by upewnić się, że z jego przyjaciółmi wszystko w porządku, drow odszedł

leniwym krokiem, podążając śladem uciekającej dwójki.

* * *

Regis świetnie udawał przerażone dziecko brnąc przez błoto, wymachując szaleńczo rękoma i wrzeszcząc przez cały czas „Pomocy! Pomocy!”.

Dwaj mężczyźni, przed którymi ostrzegła go Catti-brie podnieśli się, by zablokować mu drogę. Krzyknął i rzucił się na bok, potykając się i padając na kolana.

– Och, nie zabijajcie mnie, proszę panów! – Regis zawył żałośnie, gdy się zbliżyli, z paskudnymi uśmiezkami na twarzach i paskudną bronią w dłoniach.

– Och, proszę! – powiedział Regis. – Patrzcie, dam wam naszyjnik mojego taty, naprawdę!

Regis sięgnął pod koszulę, wyciągnął rubinowy wisiołek i trzymał go na krótkim kawałku łańcuszka, wystarczającym, by mógł się kołysać i obracać.

Zbóje się zbliżyli. Ich uśmiezki przeszły w pełne ciekawości miny, gdy obserwowali obracający się klejnot, tysiące, tysiące iskier, oraz zwodniczy sposób, w jaki wydawał się chwytać oraz zatrzymywać światło.

Catti-brie puściła kłusującego konia, położyła łuk i kołczan z boku drogi, po czym umknęła na bok przed mijającym ją wozem, stając przed wielkim zbójem oraz jego potężnym toporem.

Rzucił się na nią agresywnie i niezdarnie, zamachując się toporem przed sobą, a następnie z powrotem, później zaś w górę i w dół, straszliwym cięciem.

Zwinna Catti-brie nie miała zbytnich problemów z uniknięciem trzech zamachów. Chybienie przy trzecim, gdy topór wbił się w miękką ziemię, dało jej możliwość szybkiego zabójstwa i pójścia dalej. Usłyszała głos bardziej wykwintnego zbira, ponaglającego konia, i usłyszała jak wóz odjeżdża, z dwoma rozbójnikami na koźle woźnicy.

Teraz byli już problemem Bruenora.

Zdecydowała się wykorzystać czas. Nie spodobały się jej obleśne uwagi tego tutaj.

* * *

– Cholerna zasuwka! – mamrotał Bruenor, bowiem zamknięcie jego sporządzonego naprędcę luku,

zbyt zabrudzone przyskającym spod kół błotem, nie chciało puścić.

Wóz jechał już szybciej, każdy wybój był bardziej odczuwalny, szamotał krasnoludem na boki.

W końcu Bruenor zdołał wsunąć pod siebie stopę, a potem drugą, ustawiając się w ciasnym, niskim przykucu. Wydał z siebie ryk, którym mógłby się poszczycić czerwony smok, po czym wyprostował się z całej siły, przebijając głową podłogę wozu.

– Sądzicie, że możecie to zwolnić? – spytał dobrze ubranego woźnicę oraz siedzącego obok niego rudowłosego zbira. Obydwaj się obrócili, z dość zabawnymi minami.

Zabawnymi, dopóki rudowłosy zbój nie wyciągnął sztyletu i nie obrócił się, skacząc przez ławkę i rzucając się na Bruenora, który dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma najlepszej pozycji do obrony, jego ręce wciąż były przyciśnięte do boków przez pęknięte deski.

Jeden z łotrów wydawał się dość zadowolony stojąc i głupawo wpatrując się w obracający klejnot. Drugi jednak spoglądał tylko przez kilka sekund, po czym wyprostował się i potrząsnął silnie głową, łopocząc wargami.

– Ej tam, ty mały oszuście! – ryknął.

Regis zerwał się na nogi i schował rubinowy wisiołek w pulchnej małej dłoni.

– Nie pozwól mu mnie zranić! – krzyknął do zauroczzonego mężczyzny, gdy drugi się na niego rzucił, sięgając obiema dłońmi do gardła Regisa.

Regis był jednak szybszy niż na to wyglądał i umknął do tyłu. Mimo to wyższy mężczyzna miał przewagę i z łatwością by go dogonił.

Tyle że drugi łotr, który bez cienia wątpliwości był przekonany, iż ten mały osobnik jest jego drogim przyjacielem, rzucił się na swego towarzysza i powalił go na ziemię. Po chwili przetaczali się już i miotali, wymieniając ciosy i przekleństwa.

– Jesteś głupcem, a on oszustem! – wróg wrzasnął wbijając pięść w oko drugiego.

– Jesteś osiłkiem, a on jest przyjaznym malcem! – skontrował drugi, kontrując również ciosem pięścią w nos.

Regis westchnął i obrócił się, by popatrzeć na pole bitwy. Doskonale odegrał swą rolę, jak we wszystkich niedawnych wyczynach Towarzyszy z Hali. Mimo to pomyślał jednak, jak Drizzt poradziłby sobie z tymi dwoma, błyskając sejmityrami w świetle słońca, i żałował, że tak nie potrafi.

Pomyślał, jak poradziłaby sobie z nimi Catti-brie, bez wątpienia za pomocą kombinacji

szybkiego, śmiercionośnego cięcia Rozcinaczką, a po nim dobrze wymierzoną, zabójczą srebrzystą strzałą z tego jej wspaniałego haku. I znów niziołek żałował, że tak nie potrafi.

Pomyślał, jak ze zbirami poradziłby sobie Bruenor, otrzymując cios w twarz i oddając, przyjmując uderzenie w bok, które mogłoby powalić giganta, lecz prac dalej, dopóki nie wbiłby obydwu w błoto, i żałował, że tak nie potrafi.

– Ech – powiedział Regis. Potarł bark z sympatii dla Bruenora. Każdy miał swe własne sposoby, uznał, po czym skierował uwagę na zbójów walających się przed nim w błocie.

Jego nowy pupil przegrywał.

Regis wyciągnął własną broń, mały buzdygan, który wykuł dla niego Bruenor, po czym, gdy para przetoczyła się obok, wykonał kilka dobrze wymierzonych uderzeń, aby sytuacja toczyła się w odpowiednim kierunku.

Wkrótce jego pupil miał już przewagę, a Regis był na drodze do sukcesu.

Każdy po swojemu.

* * *

Ruszyła naprzód z pchnięciem, a zbir wyciągnął topór i ustawił go przed sobą do bloku, wymachując nim, aby przechwycić, albo przynajmniej odbić miecz.

Catti-brie natarła silnie, posuwając się za daleko. Wiedziała o tym, przynajmniej w oczach zbója.

Wiedziała bowiem, że jej nie doceni. Jego uwagi, gdy ją zobaczył, powiedziały jej wiele o tym, w jaki sposób postrzegał kobiety.

Złapawszy przynętę, zbir obrócił swój topór, kierując jego głowicę w stronę kobiety i próbując ją uderzyć.

Zaparcie się stopą i obrót przeprowadziły ją obok niezdarnie trzymanej broni i choć mogła przebić Khazid-heą pierś mężczyzny, zamiast tego użyła nogi, kopiąc go mocno w pachwinę.

Czmychnęła do tyłu, a mężczyzna, jęknąwszy, znów się ustawił.

Catti-brie czekała, pozwalając mu przejść na powrót do ofensywy. Jak można się było spodziewać, postanowił wykonać kolejne z tych potężnych – i bezużytecznych – poziomych cięć. Tym razem Catti-brie wycofała się jedynie na tyle, by przelatujące ostrze chybiło ją o włos.

Obróciła się, ruszając naprzód obok wyciągniętych rąk mężczyzny, wykonała zwrot na lewej stopie i tyłem kopnęła go prawą, znów trafiając mężczyznę w pachwinę.

Tak naprawdę nie wiedziała dlaczego, po prostu miała na to ochotę.

Znów kobieta usunęła się przed niebezpieczeństwem, zanim zbir zdołał zareagować, zanim otrząsnął się w ogóle z ogłupiającego bólu, który rozrywał mu zapewne łądźwie.

Z trudem zdołał się wyprostować, po czym uniósł wysoko topór i zaryczał, pędząc przed siebie w ataku pełnym desperacji. Żarłoczny czubek Khazid-hei wbił się w brzuch mężczyzny, zatrzymując go gwałtownie. Ruchem nadgarstka Catti-brie posłała śmiertelne ostrze w dół, po czym przemknęła szybko przed mężczyzną, stając z nim twarzą w twarz.

– Założę się, że to boli – wyszeptała i podniosła gwałtownie kolano.

Catti-brie odskoczyła w tył, po czym skoczyła naprzód, wykonując poprzeczne cięcie mieczem w obrębie zamachującego się w dół topora. Świetne ostrze przecięło rękojeść topora z taką łatwością, jakby była zrobiona z wosku. Catti-brie znów czmychnęła do tyłu, lecz wcześniej wykonała ostatnie, dobrze wymierzone kopnięcie.

Zbój, z rozbieganymi oczyma i twarzą wykrzywioną w grymasie absolutnego bólu, próbował ją ścigać, lecz niskie cięcie Khazid-heą pozbawiło go pasa oraz podtrzymujących spodnie (roczków, tak że spadły mu do kostek.

Jeden skrócony krok, potem następny i mężczyzna potknął się, przewracając twarzą w błoto. Pokryty szlamem, wyraźnie targany falami bólu, podniósł się na kolana i zamachnął w kierunku podkradającej się kobiety. Chyba dopiero wtedy uświadomił sobie, że trzyma jedynie połowę rękojeści topora. Zamach skończył się szybko i obrócił mężczyznę daleko w lewo. Catti-brie przeszła za ciosem, umieściła stopę na prawym barku osiłka i pchnęła go z powrotem w błoto.

Znów podniósł się na kolana, oślepiony błotem i wymachując szaleńczo.

Znalazła się za nim. Ponownie kopnęła go w błoto.

– Zostań tam – ostrzegła kobieta.

Plując przekleństwami, błotem i brunatną wodą, uparty, oszołomiony obwieś znów się podniósł.

– Zostań tam – powiedziała Catti-brie, wiedząc, że skupi się na jej głosie.

Wysunął nogę na bok dla równowagi i obrócił się, wykonując desperacko zamach.

Catti-brie przeskoczyła nad pałką i nogą, lądując przed mężczyzną i wykorzystując swój pęd, by wymierzyć jeszcze jedno potężne kopnięcie w krocze.

Tym razem mężczyzna zwinął się do pozycji płodowej, wydając z siebie ciche jęki i trzymając się za pachwinę. Kobieta wiedziała, że już nie wstanie.

Spojrząwszy na Regisa i uśmiechnąwszy się szeroko, Catti-brie ruszyła po swój hak.

* * *

Desperacja pchnęła rękę i nogę Bruenora do przodu, napałł dłonią i kolaniem, by ją podeprzeć. Deska trzasnęła, podnosząc się niczym tarcza przeciwko zbliżającemu się sztyletowi, a Bruenor w jakiś sposób zdołał oswobodzić dłoń na tyle, aby skierowaną pod odpowiednim kątem deszczułką wytrącić sztylet z dłoni rudowłosego mężczyzny.

Albo też, jak krasnolud sobie uświadomił, być może zbir po prostu zdecydował się go wypuścić.

Prawa pięść mężczyzny pojawiła się zza deski i trzasnęła go porządnie w twarz. Dołączyła do niej lewa, a potem znów prawa, a Bruenor nie miał jak się bronić, więc nie bronił się. Po prostu pozwalał mężczyźnie się grzmocić, szamocząc się jednocześnie i w końcu zdołał uwolnić obydwie dłonie, rzucając się do przodu i próbując obrony. Swoją prawą dłonią chwycił zamachującą się lewą mężczyzny, po czym posłał własną lewą, która wydawała się dążyć do tego, by strącić zbójowi głowę z ramion.

Obwieś zdołał jednak chwycić tę rękę, podobnie jak Bruenor chwycił jego, tak więc znaleźli się w impasie, zmagając się na toczącym się i podskakującym wozie.

– Chodź tu, Kenda! – krzyknął rudowłosy. – Och, mamy go! – Popatrzył z powrotem na Bruenora, jego paskudna twarz znajdowała się ledwie parę centymetrów od krasnoluda. – I co teraz zrobisz, krasnalku?

– Mówił ci ktoś kiedyś, że zapluwasz się, gdy mówisz? – spytał zde gustowany Bruenor.

W odpowiedzi mężczyzna wyszczerzył się głupawo i charknął, wypełniając usta wielką bryłą flegmy, by cisnąć nią w krasnoluda.

Całe ciało Bruenora napięło się i niczym jeden wielki mięsień, niczym ciało ogromnego węża, krasnolud uderzył. Wbił czoło w paskudną twarz łotra, odtrącając ją tak, że zbir wpatrywał się w niebo, i gdy splunął – bowiem w jakiś sposób zdołał to zrobić – wilgotny pocisk wystrzelił pionowo w górę i spadł z powrotem na niego.

Bruenor szarpnięciem uwolnił dłoń, puścił rękę mężczyzny i zacisnął dłoń na gardle zbira, drugą chwytając go za pas. Zbój został uniesiony ponad głowę krasnoluda i ciśnięty na bok pędzącego wozu.

Bruenor zauważył spokój na twarzy pozostałego łotra, gdy mężczyzna odkładał lejcę, odwracał się i wyciągał swój świetny rapier. Bruenor, również spokojnie, wy dostał się całkowicie z luku i sięgnął za plecy po swój wyszczerbiony topór.

Krasnolud stuknął toporem o prawy bark, przybierając niedbałą pozę, rozstawiwszy szeroko stopy, by zabezpieczyć się przed wybojami.

– Byś był na tyle mądry, by to odłożyć i zatrzymać ten głupi wóz – powiedział do przeciwnika, gdy mężczyzna machnął przed nim swym rapierem.

– To ty powinieneś się poddać – stwierdził rozbójnik – głupi krasnoludzie! – Gdy skończył, rzucił się naprzód, a Bruenor, wystarczająco doświadczony, by znać pełny zakres swego zasięgu oraz równowagi, nawet nie mrugnął.

Krasnolud przeszacował się jednak odrobinę i czubek rapiera wbił się w jego mithrilowy napierśnik, odnajdując wystarczającą szczelinę, by dźgnąć mocno krasnoluda.

– Auć – powiedział Bruenor, choć nie wyglądał tak, jakby był pod zbytnim wrażeniem.

Rozbójnik cofnął się, gotów do następnego ataku.

– Twoja nieporęczna broń nie może się równać z moją szybkością i zwinnością! – oznajmił i rzucił się naprzód. – Ha!

Machnięcie silnego nadgarstka Bruenora posłało jego topór do przodu. Broń wykonała jeden pełen obrót, zanim wbiła się w pierś wykonującego pchnięcie zbója, ciskając nim na oparcie ławki woźnicy.

– Czyżby? – spytał krasnolud. Postawił stopę na piersi mężczyzny i oswobodził topór.

* * *

Catti-brie opuściła łuk, widząc że Bruenor ma wóz pod kontrolą. Miała na oku rozbójnika z rapierem i zestrzeliłaby go, gdyby okazało się to konieczne.

Nie, żeby choć przez chwilę sądziła, iż Bruenor mógłby potrzebować jej pomocy przeciwko takim jak ci dwaj.

Obróciła się w stronę Regisa, zbliżającego się z prawej strony. Za nim szedł jego posłuszny pupil, niosąc na ramionach jeńca.

– Masz jakieś bandaże dla tego, którego zrzucił Bruenor? – spytała Catti-brie, choć nie była zbyt

przekonana, czy mężczyzna w ogóle żyje.

Regis zaczął przytakiwać, lecz nagle wrzasnął alarmująco:

– Z lewej!

Catti-brie obróciła się, podnosząc Taulmarila, i dostrzegła cel. Mężczyzna, którego Drizzt wrzucił w błoto, zaczął się podnosić.

Wypuściła strzałę, która migocząc i iskrząc się niczym błyskawica wbiła się w ziemię tuż przed jego unoszącą się głową. Mężczyzna zamarł w miejscu i wydawał się skamleć.

– Lepiej zrobisz, leżąc! – Catti-brie zawołała z drogi.

Posłuchał.

* * *

Ponad dwie godziny później dwaj uciekający zbójce przedarli się przez krzaki, oddzielające ich od kryjącego ich obozowisko kręgu głazów. Wciąż się potykając, wciąż oszołomieni, przeszli wokół skradzionego wozu i natknęli się na Jule Pepper, swą przywódczynię i stratega ekipy oraz jej kucharkę, mieszającą w wielkim kotle.

– Dzisiaj nic? – spytała wysoka kobieta o kruczoczarnych włosach, przyglądając się im brązowymi oczyma. Jej ton oraz postawa ujawniały prawdę, choć żaden ze zbirów nie był dość sprytny, by to wychwycić. Jule rozumiała, że coś się stało i to zapewne nic dobrego.

– Drizzit – wypalił jeden ze zbirów, łapczywie chwytając powietrze. – Drizzit i jego przyjaciele nas dostali.

– Drizzt? – spytała Jule:

– Drizzit Dudden, przeklęty mroczny elf – powiedział drugi. – Braliśmy wóz, tylko z kobietą i jej dzieciakiem, a on tam był, za nami trzema. Biedny Walken wdał się z nim walkę, na łeb na szyję.

– Biedny Walken – powtórzył drugi.

Jule zamknęła oczy i potrząsnęła głową, widząc coś, czego tamci najwyraźniej nie dostrzegali.

– A ta kobieta? – zapytała. – Po prostu poddała wóz?

– Zaczynała walkę, gdy uciekaliśmy – powiedział pierwszy z brudnej pary. – Nie zdołaliśmy

wiele zobaczyć.

– Ona? – spytała Jule. – Chodzi ci o Catti-brie? Córkę Bruenora Battlehammera? Wpadliście w pułapkę, głupcy!

Popatrzyli po sobie z zakłopotaniem.

– I płacimy za to stratą kilku, bez wątpienia – rzekł w końcu jeden, zdobywając się na odwagę, by popatrzeć na robiącą wrażenie kobietę. – Mogło być gorzej.

– Mogło? – spytała z powątpiewaniem Jule. – Powiedzcie mi więc, czy pojawiła się pantera, towarzyska tego mrocznego elfa?

Znów popatrzyli po sobie.

Jakby w odpowiedzi, w obozowisku rozbrzmiał niski pomruk, odbijając się tak, jakby dochodził spod ziemi, wpadając na ciała trojga łotrów. Konie z boku obozu zarżały, poruszyły się i zaczęły nerwowo potrząsać głowami.

– Wygląda na to, że tak – Jule odpowiedziała sobie na pytanie i westchnęła głęboko.

Ruch z boku, błysk przemykającej czerni, przykuł ich uwagę, kierując wszystkie trzy głowy w stronę nowego gościa. Była to wielka czarna kocica, mierząca przynajmniej trzy metry długości, o muskularnych barkach sięgających do piersi wysokiemu mężczyźnie.

– Kocica mrocznego elfa? – spytał jeden z brudnych zbirów.

– Mówią, że nazywa się Guenhwyvar – potwierdziła Jule.

Drugi zbój już się wycofywał, cały czas wpatrując się w kocicę. Wpadł na wóz, po czym ruszył wokół niego, podchodząc blisko do nerwowych i pocących się koni.

– Tak więc przybiegliście prosto do mnie – Jule powiedziała do drugiego z wyraźną pogardą. – Nie mogliście pojąć, że drow pozwolił wam uciec?

– Nie, on był zajęty! – zaprotestował zbój.

Jule jedynie potrząsnęła głową. Nie była zbyt zaskoczona, że to się w ten sposób skończyło. Podejrzewała, że zasłużyła na to, biorąc sobie taką bandę głupców.

Guenhwyvar zaryczała i skoczyła na środek obozowiska, lądując dokładnie pomiędzy nimi. Jule, wystarczająco bystra, by nawet przez myśl jej nie przemknęła idea walki z potężną bestią, jedynie wyrzuciła ręce w górę. Zamierzała poinstruować swych towarzyszy, by zrobili to samo, gdy usłyszała, jak jeden z nich upada na ziemię. Ten już stracił przytomność.

Ostatni brudny zbój nawet nie widział skoku Guenhwyvar. Obrócił się i pomknął przez wylom w kręgu głazów, przedzierając się przez krzaki, zamierzając pozostawić swych przyjaciół z tyłu, by walczyli, gdy będzie uciekał, tak samo jak zrobił na drodze. Przedostał się, mrużąc oczy przed uderzającymi w niego gałęziami i zauważył ciemną sylwetkę stojącą z boku. Zdążył także zauważyć parę obserwujących go intensywnie fioletowych oczu – wszystko to za ledwie na chwilę przed tym, jak rękojeść sejsmitara wzniosła się gwałtownie i uderzyła go w twarz, rozkładając na ziemi.

ROZDZIAŁ 2

W KONFLIKCIE

Przyjemnie mu było czuć na twarzy wiatr i słoną pianę. Długie blond włosy ciągnęły się za nim, a kryształowo błękitne oczy mrużyły się w obliczu blasku. Rysy Wulfgara pozostawały silne, lecz chłopięce, pomimo ogorzałości, jakiej jego skóra nabrała podczas spędzonych na morzu dekadni. Uważniejszy obserwator dostrzegłby jednak majaczący w oczach Wulfgara dysonans, który zaprzeczał jego młodemu wyglądowi, smutek zrodzony z gorzkich doświadczeń.

Teraz jednak nie towarzyszyła mu melancholia, bowiem stojąc na dziobie Duszka Morskiego Wulfgar, syn Beornegara, czuł taki sam strumień adrenaliny, jakiego zaznawał podczas lat dorastania w Dolinie Lodowego Wichru, podczas wszystkich tych lat, kiedy to poznawał zwyczaje swego ludu, i lat spędzonych na walce u boku Drizzta. Nie można było zaprzeczyć temu podnieceniu. Takie były zwyczaje wojownika, dumne i mrowiące oczekiwanie przed nadejściem bitwy.

I bitwa wkrótce się rozpocznie, barbarzyńca w to nie wątpił. Daleko przed nimi, za migoczącymi wodami, Wulfgar ujrzał żagle pędzącego pirata.

Czy był to Krwawy Kil, łajba Sheili Kree? Czy jego młot bojowy, potężny Aegis-fang, dar przybranego ojca, znajduje się w rękach piratki na pokładzie tego okrętu?

Wulfgar skrzywił się, gdy zastanowił się nad tym pytaniem, nad mrowiem uczuć, jakie wzniesła w nim sama myśl, że mógłby na powrót odzyskać Aegis-fanga. Pozostawił Delly Curtie i Colson, dziewczynkę, którą adoptowali jako własne dziecko, w Waterdeep. Pozostały w pięknym domu kapitana Deudermonta, podczas gdy on wyruszył na Duszkę Morską wyłącznie w celu odzyskania młota. A jednak myśl o Aegis-fangu, o tym, co mógłby zrobić, gdyby broń wróciła do jego ręki, wciąż pozostawała poza wirującymi zmysłami Wulfgara. Co tak naprawdę znaczył ten młot bojowy?

Ów młot, dar od Bruenora, miał symbolizować miłość krasnoluda do niego, świadomość krasnoluda, że Wulfgar wniósł się ponad swoje brutalne i stoickie dziedzictwo, aby stać się lepszym wojownikiem, a co ważniejsze, lepszym człowiekiem. Lecz czy naprawdę tak było? Czy zasługiwał na młot, na miłość Bruenora? Z pewnością wydarzenia, jakie miały miejsce od jego powrotu z Otchłani świadczyły przeciwko temu. W przeciągu ostatnich miesięcy Wulfgar zrobił niewiele rzeczy, z których mógłby być dumny, oraz posiadał całą listę osiągnięć, rozpoczynającą się od uderzenia Catti-brie w twarz, o których wolałby zapomnieć.

Tak więc pościg za Aegis-fangiem był dla niego mile widzianym wytchnieniem, zmianą sprawiającą, że był zajęty, a zapewne i służył dobrej sprawie prostując jeszcze bardziej sytuację. Jednakże, jeśli Aegis-fang znajdował się na tej łajbie przed nimi, albo na kolejnej, a Wulfgar go

odzyska, dokąd go to zaprowadzi? Czy wciąż czekało na niego miejsce wśród byłych przyjaciół w Dolinie Lodowego Wichru? Czy powróci do życia pełnego przygód i dzikich bitew, życia na krawędzi z Drizztem i pozostałymi?

Myśli Wulfgara wróciły do Delly i dziecka. Zważywszy na nową rzeczywistość jego życia, zważywszy na tę dwójkę, jakże mógł powrócić do dawnej egzystencji? Co taki zwrot oznaczałby w związku z jego odpowiedzialnością wobec nowej rodziny?

Barbarzyńca roześmiał się, rozumiejąc że dręczy go znacznie więcej niż odpowiedzialność, choć nieczęsto się do tego przyznawał, nawet przed sobą. Gdy zabrał dziecko z Auckney, drobnego królestwa tkwiącego na zachodnich rubieżach Grzbietu Świata, zrobił to z powodu odpowiedzialności, ponieważ osoba, którą był naprawdę – lub chciał stać się nią na nowo! – żądała od niego, aby nie pozwolił dziecku cierpieć za grzechy swej matki lub tchórzostwo oraz głupotę swego ojca.

To odpowiedzialność zaprowadziła go z powrotem do tawerny Cutlass w Luskan, dług, jaki był winien swym byłym przyjaciołom, Arumnowi, Delly, a nawet Josiemu Puddlesowi, których bardzo zawiódł swymi pijackimi wybrykami. Poproszenie Delly, by poszła z nim oraz dzieckiem było jeszcze jednym impulsem zrodzonym z odpowiedzialności – dostrzegał możliwość pewnego poprawienia nędznego sposobu, w jaki traktowana była ta biedna kobieta, zaproponował jej więc poznanie nowej drogi. Tak naprawdę Wulfgar nigdy nie poświęcił zbyt wiele uwagi prośbie wobec Delly, aby udała się z nim, a nawet po jej zdumiewającej zgodzie barbarzyńca nie rozumiał, jak głęboko jej wybór wpłynie na jego życie. Ponieważ teraz... teraz jego związek z Delly oraz adoptowaną córką stał się czymś więcej. Dziecko zostało zabrane ze wspaniałomyślności – a tak naprawdę dlatego, że Wulfgar instynktownie dostrzegał, iż on sam potrzebował tej wspaniałomyślności o wiele bardziej niż dziecko – i stało się dla niego niczym własna córka, własne potomstwo. Podobnie jak on sam dawno temu stał się dzieckiem Bruenora Battlehammera. Nigdy wcześniej Wulfgar nie miał choćby najmniejszego pojęcia, jaki poziom wrażliwości pociągała za sobą jego nowa rola, rola ojca. Nigdy dotąd nie wyobrażał sobie, że ktokolwiek mógłby go szczerze zranić, w żaden sposób. Teraz wystarczało, że spojrział w niebieskie oczy Colson, tak przypominające oczy jej prawdziwej matki, i Wulfgar wiedział, że cały otaczający go świat może ulec zniszczeniu.

Myśląc o Delly Curtie, barbarzyńca również doszedł do przekonania, że otrzymał więcej niż wytargował. Kobieta, którą poprosił, by do niego dołączyła, znów w duchu wspaniałomyślności oraz zaprzeczenia zbira, jakim się stał, była teraz kimś znacznie ważniejszym niż towarzyszką podróży. Podczas miesięcy, jakie nastąpiły od ich odejścia z Luskan, Wulfgar zaczął postrzegać Delly Curtie w zupełnie innym świetle, zaczął dostrzegać głębię jej ducha oraz roztropność, zagrzebane pod sarkastyczną i opryskliwą skorupą, jaką musiała wykształcić, by przetrwać w swej nędznej egzystencji.

Delly opowiedziała mu o nielicznych wspaniałych chwilach, jakich zaznała – i żadna z nich nie miała miejsca w ramionach któregoś z jej licznych kochanków. Opowiedziała mu o wielu godzinach, jakie spędziła na nabrzeżach Luskan, zanim zmusiła się do rozpoczęcia pracy w

Cutlassie. Siedziała tam i obserwowała, jak słońce zatapia się w odległym oceanie, wydając się rozpalać wodę.

Delly uwielbiała zmierzch – nazywała go cichą godziną – kiedy to pracujący w dzień mieszkańcy Luskan wracali do domów, do swych rodzin, a nocny tłum nie obudził się jeszcze do harmidru swych pełnych przygód, lecz niewypowiedzianie pustych nocy. W miesiącach, podczas których znał Delly w Cutlassie, podczas nocy, jakie spędzili w swych ramionach, Wulfgar nigdy nie zaczął nawet sobie wyobrazić, że było w niej o tyle więcej, że posiadała nadzieje i marzenia, a także tak głębokie zrozumienie otaczających ją osób. Gdy mężczyźni zaciągali ją do łóżka, często uważali ją za łatwy cel, wymagający tylko paru komplementów, by uzyskać nagrodę.

Wulfgar rozumiał, że żadne z tych słów nigdy tak naprawdę nic dla niej nie znaczyło. Jej jedyną miarą potęgi na ulicach było własne ciało, wykorzystywała je więc, by zyskiwać przysługi, zyskiwać wiedzę, zyskiwać bezpieczeństwo, wszystko to w miejscu, w którym tych trzech rzeczy brakowało. Jakże dziwnie było Wulfgarowi uświadomić sobie, że choć wszyscy mężczyźni sądzili, że wykorzystują ignorancję Delly, tak naprawdę to ona wykorzystywała ich słabość w obliczu pożądania.

Tak, Delly Curtie doskonale potrafiła bawić się w grę „wykorzystywania” i to dlatego ich kwitnący związek tak go zdumiewał. Wiedział bowiem, że Delly nie wykorzystywała jego, a on nie wykorzystywał jej. Po raz pierwszy w swej wspólnej historii oboje dzielili się jedynie swym towarzystwem, szczerze i bez pretensji, bez ukrytych celów.

A Wulfgar byłby naprawdę kłamcą, gdyby nie potrafił przyznać, że mu się to podobało.

Wulfgar byłby naprawdę kłamcą, a oprócz tego i tchórzem, gdyby nie potrafił przyznać, że zakochał się w Delly Curtie. Tak więc pobrali się. Nie formalnie, lecz w sercu oraz w duszy, i Wulfgar wiedział, że ta kobieta, ta niezwykła towarzyszka, uzupełniała go w sposób, którego nigdy nie uważałby za możliwy.

– Bandera zabójcy w górze! – dobiegł okrzyk z bocianiego gniazda, oznaczający, że to rzeczywiście piracki okręt żeglował przed Duszką Morską, bowiem w swej arogancji płynął pod piracką flagą.

Jako że leżały przed nim jedynie otwarte wody, statek nie miał szans umknąć. Żaden żaglowiec na Wybrzeżu Mieczy nie był w stanie prześcignąć Duszka Morskiego, zwłaszcza gdy na mostku przebywał potężny czarodziej Robillard, raz za razem przywołujący podmuchy wiatru w główny żagiel szkunera.

Wulfgar wziął głęboki oddech, a po nim kolejny, lecz niezbyt mogły one uspokoić jego nerwy.

Jestem wojownikiem! przypominał sobie, lecz ta druga prawda, że był mężem i ojcem, nie dawała się tak łatwo odsunąć.

Jakże dziwna wydawała mu się ta zmiana w sercu. Ledwie kilka miesięcy temu był postrachem Luskan, rzucał się w walkę bez opamiętania, był lekkomyślny aż do punktu samozniszczenia. Wtedy jednak nie miał nic do stracenia, wierzył że śmierć może pozbawić go bólu. Teraz było coś więcej niż te rzeczy, które miał do stracenia, była świadomość, że gdyby tu zginął, ucierpiałyby na tym Delly i Colson.

A za co? – barbarzyńca musiał się zapytać. Dla młota bojowego, symbolu przeszłości, gdy nawet nie był pewien, czy chciał ją odzyskać?

Wulfgar chwycił się biegnącej do głównego masztu liny, ściskając ją tak mocno, że aż pobieleły mu kostki palców, po czym znów wziął głęboki, uspokajający oddech, wypuszczając go w formie dzikiego warkotu. Wulfgar otrząsnął się z myśli, uważając je za klątwę dla prawdziwego wojownika. Odważnie zaszarżować, to była jego mantra, jego kodeks, i rzeczywiście, właśnie dzięki temu prawdziwy wojownik mógł przetrwać. Obezwładnij swoich przeciwników, i to szybko, a zapewne będziesz mógł odejść. Wahanie dawało tylko przeciwnikom szansę na zestrzelenie cię strzałami i włóczniami.

Wahanie i tchórzostwo mogły go zniszczyć.

* * *

Duszek Morski zbliżał się szybko do żaglowca i wkrótce widać już było wyraźnie, że to dwumasztowa karawela. Jakże szybko te pirackie insygnia spłynęły w dół, gdy okręt rozpoznał, kto go ściga!

Wystrzeliła tylna katapulta i przednia balista Duszka Morskiego – żadna z nich nie uzyskała znacniejszego trafienia – a pirat odpowiedział własnym strzałem z katapulty, żalosną salwą, która wylądowała daleko przed zbliżającym się myśliwym.

– Druga salwa? – kapitan Deudermont spytał swego okrętowego czarodzieja. Kapitan był wysokim i wyprostowanym mężczyzną o doskonale przyszyżonej koziej bródce, wciąż bardziej brązowej niż siwej.

– Żeby podjudzić? – odparł Robillard. – Nie, jeśli mają czarodzieja, jest zbyt sprytny, by złapać przynętę, inaczej już by się pokazał. Wpłyn w porządnym zasięgu i wystrzel, a ja też wystrzele.

Deudermont skinął głową i uniósł lunetę do oka, aby lepiej przyjrzeć się piratowi – i mógł teraz wyróżnić poszczególne postacie na pokładzie, miotające się we wszystkich kierunkach.

Duszek Morski zbliżał się z każdą mijającą sekundą, jego żagle chciwie pochłaniały wiatr, jego dziób wznosił wysoko w powietrze ściany wody.

Deudermont popatrzył do tyłu, na swych działowych obsługujących katapultę na pokładzie rufowym. Jeden z nich używał lunety bardzo podobnej do tej kapitana, mierząc w żaglowiec ustawionym przed sobą drążkiem z podziałką. Opuścił lunetę, popatrzył na kapitana i skinął głową.

– Wypuście w główny żagiel – Deudermont powiedział do marynarza obok siebie i rozszedł się okrzyk, nabierając siły i głośności, po czym katapulta oraz balista znów wystrzeliły. Tym razem kula płonącej smoły trafiła w żagle i olinowanie pirata, który nachylił się mocno w desperackim zwrocie, a pocisk z balisty, ciągnący za sobą łańcuchy, przedarł się przez żagiel.

Chwilę później pojawił się jaskrawy poblask błyskawicy Robillarda, która ugodziła kadłub pirata w miejscu styku z linią wodną, roztrzaskując deski.

– Do defensywy! – dobiegł krzyk Robillarda, który uaktywnił wokół siebie na wpół przejrzystą kulę i pobiegnął na dziób, przepychając się obok Wulfgara, który przemieszczał się na śródokręcie.

Od strony pirata wróciła w odpowiedzi błyskawica, choć nie dorównywała siłą i blaskiem tej Robillarda. Czarodziej Duszka Morskiego, uważany za najlepszego w walce morskiej ze wszystkich magów Faerunu, ustawił swoje osłony, aby zminimalizować obrażenia do zaledwie czarnej smugi na boku dzioba Duszka Morskiego, kolejnej z licznych odznak honorowych, jakie łowca piratów zyskał podczas lat swej służby.

Pirat kontynuował omijający zwrot, lecz Duszek Morski, dalece zwinniejszy, ścinał jego skręt, zbliżając się jeszcze szybciej.

Deudermont uśmiechnął się, myśląc o Robillardzie. Czarodziej pocierał ochoczo palcami, gotów rzucić szereg czarów, by skontrolować wszelkie osłony, a później wypuścić wyniszczającą kulę ognistą, która pochłonie olinowanie i żagle, pozostawiając pirata martwego na wodzie.

Piraci poddadzą się zapewne niedługo później.

* * *

Szereg łuczników stał wzdłuż relingu Duszka Morskiego, a kilku wystąpiło naprzód, jako oczywiste cele. Robillard nałożył na tych paru zaklęcia, czyniąc ich niewrażliwymi na niemagiczne strzały, tak więc byli śmiałkami ściągającymi je na siebie.

– Salwa, gdy będziemy mijać! – rozkazał dowódca grupy, a mężczyźni i kobiety zaczęli sprawdzać naciągi oraz strzały, wybierając te, które polecą prosto i pewnie.

Za nimi Wulfgar przechadzał się nerwowo, z niepokojem. Chciał, żeby to się skończyło – co było idealnie rozsądnym i racjonalnym pragnieniem – a jednak przeklinał się za te uczucia.

– Łyczek, żeby uspokoić dłonie? – odezwał się do niego tłusty marynarz, trzymając małą butelkę rumu, krążącą po grupie abordażowej.

Wulfgar długo i bacznie wpatrywał się w butelkę. Przez miesiące ukrywał się w takich wydawałoby się przejrzystych naczyniach. Przez miesiące wlewał w butelkę swe obawy i straszliwe wspomnienia, w daremnych próbach ucieczki przed swym życiem i przeszłością.

Potrząsnął głową i wrócił do przechadzania się.

Chwilę później dobiegł brzęk dwudziestu cięciw, okrzyki wielu piratów oraz kilku z załogi Duszka Morskiego, trafionych w odwecie.

Wulfgar wiedział, że powinien zająć pozycję wraz z resztą grupy abordażowej, a jednak nie potrafił. Nogi nie mogły go przenieść obok wyobrażonych obrazów Delly i Colson. Jak mógłby to zrobić? Jak mógł być tutaj, ścigając młot bojowy, gdy one czekały w Waterdeep?

Pytania te rozbrzmiewały głośno i straszliwie w myślach Wulfgara. Wrzeszczało do niego wszystko, czym kiedykolwiek był. Słyszał imię Tempusa, barbarzyńskiego boga wojny, dudniące w jego głowie, mówiące mu, by odrzucił swe obawy, by przypomniał sobie, kim jest.

Z rykiem, który sprawił, że najbliżsi mężczyźni poruszyli się ze strachu, Wulfgar, syn Beornegara, rzucił się do burty i choć nie wzywano grupy abordażowej – Robillard przygotowywał właśnie swe ogniste uderzenie, a okręty wciąż znajdowały się trzy metry od siebie, przy czym Duszek Morski szybko mijał pirata – rozszalały barbarzyńca wybił się ponad burtę i skoczył naprzód.

Za nim rozległy się okrzyki protestu, przed nim okrzyki zaskoczenia i strachu.

Wulfgar słyszał jednak wyłącznie własny krzyk.

– Tempus! – zaryczał, odrzucając swe obawy i wahanie.

Tempus!

* * *

Kapitan Deudermont podbiegł do Robillarda i chwycił chudego czarodzieja, przyciskając mu ręce do boków i zakłócając rzucanie czaru.

– Głupiec! – Robillard wrzasnął zaraz, gdy otworzył oczy i ujrzał, co wymusiło interwencję kapitana.

Nie, żeby czarodziej był zaskoczony, bowiem Wulfgar był cierniem w boku Robillarda, odkąd

dołączył do załogi. W przeciwieństwie do swych starych towarzyszy, Drizzta i Catti-brie, ten barbarzyńca po prostu nie wydawał się rozumieć subtelności czarodziejskiej walki. Zaś według Robillarda, czarodziejska walka była najważniejsza, z pewnością znajdowała się ponad szaleństwami zwykłych wojowników.

Robillard wyrwał się Deudermontowi.

– Zaraz będę mógł rzucić kulę ognistą – nalegał. – Gdy Wulfgar zginie!

Deudermont niezbyt go słuchał. Zawołał do załogi, by obróciła Duszka Morskiego, do łuczników zaś, by tak mierzyli swe strzały, aby mogły wspomóc jednoosobową grupę abordażową.

Wulfgar zahaczył o burtę wskakując na piracki okręt i przewrócił się na pokład. Rzucili się na niego piraccy miecznicy, tocząc się niczym woda, by go przykryć – lecz barbarzyńca podniósł się i zaryczał, trzymając w każdej dłoni długi kawałek łańcucha.

Najbliższy pirat ciął mieczem i zdołał trafić barbarzyńcę w bark, lecz Wulfgar szybko podniósł przedramię i nacisnął, nie pozwalając klindze uczynić nic poważniejszego niż powierzchowna szrama. Parując, barbarzyńca wymierzył prawy sierpowy, trafiając mężczyznę mocno w pierś, unosząc go w powietrze i ciskając na pokład, gdzie legł ze złamanym kręgosłupem.

Roztrzaskując i miażdżąc łańcuchami, rycząc do swego boga, barbarzyńca siał zniszczenie, roztrzaskując piratów przed sobą. Nigdy wcześniej nie widzieli podobnego, mierzącego ponad dwa metry dzikiego człowieka, tak więc większość uciekała przed jego potworną szarżą.

Śmignął jeden z łańcuchów, owijając się wokół pary nóg, a Wulfgar pociągnął potężnie, posyłając biednego pirata na pokład. Śmignął drugi kawałek łańcucha, owijając się wokół barku mężczyzny na lewo od Wulfgara, wykonując całkowity obrót, aby uderzyć go swym końcem w pierś. Szarpnięcie Wulfgara pozbawiło pirata sporej ilości skóry i posłało go szybką spiralą na pokład.

– Uciekać! – rozległy się okrzyki przed nim. – Och, co to za demon!

Obydwa łańcuchy szybko się splątały, więc Wulfgar upuścił je i wyciągnął zza pasa parę małych pałek. Skoczył naprzód i pomknął szybko w bok, przyciskając jednego z piratów, najwyraźniej dowódcę załogi pokładowej i najbardziej opancerzonego z tej zgrai, do burty.

Pirat ciął niezłym mieczem, lecz Wulfgar odskoczył poza jego zasięg, po czym znów odwrócił kierunek, wydając z siebie następne ryknięcie.

Podniosła się duża, dobra tarcza i to powinno było wystarczyć, lecz wojownik ten nigdy dotąd nie stawiał czoła dzikiej furii Wulfgara.

Pierwsze uderzenie barbarzyńcy w tarczę odrętwiło rękę pirata. Drugi cios Wulfgara ugodził w górną część osłony, spychając blokującą rękę w dół. Trzeci całkowicie usunął osłonę, a czwarty,

następujący tak szybko, że przeciwnik nie miał nawet okazji, by ustawić z powrotem miecz, ugodził pirata w bok hełmu, sprawiając, że mężczyzna zatoczył się na bok.

Wulfgar parł dalej, grzmocąc serią ciosów, które pozostawiały wielkie wgniecenia w niezłym pancerzu i przewróciły pirata na pokład. Ledwo co jednak padł na deski, gdy Wulfgar chwycił go za kostkę i szarpnięciem poderwał z powrotem, stopami do góry.

Obrót i pojedynczy krok sprawiły, że barbarzyńca stanął na burcie, a opancerzony pirat wisiał w powietrzu. Wulfgar trzymał go tam, bez żadnego wysiłku, i tylko jedną ręką. Barbarzyńca przyjrzał się groźnie reszcie załogi. Nikt się nie zbliżył, żaden łucznik nie uniósł przeciwko niemu łuku.

Wyzwanie dobiegło jednak z mostka. Wulfgar obrócił się i ujrzał pirackiego czarodzieja, wpatrującego się w niego i pogrążonego w procesie rzucania czara.

Machnięcie nadgarstka Wulfgara sprawiło, że druga pałka pomknęła, wirując w powietrzu, w stronę mężczyzny i czarodziej musiał usunąć się na bok, zakłócając własny czar.

Teraz jednak Wulfgar był nieuzbrojony, a piracka załoga wydawała się otrząsnąć z początkowego szoku jego przytłaczającej szarży. Pojawił się piracki kapitan, obiecując wielkie skarby temu, kto powali barbarzyńskiego giganta. Czarodziej znów czarował.

Zbliżały się morskie szumowiny, z mordem w oczach.

I stanęły, prostując się, a nawet upuszczając broń, bowiem Duszek Morski wślizgnął się tuż za barbarzyńcę, z gotowymi do ataku łucznikami, z gotową grupą abordażową.

Robillard wypuścił kolejną błyskawicę, która ugodziła w zdezorientowanego pirackiego czarodzieja, przerzucając go nad tylnym relingiem, tak że wpadł do zimnego morza.

Jeden z piratów wezwał do szarży, lecz został szybko powstrzymany, gdy w jego pierś wbiły się dwie strzały.

Załoga Duszka Morskiego była zbyt dobrze wyszkolona, zbyt zdyscyplinowana, zbyt doświadczona. Walka skończyła się, zanim tak naprawdę się zaczęła.

– Możesz go chyba przenieść z powrotem na drugą stronę burty – Deudermont powiedział do Wulfgara krótką chwilę później, bowiem barbarzyńca wciąż tam stał, trzymając opancerzonego pirata głową w dół nad krótkim odcinkiem wody między obydwojma okrętami, choć teraz Wulfgar używał już obu rąk.

– Tak, zrób to! – zażądał zawstydzony pirat, unosząc przyłbicę swego drogiego hełmu. – Jestem hrabią na Folwarku Taskadale! Żądam...

– Jesteś piratem – Deudermont powiedział do niego krótko.

– Trochę przygód, nic więcej – odparł wyniośle mężczyzna. – A teraz proszę, żeby twój przyjaciel ogr postawił mnie na pokładzie!

Zanim kapitan zdołał powiedzieć choć słowo, Wulfgar wykonał półobrót i posłał hrabiego w poprzek pokładu, tak że z wielkim brzękiem uderzył o główny maszt i owinął się wokół niego, tworząc hałaśliwą stertę.

– Hrabia Taskadale, gdziekolwiek to jest – stwierdził Deudermont.

– Nie robi wrażenia – odrzekł Wulfgar i zaczął odchodzić, kierując się ku desce prowadzącej na pokład Duszka Morskiego.

Po drugiej stronie czekał na niego rozwścieczony Robillard.

– Kto polecił ci skakać? – zażądał odpowiedzi wściekły czarodziej. – Można ich było pokonać jednym czarem.

– Więc rzuć swój czar, czarodzieju – mruknął do niego Wulfgar, przechodząc obok, nie mając czasu na wyjaśnianie swych emocji oraz impulsów komuś innemu, skoro nawet sam ich jeszcze nie rozwikłał.

– Niech ci się nie wydaje, że następnym razem tego nie zrobię! – wrzasnął za nim Robillard, lecz Wulfgar szedł jedynie w swoją stronę. – I biada Wulfgarowi, gdy płonące kawałki żagla spłyną na jego głowę, zapalając jego włosy i parząc skórę! Biada Wulfgarowi, gdy...

– Spokojnie – powiedział Deudermont, stając za czarodziejem. – Pirat jest zajęty i nie straciliśmy żadnego marynarza.

– I tak by było – nalegał Robillard – przy mniejszym ryzyku. Ich magiczne osłony były powalone, żagle odsłonięte. Ja...

– Dość, mój przyjacielu – przerwał mu Deudermont.

– Ten Wulfgar jest głupcem – odparł Robillard. – To naprawdę barbarzyńca! Dziki w sercu i duszy, o taktyce i przewadze ma podobne pojęcie co przeciętny ork.

Deudermont, który żeglował z Wulfgarem wcześniej i znał dobrze mrocznego elfa, który wyszkolił tego wojownika, wiedział lepiej. Nic jednak nie powiedział, pozwolił, by wiecznie zrządzający Robillard wyładował swą frustrację w strumieniu przekleństw i protestów.

Tak naprawdę kapitan Deudermont zaczynał się na nowo zastanawiać nad swą decyzją, by przyjąć Wulfgara do załogi Duszka Morskiego, choć zdecydowanie uważał, że jest mu to winien, z przyjaźni

oraz szacunku. Wyraźne odkupienie Wulfgara mocno ugodziło serce kapitana Deudermonta, widział go bowiem na samym dnie, przed sędziami Luskan, podczas procesu za próbę zamordowania jego samego.

Kapitan nie uwierzył wtedy w oskarżenia – był to jedyny powód, dla którego Wulfgar wciąż żył – choć dostrzegał, że coś strasznego stało się ze szlachetnym wojownikiem, że jakieś niewypowiedziane wydarzenie wrzuciło Wulfgara na dno najniższego rynsztoka. Deudermont był naprawdę szczęśliwy, gdy Wulfgar pojawił się w dokach Waterdeep, prosząc o pozwolenie dołączenia do załogi, prosząc Deudermonta, by pomógł mu odzyskać potężny młot bojowy, wykuty dla niego przez Bruenora Battlehammera.

Teraz kapitan widział jednak wyraźnie, że blizny bólu Wulfgara nie wygoiły się jeszcze całkowicie. Jego szarża była lekkomyślna i głupia, mogła narazić na niebezpieczeństwo całą załogę. Tego kapitan Deudermont nie mógł tolerować. Będzie musiał porozmawiać z Wulfgarem i to stanowczo.

Co więcej, kapitan zdecydował w tym momencie, że kwestię odnalezienia Sheili Kree oraz jej wymykającego się okrętu uczyni priorytetową, że sprawi, by Wulfgar odzyskał Aegis-fanga i wysadzi go z powrotem na brzegu w Waterdeep.

Dla dobra wszystkich.

DZWONY I GWIZDY

Wielkie gargulce spoglądały z wysokości sześciu metrów, a gigantyczna kamienna statua humanoidalnego jaszczurczego wojownika – być może jakiś golem, lecz raczej zwykła rzeźba – strzegła drzwi, umieszczonych pomiędzy jej szeroko rozstawionymi nogami. Tuż za progiem tańczyło i unosiło się mrowie magicznych świateł, niektóre rozrzucały groźne iskry.

To wszystko na Le'lorinelu nie robiło wrażenia. Elf znał wykorzystane tu szkoły magii, studia związane z iluzją oraz wieszczeniem, i nie bał się żadnej z nich. Nie, strażnicy i osłony E'kressy Wieszcza nie imponowały doświadczonemu wojownikowi. Były bardziej na pokaz. Le'lorinel nawet nie wyciągnął miecza, a wręcz zdjął lśniący srebrny hełm przechodząc przez ciemne wrota i wkraczając do okrągłego korytarza.

– E'kressa diknomin tue? – spytał elf, używając języka gnomów. Le'lorinel przystanął u podstawy drabiny, czekając na odpowiedź.

– E'kressa diknomin tue? – powtórzył elf, głośniejsze i z większym naciskiem.

Odpowiedź przy płynęła wraz z niewidzialnym wiatrem.

– Jakież przygody mroczne i złe mroczniejszej stronie Le'lorinela ukażą się? – dobiegł wysoki, lecz mimo to grobowy głos, mówiący wspólnym językiem. – Gdy od ciemnej skóry miecz stanie się czerwony, czy niezaspokojony głód zostanie nasycony? Gdy Le'lorinel uśmierci drowa szlachetnego, czy się uśmiechnie, czy gniew opuści jego?

Le'lorinel uśmiechnął się, zarówno z powodu pokazu wieszczenia, jak i z wyraźnych pomyłek.

– Czy mogę...? – elf zaczął pytać.

– Wejdz na górę – zostało mu szybko przerwane. Ton i nagłość tego stwierdzenia powiedziały Le'lorinelowi, że E'kressa chciał jasno ukazać, iż pytanie zostało przepowiedziane.

Chichocząc, Le'lorinel ruszył schodami. Na górze elf znalazł drzwi ze świecących niebieskich paciorków. Odsunawszy je wszedł najwyraźniej do głównej komnaty audiencyjnej E'kressy, pomieszczenia wyłożonego wieloma dywanami oraz poduszkami do siedzenia, pełnego tajemnych runów oraz artefaktów: tu czaszka, tam ogromne nietoperzowe skrzydło, kryształowa kula ustawiona pod ścianą na piedestale, duże lustro o zawiłych złotych konturach.

Nigdy wcześniej Le'lorinel nie widział tak wielu stereotypowych magicznych przedmiotów upchniętych w jednym miejscu, a po latach pracy z Mahskevikiem elf miał pewność, że były to naprawdę drobne rzeczy, ozdoby i nic więcej – poza być może kryształową kulą.

Le'lorinel nie zwracał jednak na nie zbytnej uwagi, bowiem obserwował E'kressę. Odziany w granatowe szaty ozdobione czerwonymi krętymi wzorami oraz w ogromny stożkowaty kapelusz, gnom wydawał się niemal karykaturą klasycznego stereotypu czarodzieja, poza oczywiście tym, że nie był wysoki i imponujący.

E'kressa ledwo osiągał dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Spod tego kapelusza wystawała długa siwa broda i krzaczaste brwi. E'kressa zadarł głowę, kierując twarz generalnie w kierunku elfa, lecz jakby na niego nie patrzył.

Pod tymi krzaczastymi brwiami widać było dwie białe kule.

Le'lorinel roześmiał się w głos.

– Ślepy wieszcz? Jak idealnie typowe.

– Wątpisz w moce mego magicznego wzroku? – odparł E'kressa, wznosząc groźnie ręce niczym skrzydła orła.

– Bardziej niż mógłbyś w ogóle zrozumieć – niedbale odrzekł Le'lorinel.

E'kressa utrzymywał pozę przez długą chwilę, lecz w końcu, w obliczu spokojnej postawy i kpiącego uśmiešku elfa, odpuścił sobie. Wzruszywszy ramionami, E'kressa podniósł dłonie i wyjął fałszywe białe soczewki z błyszczących szarych oczu.

– Działa na chłopów – wyjaśnił wieszcz iluzjonista. – Naprawdę ich zdumiewa! I zawsze chętniej dorzucą monetę czy dwie dla ślepego wieszcza.

– Chłopom łatwo zaimponować – powiedział Le'lorinel. – Mi nie.

– A jednak wiedziałem o tobie i o twojej misji – szybko wskazał E'kressa.

– I wiesz też o Mahskeviku – cierpko odparł elf. E'kressa tupnął obutą stopą i przybrał nadąsaną pozę, która wytrwała przez cztery uderzenia serca.

– Przyniosłeś zapłatę? – wieszcz spytał z oburzeniem. Le'lorinel cisnął torbę srebra przez dzielącą ich odległość, prosto do nadstawionych ochoczo dłoni gnoma.

– Dlaczego nie użyjesz po prostu swych niesłychanych mocy wieszczenia, aby poznać liczbę? – Le'lorinel spytał, gdy gnom zaczął liczyć monety.

Oczy E'kressy zmrużyły się tak, że zniknęły pod ogromnymi brwiami. Gnom zamachał dłonią nad torbą, wymamrotał czar, po czym pokiwał po chwili głową i odsunął torbę na bok, – Powiniennem więcej od ciebie zażądać za to, że zostałem do tego zmuszony – stwierdził.

– Do policzenia swojej zapłaty? – Le'lorinel spytał sceptycznie.

– Do tego, że musiałem ci pokazać kolejną z moich wielkich wieszczących mocy – odrzekł gnom.
– Że nie kazałem ci czekać, gdy będę je liczył.

– Nie trzeba wiele magii, by wiedzieć, że będą wszystkie monety – odpowiedział elf. – Dlaczego bym tu przychodził, gdybym nie zgodził się na cenę?

– Kolejny test? – spytał gnom. Le'lorinel jęknął.

– Niecierpliwość jest przypadłością ludzi, nie elfów – przypomniał E'kressa. – Dostrzegam, że jeśli będziesz podchodził do swej misji z taką niecierpliwością, spotka cię zagłada.

– Wspaniale – dobiegła sarkastyczna odpowiedź.

– Nie ułatwiasz – gnom rzekł grobowym tonem.

– I choć mogę cię zapewnić, że posiadam cierpliwość, jaka będzie mi potrzebna, aby pozbyć się Drizzta Do'Urdena, nie mam zamiaru tracić swego czasu stojąc tutaj – odezwał się Le'lorinel. – Czeka mnie jeszcze zbyt wiele przygotowań, E'kresso.

Gnom zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym wzruszył po prostu ramionami.

– Istotnie. Cóż, zobaczymy, co pokaże nam kryształowa kula. Drogi twego pościgu, mamy nadzieję, a także być może, to, czy Le'lorinel wygra, czy też poniesie klęskę. – Podreptał w kierunku środka komnaty, kołyszając się jak kaczką, po czym udał się do kryształowej kuli.

– Tylko drogę, nic więcej – sprostował Le'lorinel. E'kressa zatrzymał się gwałtownie i obrócił powoli, by przyjrzeć się tej zagadkowej istocie.

– Większość pragnęłaby poznać rezultat – powiedział.

– A jednak wiem, podobnie jak i ty, że żaden rezultat nie jest postanowiony – odparł Le'lorinel.

– Jest prawdopodobieństwo...

– I nic ponad to. I cóż mam uczynić, o wielki wieszczu, jeśli powiesz mi, że wygram spotkanie z Drizztem Do'Urdenem, że zarżnę go, na co zasługuje, i wytrę skrwawiony miecz w jego białe włosy?

– Radość? – zapytał sarkastycznie E’kressa.

– A cóż mam uczynić, o wielki wieszczu, jeśli powiesz mi, że przegram tę walkę? – ciągnął Le’lorinel. – Porzucić to, czego porzucić nie mogę? Opuścić mój lud i cierpieć, gdy drow będzie żył?

– Niektórzy uważają go za dość porządnego gościa.

– Iluzje ogłupiają niektórych, czyż nie? – stwierdził Le’lorinel. E’kressa zaczął odpowiadać, lecz jedynie westchnął, wzruszył ramionami i dalej toczył się ku kryształowej kuli.

– Opowiedz mi swoje myśli o drodze, jaka cię czeka – polecił.

– Dodatkowa zapłata zapewnia poufność? – spytał Le’lorinel. E’kressa popatrzył na elfa tak, jakby to pytanie było strasznie głupie.

– Dlaczego miałbym poinformować tego całego Drizzta, gdybym go kiedykolwiek spotkał? – zapytał. – I dlaczego miałbym go kiedykolwiek spotkać, skoro jest na drugim krańcu świata?

– A więc już go wyśledziłeś?

E’kressa podchwycił wskazówkę, jaką była ekscytacja w głosie elfa i ten pełen niepokoju wysoki ton sprawił, że wyprostował ramiona oraz wypiął dumnie pierś.

– Być może tak jest – rzekł. – Być może tak jest. Le’lorinel odpowiedział pełnym determinacji krokiem, podchodząc do kryształowej kuli naprzeciwko gnoma.

– Znajdź go.

E’kressa zaczął czarować. Jego małe ręce wykonywały wysokie kręgi ponad głową, podczas gdy z ust wydobywały się dziwne słowa w języku, którego Le’lorinel nie znał i głosem, który zupełnie nie wydawał mu się znajomy.

Szare oczy otworzyły się. E’kressa pochylił się z uwagą do przodu.

– Drizzt Do’Urden – powiedział cicho, lecz stanowczo. – Zgubiony drow, bowiem może być tylko jeden rezultat takich starannych i ostrożnych planów.

– Drizzt Do’Urden – powtórzył gnom, imię to spływało z jego ust równie rytmicznie i miało w sobie tyle samo magii, co tajemne słowa czarownika. – Widzę... widzę... widzę...

E’kressa przerwał, powiedział „Hmm”, po czym wyprostował się.

– Widzę zniekształconą twarz nadmiernie podekscytowanego, łysiego i groteskowo

zamaskowanego elfa – wyjaśnił, wychylając się, by wyrzucić zza kuli w powiększone oczy Le'lorinela. – Mógłbyś się trochę cofnąć?

Le'lorinel opuścił ramiona i wydał z siebie głębokie westchnienie, lecz zrobił, o co go proszono.

E'kressa potarł o siebie małymi puciołowatymi dłońmi i wymamrotał dalszy ciąg czaru, po czym pochylił się z powrotem.

– Widzę – powiedział znów. – Wicher wieje i zalega głęboki, głęboki śnieg. Słyszę wicher... tak, tak, słyszę w mych uszach wicher srogi oraz biegnące jeleni nogi.

– Jeleni nogi?

E'kressa wyprostował się i zmierzył elfa wzrokiem.

– Jeleni nogi? – powtórzył Le'lorinel. – Rymuje się ze „srogi”, prawda?

– Jesteś kłopotliwy.

– A ty dość denerwujący – odparł elf. – Dlaczego musisz mówić wierszem, gdy tylko wpadasz w wieszczenie? To jakaś zasada czy co?

– Wybór! – odpowiedział zdenerwowany gnom, znów tupiąc swym twardym butem w dywan.

– Nie jestem chłopem, na którym mógłbyś zrobić wrażenie – wyjaśnił Le'lorinel. – Oszczędź sobie kłopotów oraz głupich słów, bowiem nie dostaniesz żadnych dodatkowych monet za atmosferę, ani słyszalną, ani widzialną.

E'kressa wymamrotał pod nosem kilka przekleństw i pochylił się z powrotem.

– Jeleni nogi – powtórzył Le'lorinel, parszkając.

– Zakpij sobie ze mnie jeszcze raz, a pošlę cię, żebyś polował na Drizzta w samej Otchłani – ostrzegł gnom.

– Z tego miejsca także wrócę, aby odpłacić ci za przysługę – odrzekł niezbity z tropu Le'lorinel.
– I zapewniam cię, potrafię odróżnić iluzję od wroga, strażnika z ruchomego światła od prawdziwego, a także posiadam sekretne sposoby, które umkną twym oczom.

– Ach, ależ ja widzę wszystko, głupi synu głupiego syna – zaprotestował E'kressa.

Le'lorinel jedynie roześmiał się na to stwierdzenie i okazało się to najżywszą odpowiedzią, jaką mógł dać, choć E'kressa nie miał oczywiście pojęcia, jak głęboka ironia kryje się w jego

przechwałce.

Obydwaj westchnęli, równie zmęczeni tą bezużyteczną wymianą słów. Gnom wzruszył ramionami, pochylił się i znów zajrzał w kryształową kulę.

– Krążą pogłoski, że nie jest dobrze z Gandalugiem Battlehammerem – odezwał się Le'lorinel.

E'kressa wymruczał jakieś tajemne zdania i zamachał małymi rączkami wokół kuli.

– Do Mithrilowej Hali widzące oczy podążają, gdzie tron i łoże z baldachimem mroki spowijają – zaczął gnom, lecz urwał, słysząc niecierpliwe chrząknięcie Le'lorinela.

E'kressa wyprostował się i popatrzył na elfa.

– Gandalug leży chory – potwierdził gnom, tracąc zarówno tajemniczy ton, jak i denerwujące rymy. – Ano, i do tego umiera.

– Kapłani są obecni?

– Krasnoludzcy kapłani, owszem – odpowiedział gnom. – Co oznacza, że umierający król nie może otrzymać wielu leczniczych mocy. Nie ma tam delikatnych dłoni.

– Nie miałyby to znaczenia – ciągnął E'kressa, nachylając się znów, by przyjrzeć się obrazom, by wchłonąć wrażenie sceny równie mocno, jakby była rzeczywista. – To nie rana, nie licząc blizn czasu, jak się obawiam, i nie choroba, nie licząc tej, która powala wszystkich, jeśli nic nie zabije ich wcześniej. – E'kressa wyprostował się na nowo i zdmuchnął puchatą brew z jednego z szarych oczu.

– Stary wiek – wyjaśnił gnom. – Dziewiąty król Mithrilowej Hali umiera ze starości.

Le'lorinel przytaknął, bowiem tyle już wiedział.

– A Bruenor Battlehammer? – spytał elf.

– Dziewiąty król na łożu smutku leży – gnom rzekł dramatycznie. – Dziesiąty król ze słońcem poranka bieży!

Le'lorinel skrzyżował ręce i przybrał zirytowaną postawę.

– To musiało zostać powiedziane – wyjaśnił gnom.

– Dobrze, że to zrobiłeś – odparł elf. – Skoro musiało.

– Musiało – powiedział E'kressa, który zawsze chciał mieć ostatnie słowo.

– Bruenor Battlehammer? – zapytał elf.

Gnom spędził długą chwilę, wpatrując się w scenę w kryształowej kuli, mamrocząc do siebie, a pewnym momencie nawet przykładając ucho do gładkiej powierzchni, aby lepiej usłyszeć wydarzenia mające miejsce w odległym krasnoludzkim królestwie.

– Nie ma go tam – E’kressa powiedział niedługo później z pewnym przekonaniem. – To dobrze dla ciebie, bowiem gdyby wrócił, z mrocznym elfem przy boku, zamierzałbyś przeniknąć do krasnoludzkiej fortecy.

– Zrobię, co będę musiał – dobiegła cicha i pewna odpowiedź. E’kressa zaczął chichotać, lecz urwał nagle, gdy ujrzał ponury wyraz twarzy Le’lorinela.

– A więc lepiej dla ciebie – rzekł gnom, odpędzając obraz z kuli i rzucając kolejny czar wieszczenia. Zamknął oczy, nie kłopotując się kulą, i dalej śpiewał – wołając do istoty spoza świata o jakiś znak, o jakąś poradę.

Zagadkowy obraz wkroczył do jego myśli, paląc niczym rozżarzony metal. Widać było wyraźnie dwa symbole, obrazy które znał, choć nigdy nie widział ich tak splecionych.

– Dumathoin i Clangeddin – wymamrotał. – Dumathoin i Moradin.

– Trzej krasnoludzcy bogowie? – spytał Le’lorinel, lecz E’kressa, stojący bardzo nieruchomo, wydawał się nie słyszeć.

– Ale dlaczego? – gnom zapytał cicho.

Zanim Le’lorinel zdołał spytać, o czym wieszcz mówił, szare oczy E’kressy otworzyły się szeroko.

– Żeby znaleźć Drizzta, rzeczywiście musisz znaleźć Bruenora – gnom oznajmił.

– Więc do Mithrilowej Hali – uznał Le’lorinel.

– Nie całkiem! – wrzasnął gnom. – Bowiem w oczach krasnoluda jest ważniejsze miejsce, miejsce ojca, nie króla.

– Zagadki?

E’kressa potrząsnął gwałtownie głową.

– Znajdź najbardziej ceniony przez krasnoluda wytwór jego rąk – wyjaśnił gnom – aby znaleźć najbardziej ceniony przez krasnoluda wytwór ciała. Cóż, jeden z dwóch, ale lepiej brzmiało w ten sposób – przyznał gnom.

Mina Le'lorinela nie mogłaby być bardziej zdezorientowana.

– Bruenor Battlehammer wykonał kiedyś coś, potęgą i magią wykraczającego poza jego umiejętności rzemieślnika – wytłumaczył E'kressa. – Stworzył to dla kogoś, kogo wielce cenił. Ten twór z metalu sprowadzi krasnoluda pewniej niż próżnia na kamiennym tronie Mithrilowej Hali. Co więcej, przybiegnie tam też mroczny elf.

– Co to jest? – spytał z wyraźną ekscytacją Le'lorinel. – Gdzie to jest?

E'kressa podskoczył do swego małego biurka i wyciągnął kawałek pergaminu. Gdy Le'lorinel pospieszył do niego, rzucił kolejny czar, który przeniósł obraz wypalony przez poprzednie zaklęcie w jego myślach na pergamin. Podniósł do góry swe rękodzieło, doskonałe odzwierciedlenie splecionych symboli krasnoludzkich bogów.

– Znajdź ten znak, Le'lorinelu, a znajdziesz koniec swej długiej drogi – wyjaśnił.

E'kressa znów zaczął czarować, tym razem wywołując linie po przeciwnej stronie arkusza.

– Albo ten – wyjaśnił, pokazując Le'lorinelowi nowy obraz, bardzo przypominający stary.

Elf wziął delikatnie pergamin, wpatrując się w niego powiększonymi oczyma.

– Jeden jest znakiem Clangeddina, przykrytym symbolem Dumathoina, Strażnika Sekretów pod Górą. Drugi jest znakiem Moradina, podobnie ukrytym.

Le'lorinel skinął głową, obracając arkusz delikatnie i z czcią, niczym mędrzec studiujący zapiski jakiejś dawno zaginionej cywilizacji.

– Daleko na zachód, jak sądzę – gnom wytłumaczył, zanim Le'lorinel zdołał zadać pytanie. – Waterdeep? Luskan? Gdzieś pomiędzy? Nie mogę mieć pewności.

– Ale uważasz, że to w tym regionie? – zapytał elf. – Czy powiedziało ci to twoje wieszczenie, czy też logiczne przeczucie, zważywszy że Dolina Lodowego Wichru jest bezpośrednio na północ od tych miejsc?

E'kressa zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami, po czym jedynie wzruszył ramionami.

– Czy to ma znaczenie? Le'lorinel popatrzył na niego bacznie.

– Masz lepszą drogę, którą mógłbyś pójść? – spytał gnom.

– Dobrze ci zapłaciłem – przypomniał elf.

– I w twoich dłoniach leży owa zapłata, powiększona dziesięciokrotnie – zapewnił gnom, wyraźnie

zadowolony ze swego dzisiejszego występu.

Le'lorinel popatrzył na pergamin, na kontury splecionych symboli wypalone nieusuwalnie na brunatnym papierze.

– Nie znam bezpośredniej więzi – przyznał gnom. – Nie wiem, w jaki sposób ten symbol, czy też przedmiot, na którym widnieje, doprowadzi cię do obiektu twej obsesji. Tam jednak leży koniec twej drogi, tak pokazały mi moje czary. Nic więcej nie wiem.

– A czy koniec tej drogi okaże się owocny dla Le'lorinela? – spytał elf, pomimo tego, że wcześniej nie brał pod uwagę takich prorocत्व.

– Tego nie ujrzałem – odparł gładko gnom. – Mam oszacować?

Le'lorinel, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, jak bardzo zdradził swe emocje, zadając to pytanie, przybrał obronną pozę.

– Oszczędź sobie – powiedział.

– Mógłbym wierszem – gnom zaproponował z pełnym wyższości uśmiechem.

Le'lorinel zastanawiał się, czy nie wspomnieć, że mógłby odpowiedzieć wierszem, wręcz pieśnią, zaśpiewaną ochoczo, gdy delikatny elfi sztylet usunie język z ust rozbawionego gнома.

Elf nic jednak nie powiedział i myśli rozwiały się, gdy przysłonił je widniejący na pergaminie obraz.

Oto był, w dłoniach Le'lorinela, cel życiowej misji.

Zważywszy na to, elf nie był zdolny do gniewu.

Zważywszy na to, elf musiał się zastanowić nad zbyt wieloma pytaniami, musiał dokonać zbyt wielu przygotowań, musiał przełamać zbyt wiele obaw i nacieszyć się zbyt wieloma wizjami ukazania, kim naprawdę był Drizzt Do'Urden, udawany bohater, naśladowca.

* * *

Chogurugga leżała na pięciu ogromnych poduszkach, wsuwając wielkie kawały baraniny do usianej kłami paszczy. Licząc sobie niewiele ponad dwa i pół metra, ogrzyca nie była szczególnie wysoka, lecz przy nogach o obwodzie pradawnych dębów i okrągłej talii, jej pękata sylwetka ważyła ponad trzysta pięćdziesiąt kilo.

Wielu mężczyzn pomocników krzątało się po centralnej jaskini, największej w Złotej Zatoczce, zapewniając jej pokarm i rozrywkę. Zawsze zajmowali się Chogurugga z powodu jej niezwykłego i egzotycznego wyglądu. Jej skóra była jasnofioletowa, nie żółta jak zazwyczaj w jej klanie i doskonale pasowała do długich i tłustych niebieskawoczarnych włosów. Barwa jej oczu leżała gdzieś pomiędzy odcieniem skóry a włosów, wydawała się ciemnopurpurowa lub przyćmiona niebieska, zależnie od otaczającego ją oświetlenia.

Chogurugga naprawdę przyzwyczała się, że nadskakiwało jej dwudziestu mężczyzn z klanu Rąbnięcie, lecz od nowego sojuszu z ludzkimi piratami, sojuszu, który wyniósł kobiety z klanu do jeszcze wyższych pozycji, mężczyźni praktycznie potykali się o siebie pędząc, by podać jej jadło oraz kosztowności.

Poza oczywiście Bloogiem, stanowczym nadzorcą Złotej Zatoczki, największym, najniegodziwszym i najbrzydszym ogrem, jaki przemierzał kiedykolwiek te regiony Grzbietu Świata. Wielu szeptało, że Bloog nie jest nawet prawdziwym ogrem, że ma w sobie odrobinę krwi gigantów górskich, a jako że sięgał ponad czterech metrów wzrostu i jego ręce były rozmiarów nóg Choguruggi, ciężko było nie brać owej plotki pod uwagę.

Dzięki pomocy Sheili Kree Chogurugga stała się mózgiem ogrzej części Złotej Zatoczki, lecz Bloog był jej mięśniem oraz, jeśli tylko zapragnął, prawdziwym szefem. I stał się jeszcze niegodziwszy, odkąd Sheila Kree wkroczyła w ich życie oraz przekazała mu dar o ogromnej mocy, wspaniały młot bojowy, który pozwalał Bloogowi poszerzać jaskinie jednym silnym ciosem.

– Wy znów wrócić? – powiedziała ogrzyca, gdy Sheila i Bellany wkroczyły do groty. – I jakie dobra przynieść tym razem dla Choguruggi?

– Połamany okręt – piracka przywódczyni odparła z sarkazmem. – Myślisz, że mogłabyś go zjeść?

Chichot Blooga z boku pomieszczenia zabrzmiał niczym odległy grzmot.

Chogurugga rzuciła spojrzenie w jego stronę.

– Moja ma tera Bathunka – przypomniała kobieta. – Moja nie potrzebować Blooga.

Bloog zmarszczył brwi, co sprawiło, że wystawały daleko przed głęboko osadzone oczy. Grymas ten mógłby wydawać się komiczny, gdyby nie widniał u bestii będącej toną mięśni. Bathunk, nienawistny syn Choguruggi i Blooga, stał się ostatnio ważną kwestią pomiędzy nimi. Zazwyczaj w ogrzych społecznościach, gdy syn wodza stawał się równie silny i niegodziwy jak jego ojciec, starszy osiłek bił młodszego raz za razem, aby zabezpieczyć swoje miejsce w plemienu. Jeśli to nie działało, syn był zabijany lub przynajmniej wypędzany. To nie była jednak zwyczajna grupa ogrów. Klan Rąbnięcie był matriarchatem, a nie bardziej powszechnym patriarchatem i Chogurugga nie zamierzała tolerować takiego zachowania ze strony Blooga – przynajmniej nie w stosunku do Bathunka.

– Ledwo co wpłynęliśmy na otwarte wody, gdy na horyzoncie pojawił się znajomy widok – wyjaśniła wyraźnie zde gustowana Bellany, która nie miała zamiaru być świadkiem kolejnej z legendarnych walk Choguruggi i Blooga o Bathunka.

– Chogurugga zgaduje trzy żagle? – spytała ogrzyca, chwytając przynętę mającą na celu zmianę tematu i podnosząc cztery palce.

Sheila Kree rzuciła w stronę Bellany spojrzenie pełne dezaprobaty – nie chciała, by szacunek ogrów wobec niej w jakikolwiek sposób się zmniejszył – po czym skierowała tę samą minę do Choguruggi.

– On jest uparty – przyznała. – Pewnego dnia podąży pewnie za nami do Złotej Zatoczki.

Bloog znów zachichotał, podobnie jak Chogurugga. Oboje rozkoszowali się myślami o świeżym ludzkim mięsie.

Sheila Kree, choć zdecydowanie nie była w podobnym nastroju, dołączyła się, lecz niedługo potem gestem wskazała Bellany, by za nią podążyła, po czym skierowała się do wyjścia po przeciwległej stronie komnaty, do tuneli prowadzących do ich kwater w wyższej części góry.

Pokój Sheili nawet trochę nie dorównywał wielkością komnacie ogrzych przywódców, lecz jego umeblowanie było niemal hedonistyczne, ozdobne lampy rzucały miękkie światło na każdą szczelinę nierównych ścian, a doskonałe dywany piętrzyły się tak wysoko, że kobiety praktycznie podskakiwały.

– Nuży mnie ten Deudermont – Sheila powiedziała do zaklinaczki.

– Zapewne właśnie o to mu chodzi – odparła Bellany. – Być może znużymy się na tyle, by przestać uciekać, znużymy się na tyle, by zetrzeć się z Duszkim Morskim na otwartych wodach.

Sheila popatrzyła na swą najbardziej zaufaną towarzyszkę, skierowała do niej wyrażający zgodę uśmiech i przytaknęła. Cierpka piratka wiedziała, że Bellany była w wielu aspektach jej lepszą połową. Zawsze myślała, zawsze brała pod uwagę konsekwencje. Roztropna i błyskotliwa zaklinaczka była najlepszym uzupełnieniem, jakie załoga Krwawego Kila miała od dziesięcioleci. Sheila ufała jej bezgranicznie – to Bellany jako pierwsza przyjęła znamię, gdy Sheila zdecydowała się wykorzystać w ten sposób zawity rysunek na boku mithrilowej głowicy Aegis-fanga. Sheila kochała wręcz Bellany niczym własną siostrę, i pomimo jej rozbuchanej dumy oraz faktu, że zawsze była zbyt litościwa i dobrotliwa wobec jeńców, jak na paskudny gust Sheili, wiedziała, że nie należy pomniejszać niczego, co Bellany mogła powiedzieć.

Trzykrotnie w przeciągu ostatnich kilku miesięcy okręt Deudermonta ścigał Krwawy Kil na pełnym morzu, choć Sheila nie była zbyt pewna, czy Duszek Morski widział ich za pierwszym razem, i wątpiła, czy przy pozostałych dwóch zostali definitywnie zidentyfikowani. Być może jednak Bellany miała rację. Być może to był sposób Deudermonta na łapanie wymykających się piratów.

Ścigał ich, dopóki nie zmęczyli się uciekaniem, a gdy w końcu ruszyli do walki...

Dreszcz przeszedł Sheili Kree po plecach, gdy pomyślała o wytoczeniu bitwy Duszkowi Morskiemu na otwartych wodach.

– Nie złapiemy się szybko na żadną przynętę – rzekł Sheila, a mina, jaką odpowiedziała jej Bellany, która nie miała zamiaru kiedykolwiek ścierać się z niebezpiecznym i legendarnym Robillardem z Duszka Morskiego, była zdecydowanie pełna ulgi.

– Nie tam – ciągnęła Sheila Kree, przechodząc na skraj komnaty, do jednej z nielicznych szczelin w ciemnych jaskiniach Złotej Zatoczki, naturalnego okna wychodzącego na małą zatokę oraz rozciągające się dalej rafy. – Ale odgania nas od zysków i musimy go zmusić, by za to zapłacił.

– Cóż, być może pewnego dnia będzie na tyle głupi, by zapędzić się za nami do Złotej Zatoczki. Pozwolimy, by klan Choguruggi zasypał jego pokład ciężkimi głazami – odrzekła Bellany.

Jednak Sheila Kree, wpatrująca się w zimne wody, w fale po których powinna teraz pływać wraz z Krwawym Kiletu w pościgu za większymi bogactwami oraz sławą, nie była taka pewna, czy jest zdolna do takiej cierpliwości.

Istniały inne sposoby, by wygrać taką osobistą wojnę.

ZNAMIE

No, to dopiero było spotkanie rady, które podobało się Regisowi z Samotnego Lasu. Niziołek siedział rozparty w swym wyściełanym fotelu, z rękoma założonymi za głowę, z wyrazem zadowolenia na swej anielskiej twarzy, gdy jeńcy pojmani na drodze na południe od Bremen byli przeprowadzani przed radcami. Brakowało dwójki, jeden leczył się (być może) z rany otrzymanej świeżo w pierś, zaś kobieta, uważana przez przyjaciół za przywódczynię zbójczej bandy, była trzymana w osobnym pomieszczeniu i miała być przyprowadzona oddzielnie.

– To musi być wspaniale posiadać tak potężnych przyjaciół – radca Tamaroot z Easthaven, nigdy nie przepadający za reprezentantem Samotnego Lasu, powiedział cynicznie i cicho do ucha Regisa.

– Tych dwóch – niziołek odpowiedział głośniej, tak że z pewnością usłyszeli go pozostali trzej radcy po tej stronie sali. Niziołek urwał na wystarczająco długo, by upewnić się, że skierowana jest na niego uwaga całej czwórki, a także starosty Cassiusa, po czym wskazał na dwóch zbirów z którymi walczył, czy też zmusił, by walczyli ze sobą. – Pojmałem ich obu, bez pomocy – dokończył.

Tamaroot zjeżył się i oparł z powrotem w swym fotelu.

Regis wygładził brązowe loki i znów oparł ręce za głowę. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Po prezentacji i przy braku sprzeciwu ze strony pozostałych, Cassius przekazał oczekiwany wyrok.

– Jako że nie zabiliście nikogo na drodze, przynajmniej nikogo, o kim byśmy wiedzieli, nie zostaniecie pozbawieni własnego życia – rzekł.

– Chyba że rana, którą topór Bruenora wyrzezał w tym brakującym, pożegna go z życiem – wtrącił radca z Caer-Konig, najmłodszy i często najbardziej nieokrzesany z grupy. Pomimo kiegońskiego stylu tej uwagi, po ozdobnej sali rozniosły się stłumione chichoty.

Cassius odchrząknął, nawołując do pewnej powagi.

– Lecz wasze zbrodnie nie zostają oddalone – ciągnął starszy. – Tak więc zostajecie przydzieleni, na okres dziesięciu lat, na łódź wybraną przez radcę Kempa, aby służyć na wodach Maer Dualdon. Wszystkie wasze łupy zostaną skonfiskowane na rzecz wspólnego budżetu Dekapolis, poza oczywiście wydatkami Kempa na łódź oraz strażników, i pozostanie tylko tyle, by zapewnić wam najskromniejsze utrzymanie. Taki jest wyrok tej rady. Czy go akceptujecie?

– A jaki mamy wybór? – powiedział jeden ze zbójów, olbrzym pokonany przez Catti-brie.

– Większy niż zasługujecie – wtrącił się Kemp, zanim Cassius zdążył odpowiedzieć. – Gdybyście zostali schwytani przez władze Luskan, zaprowadzono by was na Więzienny Karnawał i torturowano na śmierć w obliczu wrzeszczącego motłochu rozradowanych gapiów. Możemy zorganizować coś podobnego, jeśli wolicie.

Skończywszy, popatrzył na Cassiusa. Starosta rady pokiwał ponuro głową, chwając imponującą przemowę radcy z Targos.

– A więc, jak będzie? – Cassius spytał grupę.

Odpowiedź była raczej łatwa do przewidzenia i zrządzająca grupa mężczyzn została wyprowadzona z sali oraz z Brynn Shander, do Targos, gdzie czekał ich więzienny statek.

Zaraz gdy zniknęli, Cassius wezwał radę do wiwatów, do oddania czci Regisowi oraz pozostałym za dobrze wykonaną pracę. Niziołek pławił się w tym.

– Obawiam się, że znów możemy potrzebować grupy Towarzyszy z Hali, i to dość szybko – Cassius wyjaśnił chwilę później i wykonał gest w kierunku wartowników przy drzwiach. Jeden z nich wyszedł i wrócił z Jule Pepper, która wydawała się naprawdę dostojną postacią, pomimo pojmania i uwięzienia.

Regis popatrzył na nią ze sporą dozą szacunku. Czarne włosy wysokiej kobiety lśniły, lecznic bardziej niż jej inteligentne oczy. Stała prosto, nie zgarbiona, jakby cały ten epizod był jedynie niedogodnością, jakby wszystkie te żalosne stworzenia, które ją schwytały, nie mogły zrobić jej nic naprawdę trwałego czy szkodliwego.

Praktyczna tunika i legginsy, które nosiła na drodze zniknęły, zastąpione prostą szarą sukienką, pozbawioną rękawów oraz za małą dla kobiety o budowie Jule. Sukienka była naprawdę prosta, niemal bezkształtna, a jednak znajdująca się pod nią kobieta w jakiś sposób zdołała nadać jej dość powabną formę, zsuwając ją akurat na tyle, by zarysować kształtne i dość duże piersi. I była nawet rozcięta z boku – Regis podejrzewał, że to Jule to zrobiła, na dodatek celowo – i przez tę szczelinę widać było smukłą oraz zgrabną nogę.

– Jule Pepper – Cassius powiedział z zaciekawieniem oraz nutą sarkazmu. – Z Pepperów z...?

– Czy jestem uwięziona z powodu nazwiska, jakie mam po rodzicach? – Kobieta odpowiedziała silnym i dźwięcznym głosem, o mocnym wschodnim akcencie, który wydawał się skracać każde słowo w rzeczowy, podkreślony dźwięk. – Czy nie wolno mi wybrać sobie nazwiska, jakie będę nosić?

– Taki jest zwyczaj – Cassius rzekł cierpko.

– Zwyczaj niewyróżniających się ludzi – pewnie odparła Jule. – Klejnot błyskiem mami, pieprz [pieprz = (ang) pepper] smak ci poprawi. – Zakończyła druzgocącym uśmiechem, po którym paru radców – dziesięciu mężczyzn, w tym starosta, i tylko jedna kobieta – poruszyło się niespokojnie w swych fotelach.

Regis był nie mniej zdenerwowany, lecz próbował nie zwracać uwagi na wyraźny fizyczny powab imponującej kobiety, bardziej interesując się jej manipulacyjnym sprytem. Niziołek wiedział, że należało na nią uważać, a jednak nie mógł zaprzeczyć, że całkiem mocno był zainteresowany pełniejszym zbadaniem tej interesującej istoty.

– Czy mogę spytać, dlaczego jestem tu trzymana wbrew memu wyborowi oraz wolnej woli? – kobieta odezwała się chwilę później, po tym jak grupa się uspokoiła. Jeden z obecnych bawił się kołnierzem, jakby chciał wypuścić trochę ciepła ze swego gorejącego ciała.

Cassius parsknął i pomachał lekceważącą dłonią w jej stronę.

– Za zbrodnie wobec Dekapolis, oczywiście – odparł.

– Wymień je więc – zażądała Jule. – Nic nie zrobiłam.

– Twoja banda... – zaczął odpowiadać Cassius.

– Nie mam żadnej bandy – przerwała Jule, mrużąc błyszczące oczy. – Podróżowałam do Dekapolis, gdy moja droga skrzyżowała się z drogą tych zbójów. Nie wiedziałam, kim byli ani dlaczego znajdowali się akurat tam, jednak ich ogień był ciepły, a jedło znośne, zaś każde towarzystwo wydawało się lepsze niż nieustanny pomruk tego wichru.

– To śmieszne! – oznajmił jeden z radców. – Gdy dwóch przerażonych zbójów wróciło do ciebie, rozmawiałaś z nimi jakbyś o wszystkim wiedziała, zgodnie ze słowami samego Drizzta Do'Urdena, a nabrałem zaufania do tego mrocznego elfa!

– W istocie – zgodził się inny z doradców.

– Powiedz mi więc proszę, co dokładnie powiedziałam – odrzekła kobieta, a jej uśmiech wskazywał, że nie obawiała się żadnych ich odpowiedzi. – Rozmawiałam z tymi głupcami, wiedząc o Drizzcie, Catti-brie i Bruenorze. Z pewnością jestem obeznana z tym tematem równie dobrze, jak każda inna rozsądna osoba zapuszczająca się do Doliny Lodowego Wichru. Czy nie mówiłam, że ci głupcy zrobili coś bezmyślnego i wpadli w pułapkę drowa oraz jego towarzyszy? Nie było tam nadmiernego intelektu, rzekłabym.

Radcy zaczęli mamrotać między sobą, a Regis popatrzył stanowczo na Jule, uśmiechem okazując szacunek wobec jej przebiegłości. Mógł już powiedzieć, że przy swej druzgocącej postawie oraz urodzie, połączonych z wielką dozą sprytu oraz uważnych przygotowań na drodze, zapewne bez szwanku wywinie się z tych więzów.

Wiedział także, że cokolwiek by nie powiedziała, to właśnie ona, Jule Pepper, była przywódczynią bandy rozbójników.

– Przedyskutujemy tę kwestię – Cassius powiedział niedługo potem. Prywatne rozmowy radców przeszły w ożywioną debatę, zaczęły się rysować wyraźne podziały.

Jule uśmiechnęła się porozumiewawczo do Cassiusa.

– A więc mogę odejść?

– Jesteś proszona o powrót do komnaty, jaką ci zapewniłszy – odparł starszy i więcej rozumiejący starosta, po czym dał znać strażnikom.

Podeszli od obu stron do Jule, która rzuciła Cassiusowi jeszcze jedno, pełne idealnej wyższości spojrzenie i odwróciła się do wyjścia, poruszając barkami w sposób absolutnie doskonały, by znów wywołać pocenie się u będących mężczyznami radców.

Regis uśmiechał się, wyraźnie będąc pod wrażeniem, lecz jego uśmiech przeszedł chwilę później w otwarte ze zdumienia usta, gdy Jule zakończyła obrót, zauważył bowiem na jej prawej łopatce zagadkowy znak, symbol, który zdecydowanie rozpoznawał.

– Zaczekać! – krzyknął niziołek, po czym zeskoczył ze swego fotela i pochylił się nisko, by przejść pod stołem, zamiast tracić czas na obchodzenie go.

Strażnicy i Jule stanęli, obracając się, by sprawdzić, co wywołało nagłe zamieszanie.

– Odwróć się – polecił niziołek. – Odwróć się! – mówiąc to machnął do Jule ręką, a kobieta jedynie popatrzyła na niego z niedowierzaniem, jej spojrzenie przeszło z zaciekawionego w druzgocące.

– Cassiusie, odwróć ją! – poprosił niziołek.

Cassius spojrział na niego z nie mniejszym niedowierzaniem niż Jule.

Regis nie czekał na niego. Podbiegł do Jule, chwycił ją za prawą rękę i zaczął obracać. Opierała się przez chwilę, lecz niziołek, silniejszy niż na to wyglądał, szarpnął mocno, okręcając ją wystarczająco, by pokazać znamię.

– Tam! – powiedział Regis, celując oskarżycielsko palcem.

Jule wyrwała mu się, lecz już się stało, wszyscy radcy wychylili się, a Cassius podszedł, wskazując Jule, by się obróciła, albo też, by strażnicy ją obrócili, jeśli nie posłucha.

Potrząsnąwszy z niesmakiem głową, kruczowłosa kobieta w końcu się odwróciła.

Regis wdrapał się na stojące obok krzesło, by lepiej przyjrzeć się znamieniu, lecz już wcześniej był pewien, że jego bystre oczy nie zwiodły go, że znamię na karku kobiety było rysunkiem unikalnym dla Bruenora Battlehammera, a co więcej, zostało użyte przez Bruenora tylko raz, na boku Aegis-fanga. Co ważniejsze, znak był dokładnie tych samych rozmiarów, co symbol na młocie bojowym, tak jakby do skóry kobiety przyłożono rozżarzonego Aegis-fanga.

Regis niemal zemdłał.

– Skąd to masz? – spytał.

– Znamię łotrów – stwierdził Cassius. – Dość powszechne, rzekłbym, nie wskazuje na żadną gildię.

– Nie powszechne – odrzekł Regis, potrząsając głową. – Nie ten znak.

– Znasz go? – zaciekał się starszy.

– Moi przyjaciele z nią porozmawiają – odpowiedział Regis.

– Natychmiast.

– Gdy z nią skończymy – nalegał radca Tamaroot.

– Natychmiast – spierał się Regis, obracając się w jego stronę.

– W innym przypadku, dobry Tamaroocie, czy będziesz potrafił wytłumaczyć się z opóźnienia przed królem Bruenorem, gdy życie jego przybranego syna może wisieć na włosku?

Wywołało to chór szeptów w całej sali.

Jule Pepper jedynie zmierzyła wzrokiem Regisa, który odniósł niejasne wrażenie, że nie miała pojęcia, o czym mówił, że nie znała znaczenia tego znaku.

Niziołek wiedział, że lepiej dla niej będzie, jeśli to okaże się prawdą.

* * *

Kilka nocy później Drizzt znalazł Bruenora na szczycie cichego i ciemnego miejsca zwanego Podejściem Bruenora, w małej skalistej dolince na północny wschód od Brynn Shander, pomiędzy Maer Dualdon a jeziorem Dinneshere, gdzie znajdowały się krasnoludzkie kopalnie. Niezależnie gdzie by nie przebywał, Bruenor zawsze miał takie prywatne miejsca jak to i zawsze nazywał je Podejściem Bruenora, zarówno by ostrzec intruzów, jak i z osobistej pychy.

Było to miejsce refleksji krasnoluda, jego ciche miejsce, w którym mógł zastanawiać się nad rzeczami wychodzącymi poza codzienne próby oraz troski jego życiowej pozycji. Było to jedyne miejsce, w którym w ciemne noce praktyczny i przyziemny Bruenor mógł lekko poluzować swe okowy, mógł pozwolić, by jego dusza wspięła się wyżej niż pozwalała wyobraźnia krasnoluda. To tutaj Bruenor przychodził rozmyślać nad znaczeniem wszystkiego i końcem wszystkiego.

Drizzt znalazł Bruenora na jego osobistym podejściu w Mithrilowej Hali, gdy yochlol zabrał Wulfgara i teraz wyglądał podobnie jak wtedy. Wszystko wskazywało, że jego przybrany syn nie żył.

Cicho niczym chmury płynące pod gwiazdami, drow podszedł za krasnoluda i stał cierpliwie.

– Myślałbyś, że stracenie go drugi raz będzie łatwiejsze – Bruenor stwierdził w końcu. – Zwłaszcza, że zanim nas opuścił, był niczym ork.

– Nie wiesz, czy go straciłeś – przypomniał drow.

– Na całym świecie nie ma takiego znaku – uznał Bruenor. – A złodziejka mówi, że ma go od głowicy młota.

Istotnie, Jule dobrowolnie podała tę informację imponującym przyjaciołom, gdy rozmawiali z nią zaraz po konfrontacji w sali rady. Przyznała, że piętno było celowe, było znamieniem nadanym przez kapitan okrętu. Poddana naciskowi, Jule przyznała, że ta kobieta, Sheila Kree, była piratką i że to szczególne piętno było zarezerwowane dla najbardziej zaufanych osób w jej małej bandzie.

Drizzt poczuł wielkie współczucie dla przyjaciela. Zamierzał wspomnieć o fakcie, że Jule stwierdziła, iż jedynymi fizycznie wielkimi członkami bandy piratów był klan ogrów, używany przez Sheilę Kree do rozrób i manipulacji. Wulfgar najwyraźniej nie przystał do tych psów. Drow wstrzymał jednak te uwagi, ponieważ drugi wniosek, wyraźny, że Wulfgar nie był sprzymierzony z piratami, był jeszcze bardziej złowieszczy.

– Myślisz, że ta suka Kree zabiła mego chłopca? – spytał Bruenor, jego myśli najwyraźniej podążały zgodnie z tym samym sposobem rozumowania. – Czy też sądzisz, że to ktoś inny, ktoś kto sprzedał jej ten młot?

– Nie sądzę, by Wulfgar w ogóle był martwy – Drizzt stwierdził bez wahania.

Bruenor skierował na niego zaciekawione spojrzenie.

– Wulfgar mógł sprzedać młot – stwierdził Drizzt, a wzrok Bruenora stał się jeszcze bardziej sceptyczny. – Odrzucił swą przeszłość, gdy od nas uciekł – przypomniał drow. – Może pozbycie się młota było kolejnym krokiem na drodze, jaką widział przed sobą.

– Taa, albo może po prostu trza mu było monet – Bruenor powiedział z takim sarkazmem, że Drizzt pozwolił, by jego argumenty rozplynęły się.

Tak naprawdę drow nawet samego siebie nie przekonał. Znał więc Wulfgara z Aegis-fangiem i wiedział, że barbarzyńca szybciej rozstałby się z własną ręką niż z młotem.

– Więc kradzież – Drizzt rzekł po chwili. – Jeśli Wulfgar poszedł do Luskan lub do Waterdeep, jak sądzimy, mógł znaleźć się w towarzystwie złodziei.

– W towarzystwie morderców – stwierdził Bruenor, po czym podniósł wzrok na gwiazdziste niebo.

– Nie możemy być pewni – Drizzt powiedział do niego cicho.

Krasnolud jedynie wzruszył ramionami, a gdy po tym ruchu jego barki opadły z powrotem, wydawały się wisieć niżej niż kiedykolwiek.

Następnego poranka ciemne chmury przytoczyły się na wiatrach z południa znad Grzbietu Świata, grożąc zalaniem okolicy strumieniami deszczu, który zamieni ziemię po odwilży w trzęsawisko. Mimo to Drizzt i Catti-brie wyruszyli z Dekapolis, spiesząc do Luskan. Pędzili po odpowiedzi, jakie cała czwórka przyjaciół desperacko pragnęła usłyszeć.

SZCZEROŚĆ MIŁOŚCI

Wulfgar jako pierwszy opuścił Duszka Morskiego, gdy łowca piratów powrócił do swej przystani na długim nabrzeżu Waterdeep. Barbarzyńca zeskoczył na pomost, zanim jeszcze okręt został odpowiednio przycumowany, a jego krok, gdy podążał na brzeg, był długi i pełen determinacji.

– Zabierzesz go z powrotem? – Robillard spytał Deudermonta. Stali obaj na śródokręciu, obserwując odchodzącego Wulfgara.

– Twój ton wskazuje, że wolałbyś, aby nie – odpowiedział kapitan, po czym obrócił się w stronę swego zaufanego przyjaciela.

Robillard wzruszył ramionami.

– Ponieważ wtrącił się w twój plan ataku? – zapytał Deudermont.

– Ponieważ naraził załogę na niebezpieczeństwo swymi pochopnymi działaniami – odrzekł czarodziej, lecz w jego głosie nie było jadu, jedynie praktyczność. – Wiem, że czujesz się wobec niego dłużny, kapitanie, choć nie jestem w stanie pojąć z jakiego powodu. Jednak Wulfgar nie jest Drizztem ani Catti-brie. Ci dwoje byli zdyscyplinowani i wiedzieli, jaką rolę odgrywać w naszej załodze. Ten tutaj jest bardziej jak... bardziej jak Harkle Harpell, mógłbym powiedzieć! Znajduje drogę i pędzi nią nie zważając na konsekwencje dla tych, których pozostawia za sobą. Tak, podczas tej wyprawy mieliśmy dwa udane spotkania, zatopiliśmy pirata, a drugiego przyprowadziliśmy...

– Oraz schwytaliśmy dwie załogi niemal bez szwanku – dodał Deudermont.

– A jednak – spierał się czarodziej – w obydwu tych walkach kroczyliśmy po krawędzi katastrofy. – Wiedział, że naprawdę nie musiał przekonywać Deudermonta, wiedział że kapitan rozumiał równie dobrze jak on, iż działania Wulfgara nie mogły stanowić przykładu.

– Zawsze kroczymy po tej krawędzi – powiedział Deudermont.

– Tym razem za blisko przepaści – nalegał czarodziej. – A była ona bardzo głęboka.

– Nie chcesz, bym zapraszał Wulfgara z powrotem. Czarodziej znów wzruszył niezobowiązująco ramionami.

– Chciałbym ujrzeć Wulfgara, który wystawił na próbę Duszka Morskiego wtedy przed laty na

Wyspach Pirackich – wyjaśnił Robillard. – Chciałbym walczyć u boku Wulfgara, który był tak cennym członkiem Towarzyszy z Hali, czy jakkolwiek nazywana była ta grupa Drizzta Do'Urdena. Wulfgara, który walczył o odzyskanie Mithrilowej Hali i który oddał swe życie, jak się wydawało, aby ocalić swych przyjaciół, gdy mroczne elfy zaatakowały krasnoludzkie królestwo. Słyszałem wszystkie te opowieści o wspaniałym barbarzyńskim wojowniku, a jednak Wulfgar, jakiego poznałem jest mężczyzną o konszachtach z takimi złodziejami jak Morik Łotr, jest Wulfgarem, któremu postawiono zarzut zamordowania cię.

– Nie brał w tym udziału – nalegał Deudermont, lecz skrzywił się, bowiem wspomnienie trucizny oraz Więziennego Karnawału było bolesne.

Deudermont wiele stracił ratując tamtego dnia Wulfgara przed niegodziwym sędzią z Luskan. Poprzez powiązania, poprzez jego szczodrość wobec tych, którzy według sędziów zdecydowanie na nią nie zasługiwali, Deudermont rzucił cień na reputację Duszka Morskiego wśród przywódców tego ważnego północnego portu. Bowiem Deudermont pozbawił ich przedstawienia, dokonał tak nieoczekiwanego ulaskawienia, a wszystko to bez żadnego poważnego dowodu, że Wulfgar nie był zamieszany w spisek przeciwko jego życiu.

– Być może nie – przyznał Robillard. – I zachowanie Wulfgara podczas tej podróży, niezależnie od jego mankamentów, usprawiedliwiało twoją decyzję, by dać mu ulaskawienie, przyznając. Jednakże jego rozważa na otwartych wodach nie usprawiedliwiała twojej decyzji, by zabrać go na pokład Duszka Morskiego.

Kapitan Deudermont pozwolił, by szczere i słuszne słowa czarodzieja zawisły na długą chwilę. Robillard mógł być skłonny do osądów zrzędą, absolutnym sknerą i bezlitosnym wobec tych, o których sądził, że sami sprowadzili na siebie zgubę. W tym jednak przypadku w jego słowach rozbrzmiewała szczerą prawdą, prosta i niezaprzeczalna obserwacja. Prawda ta ugodziła Deudermonta. Gdy spotkał Wulfgara w Luskan, wykidając w meliniarskiej tawernie, dostrzegł upadek tego wielkiego mężczyzny i próbował odciągnąć Wulfgara od tamtego życia. Wulfgar odmówił mu natychmiast, nie chciał nawet przyznać się kapitanowi do swej prawdziwej tożsamości. Później nastąpiła próba morderstwa, wskazująca na Wulfgara, gdy Deudermont leżał nieprzytomny i bliski śmierci.

Kapitan wciąż nie był pewien, dlaczego odmówił sędziemu morderczej zabawy na Więziennym Karnawale, dlaczego postąpił zgodnie ze swym instynktem, zamiast z powszechnym przekonaniem oraz sporą dozą poszlak. Nawet po tym pokazie litości i zaufania, Wulfgar nie okazał wiele wdzięczności czy przyjaźni.

Deudermont czuł ból, gdy tego dnia rozstawali się pod bramą Luskan, gdy Wulfgar znów odmówił jego propozycji, by żeglował na pokładzie Duszka Morskiego. Kapitan bardzo go kiedyś lubił i uważał się za dobrego przyjaciela Drizzta oraz Catti-brie, którzy pływali wraz z nim przez te lata, jakie nastąpiły po domniemanej śmierci Wulfgara. Tak, bardzo chciał pomóc Wulfgarowi odzyskać dawną chwałę, tak więc nie posiadał się z radości, gdy Wulfgar przybył do Waterdeep, do tego samego długiego nabrzeża, wraz z kobietą i dzieckiem, oznajmiając, że pragnie żeglować wraz z

Deudermontem, że szuka swego zaginionego młota bojowego.

Deudermont słusznie odczytał, że jest w tym coś więcej, wiedział wtedy, podobnie jak i wiedział teraz, że Wulfgar szukał nie tylko straconej broni, że szukał swego dawnego ja.

Jednak obserwacje Robillarda również były celne. Choć Wulfgar nie stanowił żadnego problemu podczas rutynowych dekadni patrolowania, podczas dwóch stoczonych przez Duszka Morskiego bitew barbarzyńca nie spisał się dobrze. Odważnie? Owszem. Druzgocąco wobec wroga? Owszem. Jednak Wulfgar, dziki i gwałtowny, nie był częścią załogi, nie pozwalał, by bardziej konwencjonalna i mniej ryzykowna taktyka stosowania magii Robillarda, aby wymusić kapitulację z oddali, miała szansę zadziałać. Deudermont nie miał pojęcia, dlaczego Wulfgar wpadł w ten bitewny szal. Doświadczony kapitan rozumiał wewnętrzny bitewny żar, dziką energię, której potrzebował każdy człowiek, aby przezwyciężyć swe wypływające z logiki obawy, lecz napady wściekłości Wulfgara wydawały się wykraczać ponad to, wydawały się treścią barbarzyńskich legend – a legendy te nie zwiastowały korzystnie przyszłości Duszka Morskiego.

– Porozmawiam z nim, zanim wypłyniemy – zaproponował Deudermont.

– Już rozmawiałeś – przypomniał czarodziej. Deudermont popatrzył na niego i wzruszył lekko ramionami.

– Więc zrobię to znów – rzekł. Robillard zmrużył oczy.

– A jeśli to nie poskutkuje, przydzielę Wulfgara do pracy przy rumplu – kapitan wyjaśnił, zanim Robillard rozpoczął swój wyraźnie nadciągający strumień narzekań. – Pod pokładem i z dala od walki.

– Naszej załodze sterniczej niczego nie brakuje – powiedział Robillard.

– I docenią niezrównaną siłę Wulfgara, gdy dojdzie do najciaśniejszych zwrotów.

Robillard parsknął, nie wydając się zbytnio przekonany.

– Prawdopodobnie zmiażdży nami następnego pirata – czarodziej wymamrotał cicho odchodząc.

Pomimo powagi sytuacji, Deudermont nie mógł powstrzymać chichotu obserwując typowe dla Robillarda zrzędlawe odejście.

* * *

Zaskoczenie Wulfgara, gdy wpadł przez drzwi i ujrzał, że Delly na niego czeka, było całkowite i ogromne. Znał ją oczywiście, jej lekko krzywy uśmiech i jasnobrażowe oczy, a jednak ledwo ją

rozpoznawał. Wulfgar znał Delly jako barmankę żyjącą w nadzy oraz jako towarzyszkę podróży na długiej i zakurzonej drodze. Teraz, w pięknym domu kapitana Deudermonta, mając do dyspozycji całą jego służbę oraz zasoby, ledwo wydawała się tą samą osobą.

Wcześniej niemal zawsze związywała swe ciemnobrązowe włosy, głównie z powodu wszy, jakie licznie można było spotkać w Cutlassie, lecz teraz opadały swobodnie na jej ramiona, jedwabiste, lśniące i jakby ciemniejsze. To oczywiście tylko sprawiało, że jej jasnobrązowe oczy – bardzo charakterystyczne, jak uświadomił sobie Wulfgar – jeszcze bardziej jaśniały. Wcześniej Delly nosiła proste i niemal bezkształtne ubrania, zwykłe bluzki i koszule, w których jej szczupłe ręce wydawały się niemal pająkowate. Teraz jednak ubrana była w kształtną niebieską spódnicę i nisko wyciętą białą bluzkę.

Barbarzyńca zastanawiał się przez krótką chwilę – bowiem inne rzeczy zalewały gwałtownie jego myśli! – jak wielką przewagę bogate mieszkanki Faerunu miały nad chłopkami w kwestiach urody. Gdy przybyli tu z Delly, Deudermont urządził przyjęcie dla wielu członków towarzystwa z Waterdeep. Delly czuła się tak bardzo nie na miejscu, podobnie jak Wulfgar, lecz dla kobiety było to znacznie gorsze, bowiem jej mizerne środki służące upiększaniu na każdym kroku zwracały uwagę.

Teraz już nie, uświadomił sobie Wulfgar. Gdyby podczas tego pobytu w porcie, Deudermont wydał kolejne ze swych licznych przyjęć, Delly Curtie lśniłaby najpiękniej ze wszystkich obecnych tam kobiet!

Wulfgar ledwo mógł złapać dech. Zawsze uważał Delly za urodziwą, a nawet ładną, zaś jeszcze bardziej zaczął doceniać to piękno podczas drogi z Luskan, i doceniał bardziej głębię kobiety. Teraz połączenie tego szczerego szacunku oraz miłości z tym fizycznym obrazem okazało się przytłaczające dla barbarzyńcy, który spędził trzy ostatnie miesiące na morzu.

Rzucił się na nią, biorąc ją w potężne, miazdzące objęcia, przerywając jej słowa kolejnymi pocałunkami, unosząc ją z łatwością z podłogi i zatapiając twarz w tych ciemnych włosach, gryząc delikatnie jej delikatną szyję – i teraz wydawała się tylko delikatna, a nie po prostu wychudzona. Jakże malutka Delly wydawała się w jego ramionach, bowiem Wulfgar był od niej niemal o pół metra wyższy, a ważył niema” trzy razy więcej.

Bez żadnego wysiłku Wulfgar uniósł ją wygodniej, obracając ją na bok i wsuwając rękę pod jej kolana.

Roześmiał się, gdy zauważył, że jest boso, i nawet jej stopy wydawały mu się piękniejsze.

– Żartujesz sobie ze mnie? – spytała Delly, a Wulfgar zauważył, że jej chłopski akcent wydawał się słabszy niż zapamiętał.

– Żartuję sobie z ciebie? – zapytał Wulfgar i znów się roześmiał, jeszcze głośniejsze. – Kocham się z tobą! – sprostował i znów ją pocałował, po czym rozpoczął pełen obrotów taniec, wymachując nią, gdy kierował się do drzwi ich prywatnej komnaty.

Niemal przeszli przez próg, gdy Colson zaczęła płakać.

* * *

Znaleźli dla siebie trochę czasu późnym wieczorem, po czym znów kochali się przed świtem. Gdy pierwsze ukośne promienie poranka wpadły przez wschodnie okno, Wulfgar leżał na boku obok swej kochanki, delikatnie gładząc jej szyję, twarz i ramiona.

– Pewnie, że to dobrze mieć cię w domu – powiedziała cicho Delly i podniosła małą dłoń, by przejechać nią po umięśnionym przedramieniu Wulfgara. – Samotnie mi było bez ciebie.

– Być może moje dni z Deudermontem dobiegają końca – odparł Wulfgar.

Delly popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

– Znalazłeś więc swój młot? – spytała. – A jeśli tak, dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wulfgar zaczął potrząsać głową, zanim jeszcze skończyła.

– Żadnych wieści o nim ani o Sheili Kree – odpowiedział. – Z tego, co wiem, piratka poszła na dno morza i zabrała ze sobą Aegis-fanga.

– Ale nie możesz tego wiedzieć.

Wulfgar przetoczył się na plecy i potarł dłońmi twarz.

– Więc jak możesz mówić, że skończyłeś z Deudermontem? – zapytała Delly.

– A dlaczego nie mogę? – spytał Wulfgar. – Z tobą tutaj i z Colson? To już jest moje życie i jest świetne! Czy mam ryzykować to wszystko w pogoni za bronią, której już nie potrzebuję? Nie, jeśli Deudermont i jego załoga usłyszą o Sheili Kree, pokonają ją bez mojej pomocy i głęboko wierzę, że zwrócą mi mój młot bojowy.

Delly uniosła się na łokciach, a prześcieradło spadło z jej nagiego ciała. Potrząsnęła z frustracją głową, by strząsnąć z twarzy plataninę brązowych włosów, po czym zmierzyła Wulfgara spojrzeniem pełnym wielkiej dezaprobaty.

– Jakiego głupca słowa wylewają się z twoich ust? – spytała.

– Wolisz, żebym odszedł? – zapytał Wulfgar i na jego kanciastej twarzy ukazała się odrobina podejrziwości.

Przez tak wiele lat ta twarz miała w sobie chłopięcy urok, niewinność odzwierciedlającą się w błękitnych niczym niebo oczach Wulfgara. Jednak już nie teraz. Przed powrotem do Delly pozbył się całej szczeciny z twarzy, lecz w jakiś sposób oblicze Wulfgara wydawało się teraz nie na miejscu bez blond brody. Linie i zmarszczki, fizyczne manifestacje szczerzego emocjonalnego zamętu, nie były rysami młodego mężczyzny, choć Wulfgar nie miał jeszcze trzydziestki.

– A teraz, jakim głupcem się wydajesz! – złajała go Delly. – Wiesz, że nie chcę, żebyś szedł. Wiesz o tym! I wiesz, że nikt inny nie dzieli mego łóża.

– Ale musisz iść – Delly ciągnęła uroczystym tonem, kładąc się z powrotem. – Dopiero będziesz się zadręczał, jeśli Deudermont i jego załoga wypłyną bez ciebie, po czym niektórzy z nich zginą, próbując odzyskać twój młot? Jak będziesz się czuł, gdy przywiozą twój młot i wieści, a ty przez cały czas będziesz tu siedział bezpieczny, gdy oni będą wykonywać za ciebie całą robotę?

Wulfgar popatrzył uważnie na Delly, przyglądając się jej twarzy i widząc, że odczuwała wielki ból, mówiąc do niego w ten sposób.

– Że też ten głupi Josi Puddles ukradł ten cholerny młot i sprzedał go piratce – kobieta zakończyła.

– Ktoś mógłby zginąć – zgodził się Wulfgar. – Sheila Kree jest podobno zaciekle, a według wszelkich pogłosek otoczyła się doświadczoną załogą. Zgodnie z twoim rozumowaniem nikt z nas, nie Deudermont i nie Wulfgar, nie powinien udawać się na poszukiwania jej oraz Aegis-fanga.

– To wcale nie moje rozumowanie – spierała się Delly. – Deudermont i jego załoga wybrali swą drogę, polowanie na piratów, i to nie twoja sprawa. To ich powołanie i popłynęliby na Sheilę Kree nawet jakby nie zabrała twojego młota.

– A więc wróciliśmy tam, skąd wyszliśmy – Wulfgar stwierdził z chichotem. – Niech Deudermont i jego świetna załoga popłyną znaleźć młot, jeśli...

– Nie! – przerwała gniewnie Delly. – Ich powołaniem jest polowanie na piratów, a twoim jest być z nimi, dopóki nie znajdą twojego młota. To ty masz znaleźć swój młot, żeby wrócić tam, gdzie niegdyś byłeś.

Wulfgar położył się z powrotem i znów przejechał wielkimi dłońmi po twarzy.

– Może wcale nie chcę tam wracać.

– Może nie – powiedziała Delly. – Lecz nie musisz podejmować tego wyboru, dopóki tam nie wrócisz. Dopiero, gdy dowiesz się na powrót, kim byłeś, mój kochany, dopiero wtedy będziesz w stanie powiedzieć sobie szczerze, dokąd chcesz się udać. Dopóki nie dotrzesz tam, gdzie wszystko będzie do wzięcia, będziesz się zastanawiał i pragnął.

Ucichła, a Wulfgar nie miał odpowiedzi. Westchnął wielokrotnie i zamierzał się wielokrotnie zaprzeczyć, lecz każda droga, w którą próbował się zapuścić, nieuchronnie okazywała się ślepą uliczką.

– Kiedy to Delly Curtie stała się taka mądra w ścieżkach życia? – pokonany Wulfgar spytał krótką chwilę później.

Delly zachichotała i przewróciła się, by na niego popatrzeć.

– Może zawsze taka byłam – odpowiedziała radośnie. – Albo może nigdy. Mówię ci po prostu to, co myślę, a myślę o tym, że musisz cofnąć się do pewnego miejsca, zanim będziesz mógł wspiąć się wyżej. Musisz wrócić tam, gdzie byłeś kiedyś, nim znajdziesz drogę, którą najbardziej chcesz pójść, nie tylko drogę, którą według siebie będziesz musiał pójść.

– Byłem w tym miejscu – Wulfgar odrzekł z całą powagą i przez jego twarz przemknęła chmura. – Byłem z nimi z powrotem w Dolinie Lodowego Wichru, jak wcześniej, i sam postanowiłem odejść.

– Ponieważ wołała cię lepsza droga? – spytała Delly. – Czy ponieważ nie byłeś gotów, by wrócić? Jest pewna różnica.

Wulfgar wiedział, że nie znajdzie na to odpowiedzi. Nie był pewien, czy zgadzał się z Delly, lecz gdy następnego dnia doszła do niego wiadomość od Deudermonta i Duszka Morskiego, odpowiedział na nią.

ŚCIEŻKI ZAGŁADY

Le'lorinel walczył defensywnie, jak zawsze, pozwalając przeciwnikowi objąć prowadzenie, jego bliźniacze sejmitary płąsały w szaleńczym tańcu. Elf parował i wycofywał się, uchylał z łatwością i rzucał na bok, pozwalając, by zaciekle szarże Tuneveka przechodziły obok. Tunevec potknął się i zaklął pod nosem, sądząc, że przegrał walkę, sądząc, że Le'lorinel na pewno będzie jęczał i narzekał na jego niedostatki. Zamknął oczy, czekając na plaśnięcie mieczem po plecach, lub po pośladkach, jeśli Le'lorinel czuł się dziś szczególnie małostkowo.

Nie dobiegł go żaden cios.

Tunevec obrócił się i ujrzał, że łysy elf opiera się o ścianę, odłożywszy broń.

– Nawet nie masz ochoty dokończyć walki? – spytał Tunevec.

Le'lorinel popatrzył na niego z roztargnieniem, jakby nie miało to znaczenia. Elf wpatrywał się w jedyne okno po tej stronie wieży, prowadzące do laboratorium Mahskevika. Wiedział, że za owym oknem czarodziej zdobywa kolejne odpowiedzi.

– Chodź! – poprosił Tunevec i uderzył o siebie sejmitarami w powietrzu przed sobą. – Zapłaciłeś mi za tę ostatnią walkę, więc walczy!

Le'lorinel obrócił się w końcu, by spojrzeć na niecierpliwego wojownika.

– Skończyliśmy, na teraz i na zawsze.

– Zapłaciłeś mi za ostatnią walkę, a ta ostatnia walka nie skończyła się – zaprotestował Tunevec.

– Ależ owszem. Zabierz swoje monety i odejdz. Nie potrzebuję już więcej twoich usług.

Tunevec wpatrywał się w elfa z absolutnym niedowierzaniem. Odbywali wspólne sparingi od wielu miesięcy, a teraz miało się to skończyć tak od niechcienia, swobodnie!

– Zatrzymaj sejmitary – stwierdził Le'lorinel, już nawet nie patrząc na Tuneveka, lecz znów spoglądając na to okno.

Tunevec stał tam przez długą chwilę, obserwując z niedowierzaniem elfa. W końcu, zastanowiwszy się nad tym wszystkim, nad rzeczywistością odprawy, pozostawiającej nieprzyjemny

posmak w jego ustach, cisnął sejmitary na ziemię u stóp Le'lorinela, obrócił się na pięcie i odszedł spiesźnie, mamrocząc przekleństwa.

Le'lorinel nie kłopotał się nawet, by podnieść sejmitary ani zerknąć w stronę Tuneveka. Wojownik wykonał swoje zadanie – niezbyt dobrze, lecz służył użytecznemu celowi – a teraz owo zadanie było skończone.

Po paru chwilach Le'lorinel stał przed drzwiami laboratorium Mahskevika, z dłonią podniesioną, by zapukać, lecz wahał się. Wiedział, że Mahskevic nie był zadowolony z tego wszystkiego i wydawał się dość ponury od powrotu elfa od E'kressy.

Zanim Le'lorinel zdołał zebrać się w sobie, by zapukać, drzwi otworzyły się, jakby z własnej woli, zapewniając elfowi widok na Mahskevika siedzącego za swym biurkiem, na wysoki i spiczasty niebieski kapelusz czarodzieja, zgięty w połowie i pochylony na lewo, na kilka opasyłych tomów rozłożonych przed nim na dębowym blacie, w tym jeden pióra Talasaya, barda z Silverymoon, opisujący niedawne wydarzenia w Mithrilowej Hali, w tym odzyskanie ojczyzny krasnoludów od duergarów oraz cieniatego smoka Shimmerglooma, ogłoszenie Bruenora królem, przybycie mrocznych elfów prowadzących ze sobą Gandaluga Battlehammera – przodka Bruenora – i ostatecznie, po wielkim zwycięstwie nad siłami Podmroku, zrzeczenie się tronu przez Bruenora na rzecz Gandaluga i jego rzekomy powrót do Doliny Lodowego Wichru. Le'lorinel zapłacił wiele za tę księgę i znał dobrze każde zawarte w niej słowo.

Pomiędzy księgami na biurku czarodzieja i częściowo pod jedną z nich rozłożony był pergamin, który Le'lorinel zapisał dla czarodzieja, dokładnie przytaczając słowa, jakich E'kressa użył w swym wieszczeniu.

– Powiedziałem ci, że wezwę cię, gdy skończę – stwierdził Mahskevic, nie podnosząc wzroku i wyglądając na bardzo skwaszonego. – Czy po wszystkich tych latach nie możesz się zdobyć na odrobinę cierpliwości?

– Tunevec odszedł – odpowiedział Le'lorinel. – Został odprawiony i już go nie ma.

Tym razem Mahskevic podniósł spojrzenie, a na jego twarzy, wymalowała się troska.

– Nie zabiłeś go? – spytał czarodziej. Le'lorinel uśmiechnął się.

– Sądzisz, że byłbym tak złą istotą?

– Sądzę, że twoja obsesja wykracza poza granice rozsądku – czarodziej odparł bez ogródek. – Może boisz się zostawiać za sobą świadków, którzy mogliby ostrzec Drizzta Do'Urdena o pościgu.

– Wtedy E'kressa byłby chyba martwy, czyż nie? Mahskevic zastanawiał się przez chwilę nad tymi słowami, po czym wzruszył ramionami, akceptując ten prosty sposób rozumowania.

– Ale Tunevec odszedł.

Le'lorinel przytaknął.

– Szkoda. Coraz bardziej lubiłem tego młodego i zdolnego wojownika. Podobnie jak ty, jak sądziłem.

– Nie był takim dobrym wojownikiem – odrzekł elf, jakby tylko to się naprawdę liczyło.

– Nie dorastał do standardów, jakich wymagałeś od swego partnera sparingowego, który miał naśladować tego słynnego mrocznego elfa. – Mahskevic odparł natychmiast. – Jednak, kto by do nich dorastał?

– Czego się dowiedziałeś? – spytał Le'lorinel.

– Splecione symbole Dumathoina, Strażnika Sekretów pod Górą, oraz Clangeddina, krasnoludzkiego boga bitwy – wyjaśnił czarodziej. – E'kressa miał rację.

– Symbol Bruenora Battlehammera – stwierdził Le'lorinel.

– Nie całkiem – odpowiedział Mahskevic. – Symbol użyty tylko raz przez Bruenora, z tego co potrafię powiedzieć. Widzisz, był dość doświadczonego kowalem.

Mówiąc to, gestem pokazał Le'lorinelowi, by do niego podszedł, a gdy elf się zbliżył, wskazał na kilka rysunków w dziele Talasaya: niewyróżniającą się broń oraz napierśnik.

– Robota Bruenora – stwierdził Mahskevic, i rzeczywiście, podpisy pod rycinami głosiły to samo. – Jednak nie widzę tu znaków przypominających ten, który dał ci E'kressa. Tam – wyjaśnił, wskazując na mały symbol w dolnym rogu napierśnika. – Tam jest znak Bruenora, symbol klanu Battlehammer z podwójnym „B” Bruenora na tle kufła.

Le'lorinel pochylił się niżej, by przyjrzeć się rysunkowi i ujrzał spieniony kufel, herb krasnoludzkiego klanu, wraz z osobistym symbolem Bruenora, jak mówił Mahskevic. Oczywiście elf przejrzał już to wszystko, choć Mahskevic wydawał się wyciągać wskazówki tam, gdzie nie udało się to Le'lorinelowi.

– Z tego, co mogę powiedzieć, Bruenor używał tego powszechnego znaku do wszystkich swoich dzieł – wytłumaczył czarodziej.

– To nie to, co powiedział mi wieszcz.

– Ach – stwierdził czarodziej, podnosząc zakrzywiony i kościsty palec – ale jest jeszcze to. – Skończywszy, przerzucił wielki tom na inną stronicę, na kolejną rycinę, przedstawiającą w wielkich szczegółach wspinały młot bojowy Aegis-fang, umieszczony na piedestale.

– Artysta kopiujący obraz był doskonały – wytłumaczył Mahskevic. – Zwracał wielką uwagę na szczegóły, o tutaj!

Podniósł okrągłe szkiełko, o średnicy około dziesięciu centymetrów, i położył je na rysunku, powiększając młot. Znajdował się tam, nie ulegając wątpliwości, symbol dany Le'lorinelowi przez E'kressę.

– Aegis-fang – elf rzekł cicho.

– Wykonany przez Bruenora dla jednego z jego dwojga adoptowanych dzieci – stwierdził Mahskevic, i zdanie to sprawiło, że zagadkowe uwagi E'kressy stały się jaśniejsze, wydawały się świadczyć na korzyść obdarzonego skłonnością do przesady i widowiskowego wieszca.

„Znajdź najbardziej ceniony przez krasnoluda wytwór jego rąk, aby znaleźć najbardziej ceniony przez krasnoluda wytwór ciała” – powiedział gnomi wieszcz i przyznał, że miał na myśli jeden z dwóch tworów ciała, czy też, jak teraz wydawało się oczywiste, dzieci.

– Znajdź Aegis-fanga, aby znaleźć Wulfgara? – Le'lorinel spytał sceptycznie, bowiem z tego, co obaj wiedzieli, z tego, co mówiła księga, Wulfgar, młody człowiek, dla którego Bruenor stworzył Aegis-fanga, był martwy, zabity przez służkę Lolth, yochlola, gdy drowy zaatakowały Mithrilową Halę.

– E'kressa nie wymienił Wulfgara – odparł Mahskevic. – Być może chodziło mu o Catti-brie.

– Znajdź młot, aby znaleźć Catti-brie, aby znaleźć Bruenora Battlehammera, aby znaleźć Drizzta Do'Urdena – Le'lorinel powiedział wydając z siebie pełne rezygnacji westchnienie.

– Trudno walczyć z taką grupą – rzekł Mahskevic i uśmiechnął się chytrze. – Z chęcią widziałbym twoje dalsze towarzystwo – wyjaśnił. – Muszę jeszcze wiele zrobić, a nie jestem już młody. Przydałby mi się uczeń, a ty okazałeś wyjątkowy talent do spostrzeżeń oraz intelekt.

– Musisz więc poczekać, póki nie załatwię swoich spraw – powiedział stanowczo uparty elf. – Jeśli przeżyję, by móc wrócić.

– Wyjątkowy intelekt w większości kwestii – sprostował cierpko stary czarodziej.

Le'lorinel zachichotał i nie obraził się.

– Ta grupa otaczających Drizzta przyjaciół zyskała niezłą reputację – stwierdził Mahskevic.

– Nie mam zamiaru walczyć z Bruenorem Battlehammerem ani z Catti-brie, czy też z kimkolwiek innym niż Drizzt Do'Urden – rzekł elf. – Choć być może w zabiciu przyjaciół Drizzta będzie miara sprawiedliwości.

Mahskevic warknął głośno i gwałtownie zatrzaskał tom Talasaya, po czym odsunął się od biurka i wstał, wpatrując się stanowczo w elfa.

– A to byłby niesumienny czyn zgodnie z wszelkimi miarami świata – rzucił łajające. – Czy twoja gorycz i nienawiść wobec tego mrocznego elfa jest tak wielka, że zabrałbyś niewinne życie, aby je zaspokoić?

Le’lorinel wpatrywał się w niego zimno, zaciskając mocno wargi.

– Jeśli tak, to proszę, abyś wręcz jeszcze poważniej rozważył swą drogę – dodał czarodziej. – Uważasz, że w tym twoim niewytłumaczalnym pościgu słuszność stoi po twojej stronie, a jednak nic – nic, powiadam – nie usprawiedliwiłoby takiego morderstwa! Słyszysz mnie, chłopcze? Czy me słowa przebijają się przez tę niewzruszoną ścianę nienawiści wobec Drizzta Do’Urdena, którą, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, wzniosłeś?

– Nie mówiłem poważnie wspominając o kobiecie czy krasnoludzie – przyznał Le’lorinel i wyraźnie się uspokoił, jego rysy zelżały, spojrzenie opadło niżej.

– Nie mógłbyś ścigać czegoś bardziej konstruktywnego? – szczerze spytał Mahskevic. – Jesteś w większym stopniu więźniem swej nienawiści wobec Drizzta Do’Urdena, niż kiedykolwiek mógłby być mroczny elf.

– Jestem więźniem, ponieważ znam prawdę – Le’lorinel zgodził się tym swoim melodyjnym altem. – A gdy słyszę opowieści o jego bohaterstwie, nawet tak daleko jak Mithrilowa Hala czy Dekapolis, odczuwam dogłębny ból w sercu.

– Nie wierzysz w odkupienie?

– Nie dla Drizzta, nie dla żadnego mrocznego elfa.

– Bezkompromisowe stanowisko – stwierdził Mahskevic, pocierając dłonią swą szczeciniastą brodę. – Którego zapewne pożałujesz któregoś dnia.

– Być może już żałuję, że znam prawdę – odparł elf. – Lepiej być nieświadomym, śpiewać pieśni bardów o Drizzcie bohaterze.

– Sarkazm nie jest na miejscu.

– Szczerość często jest bolesna.

Mahskevic zamierzał odpowiedzieć, lecz jedynie rozłożył ręce, roześmiał się smutnie i potrząsnął mocno potarganą głową.

– Dość – powiedział. – Zbyt często kręcimy się w kółko po tej drodze. Wiesz, że tego nie

pochwalam.

– Zauważone – powiedział bezkompromisowy Le'lorinel. – I odrzucone.

– Być może się myliłem – Mahskevic zamyślił się na głos. – Być może nie posiadasz cech odpowiednich, by służyć za dobrego ucznia.

Jeśli jego słowa miały zranić Le'lorinela, wydawały się nie odnieść powodzenia, bowiem elf jedynie obrócił się i spokojnie opuścił pokój.

Mahskevic westchnął głęboko i opuścił dłonie, by móc oprzeć się o biurko. Polubił Le'lorinela przez te lata, zaczął go uważać za ucznia, nawet za syna, lecz uważał, że to, prowadzące do samozniszczenia, skupienie na jednym celu jest niepokojące i rozczarowujące, rozbija w gruzy jego nadzieje i życzenia.

Mahskevic również poświęcił немало czasu dowiadując się o tym zbuntowanym drowie, który tak opętał duszę elfa, i choć informacje o Drizzcie były rzadko spotykane na tych ziemiach daleko na wschód od Silverymoon, wszystko, co czarodziej słyszał mówiło, iż ten niezwykle mroczny elf jest honorowy i przyzwoity. Zastanawiał się więc, czy powinien pozwolić Le'lorinelowi rozpocząć w ogóle to polowanie, czy nie odniesie moralnych szkód z powodu swego zaniechania wobec tego, co wydawało się straszliwą niesprawiedliwością.

Następnego poranka wciąż zastanawiał się nad tą rzeczą, gdy Le'lorinel znalazł go w małym ogródku z przyprawami na niewielkim balkoniku w połowie szarej kamiennej wieży.

– Znasz się na teleportacji – wyjaśnił elf. – Zakładam, iż będę musiał drogo zapłacić za ten czar, jako że nie pochwalasz mojego celu, lecz pragnę pracować przez dwa kolejne dekadnie, zaczynając przed świtem, a kończąc po zmierzchu, w zamian za magiczną podróż do Luskan, na Wybrzeżu Mieczy.

Mahskevic nie podniósł nawet wzroku znad swych korzennych roślin, choć przerwał wrywanie chwastów na dość długo, by zastanowić się nad tą propozycją.

– Nie pochwalam, w istocie – powiedział cicho. – Kolejny raz błagam cię o porzucenie tego szaleństwa.

– A ja kolejny raz mówię ci, że to nie twoja sprawa – zripostował elf. – Pomóż mi, jeśli zechcesz. Jeśli nie, podejrzewam że dość łatwo znajdę czarodzieja w Silverymoon, który zechce sprzedać prostą teleportację.

Mahskevic wyprostował się, kładąc nawet dłoń na tylnej części biodra, by się podeprzeć, i wyprężył grzbiet, przeciągając się. Następnie obrócił się, powoli, i zmierzył pewnego siebie elfa wywołującym wrażenie spojrzeniem.

– Czyżby? – spytał czarodziej, a jego wzrok podążył ku dłoni elfa, ku onyksowemu pierścieniowi, który sprzedał Le'lorinelowi i w którym umieścił żądane magiczne czary.

Le'lorinel nie miał większych kłopotów z podążaniem za jego wzrokiem, by odkryć przedmiot, który przykuł jego uwagę.

– I będziesz miał na to wystarczająco monet, jak sądzę – stwierdził czarodziej. – Ponieważ zmieniłem zdanie w kwestii stworzonego przeze mnie pierścienia i odkupię go.

Le'lorinel uśmiechnął się.

– Na całym świecie nie ma dość złota.

– Oddaj go – rzekł Mahskevic, wyciągając dłoń. – Zwrócę ci twoją zapłatę.

Le'lorinel odwrócił się i opuścił balkon, kierując się prosto do schodów i zbiegając po nich.

Rozwścieczony Mahskevic dogonił go już na zewnątrz wieży.

– To szaleństwo! – oznajmił, okrążając niższego od siebie elfa i blokując mu drogę. – Jesteś opętany zemstą, która wykracza poza wszelki rozsądek i poza wszelką moralność!

– Moralność? – Le'lorinel powtórzył niedowierzająco. – Ponieważ widzę, kim naprawdę jest ten drow? Ponieważ znam prawdę o Drizzcie Do'Urdenie i nie mogę znieść jego chwalebnej reputacji? Ty posiadasz wielką wiedzę o wielu rzeczach, a ja jestem lepszy dzięki tobie, bo przez te lata mnie uczyłeś, lecz nie wiesz nic o podjętej przeze mnie misji.

– Wiem, że prawdopodobnie zamierzasz dać się zabić. Le'lorinel wzruszył ramionami, nie sprzeciwiając się. – A jeśli ją porzucę, już jestem martwy. Mahskevic krzyknął i potrząsnął energicznie głową.

– Obłąd! – wrzasnął. – To po prostu obłąd. Nie pozwolę na to!

– Nie możesz tego powstrzymać – powiedział Le'lorinel, po czym zaczął obchodzić starca, lecz Mahskevic przesunął się szybko, znów blokując drogę.

– Nie lekceważ... – zaczął mówić czarodziej, lecz urwał nagle, gdy poczuł przy swym gardle czubek sztyletu.

Postąp zgodnie z własną radą – zagroził Le'lorinel. – Jakie czary przygotowałeś na dzisiaj? Bitewne? Wiem, że raczej nie, a nawet gdybyś posiadał kilka w aktualnym repertuarze, uważasz, że miałbyś jakąś szansę, by ich użyć? Pomyśl dobrze, czarodzieju. Kilka sekund to wiele czasu.

– Le'lorinelu – Mahskevic powiedział tak spokojnie, jak tylko był w stanie.

– Tylko z powodu naszej przyjaźni odłożę mąbroń – elf rzekł cicho, a Mahskevic odetchnął swobodniej, gdy sztylet zniknął. – Miałem nadzieję, że pomożesz mi w podróży, lecz wiedziałem, że gdy ten czas będzie się zbliżał, twoje wysiłki, by mi pomóc zmniejszą się. Tak więc przebaczam ci, że mnie porzuciłeś, lecz ostrzegam, że nie będę tolerował interwencji ze strony kogokolwiek. Zbyt długo czekałem, zbyt długo przygotowywałem się, a teraz nadszedł mój dzień. Życz mi dobrze, choćby z powodu lat, jakie spędziliśmy razem.

Mahskevic zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym pokiwał ponuro głową.

– Owszem, życzę ci dobrze – powiedział. – Modłę się, abyś znalazł w swym sercu większą prawdę i lepszą drogę, niż tę zrodzoną ze ślepej nienawiści.

Le'lorinel jedynie odszedł.

– On jest pozbawiony rozsądku – kilka chwil później rozległ się za Mahskevikiem znajomy głos, gdy czarodziej obserwował pustą już drogę, na której zniknął Le'lorinel. Mahskevic odwrócił się i ujrzał stojącego blisko Tuneveka, wyglądającego na dość spokojnego.

– Również miałem nadzieję go odwieść – wyjaśnił Tunevec. – Uważałem, że we trzech moglibyśmy sobie tutaj nieźle zorganizować życie.

– Może więc we dwóch? – spytał Mahskevic, a Tunevec przytaknął, bowiem rozmawiał już z czarodziejem o czeladnictwie.

– Le'lorinel nie jest pierwszym elfem, który narzeka na tego Drizzta Do'Urdena – Tunevec wytłumaczył, gdy weszli do wieży. – Przy tych okazjach, gdy zbuntowany drow odwiedzał Alustriel w Silverymoon, sporo obywateli otwarcie składało zażalenia, głównie jasnoskóre elfy. Nie da się przecenić wrogości między elfami, jasnymi i ciemnymi.

Mahskevic rzucił za siebie jeszcze jedno tęskne spojrzenie na drogę, którą odszedł Le'lorinel.

– W istocie – powiedział, czując wielki ciężar na sercu. Westchnąwszy głęboko, stary czarodziej pożegnał swego przyjaciela, pożegnał wielką część kilku ostatnich lat swego życia.

* * *

Na kamienistej drodze wiele setek kilometrów dalej, Sheila Kree stała przed czworgiem swych marynarzy.

Jedna z jej najbardziej zaufanych towarzyszek, Gayselle Wayfarer, dowódczym grup abordażowych, siedziała okrakiem na małej, lecz silnej kasztanowej klaczy. Choć nie była tak szczupła i nie posiadała tak klasycznej urody jak Bellany Zaklinaczka, albo wysoka Jule Pepper o

posturze wierzby, Gayselle zdecydowanie nie była nieatrakcyjna. Choć krótko obcinała swe blond włosy, była w nich gęstość i blask, ładnie uzupełniające delikatność jej niebieskich oczu oraz jasną cerę i gładkość skóry, która nie poddała się po licznych dniach spędzonych na pokładzie. Gayselle, niska kobieta i o muskularnej posturze, pasującej do jej kasztanki, chyba najlepiej posługiwała się bronią z całej załogi Krwawego Kila, za wyjątkiem samej Sheili Kree. Najbardziej lubiła krótki miecz i sztylet. Tym ostatnim mogła rzucać najprecyzyjniej ze wszystkich osób, które kiedykolwiek służyły pod Sheilą Kree.

– Bellany się z tym nie zgodzi – powiedziała Gayselle.

– Jeśli zadanie zostanie zakończone, Bellany będzie z niego zadowolona – odparła Sheila Kree.

Rozejrzała się dość cierpko po wybranych przez Gayselle towarzyszach, trójce brutalnych półogrów. Owa trójka będzie biec, nie jechać wierzchem, bowiem żaden koń nie zniósłby ich na swym grzbiecie. Nie wydawało się, by mogło to spowolnić Gayselle na jej drodze do doków Luskan, gdzie będzie ich oczekiwać mała łódź wiosłowa, bowiem ich ogrzy rodowód dawał im długie, szybkie kroki oraz nieludzką wytrzymałość.

– Masz eliksiry? – spytała kapitan piratów.

Gayselle uniosła jedną z pół swego brunatnego podróżnego płaszcza, ukazując kilka małych fiolek.

– Moi towarzysze będą wyglądać wystarczająco ludzko, by przejść przez bramy Luskan i opuścić doki Waterdeep – kobieta zapewniła swą kapitan.

– Jeśli Duszek Morski jest w...

– Nawet nie zbliżymy się do domu Deudermonta – dokończyła Gayselle.

Sheila Kree miała ochotę na kolejną uwagę, lecz urwała i skinęła głową, przypominając sobie, że to była Gayselle, inteligentna i godna zaufania, która jako druga w jej załodze, po Bellany, przyjęła piętno. Gayselle rozumiała nie tylko ustalony plan, lecz także wszelkie alternatywne drogi, gdyby zamierzenia nie były możliwe. Wykona zadanie, a kapitan Deudermont i pozostali głupcy z Duszka Morskiego zrozumieją, że dalsze polowanie na Sheilę Kree może nie być rozsądnym pomysłem.

TROPIENIE

Często uderzało mnie, jak lekkomyślne potrafią być istoty ludzkie.

W porównaniu z innymi, rozumującymi kategoriami dobra, istotami, uściśle, bowiem porównywanie ludzi do mrocznych elfów i goblinów oraz innych stworzeń o samolubnych i niegodziwych dążeniach nie ma sensu. Menzoberranzan nie jest bezpiecznym miejscem, to pewne, a większość mrocznych elfów umiera na długo przed naturalnym czasem istnienia ich fizycznych ciał, lecz to jest, jak sądzę, bardziej kwestią ambicji i fanatyzmu religijnego, a także miarą pychy. Każdy mroczny elf, w swej ogromnej pewności siebie, rzadko wyobraża sobie możliwość własnej śmierci, a gdy to czyni, często ma się myślni, że każda śmierć w chaotycznej służbie Lolth może jedynie przynieść mu wieczną chwałę oraz rajskie życie u boku Pajęczej Królowej.

To samo można powiedzieć o goblinoidach, stworzeniach, które z jakichkolwiek błędnych powodów często pędzą na łeb na szyję ku swej śmierci.

Wiele ras, w tym ludzie, często używa pojęcia boskiej służby, aby usprawiedliwić niebezpieczne działania, nawet walkę, i jest spora doza prawdy w przekonaniu, że umieranie w służbie większego dobra musi być rzeczą nobilitującą.

Abstrahując jednak od fanatyzmu oraz rozmaitych wojowniczych kultur, widzę, że ludzie są często najbardziej lekkomyślnymi spośród istot rozumujących kategoriami dobra. Widziałem wielu bogatych ludzi udających się do Dekapolis na wakacje, aby pływać po zimnych i śmiercionośnych wodach Maer Dualdon, albo by wspinać się na poszarpany Kopiec Kehina, co jest niebezpieczną rozrywką. Ryzykują wszystkim dla drobnego osiągnięcia.

Podziwiam ich determinację i wiarę w siebie.

Podejrzewam, że ta ochota, by ryzykować, wywodzi się częściowo z krótkiego spodziewanego okresu życia ludzi. Człowiek liczący sobie cztery dziesięciolecia, ryzykując swym życiem, może stracić dwie dziesiątki lat, może cztery, w naprawdę niezwykłych okolicznościach sześć. Lecz liczący cztery dziesięciolecia elf ryzykuje kilkoma stuleciami życia! Z tego więc wynika ludzka natychmiastowość i nagłość, której nigdy nie zrozumieją elfy, czy to jasne, czy ciemne, oraz krasnoludy.

Wraz z tą nagłością pojawia się zaś umiłowanie życia, przekraczające wszystko, co mógłby żywić elf czy krasnolud. Widzę je, każdego dnia, w twarzy Catti-brie – tę miłość życia, tę nagłość, tę potrzebę, by wypełniać godziny oraz dni doświadczeniem i zabawą. W dziwnym paradoksie

widziałem jak owa nagłość jedynie się zwiększyła, gdy sądziliśmy, że Wulfgar zginął, a rozmawiając o tym z Catti-brie doszedłem do zrozumienia, że taka ochota doświadczenia, nawet przy wielkim osobistym ryzyku, jest często udziałem ludzi, którzy stracili ukochaną osobę, jakby przypomnienie o ich własnej nadciągającej śmiertelności służyło wzmocnieniu potrzeby, by wycisnąć jak najwięcej życia z pozostałych dni oraz lat.

Jakiż to wspaniały sposób postrzegania świata, i smutny, jak się wydaje, który wymaga straty, by poprawić często zwyczajną ścieżkę.

Jaka powinna być więc droga dla mnie, który mogę ujrzeć siedem stuleci życia, może nawet osiem? Czy mam wybrać łatwą ścieżkę kontemplacji i osiadłej egzystencji, tak powszechnych wśród elfów Torilu? Czy mam tańczyć każdej nocy pod gwiazdami i spędzać dni na drzemce, kierując się wewnątrz siebie, by lepiej dostrzegać otaczający mnie świat? Jedno i drugie jest warte, by do nich dążyć, naprawdę, a taniec pod nocnym niebem jest radością, jakiej nigdy bym nie porzucił. Wiem jednak, że musi być dla mnie coś więcej. Musi być dążenie do przygód i doświadczeń. W tej kwestii biorę przykład z Catti-brie oraz innych ludzi i przypominam sobie, że z każdym pięknym wschodem słońca droga staje się pełniejsza.

Im mniej straconych godzin, tym pełniejsze życie, a życie długości kilku dziesięcioleci może zdecydowanie, według pewnych miar, być dłuższe niż to długości kilku stuleci. Jak inaczej wyjaśnić osiągnięcia wojownika takiego jak Artemis Entreri, który potrafił pokonać wielu drowich weteranów, dziesięciokrotnie od niego starszych? Jak inaczej wyjaśnić prawdę, że najbardziej doświadczonymi czarodziejami na świecie nie są elfy, lecz ludzie, którzy spędzają dziesięciolecia, a nie stulecia, zastanawiając się nad złożonością magicznego Splotu?

Zostałem naprawdę pobłogosławiony przychodząc na powierzchnię, znajdując towarzyszkę taką jak Catti-brie. Taka bowiem, jak sądzę, jest misja mej egzystencji, nie tylko cel, lecz sens samego życia. Jakież możliwości mogę znaleźć, jeśli zdołam połączyć długość życia mojego rodu z intensywnością ludzkości? I jakież radości mnie ominą, jeśli podążę bardziej cierpliwą i stateczną drogą, krętą ścieżką usianą znakami przypominającymi mi, że mam zbyt wiele do stracenia, szlakiem omijającym zarówno góry, jak i doliny, przecinającym równinę, poświęcającym wyniosłości z obawy przed głębiami?

Często elfy odrzucają intymne związki z ludźmi, zaprzeczają miłości, ponieważ wiedzą, kierując się logiką, że nie może to być, w elfich kategoriach czasu, długotrwałe partnerstwo.

Niestety, to filozofia skazana na miernotę.

Czasami musimy mieć przypominane, że wschód słońca trwa zaledwie kilka minut.

Lecz jego piękno może się na wieczność wypalić w naszych sercach.

NIEWŁAŚCIWE TOWARZYSTWO

Strażnik zbladł zabawnie, wyglądając jakby miał po prostu umrzeć, gdy o deszczowym poranku zauważył elfie rysy oraz mahoniową skórę gościa przy bramie Luskan. Zająknął się i zatoczył, ścisnął swój berdysz oburącz tak mocno, że knykcie stały mu się równie białe jak twarz.

– Stać! – zdołał w końcu wyrzucić z siebie.

– My się nie poruszamy – odparła Catti-brie, patrząc na mężczyznę z zaciekawieniem. – Tylko tu stoimy, patrząc jak się pocisz.

Mężczyzna wydał z siebie coś, co mogło być zarówno warkotem, jak i jękiem, po czym, jakby zebrawszy się na odwagę, wezwał wsparcie i śmiało stanął przed przybyszami, trzymając swój berdysz w pozycji obronnej.

– Stać! – powtórzył, choć żadne z nich się nie poruszało.

– Uznał, że jesteś drowem – Catti-brie powiedziała cierpko.

– Nie rozumie, że nawet skóra wysokiego elfa może ściemnieć pod wpływem słońca – Drizzt odparł z głębokim westchnieniem. – Przekleństwo dobrej letniej pogody.

Strażnik wpatrywał się w niego, oszołomiony głupimi słowami.

– Czego chcecie? – zażądał odpowiedzi. – Po co tu jesteście?

– Żeby wejść do Luskan – rzekła Catti-brie. – Sam nie mogłeś na to wpaść?

– Dość tych żartów! – krzyknął strażnik i zamachnął się groźnie berdyszem w stronę Catti-brie.

Czarna dłoń wystrzeliła, zanim wartownik był w ogóle w stanie zauważyć jej ruch, chwytając broń tuż pod metalową głowicą.

– Nie ma potrzeby, by tego używać – stwierdził Drizzt, podchodząc bliżej do pochwyconej broni, by zabezpieczyć swój uchwyt. – Ja, my, nie jesteśmy obcy w Luskan, ani też, mogę cię zapewnić, nie byliśmy tu nigdy źle widziani.

– Cóż, Drizzt Do'Urden! Błogosławione niech będą me oczy! – dobiegł okrzyk zza zaskoczonego

strażnika, okrzyk jednego z pary żołnierzy spieszących na wezwanie mężczyzny. – I Catti-brie, wyglądająca mniej krasnoludzko niż kiedykolwiek wcześniej.

– Och, odłóż swą broń, głupcze, zanim ta dwójka ci ją zabierze, w sposób, którego się nie spodziewasz i który niezbyt ci się spodoba! – powiedział drugi z nowoprzybyłych. – Nie słyszałeś dotąd o tej parze? Pływali przez lata na Duszku Morskim i sprowadzili więcej piratów na proces niż mamy żołnierzy, by ich strzec!

Pierwszy strażnik przełknął głośno ślinę i zaraz, gdy Drizzt wypuścił jego berdysz, pospiesznie go cofnął i umknął im z drogi.

– Wybaczenia proszę – powiedział z niezdarnym ukłonem. – Ja nie wiedziałem... widok... – przerwał, wyraźnie zażenowany.

– A skąd mogłeś wiedzieć? – uprzejmie oparł Drizzt. – Nie było nas tu od ponad roku.

– Służę dopiero od trzech miesięcy – odpowiedział z ulgą wartownik.

– Szkoda byłoby pochować cię tak szybko – jeden z żołnierzy za nim zauważył z serdecznym śmiechem. – Grozić Drizztowi i Catti-brie! Och, szybko znalazłbyś się w ziemi, a twoja żona stałaby się płaczącą wdową!

Drizzt i Catti-brie przyjęli komplementy z lekkim uśmieszkiem i skinieniem głową, starając się na nie nie zważać. Dla mrocznego elfa komplementy brzmiały równie nieprzyjemnie jak obelgi, a jednym z naturalnych skutków ubocznych polowania wraz z Deudermontem była odrobina złej sławy w miastach portowych północnej części Wybrzeża Mieczy.

– Cóż więc zaszczyca Luskan waszą obecnością? – spytał jeden z bardziej uświadomionych żołnierzy. Jego zachowanie sprawiło, że Drizzt i Catti-brie pomyśleli, iż powinni go znać.

– Szukamy starego przyjaciela – odpowiedział Drizzt. – Mamy powód, by sądzić, że może przebywać w Luskan.

– Wielu jest mieszkańców w Luskan – odrzekł drugi doświadczony żołnierz.

– Barbarzyńca – wyjaśniła Catti-brie. – O ponad głowę wyższy ode mnie, z blond włosami. Gdybyś go widział, raczej byś go nie zapomniał.

Bliższy z żołnierzy przytaknął, lecz nagle po jego twarzy przeszła chmura i obrócił się do swego towarzysza.

– Jak on się nazywał? – spytał drugi. – Wulfgar? Podniecenie Drizta, gdy usłyszał potwierdzenie opadło na widok min obydwu żołnierzy, posępnych spojrzeń, które natychmiast doprowadziły go do wniosku, iż ich przyjacielowi stało się coś strasznego.

– Widzieliście go – stwierdził drow, wyciągając dłoń, by uspokoić Catti-brie, która również dostrzegła zatroskanie wartowników.

– Lepiej chodźcie ze mną, panie Drizzcie – odezwał się starszy z żołnierzy.

– Czy on ma kłopoty? – zapytał Drizzt.

– Czy nie żyje? – spytała Catti-brie, mówiąc na głos to, co krążyło w myślach Drizzta.

– Miał kłopoty i nie byłbym ani trochę zaskoczony, gdyby już nie żył – odparł żołnierz. – Chodźcie, zaprowadzę was do kogoś, kto może dać więcej odpowiedzi.

Podążyli za żołnierzem po krętych alejkach Luskan, kierując się w stronę centrum miasta, wchodząc w końcu do jednego z największych budynków, w którym mieściło się zarówno więzienie, jak i kwatery większości urzędników. Żołnierz, będący najwyraźniej osobą o pewnym znaczeniu, prowadził ich bez przeszkód ze strony licznych strażników ustawionych niemal w każdym korytarzu, kilka kondygnacji schodów w górę do miejsca, w którym każde drzwi stanowiły biuro sędziego.

Zatrzymał się przed wrotami głoszącymi, iż gabinet należy do sędziego Bardouna, po czym, z zatroskaną miną na twarzy, zapukał śmiało.

– Wejść – dobiegła władcza odpowiedź.

W pokoju znajdowało się dwóch odzianych na czarno mężczyzn, po przeciwnych stronach wielkiego, zawalonego papierami biurka. Ten bliższy stał, w każdym calu wyglądał na jednego z okrytych złą sławą luskańskich stróżów sprawiedliwości, miał jastrzębie rysy i zmrużone oczy, całkowicie ukryte pod drugimi siwymi brwiami. Mężczyzna siedzący za biurkiem, najwyraźniej Bardoun, był znacznie młodszy od swego towarzysza, z pewnością nie liczył więcej niż trzydziestkę, miał gęste brązowe włosy, pasujące do nich oczy oraz gładko ogoloną, chłopięcą twarz.

– Błagam o wybaczenie, sędzio – odezwał się żołnierz głosem, w którym rozbrzmiewała nerwowość – lecz jest ze mną dwoje bohaterów, Drizzt Do'Urden oraz Catti-brie, córka samego krasnoludzkiego króla Bruenora Battlehammera, którzy wrócili do Luskan szukając starego przyjaciela.

– Wejdźcie – Bardoun powiedział przyjaznym tonem. Jego stojący partner obrzucił jednak parę badawczym spojrzeniem, szczególnie mrocznego elfa.

– Drizzt i Catti-brie żeglowali z Deudermontem... – żołnierz zaczął mówić, lecz Bardoun powstrzymał go podniesioną dłonią.

– Ich wyczyny są nam dobrze znane – rzekł sędzia. – Możesz nas zostawić.

Żołnierz uklonił się i mrugnął do pary, zanim wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Mój współpracownik, sędzia Callanan – przedstawił Bardoun i wstał, wskazując parze, by podeszła bliżej. – Zrobimy oczywiście, co w naszej mocy – powiedział. – Choć Deudermont popadł w pewną niełaskę pośród niektórych sędziów, wielu z nas wielce docenia pracę, jaką wykonał wraz ze swą załogą, oczyszczając wody wokół naszego miasta z pewnych przerażających piratów.

Drizzt zerknął na Catti-brie. Oboje byli zaskoczeni słysząc, że kapitan Deudermont, najprzyzwoitszy mężczyzna, jaki żeglował kiedykolwiek po Wybrzeżu Mieczy, człowiek obdarowany trójmasztowym szkunerem przez lordów Waterdeep, aby wesprzeć jego słuszne dzieło, popadł w jakąkolwiek niełaskę ze strony urzędników prawa.

– Wasz żołnierz wskazał, że możecie być w stanie pomóc nam zlokalizować starego przyjaciela – wyjaśnił Drizzt. – Nazywa się Wulfgar. Wielki człowiek z północy o jasnej skórze i włosach. Mamy powód, by sądzić... – drow urwał w połowie zdania, z powodu chmury, jaka przemknęła przez twarz Bardouna i grymasu, który pojawił się nagle u Callanana.

– Jeśli jesteście jego przyjaciółmi, to chyba nie powinniście być w Luskan – Callanan stwierdził z drwiącym parsknięciem.

Bardoun uspokoił się i usiadł z powrotem.

– Wulfgar rzeczywiście jest nam dobrze znany – wytłumaczył. – Może nawet zbyt dobrze znany.

Wskazał Drizztowi i Catti-brie, by zasiedli wzdłuż ściany małego gabinetu, po czym opowiedział im o tym, jak Wulfgar wplątał się w kłopoty z luskańskim prawem, o tym jak barbarzyńca został oskarżony oraz skazany za próbę zamordowania Deudermonta (w tym momencie Catti-brie przerwała, mówiąc „Niemożliwe!”), o tym, jak stanął w obliczu egzekucji na Więziennym Karnawale, gdzie był o kilka kroków od śmierci, gdy sam Deudermont go ułaskawił.

– Niemądre posunięcie dobrego kapitana – dodał Callanan. – To właśnie ono przyniosło mu niełaskę. Nie lubimy patrzeć, jak winny odchodzi wolny z Więziennego Karnawału.

– Wiem, co lubicie – powiedział drow, ostrzej niż zamierzał.

Drow nie był miłośnikiem brutalnego i sadystycznego Więziennego Karnawału, ani też nie żywił wielu miłych uczuć wobec sędziów z Luskan. Gdy wraz z Catti-brie żeglowali z Deudermontem i pojмали piratów na pełnym morzu, często nakłaniali kapitana, by skierował się do Waterdeep zamiast do Luskan, a Deudermont, również nie przepadający za okrutnym Więziennym karnawalem, często ich słuchał, nawet jeśli do większego z miast było dalej.

Dostrzegając ostrość w swym tonie, Drizzt skierował się do względnie uprzejmego Bardouna i powiedział:

– Przynajmniej niektórzy z was.

– Mówisz szczerze – odparł Bardoun. – Szanuję to, nawet jeśli się z tobą nie zgadzam. Deudermont ocalił waszego przyjaciela przed egzekucją, lecz nie przed wygnaniem. Wraz ze swym małym przyjacielem został wyrzucony z Luskan, choć krąży pogłoski, że Morik Łotr wrócił.

– I najwyraźniej ma wystarczające wpływy, by polecono nam, abyśmy nie zabierali go z powrotem do lochów za złamanie warunków wygnania – Callanan rzekł z wyraźnym niesmakiem.

– Morik Łotr? – spytała Catti-brie.

Bardoun machnął ręką, wskazując, że osobnik ten nie miał większego znaczenia.

– Drobnny uliczny zbir – wyjaśnił. – I podróżował z Wulfgarem?

– Byli znanymi współnikami, owszem, i razem zostali skazani za targnięcie się na życie Deudermonta, wraz z parą piratów, którym nie oszczędzono tamtego dnia życia.

Drizztowi nie umknął paskudny uśmieszek Callanana na tę uwagę Bardouna, kolejne potwierdzenie barbarzyństwa, jakim był luskański Więzienny Karnawał.

Drizzt i Catti-brie znów popatrzyli po sobie.

– Gdzie możemy znaleźć Morika? – zapytała kobieta tonem zdecydowanym i nie pozostawiającym miejsca na dyskusje.

– W rynsztoku – odpowiedział Callanan. – Albo może w kanałach.

– Możecie spróbować na ulicy Półksiężycy – dodał sędzia Bardoun. – Wiadomo, że bywa często w tej okolicy, szczególnie w tawernie zwanej Cutlass.

Nazwa ta zabrzmiała Drizztowi znajomo i pokiwał głową, przypominając sobie to miejsce. Nie bywał tam za czasów spędzonych z Deudermontem, lecz odwiedził je znacznie wcześniej, gdy przejeżdżał wraz z Wulfgarem przez Luskan podczas wyprawy mającej na celu odzyskanie Mithrilowej Hali. Razem weszli do Cutlassa, gdzie Wulfgar rozpoczął niezłą bijatykę.

– Również tam wasz przyjaciel Wulfgar zyskał sobie niezłą reputację – powiedział Callanan.

Drizzt pokiwał głową, podobnie jak Catti-brie.

– Dziękujemy za informacje – rzekł. – Znajdziemy naszego przyjaciela, jestem pewien. – Skłonił się i ruszył do wyjścia, lecz zatrzymał się przy drzwiach, gdy Bardoun zawołał za nim:

– Jeśli znajdziecie Wulfgara w Luskan, dobrze zrobicie zabierając go daleko, daleko stąd –

powiedział sędzia. – Daleko stąd oraz, dla jego dobra, daleko od tego szczura, Morika Łotra.

Drizzt odwrócił się i skinął głową, po czym opuścił pokój. Udali się wraz z Catti-brie do ich własnych kwater w dobrej gospodzie na jednej z lepszych ulic Luskan, i spędzili dzień chodząc po mieście, przypominając sobie stare czasy i poprzednie pobyty w mieście. Pogoda była dobra jak na tę porę roku, jaskrawe słońce omywało liście, zaczynające zmieniać barwę na jesienną, a miasto zdecydowanie miało wiele miejsc o wielkiej urodzie. Chodzili razem i cieszyli się widokami oraz pogodą, nie zauważając gwałtownych westchnień i zachłyśnięć, nawet nie zważając na kilkoro dzieci, uciekających najszybciej jak mogły od mrocznego elfa.

Drizzt nie mógł kłopotać się takimi rzeczami. Nie, gdy u jego boku była Catti-brie.

Czekali cierpliwie na zapadnięcie nocy, wiedzieli bowiem, że wtedy będą mieć większą szansę znaleźć kogoś takiego jak Morik Łotr, oraz, jak się wydawało, kogoś takiego jak Wulfgar.

Cutlass nie był pełen, gdy weszli do środka krótko po zmierzchu, choć Drizzt miał wrażenie, jakby skierowała się na niego nagle setka par oczu, szczególnie jednocześnie przerażone i groźne spojrzenie ze strony wychudzonego człowieczka siedzącego przy kontuarze, tuż naprzeciwko barmana, którego szmata całkowicie przestała się poruszać, gdy również skupił wzrok na nowoprzybyłych. Gdy zjawił się w tym miejscu przed laty, Drizzt pozostał z boku, schowany w gwarze i tumulcie zatłoczonej, słabo oświetlonej tawerny, pod opuszczonym kapturem i ze schyloną głową. Drizzt skinął głową barmanowi i zbliżył się bezpośrednio do niego. Chudy człowieczek zaskomlał i odsunął się, czmychając na przeciwległy kraniec sali.

– Witaj, dobry panie – Drizzt powiedział do barmana. – Nie przychodzę tu ze złymi zamiarami, zapewniam cię, pomimo paniki twego klienta.

– To tylko Josi Puddles – odparł barman, choć on również był wyraźnie poruszony pojawieniem się mrocznego elfa w jego lokalu. – Nie zwracaj na niego uwagi. – Mężczyzna wyciągnął dłoń, po czym cofnął ją szybko i wytarł o fartuch, zanim podał z powrotem. – Arumn Gardpeck, do twoich usług.

– Drizzt Do’Urden – odrzekł drow, biorąc dłoń w swój zaskakująco silny chwyt. – A moja przyjaciółka to Catti-brie.

Arumn popatrzył na nich z zaciekawieniem, a jego mina złagodniała, jakby naprawdę ich rozpoznał.

– Szukamy kogoś – zaczął Drizzt.

– Wulfgara – powiedział pewnie Arumn i uśmiechnął się, widząc zaskoczone miny, jakie jego odpowiedź wywołała u drowa i kobiety. – Ano, opowiadał mi o was. O obojgu.

– Jest tutaj? – spytała Catti-brie.

– Zniknął dawno temu – rzekł chudy człowieczek, Josi Puddles, ośmielając się, by podejść. – Wrócił tylko raz, żeby zabrać Delly.

– Delly?

– Pracowała tu – wyjaśnił Arumn. – Zawsze miała słabość do Wulfgara. Wrócił po nią i we troje opuścili Luskan. Poszli chyba do Waterdeep, jak sądzę.

– We troje? – zapytał Drizzt, uważając, że trzecim był Morik.

– Wulfgar, Delly i dziecko – wyjaśnił Josi.

– Dziecko? – powiedzieli razem Drizzt i Catti-brie. Popatrzyli po sobie z niedowierzaniem. Gdy obrócili się z powrotem do Arumna, jedynie wzruszył ramionami, nie mając nic do powiedzenia.

– To było przed miesiącami – wtrącił się Josi Puddles. – Odtąd nic o nich nie było słyhać.

Drizzt milczał, przetrawiając to wszystko. Najwyraźniej Wulfgar będzie miał im do przekazania długą opowieść, gdy w końcu go znajdą – jeśli wciąż żył.

– Tak naprawdę przyszliśmy tu szukając kogoś, o kim nam powiedziano, że może mieć informacje na temat Wulfgara – wytłumaczył drow. – Mężczyzny o imieniu Morik.

Z tyłu rozległ się szmer spieszących się stóp. Gdy para się odwróciła, ujrzeli małą, odzianą na czarno sylwetkę opuszczającą pospiesznie tawernę.

– To wasz Morik – wyjaśnił Arumn.

Drizzt i Catti-brie popędzili na zewnątrz, rozglądając się po niemal wyludnionej ulicy Półksiężyca, jednak Morika, najwyraźniej poruszającego się dobrze w cieniach, nigdzie nie było widać.

Drizzt pochylił się koło miękkiego pyłu tuż obok drewnianego ganku Cutlassa, zauważając odcisk buta. Uśmiechnął się do Catti-brie i wskazał w lewo. Wyszkolony tropiciel nie miał problemu z podążaniem za łatwym tropem.

* * *

– Jesteś ładnym chłopaczkiem, co? – powiedział stary brudny lubieżnik. Przycisnął Le'lorinela do ściany, przysuwając swą smrodliwą twarz do elfa.

Le'lorinel popatrzył za niego, na pozostałych czterech starych pijaków. Wszyscy zawyli ze

śmiechu, gdy stary głupiec zaczął grzebać przy sznurku służącym mu za pasek.

Przerwał gwałtownie i osunął się powoli na podłogę przed elfem, przesuając trzęsące się nagle dłonie niżej, tam gdzie właśnie trafiło kolano.

Le'lorinel odsunął się od ściany, wyciągnął miecz, przyłożył jego płaz do głowy starego nędznika i niezbyt delikatnie pchnął go na podłogę.

– Przyszedłem, zadając proste pytanie – elf wyjaśnił pozostałym, którzy już się nie śmiali.

Starzy łajdacy, byli marynarze, byli piraci, popatrzyli nerwowo po sobie.

– Bądź dobrym chłopaczkiem – rzekł jeden łysy mężczyzna, podnosząc się na zdecydowanie krzywych nogach. – Tookie tylko se z ciebie żartował.

– Proste pytanie – powtórzył Le'lorinel.

Elf wszedł do tej brudnej tawerny koło doków Luskan pokazując przygotowane przez E'kresę iluzoryczne obrazy, pytając o znaczenie znaku.

– Nie takie proste, chyba – odparł łysy wilk morski. – Pytasz o znak, a wielu znaki nosi.

– I większość noszących znaki nie lubi ich pokazywać – powiedział inny ze starców.

Le'lorinel usłyszał poruszenie z boku i ujrzał jak mężczyzna, Tookie, podnosi się szybko z podłogi, rzucając się na niego gwałtownie. Zamach i obrót, cięcie mieczem w dół i na bok, nie by zranić mężczyznę – choć Le'lorinel uważał, że zdecydowanie na to zasługiwał – lecz by zmusić go do niezdarne go, zmuszającego do utraty równowagi uniku, a następnie prosty manewr pochylenia się i wykonanie kroku, który ustawił elfa za napastnikiem. Silne pchnięcie Tookiego w plecy sprawiło, że padł gwałtownie na podłogę i przejechał kawałek po niej.

Obok było już jednak dwóch pozostałych, jeden dzierzył zakrzywiony nóż używany do patroszenia ryb, a drugi oścień.

Prawa dłoń Le'lorinela ustawiła miecz w pozycji obronnej, zaś lewa podążyła do prawego biodra, po czym poruszyła się gwałtownie.

Mężczyzna z ościeniem zatoczył się do tyłu, wyjąc i świszcząc ze sztyletem wbitym głęboko w pierś.

Le'lorinel rzucił się naprzód, a drugi napastnik odskoczył, uniósł przed sobą ręce w geście kapitulacji i upuścił zakrzywiony nóż na podłogę.

– Proste pytanie – elf powtórzył przez zaciśnięte zęby, a wyraz niebiesko-złotych oczu

Le'lorinela nie pozostawiał żadnych wątpliwości u nikogo obecnego w pomieszczeniu, że ten wojownik bez większego zastanowienia pozostawi ich tu trupem.

– Nigdy tego nie widziałem – odrzekł mężczyzna trzymający wcześniej nóż.

– Ale pójdziesz się o to dowiedzieć, prawda? – stwierdził Le'lorinel. – Wszyscy pójdziecie.

– Och tak, chłopaczku, dostaniesz swe odpowiedzi – powiedział inny.

Ten, który leżał na podłodze i odwracał wzrok od Le'lorinela poderwał się gwałtownie i rzucił do drzwi, wypadając przez nie w zmierzch. Kolejny wstał, by ruszyć za nim, lecz Le'lorinel przeszedł na bok, wyszarpnął sztylet z piersi umierającego mężczyzny i trzymał, gotowy do rzutu.

– Proste pytanie – Le'lorinel rzekł po raz kolejny. – Znajdźcie mi odpowiedź, a wynagrodzę was. Zawiedźcie mnie, a... – elf zakończył obracając się w stronę mężczyzny opartego o ścianę, łapiącego powietrze ciężkimi haustami, wyraźnie cierpiącego w ostatnich chwilach swego życia.

Le'lorinel wyszedł przez otwarte drzwi, przystając tylko po to, by wytrzeć sztylet o tunikę pirata, który atakował go zakrzywionym nożem, po czym, wychodząc, przejechał nim po gardle mężczyzny, nie odwracając się nawet w jego stronę.

* * *

Mała sylwetka wyłoniła się zamglonym ruchem z zaułka, obracając się i zamachując, trzymając w dłoniach srebrne sztylety.

Jego atak był niemal doskonały, lewy ciął nisko w korpus Drizzta, po czym zatrzymał się w gwałtownej fince i wykonał szeroki zamach w lewo, kierując się ku szyi drowa.

Niemal doskonały.

Drizzt rozpoznał fintę, zignorował pierwszy atak i skupił się na drugim. Mroczny elf chwycił dłoń Morika i odwrócił ją tak, że palce Drizzta pokrywały palce łotrzyka.

Morik zgrabnie dostosował się do bloku, próbując dokończyć pierwsze pchnięcie, lecz Drizzt był zbyt szybki i miał zbyt dobrą równowagę, poruszał się z oślepiającą szybkością, a jego błyskawiczna praca nóg wzmocniona była jeszcze magicznymi bransoletami. Drow wszedł prosto pod podniesioną rękę Morika, obracając się jednocześnie, po czym rzucił się za łotrzyka, wykręcając tę rękę i wychodząc poza zasięg drugiego, wykonującego pchnięcie, sztyletu.

Morik zaczął się obracać, lecz nagle Drizzt jedynie zgiął końcówki swych palców i ścisnął, miażdżąc górne knykcie dłoni Morika i wywołując w nich przeszywający ból. Sztylet padł na

ziemię, a Morik opadł na jedno kolano.

Catti-brie złapała drugą dłoń łotrzyka i przytrzymała, zanim zdołał w ogóle pomyśleć o odwecie.

– Och, proszę, nie zabijajcie mnie – poprosił łotrzyk. – Zdobyłem klejnoty... powiedziałem skrytobójcy... poszedłem za Wulfgarem... wszystko jak powiedzieliście!

Drizzt popatrzył z niedowierzaniem na Catti-brie, po czym zmniejszył nacisk na dłoń mężczyzny i postawił Morika z powrotem na nogi.

– Nie zdradziłem Jarlaxle’a! – krzyknął Morik. – Przenigdy!

– Jarlaxle’a? – Catti-brie spytała niedowierzająco. – Za kogo on nas uważa?

– Dobre pytanie – rzekł Drizzt, patrząc na Morika w oczekiwaniu odpowiedzi.

– Nie jesteście agentami Jarlaxle’a? – zapytał łotrzyk. Chwilę później jego twarz rozjaśniła się wyraźną ulgą i zachichotał z lekkim zawstydzeniem. – Ale w takim razie kim... – Urwał nagle, uśmiechając się szeroko. – Jesteście przyjaciółmi Wulfgara – powiedział, a uśmiech sięgał mu niemal od ucha do ucha.

Drizzt puścił go, podobnie jak Catti-brie, a mężczyzna podniósł rzucony sztylet i schował obydwu.

– Miło was poznać! – powiedział z entuzjazmem, wyciągając do nich dłoń. – Wulfgar wiele mi opowiadał o was obojgu!

– Wygląda na to, że ty i Wulfgar sami moglibyście przekazać parę opowieści – stwierdził Drizzt.

Morik znów zachichotał i potrząsnął głową. Gdy stało się oczywiste, że ani drow ani kobieta nie zamierzają uścisnąć wyciągniętej dłoni, Morik cofnął ją i oparł na biodrze.

– Aż nazbyt wiele opowieści! – wyjaśnił. – Historie o walce i miłości, od Luskan aż do Auckney.

– Skąd znasz Jarlaxle’a? – spytała Catti-brie. – I gdzie jest Wulfgar?

– To dwa zupełnie nie powiązane ze sobą wydarzenia, zapewniam was – odparł Morik. – Przynajmniej były niepowiązane, gdy ostatni raz widziałem mojego wielkiego przyjaciela. Opuścił Luskan jakiś czas temu, z Delly Curtie oraz dzieckiem, jakie zabrał firecykowatemu lordowi Auckney.

– Porwał? – Drizzt spytał sceptycznie.

– Ocalił – odrzekł Morik. – Nieślubne dziecko przerażonej młodej damy, które z pewnością zostałyby zabite przez fircyka lub jego paskudną siostrę. – Westchnął głęboko. – To długa i skomplikowana opowieść. Lepiej żebyście usłyszeli ją od Wulfgara.

– On żyje?

– Gdy ostatnio o nim słyszałem – odparł Morik – żył i kierował się do... do Waterdeep, jak sądzę. Próbował znaleźć kapitana Deudermonta i miał nadzieję, że kapitan pomoże mu odnaleźć stracony młot bojowy.

Catti-brie wydała z siebie bardzo głębokie i pełne ulgi westchnienie.

– Jak stracił młot? – spytał Drizzt.

– Ten głupiec Josi Puddles ukradł go i sprzedał Sheili Kree, wielce nieprzyjemnej piratce – odpowiedział Morik. – Paskudna piracka dama, lecz Wulfgar znów odzyskał ducha, jak sądzę, tak więc nie chciałbym służyć pod Sheilą! – Popatrzył na Drizzta, który wpatrywał się w Catti-brie, oboje wyraźnie okazywali swoje emocje. – Sądziście, że on nie żyje – stwierdził Morik.

– Spotkaliśmy rozbójniczkę, noszącą piętno, które mogło pochodzić wyłącznie od Aegis-fanga – wyjaśnił Drizzt. – Wiedzieliśmy, jak droga była ta broń Wulfgarowi i wiedzieliśmy, że nie był sprzymierzony z byłym gangiem tej bandytki.

– Nigdy nie sądziliśmy, by mógł się go pozbyć, chyba że wyrwanoby mu go z umierającej dłoni – przyznała Catti-brie.

– Uważam, że jesteśmy ci winni przynajmniej posiłek i drinka – Drizzt powiedział do Morika, któremu twarz pokraśniała na tę propozycję.

Razem wrócili z powrotem do Cutlassa. Morik wydawał się dość zadowolony z siebie.

– Możesz nam jeszcze powiedzieć, jak poznałeś Jarlaxle'a – Drizzt rzekł, gdy wchodzili, na co ramiona Morika wyraźnie opadły.

Łotrzyk powiedział im o przybyciu mrocznych elfów do Luskan, o tym jak odwiedzili go zausznicy Jarlaxle'a oraz sam dziwny najemnik, mówiąc mu, by śledził Wulfgara. Przytoczył swe świeższe przygody z mrocznymi elfami, po tym jak Wulfgar zniknął z Luskan i z życia Morika, uważając, by opuścić fragment na temat kary wymierzonej przez Jarlaxle'a, gdy stracił kontakt z barbarzyńcą. Mimo to, gdy doszedł do tej części opowieści, instynktownie podniósł dłoń do twarzy, spalonej przez niegodziwego Rai'gyego, mrocznego elfa, którym Morik gardził z całego serca.

Przez całą opowieść Catti-brie i Drizzt spoglądali na siebie ze szczerą troską. Jeśli Jarlaxle był zainteresowany ich przyjacielem, być może Wulfgar nie był wcale taki bezpieczny. Jeszcze bardziej zdumiewające było dla nich pytanie, dlaczego w ogóle Jarlaxle zainteresował się Wulfgarem.

Morik przeszedł do zapewniania ich, że od miesiący nie miał kontaktu z Jarlaxlem ani z jego porucznikami i nie spodziewał się ujrzeć znów żadnego z nich.

– Nie, odkąd pojawił się ten ludzki skrytobójca i powiedział mi, żebym uciekał – wyjaśnił Morik. – Co zrobiłem i wróciłem dopiero niedawno. Jestem dość bystry, by wiedzieć, że lepiej, by ta banda na mnie nie polowała, lecz uważam, że ten człowiek dobrze zamaskował moje ślady. Nie mógłby do nich wrócić, gdyby sądzili, że wciąż żyję, tak mi się wydaje.

– Ludzki skrytobójca? – spytał Drizzt i mógł dość łatwo odgadnąć, o kogo mogło chodzić, choć nie był w stanie się domyślić, dlaczego Artemis Entreri oszczędziłby czyjekolwiek życie i ryzykował rozniewaniem potężnych Bregan D'aerthe. To była jednak zapewne długa opowieść, która, jak Drizzt miał nadzieję, nie miała nic wspólnego z Wulfgarem.

– Gdzie możemy znaleźć Sheilę Kree? – spytał, powstrzymując Morika, zanim zdołał rozkręcić się ze swymi opowieściami o mrocznych elfach.

Morik wpatrywał się w niego przez kilka chwil.

– Zapewne na pełnym morzu – odpowiedział. – Może mieć jakiś ulubiony i sekretny port. Tak naprawdę, to sędzę, że słyszałem o nim pogłoski.

– Możesz się dla nas dowiedzieć? – zapytała Catti-brie.

– Takie informacje nie są tanie – zaczął wyjaśniać Morik, lecz jego słowa przeszły w donośne przełknięcie śliny, gdy Drizzt, przyjaciel krasnoludzkiego króla, który nie mniej niż elf pragnął powrotu Wulfgara, położył na stole małą sakiewkę wypchaną monetami.

– Jutrzejszej nocy – wytłumaczył drow. – Tutaj.

Morik zabrał sakiewkę, skinął głową i szybko puścił Cutlassa.

– Myślisz, że łotrzyk wróci z informacją? – zapytała Catti-brie.

– Był szczerym przyjacielem Wulfgara – odrzekł Drizzt – i zbyt nas się boi.

– Wygląda na to, że nasz stary przyjaciel wmieszał się w trochę kłopotów i przygód – stwierdziła Catti-brie.

– Wygląda na to, że nasz stary przyjaciel odnalazł drogę z ciemności – zripostował Drizzt. Na jego ciemnych rysach rozlał się uśmiech, a w lawendowych oczach zaśniła nadzieja.

ROZDARTA DUSZA WOJOWNIKA

Kupiecki żaglowiec miał mocny przechył, spora część jego żagli została porwana wystrzelonymi łańcuchami, a załoga – ci, którzy wciąż byli na pokładzie – leżała martwa, rozrzucona po deskach. Deudermont i jego doświadczeni marynarze wiedzieli, że na pokładzie przebywali wcześniej także inni. Taki statek jak ten zwykle wiozł załogę liczącą przynajmniej tuzin osób, a znaleziono siedem ciał. Kapitan nie miał większej nadziei, że ktokolwiek z zaginionych wciąż żyje. W wodzie wokół zniszczonej karaweli roіło się od rekinów i zapewne niemało z nich miało żołądki pełne ludzkiego mięsa.

– Nie więcej niż kilka godzin – Robillard oznajmił kapitanowi, doganiając Deudermonta w pobliżu odczepionego steru zniszczonego żaglowca.

Piraci go zranili, odarli z załogi i towarów, po czym ustawili na określonym kursie, by zataczać koła. W zaciekłym wietrze wiejącym przez cały dzień, Deudermont był zmuszony rozkazać Robillardowi, aby jeszcze bardziej zniszczył kupiecki okręt, wypuszczając błyskawicę, by roztrzaskać rumpel, zanim mógł pozwolić, by Duszek Morski choć dogonił karawelę.

– Zdobyli na niej spore łupy – stwierdził Deudermont. Rzeczy pozostałe w ładowni kupca wskazywały, że statek, pochodzący z Memnon, wiozł spory ładunek materiałów, choć wykaz towarów nie ujawniał, czy były one egzotyczne lub wyjątkowe.

– Towary o minimalnej wartości – odparł Robillard. – Musieli zabrać dużą ilość, by atak i mordy były warte poświęconemu im czasowi. Jeśli wypełnili ładownię, zapewne spieszą do lądu. – Przerwał, poślinił palec i podniósł go w górę. – I mają korzystny wiatr do takiej podróży.

– Nie mniej korzystny niż my – powiedział ponuro kapitan. Wezwał jednego ze swych poruczników, który stał w pobliżu, nawołując do ostatniego poszukiwania ewentualnych ocalałych, by wrócić szybko na Duszka Morskiego.

Polowanie się rozpoczęło.

* * *

Stojąc niedaleko od kapitana Deudermonta oraz Robillarda, Wulfgar słyszał każde słowo. Zgadzał się ze stwierdzeniem, że zbrodnia miała miejsce ledwie parę godzin temu. Przy silnym wietrze,

bystry Duszek Morski, mając puste ładownie, szybko dogoni przeładowanego pirata, nawet jeśli zbój płynął jak najszybciej do bezpiecznej przystani.

Barbarzyńca zamknął oczy i zastanowił się nad nadciągającą bitwą, jego pierwszą akcją, odkąd Duszek Morski wypłynął znów z Waterdeep. Będzie to dla Wulfgara chwila prawdy, moment w którym jego determinacja i siła woli będą musiały zapanować nad załamującą się wytrzymałością. Rozejrzał się po zabitych marynarzach, mężczyznach zamordowanych przez krwiożerczych piratów. Ci zabójcy zasługiwali na ponure przeznaczenie, które zapewne szybko ich doścignie, zasługiwali na zimną i samotną śmierć w ciemnych wodach albo na to, by zostali pojmani i zawiezieni do Waterdeep, nawet do Luskan, na proces i egzekucję.

Wulfgar powiedział sobie, że jego obowiązkiem jest pomścić tych niewinnych marynarzy, że jego obowiązkiem jest wykorzystywać dane mu przez bogów wojownicze męstwo, aby pomagać zaprowadzać sprawiedliwość w dzikim świecie, aby pomagać zapewniać bezpieczeństwo bezradnym i niewinnym osobom.

Stojąc tam na pokładzie zniszczonej kupieckiej karaweli, Wulfgar świadomie odwoływał się do każdej nobilitującej cechy, do każdego ideału. Stojąc tam na miejscu mordu, Wulfgar odwoływał się do swego instynktu obowiązku oraz odpowiedzialności, do altruizmu swych dawnych przyjaciół – szczególnie Drizzta, który nie zawahałby się rzucić w niebezpieczeństwo dla dobra kogoś innego.

Wciąż jednak widział Delly i Colson, stojące same w obliczu nieprzyjaznego świata, złamane żalem i biedą.

Szturchnięcie w bok uświadomiło barbarzyńcy, co dzieje się wokół niego, że tylko on oraz porucznik, który go dotknął pozostali z całej załogi na rannej karaweli. Podążył za porucznikiem ku służącej do abordażu desce i zauważył, że Robillard obserwuje każdy jego krok.

Wchodząc z powrotem na Duszka Morskiego, barbarzyńca zerknął ostatni raz na makabryczną scenę na kupieckim żaglowcu i wypalił obrazy martwych marynarzy w swej świadomości, aby mocje przywołać, gdy nadejdzie czas działania.

Bardzo starał się przy tym zdusić obrazy Delly oraz Colson, starał się przypomnieć sobie, kim był i kim musiał być.

* * *

Używając zdrowego rozsądku oraz odrobiny magii Robillarda, Duszek Morski miał pirata w zasięgu wzroku niedługo po następnym świcie. Wydawał się potężnym okrętem, dużym trójmasztowcem o wyraźnym tylnym pokładzie i katapultcie. Nawet z tej odległości, Deudermont widział wielu marynarzy miotających się po pokładzie pirata, z łukami w dłoniach.

– Carling Badeen? – Robillard spytał Deudermonta, podchodząc do niego na dziobie szybko żeglującego szkunera.

– Możliwe – odparł kapitan, obracając się w stronę swego szczupłego przyjaciela.

Duszek Morski ścigał Carlinga Badeena, jednego z okrytych najgorszą sławą piratów Wybrzeża Mieczy, od lat. Wyglądało na to, że w końcu dopadli wymykającego się podżynacza gardeł. Według pogłosek, okręt Badeena był duży, lecz powolny, dobrze opancerzony i uzbrojony, miał elitarnych łuczników oraz dwóch okrytych złą sławą czarodziejów.

Sam pirat Badeen był podobno jednym z najbardziej krwiożerczych ze swej czeredy i makabryczna scena na statku kupieckim z pewnością pasowała do jego wyczynów.

– Jeśli tak, to musimy spisać się jak najlepiej, albo zaryzykujemy utratę wielu marynarzy – stwierdził Robillard.

Deudermont, z okiem przyklejonym do lunety, nie sprzeciwił się.

– Jedna pomyłka, taka jak wiele, których ostatnio dokonaliśmy, może kosztować życie wielu członków załogi – naciskał czarodziej.

Deudermont opuścił lunetę i popatrzył na swego zagadkowego przyjaciela, po czym podążył za rozumowaniem Robillarda oraz jego wzrokiem ku Wulfgarowi, stojącemu przy sterburcie na śródokręciu.

– Jego pomyłki zostały mu pokazane – przypomniał Deudermont.

– Rozumiał logicznie te pomyłki nawet wtedy, gdy je wykonywał – zripostował Robillard. – Nasz wielki przyjaciel nie jest kontrolowany przez rozsądek, gdy rozpoczyna się walka, lecz przez emocje, przez strach i żal. Odwołujesz się do jego racjonalnego umysłu, gdy wyjaśniasz mu błędy i na tym poziomie słowa do niego docierają. Jednak, gdy rozpocznie się bitwa, ten racjonalny umysł, ten poziom logicznego postępowania, zostaje zastąpiony przez coś bardziej pierwotnego i najwyraźniej niekontrolowanego.

Deudermont słuchał uważnie, choć z pewną rezerwą. Wciąż, pomimo swych nadziei na coś dokładnie przeciwnego, nie mógł zaprzeczyć rozumowaniu swego czarodziejskiego przyjaciela. Nie mógł też zignorować implikacji dla reszty swej załogi, jeśli Wulfgar zachowa się irracjonalnie, przerywając Robillardowi kontrolę nad przebiegiem bitwy. W końcu okręt Badeena wiozł dwóch czarodziejów oraz sporą liczbę niebezpiecznych łuczników.

– Wygramy tę walkę zataczając koła wokół pełznącego okrętu – ciągnął Robillard. – Musimy być szybcy i żywo reagować, a także wykonywać gwałtowne zwroty.

Deudermont przytaknął, bowiem rzeczywiście Duszek Morski stosował swą manewrowość jako

główną broń przeciwko wielu większym okrętom, często ustawiał się bokiem wzdłuż rufy pirata by dokonać druzgocącej łuczniczej salwy we wrobie pokłady. Słowa Robillarda wydawały się więc dość oczywiste.

– Gwałtowne zwroty – powtórzył czarodziej, a Deudermont zrozumiał, co czarodziej miał naprawdę na myśli.

– Chcesz, żebym przydzielił Wulfgara do załogi rumpla.

– Chcę, żebyś zrobił to, co jest najlepsze dla bezpieczeństwa każdego człowieka na pokładzie Duszka Morskiego – odpowiedział Robillard. – Wiemy, jak pokonywać takie okręty jak ten, kapitanie. Proszę cię tylko o to, abyś pozwolił nam to zrobić w sprawdzony sposób, nie dokładając niebezpiecznej niewiadomej. Nie zamierzam zaprzeczać, że Wulfgar jest potężnym wojownikiem, lecz, w przeciwieństwie do swych przyjaciół, którzy niegdyś z nami żeglowali, jest nieprzewidywalny.

Robillard chciał kontynuować, lecz Deudermont przerwał mu podniesieniem dłoni i lekkim skinieniem głową, przyznając się do porażki w tej debacie. Wulfgar rzeczywiście zachowywał się niebezpiecznie w poprzednich spotkaniach, a gdyby zrobił tak teraz, przeciwko temu groźnemu piratowi, mogłoby to przynieść jedynie katastrofę.

Czy Deudermont zamierzał ryzykować dla dobra swego przyjaciela?

Popatrzył bacznie na Wulfgara. Wielki mężczyzna stał przy burcie wpatrując się intensywnie w ich zwierzynę, z zaciśniętymi pięściami i ognikami gorejącymi w błękitnych oczach.

* * *

Wulfgar ociągając się zszedł do ładowni, a wahanie jeszcze się zwiększyło, gdy uświadomił sobie, że tak naprawdę wolał być tam na dole. Obserwował zbliżającego się kapitana, podchodzącego do niego od Robillarda, lecz mimo to Wulfgar był zaskoczony, gdy Deudermont polecił mu, aby zszedł do ładowni rufowej, gdzie pracowała załoga rumplowa. Zwykle rumpel Duszka Morskiego działał przy pomocy samego znajdującego się powyżej koła sterowego, lecz gdy rozpoczynała się bitwa, nawigator przy kole mógł po prostu przekazywać swe komendy załodze poniżej, która silniej i pewniej zwracała okrętem w zalecany sposób.

Wulfgar nigdy dotąd nie obsługiwał manualnego rumpla i nie uważał go za optymalne miejsce na okazanie swych talentów.

– Skwaszona twarz – powiedział Grimsley, dowódca załogi rumpla. – Powinieneś się cieszyć, że nie stoisz na drodze czarodziejów i łuczników.

Wulfgar nie odpowiedział, jedynie podszedł i chwycił ciężki drąg sterowniczy.

– Umieścił cię tutaj dla twej siły, mniemam – ciągnął Grimsley, a Wulfgar zrozumiał, że stary siwy marynarz próbował złagodzić jego odczucia.

Barbarzyńca wiedział lepiej. Gdyby Deudermont naprawdę chciał wykorzystać jego wielką siłę do sterowania okrętem, postawiłby Wulfgara przy głównych halsach na górze. Kiedyś, wiele lat temu, znajdujący się na pokładzie starego Duszka Morskiego Wulfgar wspaniale i potężnie zawrócił okręt, unosząc jego dziób nad wodę, wykonując wydawałoby się niemożliwy manewr, który zapewnił im wygraną.

Teraz jednak wyglądało na to, że Deudermont nie ufałby mu nawet przy takim zadaniu, nie pozwalał mu nawet zobaczyć bitwy.

Wulfgarowi się to nie podobało – ani trochę – jednak był to okręt Deudermonta, przypomniawszy sobie. Nie do niego należało kwestionowanie poleceń kapitana, zwłaszcza gdy czekała ich walka.

Kilka chwil później rozległy się pierwsze ostrzegawcze krzyki. Wulfgar usłyszał wybuch eksplodującej w pobliżu kuli ognistej.

– Ciągnąć w lewo na pozycję trzecią! – wrzasnął Grimsley.

Wulfgar i inni mężczyźni przy długiej żerdzi pociągnęli mocno, ustawiając przednią końcówkę drąga na trzecim znaku na ścianie na lewo do środka.

– Z powrotem na lewą pierwszą! – krzyknął Grimsley. Para odpowiedziała, a Duszek Morski wykonał ostry zwrot. Wulfgar słyszał ciągłe krzyki na górze, brzęk cięciw, świsty katapulty oraz wybuchy magii. Dźwięki te wgryzały się do wnętrza wojowniczej tożsamości szlachetnego barbarzyńcy.

Wojowniczej?

Jak Wulfgar mógł się tak nazywać, gdy nie można mu było zaufać na tyle, by dopuścić go do walki, gdy nie pozwalano mu wykonywać zadań, które ćwiczył przez całe życie? Kim więc był, musiał się zastanawiać, skoro towarzysze – ludzie o mniejszych umiejętnościach walki oraz sile niż on – walczyli właśnie nad jego głową, podczas gdy on odgrywał jedynie rolę muła?

Warknąwszy, Wulfgar odpowiedział na następną komendę „Prawa druga!”, po czym pociągnął silnie z powrotem, gdy Grimsley, reagujący na rozszalałe okrzyki z góry zawołał do gwałtownego zwrotu w lewo, najostrożniejszego, na jaki Duszek Morski mógł sobie pozwolić.

Belki i rumpel jęknęły w proteście, gdy Wulfgar przeciągnął drąg do końca w lewo, a Duszek Morski pochylił się tak gwałtownie, że mężczyźni obsługujący żerdź za Wulfgarem stracili równowagę.

– Spokojnie! Spokojnie! – Grimsley wrzasnął do potężnego barbarzyńcy. – Nie chcesz chyba stracić załogi z pokładu, ty głupcze!

Wulfgar puścił trochę i zaakceptował łajanie, na które zasłużył. I tak zresztą niezbyt słuchał Grimsleya, nie licząc wyraźnych komend, jakie wyrzaskiwał stary wilk morski. Jego uwaga była bardziej skupiona na odgłosach bitwy powyżej, na wrzaskach i krzykach, na nieustannym ryku magii i katapulty.

Inni ludzie byli tam na górze w niebezpieczeństwie, byli na jego miejscu.

– Ba, nie martw się – stwierdził Grimsley, wyraźnie zauważając kwaśną minę, na twarzy Wulfgara. – Deudermont i jego chłopcy wygrają, nie wątp w to!

Wulfgar wcale w to nie wątpił. Kapitan Deudermont i jego załoga toczyli pomyślnie te bitwy na długo przed jego przybyciem. Jednak to nie to rozdzierało serce Wulfgara. Znał swoje miejsce i nie był w nim teraz, lecz z powodu słabości jego serca było to jedyne miejsce, w którym kapitan Deudermont mógł go z pełną odpowiedzialnością umieścić.

Ponad nim wybuchały kule ogniste i trzaskały błyskawice, brzęczały cięciwy i katapulty wysyłały swe płomienne ładunki przy akompaniamencie głośnych świstów. Bitwa ciągnęła się przez niemal godzinę, a gdy przez Grimsleya przekazano, że załoga może na powrót przymocować rumpel do koła sterowego, mężczyzna pracujący obok Wulfgara ochoczo podążył na pokład, by przyjrzeć się zwycięstwu, idąc tuż za Grimsleyem.

Wulfgar pozostał sam w ładowni rufowej, siedząc pod ścianą, zbyt zawstydzony, by pokazać swą twarz na górze, zbyt wystraszony, że ktoś zginął zamiast niego.

Krótką chwilę później usłyszał kogoś na drabinie i zdziwił się, widząc schodzącego Robillarda, który zakasał swą granatową szatę, by poradzić sobie ze stopniami.

– Kontrola jest na powrót przy sterze – powiedział czarodziej. – Nie sądzisz, że przydałbyś się, pomagając wynosić, co się da z pirackiego okrętu?

Wulfgar popatrzył na niego stanowczo. Nawet siedząc, barbarzyńca wydawał się górować nad czarodziejem. Wulfgar był od niego trzy razy cięższy, jego ręce były szersze niż chude nogi Robillarda. Na pozór, Wulfgar mógłby praktycznie bez żadnego wysiłku rozerwać czarodzieja na strzępy.

Jeśli Robillard choć trochę bał się barbarzyńcy, nigdy tego nie okazał.

– To ty mi to zrobiłeś – stwierdził Wulfgar.

– Co zrobiłem?

– To twoje słowa mnie tu umieściły, nie kapitana Deudermonta – wyjaśnił Wulfgar. – To ty to zrobiłeś.

– Nie, drogi Wulfgarze – Robillard powiedział zjadliwie. – Ty to zrobiłeś.

Wulfgar uniósł podbródek i patrzył buntowniczo.

– W obliczu potencjalnie trudnej bitwy, kapitan Deudermont nie miał innego wyboru niż relegować cię do tego miejsca – ochoczo wyjaśnił czarodziej. – Twoja własna bezczelność i niezależność nie pozwalały mu na nic innego. Czy sądzisz, że moglibyśmy ryzykować utratę marynarzy, by zaspokoić twój nieokiełznany szal i wysoką opinię o sobie?

Wulfgar przesunął się do przodu i przeszedł do przykucu, jakby zamierzał skoczyć i zadusić czarodzieja.

– Bowiem co innego niż taka opinia, chyba że sama czysta głupota, mogło kierować twoimi działaniami w ostatnich bitwach? – ciągnął Robillard, nie wyglądając jakby zrobiło to na nim wrażenie albo zaniepokoiło. – Jesteśmy zespołem, dobrze zdyscyplinowanym i o wyznaczonym miejscu dla każdego. Gdy ktoś nie odgrywa przypisanej mu roli, to jesteśmy osłabionym zespołem, pracującym przeciwko sobie zamiast w zgodzie. Tego nie możemy tolerować. Nie z twojej strony, nie ze strony kogokolwiek. Oszczędź mi więc swych obelg, swych oskarżeń i pustych gróźb, albo nagle zauważysz, że znalazłeś się w wodzie i musisz płynąć.

Oczy Wulfgara powiększyły się trochę, zdradzając jego celowo stoicką pozycję oraz spojrzenie.

– I zapewniam cię, jesteśmy daleko od lądu – dokończył Robillard i ruszył po drabinie. Przystanął jednak i popatrzył znów na Wulfgara. – Jeśli nie podobała ci się dzisiejsza walka, to być może rozsądnie będzie pozostać na lądzie, gdy następnym razem przybijemy do Waterdeep?

– Tak, to chyba będzie najlepsze – podjął Robillard po chwili przerwy, po przyjęciu zadumanej postawy. – Wróć na ląd, Wulfgarze. To nie jest miejsce dla ciebie.

Czarodziej odszedł, lecz Wulfgar nie podążył za nim. Barbarzyńca osunął się na ścianę, wracając do pozycji siedzącej, myśląc o tym, kim niegdyś był, o tym, kim był teraz – była to straszliwa prawda, której nie chciał stawiać czoła.

Nie był nawet w stanie skierować myśli naprzód, by zastanowić się, kim chciał się stać.

ŚCIEŻKI SIĘ KRZYŻUJĄ... NIEMAL

Le'lorinel kroczył ulicą Dollemanda w Luskan, chód elfa zdradzał niepokój i podniecenie. Zmierzał do prywatnego apartamentu, w którym miał się spotkać z osobą reprezentującą Sheilę Kree. Wszystko wydawało się teraz do siebie dopasowywać, droga do Drizzta Do'Urdena, droga do sprawiedliwości.

Elf zatrzymał się raptownie i obrócił dookoła, gdy z zaułka wyszły dwie zakapturzone postacie. Położywszy dłonie na mieczu i sztylcie, Le'lorinel musiał wziąć głęboki oddech, uświadamiając sobie, że nie są zagrożeniem. Nie zwracali na elfa nawet najmniejszej uwagi, po prostu szli ulicą w swą stronę, w przeciwnym kierunku.

– Zbyt niespokojny – elf cicho zachichotał, wsuwając miecz i sztylet z powrotem do pochew.

Ostatni raz spojrzawszy za odchodzącą parą, Le'lorinel roześmiał się i skierował z powrotem do apartamentu, podejmując marsz drogą prowadzącą do Drizzta Do'Urdena.

* * *

Idący w drugą stronę ulicą Dollemanda Drizzt i Catti-brie nawet nie zauważyli Le'lorinela, gdy elf obrócił się do nich, uważając ich za zagrożenie. Gdyby Drizzt nie miał na sobie kaptura, jego charakterystyczne długie, gęste, białe włosy wyraźnie zdradziłyby go przed żadnym zemsty elfem.

Kroki pary były nie mniej pełne ekscytacji niż Le'lorinela, niosąc ich w przeciwnym kierunku, na spotkanie z Morikiem Łotrem oraz wieściami o Wulfgarze. Znaleźli łotrzyka w umówionym miejscu, przy odosobnionym stoliku w Cutlassie Arumna Gardpecka. Uśmiechnął się widząc, że się zbliżają i uniósł w toaście spieniony kufel piwa.

– A więc masz informacje? – spytała Catti-brie, wsuwając się na krzesło naprzeciwko łotrzyka.

– Tyle, ile dało się znaleźć – odrzekł Morik. Jego uśmiech przygasł i mężczyzna położył na stoliku otrzymaną od Drizzta sakiewkę z monetami. – Możecie zabrać część z powrotem – Morik przyznał, popychając jaw stronę pary.

– Zobaczymy – powiedział Drizzt.

Morik wzruszył ramionami, lecz nie sięgnął po pakunek.

– Niewiele można się dowiedzieć o Sheili Kree – zaczął. – Będę z wami szczerzy mówiąc, że nie lubię nawet nikogo o nią wypytywać. Jedynymi, którzy naprawdę coś o niej wiedzą, są jej liczni dowódcy, wszystko kobiety, a żadna z nich nie przepada za mężczyznami. Mężczyźni, którzy zbyt wiele pytają o Kree zwykle giną lub muszą uciekać, a ja nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie.

– Ale powiedziałaś, że trochę się dowiedziałaś – ponagliła podekscytowana Catti-brie.

Morik przytaknął i pociągnął duży łyk piwa.

– Krążą plotki, że działa w swym osobistym, sekretnym porcie gdzieś na północ od Luskan, pewnie mieszczącym się w jednej z licznych zatoczek wzdłuż krańca Grzbietu Świata. To miałoby sens, bowiem ostatnio jest rzadko widywana w Luskan i nigdy nie żegluje po wodach na południu. Nie sądzę, by kiedykolwiek widziano jej okręt w Waterdeep.

Drizzt popatrzył na Catti-brie i oboje zgodzili się milcząco ze sobą. Przez jakiś czas ścigali piratów wraz z Deudermontem, głównie na południe od doków Waterdeep, i żadne z nich nigdy nie słyszało o piratce Kree.

– Jak nazywa się jej okręt? – zapytała Catti-brie.

– Krwawy Kil – odrzekł Morik. – Dobrze zasłużona nazwa. Sheila bardzo lubuje się w przeciąganiu swych ofiar pod kilem. – Wzdrygnął się widocznie i wziął następny łyk. – To wszystko, co mam – dokończył i znów popchnął torbę z monetami w stronę Drizzta.

– I więcej niż się spodziewałem – odparł drow, odsuwając ją z powrotem. Tym razem, po krótkiej pauzie i porozumiewawczym spojrzeniu, Morik wziął ją i schował.

– Jest jeszcze jedno – powiedział łotrzyk, gdy para wstała, by odejść. – Zgodnie z wszelkimi doniesieniami, ostatnio nie widywano zbyt często Sheili. Możliwe, że się ukrywa, wiedząc, że Deudermont na nią poluje.

– Przy jej reputacji i młocie Wulfgara, nie sądzisz, że spróbowałyby przejąć Duszka Morskiego! – spytała Catti-brie.

Morik roześmiał się w głos, zanim jeszcze skończyła zadawać pytanie.

– Kree nie jest głupia, a trzeba by być głupim, aby porwać się przeciwko Duszkowi Morskiemu na otwartym morzu. Duszek Morski ma tylko jeden cel, żeby tam być, a wraz ze swą załogą wykonuje to zadanie absolutnie skutecznie. Kree może mieć młot bojowy, lecz Deudermont ma Robillarda, a on jest paskudny! I Deudermont ma Wulfgara. Nie, Kree się przyczaiła i mądrze robi. To może jednak działać także na naszą korzyść.

Urwał, upewniając się, że ich uwaga zwrócona jest na niego, jak zdecydowanie było.

– Kree zna wody na pomoc stąd lepiej niż ktokolwiek – wyjaśnił Morik. – Z pewnością lepiej niż Deudermont, który spędza większość swego czasu na południu. Jeśli się ukrywa, dobry kapitan będzie miał kłopoty ze znalezieniem jej. Uważam za prawdopodobne, iż Duszka Morskiego czeka wiele podróży, zanim Krwawy Kil znajdzie się w ogóle w zasięgu jego wzroku. Drizzt i Catti-brie znów wymienili zaciekawione spojrzenia.

– Może powinniśmy pozostać w mieście, jeśli chcemy znaleźć Wulfgara? – zaproponował drow.

– Duszek Morski nie przybija już często do Luskan – wtrącił Morik. – Czarodziej okrętowy nie przepada za Gościnną Wieżą Wtajemniczonych.

– A dobre imię kapitana Deudermonta ucierpiało trochę, prawda? – spytała Catti-brie.

Twarz Morika zdradzała zaskoczenie.

– Deudermont i jego załoga są największymi łowcami piratów na Wybrzeżu Mieczy dłużej niż wskazują wspomnienia najstarszych elfów – powiedział.

– Chodzi mi o uwolnienie ciebie i Wulfgara – Catti-brie wyjaśniła z niecelowym uśmiechem. – Słyszeliśmy, że sędziowie nie spoglądali chętnie na jego działania na Więziennym Karnawale.

– To wszystko idioci – mruknął Morik. – Lecz owszem, reputacja Deudermonta ucierpiała tego dnia – dnia, w którym postąpił w imię sprawiedliwości, a nie polityki. Osobiście byłoby dla niego lepiej, gdyby pozwolił nas zabić, lecz...

– Na szczęście nie zrobił tego – Drizzt dokończył za niego.

– Deudermont nigdy nie lubił karnawału – stwierdziła Catti-brie.

– Więc jest prawdopodobne, że kapitan znalazł przychylniejsze schronienie dla swego okrętu – ciągnął Morik. – Waterdeep, jak zgaduję, bowiem tam jest najlepiej znany i podobno ma tam całkiem niezły dom.

Drizzt znów popatrzył na Catti-brie.

– Możemy tam być w dekadzień – zasugerował, a kobieta przytaknęła, zgadzając się.

– Miło było cię poznać, Moriku, i dziękujemy za czas, jaki nam poświęciłeś – powiedział drow. Skłonił się i odwrócił do wyjścia.

– Jesteś opisywany tak samo, jak mógłby być opisywany paladyn, mroczny elfie – stwierdził Morik, sprawiając, że oboje przyjaciół obróciło się do niego po raz ostatni. – Prawy i uczciwy we

własnym przekonaniu. Czy twoja reputacja nie ucierpi na kontaktach z takimi jak Morik Łotr?

Drizzt odpowiedział uśmiechem, który w jakiś sposób zdołał jednocześnie być ciepły, wyrażający dezaprobatę z samego siebie oraz ukazujący wyraźnie śmieszność słów Morika.

– Z tego, co słyszałem, byłeś przyjacielem Wulfgara. Zaliczam Wulfgara do moich najbardziej zaufanych towarzyszy.

– Wulfgara, którego znałeś, czy tego, którego ja znałem? – spytał Morik. – Być może nie są jednym i tym samym.

– Być może są – odrzekł Drizzt i znów się skłonił, podobnie jak Catti-brie, po czym oboje wyszli.

* * *

Le'lorinel z wahaniem wszedł do małego pomieszczenia na zapleczu tawerny, trzymając dłonie na sztylcie i mieczu. Kobieta – reprezentantka Sheili Kree, jak sądził Le'lorinel – siedziała po przeciwległej stronie pokoju, nie za żadnym biurkiem, lecz po prostu pod ścianą, na otwartej przestrzeni. Po obu jej stronach stało dwóch wielkich strażników, osiłeków, w których żyłach według Le'lorinela płynęło coś więcej niż tylko ludzka krew – trochę orczej, może nawet ogrzej.

– Wejdz – kobieta powiedziała przyjaznym i swobodnym głosem. Podniosła dłonie, by pokazać elfowi, że nie ma żadnej broni. – Prosiłeś o audiencję, a więc ją uzyskałeś.

Le'lorinel odprężył się lekko, zsuwając jedną dłoń z rękojeści broni. Zerknięcie w prawo i w lewo pokazało mu, że nikt nie ukrywał się w małym i nieznacznie umeblowanym pokoju, tak więc elf wykonał krok naprzód.

Prawy sierpowy pojawił się znikąd, ciężki cios, który trafił nie podejrzewającego elfa w bok żuchwy.

Tylko daleka ściana powstrzymała zataczającego się Le'lorinela przed upadkiem na podłogę. Elf walczył z falami oszołomienia i dezorientacji, walczył, by znaleźć jakąś równowagę.

Trzeci strażnik, największy z całej trójki, stał się widoczny, ukrywające go zakłęcie zostało rozproszone na skutek ataku. Uśmiechając się paskudnie przez kilka krzywych żółtych zębów, osiłek wykonał kolejny ciężki cios, tym razem opróżniając płuca otumanionego elfa z powietrza.

Le'lorinel sięgnął po sztylet i miecz, lecz trzeci cios, od dołu, trafił dokładnie w podbródek elfa, unosząc Le'lorinela w powietrze. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Le'lorinel było zbliżanie się pozostałych dwóch, wielkie dłonie jednego były owinięte łańcuchami.

Skierowane w dół uderzenie trafiło elfa w bok głowy, wywołując miriady roziskrzonych wybuchów.

Wszystko stało się czarne.

* * *

– Informacja nie jest tak wysoką ceną – Val-Doussen powiedział dramatycznie, bowiem wszystko mówił dramatycznie, wymachując rękoma tak, że jego pojemne rękawy bardziej wydawały się kruczymi skrzydłami. – Czy proszę was o tak wiele?

Drizzt pochylił głowę i przejechał palcami po gęstych białych włosach, zerkając z ukosa na Catti-brie. Przybyli do Gościnnej Wieży Wtajemniczonych, luskańskiej gildii czarodziejów, w nadziei, że znajdą maga udającego się do Dekapolis, który mógłby przekazać wiadomość Bruenorowi. Wiedzieli, że krasnolud straszliwie się martwi, a rzeczy, których dowiedzieli się na temat Wulfgara, choć nie potwierdzały, czy żyje, zdecydowanie wskazywały w pozytywną stronę.

Skierowano ich do tego odzianego w czerń, ekscentrycznego Val-Doussena, który planował podróż do Doliny Lodowego Wichru za kilka dekadni. Nie sądzili, że proszą czarodzieja o wiele, lecz siwowłosa i brodaty czarodziej zainteresował się wielce Drizstem, a szczególnie jego pochodzeniem.

Przekaze informację Bruenorowi, jak prosili, lecz tylko wtedy, gdy Drizzt opowie mu o społeczeństwie mrocznych elfów z Menzoberranzan.

– Nie mam czasu – kolejny raz powiedział Drizzt. – Kieruję się na południe, do Waterdeep.

– Może nasz czarodziejski przyjaciel mógłby nas szybciej zabrać do Waterdeep – wtrąciła się z nagłym pomysłem Catti-brie, gdy Val-Doussen zaczął nerwowo ciągnąć się za brodę.

Po przeciwnej stronie komnaty drugi obecny mag, jeden z przywódców gildii o imieniu Cannabere, zaczął szaleńczo wymachiwać rękoma, odrzucając tę sugestię z wyrazem największego niepokoju na pomarszczonej starej twarzy.

– Cóż, cóż – powiedział Val-Doussen, podejmując sugestię Catti-brie. – Tak, to wymagałoby odrobiny wysiłku, lecz można to zrobić. Za cenę, oczywiście, i to sporą. Tak, pozwólcie mi pomyśleć... Zabiorę was oboje do Waterdeep w zamian za tysiąc złotych monet oraz dwa dni opowieści o Menzoberranzan. Tak, tak, to może być dobre. Oczywiście później udam się do Dekapolis, jak planowałem, i porozmawiam z Bruenorem, lecz to za kolejny dzień drowich opowieści.

Popatrzył na Drizzta oczyma roziskrzonymi podnieceniem, lecz drow jedynie potrząsnął głową.

– Nie mam żadnych opowieści – stwierdził Drizzt. – Odszedłem stamtąd, zanim dobrze poznałem to miejsce. Tak naprawdę jestem pewien, że wielu innych, zapewne również ty, wie o Menzoberranzan więcej niż ja.

Val-Doussen wydał wargi.

– A więc jeden dzień opowieści i zabiorę wasz list do Bruenora.

– Żadnych opowieści o Menzoberranzan – odparł stanowczo Drizzt. Sięgnął pod połę płaszcza i wyciągnął list, który przygotował dla Bruenora. – Zapłacę ci dwadzieścia sztuk złota, a jest to wielka suma za tak małą przysługę, żebyś dostarczył to do radcy w Brynn Shander, dokąd i tak się udajesz, z prośbą o przekazanie tego Regisowi z Samotnego Lasu.

– Małą przysługę? – Val-Doussen spytał dramatycznie.

– Spędziliśmy więcej czasu dyskutując nad tą kwestią niż tobie zajmie wykonanie mojej prośby – odrzekł Drizzt.

– Chcę moich opowieści! – nalegał czarodziej.

– Od kogoś innego – odpowiedział Drizzt. Wstał, by wyjść, Catti-brie uczyniła to samo.

Niemal doszli już do drzwi, gdy Cannabere zawołał za nimi:

– On to zrobi.

Drizzt odwrócił się, by popatrzeć na mistrza gildii, a następnie na prychnącego Val-Doussena.

Cannabere również spojrział na zdenerwowanego maga, po czym skinął Drizztowi głową. Westchnąwszy głęboko, Val-Doussen podszedł i wziął wiadomość. Gdy zaczął wyciągać dłoń po zapłatę, Cannabere dodał:

– Będzie to przysługa dla ciebie, Drizzcie Do'Urdenie, oraz nasze podziękowania za waszą pracę na Duszku Morskim.

Val-Doussen znów mruknął, lecz chwycił list i odwrócił się.

– Być może przekażę ci jakąś opowieść lub dwie, gdy znów się spotkamy – Drizzt powiedział, by go udobruchać, gdy czarodziej opuszczał gwałtownie pokój.

Drow popatrzył na mistrza gildii, który jedynie skinął uprzejmie głową, a Drizzt i Catti-brie ruszyli w swoją stronę, kierując się ku południowej bramie Luskan oraz do Waterdeep.

Ciasne sznury wyryły głębokie linie na nadgarstkach Le'lorinela, gdy elf siedział wyprostowany na twardym, wysokim krześle o prostym oparciu. Wokół szyi Le'lorinela owinięta była nawet skórzana opaska, dobrze przytrzymująca elfa i zmuszająca go do krzywienia twarzy.

Jedno oko nie otwierało się do końca, było spuchnięte od bicia, a obydwie barki bolały i widniały na nich fioletowe siniaki, bowiem elf nie miał już na sobie tuniki, nie miał już na sobie wielu ubrań.

Gdy jego oczy dostosowały się, Le'lorinel zauważył, że w pokoju pozostała ta sama czwórka – trzech osiłkowatych strażników oraz brązowowłosa kobieta o średniej budowie. Strażnicy stali z boku, kobieta siedziała dokładnie naprzeciwko niego, wpatrując się bacznie w więźnia.

– Moja pani nie przepada za osobami wypytującymi o nią publicznie – stwierdziła kobieta, a jej oczy błąkały się po świetnie umięśnionej sylwetce Le'lorinela.

– Twoja pani nie potrafi odróżnić przyjaciela od wroga – odparł wiecznie butny Le'lorinel.

– Niektóre rzeczy ciężko odróżnić – kobieta zgodziła się i uśmiechnęła kontynuując wizualne badanie.

Le'lorinel wydał z siebie kpiący chichot, a kobieta skinęła głową w bok. Osiłkowaty wartownik znalazł się momentalnie przy więźniu, uderzając go paskudnie w twarz.

– Twoje zachowanie doprowadzi cię do śmierci – spokojnie stwierdziła kobieta.

Tym razem to Le'lorinel popatrzył na nią bacznie.

– Chodziłeś po całym Luskan rozpytując o Sheilę Kree – kobieta podjęła po kilku chwilach. – O co chodzi? Jesteś związany z władzami? A może z tym łajdakiem Deudermontem?

– Jestem sam i nie mam żadnych przyjaciół na zachód od Silverymoon – Le'lorinel odrzekł z równym spokojem.

– Lecz masz imię spodziewanego kontaktu, które beztrząsco podajesz każdemu, kto słucha.

– Nie całkiem – odpowiedział elf. – Rozmawiałem o Kree tylko z jedną grupą i tylko dlatego, że sądziłem, iż mogą mnie do niej doprowadzić.

Kobieta znów skinęła głową i osiłek ponownie uderzył Le'lorinela w twarz.

– O Sheili Kree – kobieta sprostowała.

Le'lorinel nie odpowiedział słyszalnie, lecz wykonał lekkie, pełne szacunku skinienie.

– Powinieneś więc się wytłumaczyć, tu i teraz, zważając bacznie na swe słowa – wyjaśniła kobieta. – Dlaczego tak bardzo szukasz mojej szefowej?

– Zgodnie ze wskazaniami wieszczka – przyznał Le'lorinel. – Tego, który stworzył dla mnie ten szkic.

Gdy elf skończył, kobieta uniosła pergamin, na którym widniał symbol Aegis-fanga, symbol, który stał się tak powiązany z piracką bandą Sheili Kree.

– Przybywam w poszukiwaniu innego, niebezpiecznego wroga, który odnajdzie Kr... Sheilę Kree – wytłumaczył Le'lorinel. – Nie znam czasu ani miejsca, lecz zgodnie ze słowami wieszczka wypełnię mą misję, walcząc z tym łotrem, gdy znajdę się w towarzystwie Sheili Kree, jeśli to rzeczywiście Sheila Kree nosi teraz broń oznaczoną tymi insygniami.

– Niebezpiecznego wroga? – spytała chytrze kobieta. – Może kapitana Deudermonta?

– Drizzta Do'Urdena – stwierdził wyraźnie Le'lorinel, nie widząc żadnego powodu, by ukrywać prawdę, zwłaszcza że wszelkie źle zrozumiane słowa mogły okazać się katastrofalne dla misji oraz dla samego życia elfa. – Mrocznego elfa i przyjaciela tego, kto niegdyś posiadał tę broń.

– Drowa? – zapytała sceptycznie kobieta, nie widać było po niej, by rozpoznawała to dziwne imię.

– W istocie – Le'lorinel powiedział z prychnięciem. – Bohatera ziem północy. Uwielbianego przez wielu w Dolinie Lodowego Wichru i w innych miejscach.

Mina kobiety stała się zaciekawiona, jakby mogła słyszeć o takim drowie, lecz jedynie wzruszyła ramionami.

– I on szuka Sheili Kree? – spytała.

Tym razem to Le'lorinel wzruszył ramionami – gdyby tylko trzymające go więzy pozwoliły na taki ruch.

– Wiem tylko to, co powiedział mi wieszcz i podróżowałem wiele setek kilometrów, by moja wizja się ziściła. Zamierzam zabić tego mrocznego elfa.

– A co w takim razie z relacją wobec mojej szefowej? – zapytała kobieta. – Czy jest jedynie pionkiem w twojej misji?

– Ona... jej dom, czy forteca, czy okręt, czy cokolwiek, w czym rezyduje, jest po prostu moim celem, tak – przyznał Le'lorinel. – Póki co nie mam żadnej relacji z twoją szefową. To, czy ta

sytuacja zmieni się, czy też nie będzie zapewne mieć więcej wspólnego z nią niż ze mną, bowiem... – Elf przerwał i popatrzył na swe więzy.

Kobieta spędziła długą chwilę przyglądając się elfowi i rozważając jego dziwną opowieść, po czym znów skinęła głową swym osiłkowanym strażnikom, dając im subtelny, acz wyraźny sygnał.

Jeden z nich podszedł szybko do Le'lorinela, wyciągając drugi, zębaty nóż. Elf pomyślał, że nadeszła zguba, lecz osiłek stanął za krzesłem i przeciął więzy na nadgarstkach. Inny wyszedł z cieni z boku pokoju, niosąc ubrania i ekwipunek Le'lorinela, poza bronią i zaklętym pierścieniem.

Le'lorinel popatrzył na kobietę, usilnie starając się zignorować rozczarowane grymasy trzech osiłków i zauważył, że to ona miała na sobie pierścień – pierścień, którego Le'lorinel tak desperacko potrzebował, aby wygrać walkę z Drizztem Do'Urdenem.

– Oddajcie też broń – kobieta poleciła strażnikom i wszyscy trzej przystanęli, spoglądając na nią niedowierzająco, a może po prostu głupawo.

– Droga do Sheili Kree jest usiana niebezpieczeństwami – kobieta wyjaśniła. – Zapewne będziesz potrzebował swych kling. Nie rozczaruj mnie w tej podróży, a być może przeżyjesz wystarczająco długo, by przekazać swą opowieść Sheili Kree, choć czy wysłucha jej w pełni, czy też po prostu zabije cię dla samej płynącej z tego radości, pokaże jedynie czas.

Le'lorinel musiał się tym zadowolić. Elf zebrał odzienie i ubrał się, usilnie starając się nie spieszyć, cały czas starając się pozostawać oburzonym na nieokrzesanych strażników.

Wkrótce wszyscy pięcioro znaleźli się na drodze, wychodząc przez północną bramę Luskan.

NIECH DIABLI WEZMĄ ZIMĘ

– Od Drizzta – wyjaśnił Cassius, podając Regisowi pergamin. – Dostarczony przez wielce nieprzyjemnego osobnika z Luskan. Czarodzieja o wielkim znaczeniu, przynajmniej według niego samego. Regis wziął zrolowaną i związaną wiadomość, po czym rozwiązał przytrzymujący ją rzemień.

– Będziesz zadowolony, jak sądzę – ponaglił go Cassius. Niziołek popatrzył na niego sceptycznie.

– Czytałeś to?

– Czarodziej z Luskan, który nazywa się Val-Doussen i uważa, że jest obdarzony wielkim intelektem, zapomniał imienia osoby, której miałem to oddać – Cassius wyjaśnił cierpko. – Tak więc owszem, przejrzałem to i z zawartości wynika jasno, że jest do ciebie, do Bruenora Battlehammera albo do was obydwu.

Regis przytaknął, jakby był tym usatysfakcjonowany, lecz tak naprawdę uważał, iż Cassius mógł się tego domyślić, nie czytając wcale listu. W końcu do kogo innego Drizzt oraz Catti-brie mogliby wysyłać wiadomości? Niziołek odpuścił sobie jednak, zbyt przejęty tym, co Drizzt mógł mieć do powiedzenia. Rozwinął więc list, przebiegając szybko wzrokiem po słowach.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Być może barbarzyńca wciąż żyje – stwierdził Cassius.

– Na to wygląda – powiedział niziołek. – A przynajmniej znamię, jakie znaleźliśmy na kobiecie nie oznacza tego, czego się obawialiśmy.

Cassius przytaknął, lecz Regis nie mógł nie zauważyć chmury, jaka przysłoniła jego twarz.

– O co chodzi? – spytał niziołek.

– O nic.

– O coś więcej niż nic – stwierdził Regis i zastanowił się nad własnymi słowami, które wywołały owo lekkie zmarszczenie brwi. – Ta kobieta – uznał. – Co z nią?

– Nie ma jej – przyznał Cassius.

– Nie żyje?

– Uciekła – sprostował starszy. – Przed dekadniem. Radca Kemp umieścił ją na statku rybackim z Targos, innym niż ten, na którym umieścił pozostałych łajdaków, bowiem wiedział, że jest zdecydowanie najbardziej niebezpieczna. Wskoczyła z pokładu zaraz po tym, jak statek odbił od brzegu.

– A więc zginęła, zamarła w Maer Dualdon – stwierdził Regis, bowiem znał dobrze jezioro i wiedział, że nikt nie zdołałby przeżyć w jego zimnych wodach nawet w środku lata, nie mówiąc już o tej porze roku.

– Tak uważała załoga – powiedział Cassius. – Musiała mieć na sobie jakieś zaklęcie, bowiem wyłoniła się z wody niedaleko od zachodnich skrajów Targos.

– Więc leży martwa gdzieś na południowym brzegu jeziora – rzekł niziołek. – Albo błąka się bliska śmierci wzdłuż brzegu.

Cassius potrząsał głową przy każdym słowie.

– Jule Pepper jest sprytna, jak się wydaje – powiedział. – Nigdzie nie można jej znaleźć, a z gospodarstwa na zachód od miasta skradziono ubranie. Zapewne jest już daleko w drodze z Doliny Lodowego Wichru, a ja ją chętnie żegnam.

Regis nie myślał tymi samymi kategoriami. Zastanawiał się, czy Jule Pepper stanowiła jakieś zagrożenie dla jego przyjaciół. Jule wiedziała oczywiście o Drizzcie i zapewne żywiła wobec niego urazę. Jeśli wróciła do swej starej łupieżczej bandy, być może drogi jej i drowa znów się zejdą.

Regis zmusił się do uspokojenia, przypominając sobie dwoje przyjaciół, Drizzta i Catti-brie, o których się bał. Jeśli Jule Pepper skrzyżuje drogi z tą parą, to biada dla niej, uznał, i dał sobie z tym spokój.

– Muszę iść do Bruenora – powiedział do Cassiusa. Chwycił mocno pergamin w dłoń i wypadł z domu starosty, pędząc przez Brynn Shander w nadziei, że zdoła dogonić karawanę kupiecką, która jak wiedział odjeżdżała tego poranka do krasnoludzkich kopalni.

Miał szczęście i udało mu się dogadać, by spędzić podróż na wozie pełnym worków z ziarnem. Spał niemal przez całą drogę.

Bruenor był w paskudnym nastroju, gdy Regis znalazł go w końcu późnym wieczorem – nastroju który był u niego zwyczajowy, odkąd Drizzt i Catti-brie opuścili Dekapolis.

– Przynosicie słaby kamień! – rudobrody król krasnoludów zawył do pary młodych górników o twarzach i brodach czarnych od kurzu oraz pyłu. Bruenor podniósł jedną z próbek skały, którą wyciągnął z ich małego wózka i zmiażdżył ją w dłoni. – Sądzicie, że jest w tym warta czegoś

ruda? – spytał niedowierzająco.

– Trudny wykop – stwierdził jeden z młodszych krasnoludów, którego czarna broda sięgała ledwo do środka szerokiej szyi. – Jesteśmy w najgłębszym otworze, wisimy do góry nogami...

– Ba, ale bierzecie mnie za kogoś, kto chce słuchać waszego skamlania! – zaryczał Bruenor. Krasnoludzki król zacisnął zęby oraz pięści i wydał z siebie donośny warkot, trzęsąc się tak, jakby wyzwał z ciała całą swą wściekłość.

– Mój królu! – zakrzyknął czarnobrody krasnolud. – Pójdziemy po lepszy kamień!

– Ba! – parsknął Bruenor.

Odwrócił się i uderzył mocno ciałem w wyładowany wózek, przewracając go. Jakby ten wybuch złagodził napięcie, Bruenor stał, wpatrując się w wózek oraz rozsypane po korytarzu kamienie, trzymając krzepkie dłonie na biodrach. Zamknął oczy.

– Ni musicie wracać na dół – rzekł spokojnie do pary. – Oczyszćcie się i weźcie sobie jakieś jedzenie. Ni ma nic złego w większości tej rudy, to wasz król potrzebuje trochę twardości, zgodnie z moimi własnymi oczami i uszami.

– Tak, mój królu – obydwie krasnoludy powiedziały jednocześnie. Wtedy z drugiej strony pojawił się Regis i skinął głową parze.

Krasnoludy odwróciły się i odeszły, mamrocząc.

Niziołek podszedł i położył dłoń na ramieniu Bruenora. Krasnoludzki król niemal wyskoczył z butów, obracając się z furią na twarzy.

– Ni rób tak! – ryknął, choć uspokoił się trochę, gdy zobaczył, że to tylko Regis. – Ni powinienesz być na spotkaniu rady?

– Mogą sobie poradzić beze mnie – odparł niziołek, zmuszając się do uśmiechu. – Sądzę, że ty możesz mnie bardziej potrzebować.

Bruenor popatrzył na niego z zaciekawieniem, więc Regis jedynie odwrócił się i poprowadził wzrok krasnoluda w głąb korytarza, ku oddalającej się parze.

– Przystępcy? – niziołek spytał z sarkazmem.

Bruenor kopnął kamień, posyłając go w ścianę, znów wyglądał jakby był tak pełen wściekłości oraz frustracji, że mógłby po prostu eksplodować. Ciemna chmura przeminęła jednak szybko, zastąpiona bardziej ogólną ponurą aurą, a barki krasnoluda opadły. Pochylił głowę i potrząsnął nią powoli.

– Ni mogę znów stracić mego chłopca – przyznał.

Regis znalazł się natychmiast przy nim, kładąc uspokajająco dłoń na ramieniu Bruenora. Gdy tylko krasnolud podniósł wzrok na przyjaciela, Regis uśmiechnął się do niego szeroko i pokazał mu pergamin.

– Od Drizzta – wyjaśnił niziołek.

Ledwo te słowa zdołały opuścić usta Regisa, a już Bruenor wyrwał mu pergamin i rozwinął.

– On i Catti-brie znaleźli chłopca! – zawył krasnolud, lecz urwał gwałtownie, gdy czytał dalej.

– Nie, ale odkryli, jak Wulfgar został rozdzielony z Aegis-fangiem – szybko dodał Regis, bowiem to w końcu było głównym źródłem ich troski, że barbarzyńca może być martwy.

– Idziemy – oznajmił Bruenor.

– Idziemy? – powtórzył Regis. – Dokąd?

– Coby znaleźć Drizzta i Catti-brie. Coby znaleźć mego chłopca! – ryknął krasnolud. Popędził w głąb korytarza. – Wychodzimy dziś w nocy, Pasibrzuchu. Przygotuj się.

– Ale... – zaczął odpowiadać Regis. Wyjąkał początek szeregu argumentów, z których głównym był fakt, iż robiło się późno jak na opuszczanie Dekapolis. Szybko kończyła się jesień, a Dolina Lodowego Wichru nigdy nie była znana ze szczególnie długich jesieni, zimy zawsze wydawały się żarłocznie dążyć do objęcia regionu w swe posiadanie.

– Pójdziemy do Luskan, ni martw się Pasibrzuchu! – zawył Bruenor.

– Powinieneś zabrać ze sobą krasnoludy – wyjąkał Regis, podbiegając, by go dogonić. – Tak, krzepkie krasnoludy, które mogą stawić czoła zimowym śniegom i mogą walczyć...

– Nie potrzebuję mych ziomków – zapewnił go Bruenor. – Mam przy sobie ciebie i wiem, co żałowałbyś okazji, by pomóc mi znaleźć mego chłopca.

Nie chodziło tyle o to, co Bruenor powiedział, lecz sposób, w jaki to powiedział – była to beznamiętna deklaracja nie pozostawiająca śladu wątpliwości, że nie chciał nawet słuchać spornych argumentów.

Regis wydusił z siebie kilka niezrozumiałych odgłosów, po czym jedynie westchnął ze zrezygnowaniem.

– Wszystkie moje zapasy na drogę są w Samotnym Lesie – zdołał się poskarżyć.

– I wszystko, czego potrzebujesz jest tutaj w mych jaskiniach – wyjaśnił Bruenor. – Po drodze zajrzemy do Brynn Shander, cobyś mógł wytłumaczyć się przed Cassiusem. Zajmie się twym domem i rzeczami.

– Istotnie – Regis wymamrotał pod nosem i to czysto sarkastycznym tonem, bowiem gdy ostatnim razem opuścił okolicę, za każdym razem, gdy opuszczał Dolinę Lodowego Wichru, odkrywał, że nic na niego nie czekało. Mieszkańcy Dekapolis byli dość ucziwi jako sąsiedzi, lecz zdecydowanie drapieżni, gdy przychodziło do oczyszczania opuszczonych domów. Nawet jeśli miały być opuszczone tylko na krótki czas.

Zgodnie ze słowami Bruenora, niziołek i krasnolud znaleźli się w drodze jeszcze tej nocy, wędrując pod kryształowym niebem i chłodnym wichrem, podążając ku odległym światłom Brynn Shander. Przybyli tuż przed świtem i choć Regis błagał o cierpliwość, Bruenor skierował się prosto do domu Cassiusa i zadudnił donośnie w drzwi, wołając wystarczająco głośno, by obudzić nie tylko Cassiusa, lecz także sporą liczbę jego sąsiadów.

Zaspany Cassius otworzył w końcu drzwi.

– Masz pięć minut! – ryknął krasnolud i wepchnął Regisa do środka.

Gdy według Bruenora minął wyznaczony czas, krasnolud wpadł przez drzwi, złapał niziołka za kark, skierował do Cassiusa kilka nieszczerych przeprosin i wyciągnął Regisa za drzwi. Bruenor popędzał go przez całą drogę za miasto i przez zachodnią bramę.

– Cassius poinformował mnie, że rybacy spodziewają się wichury – Regis powtarzał raz za razem, lecz jeśli nawet Bruenor go słyszał, nie było tego widać po zdeterminowanym krasnoludzie. – Wiatr i deszcz będą już wystarczająco złe, lecz jeśli dojdą jeszcze do tego śnieg i deszcz ze śniegiem...

– To tylko burza – Bruenor powiedział parszkając szyderczo. – Żadna burza mnie nie powstrzyma, Pasibrzuchu, ani ciebie. Poprowadzę cię.

– Yeti są liczne o tej porze roku – przestrzegł Regis.

– To dobrze, mój topór pozostanie ostry – zripostował Bruenor. – Twardogłowe bestie.

Burza zaczęła się jeszcze tej nocy, zimny i gryzący, nieustanny deszcz, zasypujący ich bardziej poziomo niż pionowo, pędząc wraz z wichrem.

Wielce nieszczęśliwy i przemoknięty do suchej nitki, Regis narzekał ciągle, choć wiedział, że Bruenor nie może go nawet usłyszeć z powodu donośności wichru. Wiatr wiał dokładnie zza nich, popychając ich z wielką szybkością, na co Bruenor wskazywał często z szerokim uśmiechem.

Regis wiedział jednak lepiej, podobnie jak krasnolud. Burza szła od południowego wschodu, od

gór, od najmniej prawdopodobnego kierunku i często najbardziej złowróbnego. W Dolinie Lodowego Wichru takie burze, jeśli szły tak jak się spodziewano, były znane jako półzachody. Jeśli przedostała się przez dolinę dotarła nad morze, zimny północno-wschodni wicher trzymał ją tam nad ruchomym lodem czasami przez całe dni.

Zatrzymali się wieczorem w gospodarstwie i zostali mile przyjęci, choć powiedziano im, że mogą nocować w oborze z trzodą, a nie w głównym budynku. Skulony obok małego ogniska, nagi, bowiem ich ubrania suszyły się na krokwi powyżej, Regis znów zaapelował do zdrowego rozsądku krasnoluda.

Cel okazał się trudny do zlokalizowania.

– Półzachód – wyjaśnił Regis. – Może padać przez dekadzień i stanie się jeszcze zimniej.

– Jeszcze ni półzachód – odparł szorstko krasnolud.

– Możemy to przeczekać. Zostać tu albo pójść może do Bremen. Jednak przechodzenie teraz przez dolinę może być dla nas końcem.

– Ba, to ino lekki deszcz – mruknął Bruenor. Odgryzł spory kęs z kawałka baraniny, jaki otrzymali od swych gospodarzy. – Widziałem gorsze. Bawiłem się nawet w gorszych, gdy byłem chłopcem w Mithrilowej Hali. Powinieneś zobaczyć śnieg w tamtejszych górach, Pasibrzuchu. Przy jednym opadzie spadało dwa razy więcej niż mierzy krasnolud!

– I ćwiartka tego może sprawić, że zamarzniemy na drodze – odpowiedział Regis. – Zostaniemy martwi w miejscu, w którym będą mogły nas znaleźć tylko yeti.

– Ba – parsknął Bruenor. – Żaden śnieg ni odsunie mnie od mego chłopca albo jestem brodatym gnomem! Możesz zawrócić, jeśli chcesz, winieneś dość łatwo dotrzeć do Targos, a stamtąd przewiozą cię przez jezioro do domu. Ja jednak zamierzam iść dalej, zaraz jak się prześpię, i ni zatrzymam się, póki nie ujrzę bramy Luskan, póki ni znajdę tej tawerny, co pisał o niej Drizzt, Cutlassa.

Regis próbował ukryć zmarszczone brwi i jedynie przytaknął.

– Ni zmuszam cię do niczego – rzekł Bruenor. – Jeśli ni masz do tego serca, to po prostu zawróć.

– Ale ty idziesz dalej? – spytał Regis.

– Aż do końca.

Tym, do czego Regis nie miał serca, pomimo wszystkiego, co wrzeszczał do niego jego zdrowy rozsądek, było porzucenie przyjaciela na niebezpieczeństwa drogi. Gdy Bruenor wyruszył następnego dnia, Regis szedł tuż obok niego.

Jedyna zmiana polegała na tym, że wiatr wiał od północnego zachodu zamiast od południowego wschodu, siekąc deszczem w ich twarze, co sprawiało, że wyglądali jeszcze żałośniej i zdecydowanie spowalniało ich kroki. Bruenor nie narzekał, nie mówił ani słowa, jedynie skulił się i parł do przodu.

A Regis szedł razem z nim, stoicko, choć niziołek ustawił się trochę z tyłu i na lewo od krasnoluda, używając szerokiego ciała Bruenora, by osłaniać się trochę przed deszczem i wichrem.

Krasnolud zgodził się tego dnia na bardziej północną drogę, która prowadziła do kolejnego przydrożnego gospodarstwa, dość przyzwyczajonego do gości. Gdy krasnolud i niziołek dotarli do celu, spotkali się tam z inną grupą, która wyruszyła do Luskan. Zajechali tu przed dwoma dniami, obawiając się, że błoto unieruchomi całkowicie ich wozy.

– Zbyt wcześnie, jak na tę porę roku – główny woźnica wyjaśnił im dwóm. – Ziemia jeszcze nie zamarzła, więc nie mamy szans się przedostać.

– Wygląda na to, że będziemy zimować w Bremen – mruknął inny z grupy.

– Bywało tak już i bywać będzie – powiedział główny woźnica. – Zabierzemy was ze sobą do Bremen, jeśli chcecie.

– Ni idziemy do Bremen – Bruenor wyjaśnił pomiędzy kęsami kolejnej kolacji z baraniny. – Idziemy do Luskan.

Wszyscy członkowie tamtej grupy popatrzyli z niedowierzaniem po sobie, a Bruenor i Regis usłyszeli wymamrotane nie raz słowo „półzachód”.

– Ni mamy wozów, co mogłyby utknąć w błocie – wytłumaczył Bruenor.

– Błocie, które sięgnie wyżej niż do połowy waszych krótkich nóg – rzekł inny z chichotem, który trwał tak długo, ile Bruenor potrzebował, by zmierzyć go groźnym spojrzeniem.

Cała grupa, nawet główny woźnica, apelowała do nich, aby byli bardziej rozsądni, lecz w końcu to Regis, a nie Bruenor powiedział:

– Zobaczymy się z wami na drodze. Następnej wiosny. My będziemy wracać, a wy wyjeżdżać.

To wywołało donośny serdeczny śmiech Bruenora i rzeczywiście, przed świtem następnego dnia, zanim ktokolwiek z mieszkającej na farmie rodziny ani z drugiej grupy otworzył w ogóle oczy, krasnolud i niziołek byli już w drodze, kuląc się pod chłodnym wiatrem. Wiedzieli, że była to ostatnia wygodnie spędzona noc na dłuższy czas, wiedzieli, że trudno im będzie znaleźć odpowiednie schronienie, by rozpalić niewielki ogienek, że czekało ich głębokie błoto, być może pokryte głębokim śniegiem.

Wiedzieli jednak również, że czekali na nich Drizzt i Catti-brie, a być może również Wulfgar.

Regis nie zarejestrował ani jednej skargi trzeciego dnia, ani czwartego, ani piątego, choć nie mieli już suchych ubrań, a wicher stał się zdecydowanie zimniejszy, zaś deszcz przeszedł w deszcz ze śniegiem. Parli naprzód, gęsiego, siła i determinacja Bruenora ryły szlak przed Regisem, choć błoto chwyciło go na każdym kroku, a śnieg sięgał mu do pasa.

Piątej nocy zbudowali sobie dla osłony kopułę ze śniegu, a Bruenor zdołał rozpalić lekki ogień, lecz żaden z nich nie czuł już stóp. Przy aktualnym tempie opadów spodziewali się odkryć po obudzeniu śnieg sięgający Bruenorowi do rogu na hełmie.

– Ni winienem był cię zabierać – Bruenor przyznał ponuro. Było to najbliższe przyznaniu się do porażki, jakie Regis słyszał kiedykolwiek ze strony nieposkromionego krasnoluda. – Winienem był zaufać, że Drizzt i Catti-brie przyprowadzą mi chłopca na wiosnę.

– Niemal opuściliśmy już dolinę – Regis odparł z największym entuzjazmem, na jaki mógł się zdobyć. Była to prawda. Pomimo pogody, zabrnęli bardzo daleko i widać już było górską przełęcz, choć wciąż znajdowała się ona w odległości dnia marszu. – Burza powstrzymuje yeti.

– Tylko dlatego, że te cholerstwa są sprytniejsze od nas – mruknął Bruenor. Praktycznie włożył palce stóp do ognia, próbując je rozmrozić.

Ciężko im było zapaść tej nocy w sen, spodziewali się, że wiatr i burza mogą zawalić na nich śnieżną kopułę. Tak naprawdę, gdy Regis obudził się w ciemności, wszystko wydawało się całkowicie nieruchome – zbyt nieruchome! W sercu wiedział, że nie żyje.

Leżał tam przez czas, który wydawał się całymi dniami, gdy w końcu kopuła ponad nim zaczęła się rozjaśniać, a nawet lśnić.

Regis odetchnął z ulgą, lecz gdzie był Bruenor? Niziołek przetoczył się na bok i oparł na łokciach, rozglądając dookoła. W przyćmionym świetle dostrzegł w końcu postać Bruenora, rozpostarte. Zanim zdążył zastanowić się, co to oznacza, usłyszał poruszenie w niskim, prowadzącym do igloo tunelu i wstrzymał oddech.

Przedzierał się ku niemu Bruenor, który miał na sobie mniej ubrań niż Regis widział u niego od kilku dni.

– Słońce wstało – krasnolud powiedział z szerokim śmiechem. – I śnieg topi się szybko. Lepiej zabierzmy stąd nasze rzeczy i siebie, nim dach stopi się na nas!

Nie zawędrowali daleko tego dnia, bowiem poprawiająca się pogoda topiła szybko śnieg, wskutek czego niemal nie dawało się podróżować po błocie. Przynajmniej jednak już nie zamarzali, tak więc choć szli wolniej, to swobodniej. Bruenor zdołał znaleźć suche miejsce na obozowisko i nacieszyli się porządnym posiłkiem oraz niespokojną nocą wypełnioną wyciem wilków oraz

warkotami yeti.

Mimo to zdołali się trochę przespać, lecz gdy się obudzili, musieli się zastanawiać, czy było to słuszne. W ciągu nocy wilk, sądząc po śladach, podkraść się i odszedł ze sporą porcją ich zapasów.

Pomimo straty i znużenia, w dobrym nastroju zaczęli pokonywać przełęcz. Nie napadał tu śnieg, a ziemia była kamienista i sucha. Obozowali tej nocy tuż przy ochronnych skalnych ścianach i byli zaskoczeni, gdy w mroku pojawiły się inne światła. Gdzieś wyżej na wschodniej ścianie parowu był jakiś obóz.

– Cóż, idź zobaczyć, co to – Bruenor prosił Regisa. Regis popatrzył na niego sceptycznie.

– To ty jesteś podkradaczem, co ni? – rzekł krasnolud.

Wydawszy z siebie bezradny chichot, Regis podniósł się z kamienia, na którym spożywał posiłek, beknął kilkakrotnie i pogłaskał się po pełnym brzuchu.

– Pozbądź się wszystkich wiatrów, zanim spróbujesz podkraść się do naszych przyjaciół – poradził krasnolud.

Regis znów beknął i poklepał się po brzuchu, po czym, westchnąwszy z rezygnacją (zawsze zdawał się to robić, gdy w pobliżu był Bruenor), odwrócił się i zniknął w mroku nocy, zostawiając Bruenorowi sprzątanie.

Zapach dziczyzny, gdy podchodził do obozowiska, wspinając się cicho po stromej skalnej ścianie, sprawił, iż niziołek zastanawiał się, czy być może Bruenor nie miał racji, posyłając go. Może natknie się na grupę tropicieli chcących podzielić się owocami swych łowów, albo kupców, którzy opuścili dolinę przed nimi i chętnie najmą ich jako strażników na czas podróży do Luskan.

Pogrążony w marzeniach o wygodach, pragnąc zbliżyć usta do tak smakowicie pachnącej dziczyzny, Regis niemal przeciągnął się przez krawędź z szerokim uśmiechem. Powstrzymała go jednak ostrożność i dobrze się stało. Gdy podciągnął się powoli, tylko na tyle, by wyrzeć za krawędź, ujrzał, że nie byli to tropiciele ani kupcy, lecz orki. Wielkie, smrodliwe, paskudne, złe orki. Dzikie górskie orki, ubrane w skóry yeti, odrywające gwałtownie kawałki dziczyzny, miażdżące chrząstki i kości, klnące na siebie nawzajem i kłójące się o każdy kawałek, jaki odrywały od piekącego się mięsa.

Regis potrzebował kilku chwil, by zdać sobie w ogóle sprawę, że osłabły mu ręce i musiał się przytrzymać, by nie spaść w dziewięciometrową przepaść. Powoli, starając się usilnie, by nie wrzeszczeć, by nie oddychać zbyt głośno, opuścił się z powrotem za krawędź.

W dawnych czasach na tym by się skończyło, Regis zlazłby na dół, po czym popędził do Bruenora, aby donieść, że nie można niczyskać. Teraz jednak, pokrzepiony pewnością siebie, jakiej nabrał dzięki swym wysiłkom na drodze w przeciągu ostatnich kilku miesięcy, gdy starał się usilnie

odgrywać ważną rolę w bohaterских czynach swych przyjaciół i wciąż dotknięty niemal nieustannym lekceważeniem, jakie okazywali mu inni, mówiąc o Towarzyszach z Hali, Regis zdecydował, że to jeszcze nie czas, by zawrócić. Zdecydowanie nie.

Niziołek zdobędzie kawałek dziczyzny dla siebie oraz dla Bruenora. Ale jak?

Przesunął się troszkę w bok. Znalazłszy się poza promieniem padającego z ogniska światła, znów wyrzwał zza krawędzi. Orki wciąż pochłonięte były posiłkiem. W pobliżu rozgorzała walka, gdy dwa sięgnęły po ten sam kawałek mięsa, pierwszy próbował nawet ugryźć wyciągniętą rękę drugiego.

W zamieszaniu, które nastąpiło, Regis wdrapał się na górę, pozostając płasko na brzuchu i wpełzając za kamień. Kilka chwil później, gdy w obozie rozpoczęła się kolejna sprzeczka, niziołek wybrał drogę i zbliżył się, zbliżał się coraz bardziej.

– Och, teraz dopiero narobiłem – bezgłośnie mruknął pod nosem Regis. – Pewnie dam się zabić. Albo, co gorsza, złapać, a Bruenor da się zabić idąc, by mnie znaleźć!

Perspektywa tej myśli zaciążyła mocno na małym niziołku. Regis wiedział, że krasnolud był brutalnym przeciwnikiem, i te orki straszliwie odczują jego gniew, lecz były wielkie i krzepkie, poza tym w końcu była ich szóstka.

Myśl o tym, iż może doprowadzić do śmierci przyjaciela niemal sprawiła, że niziołek zawrócił.

Niemal.

W końcu był wystarczająco blisko, by wyczuć węchem smród ohydnych osiłków oraz, co ważniejsze, by zauważyć pewne ich charakterystyczne cechy. Na przykład to, że jeden z nich miał na sobie dość kosztowną złotą bransoletę, z zapięciem, z którym Regis mógłby sobie z łatwością poradzić.

Zaczął kształtować się plan.

Ork z bransoletą miał w tej ręce wielki kawał jelenia, tylną nogę. Ohydny stwór podniósł go do przeżuwającej paszczy, po czym opuścił do boku, następnie znów w górę i w dół, raz za razem w tym samym tempie, systematycznie.

Regis czekał cierpliwie na kolejną potyczkę, jaką ten ork stoczy z bestią po swojej lewej, bowiem wiedział, że w końcu to nastąpi, wszyscy tutaj walczyli ze sobą po kolei. Gdy osilek z bransoletą podniósł kawałek dziczyzny obronnym gestem po prawej stronie, odganiając zakusy stwora z lewej, z cieni wyłoniła się mała dłoń, zwinnym gestem pucołowatych paluszków zabierając bransoletę.

Niziołek opuścił dłoń, lecz nie do tyłu, a w prawo, wkładając swój łup do kieszeni orka

siedzącego na prawo od jego ofiary. Wsunęła się miękko i cicho, a Regis zadbał, by koniec łańcuszka pozostał na widoku.

Niziołek wycofał się szybko za swój kamień i czekał.

Chwilę później usłyszał, jak jego ofiara porusza się zaskoczona.

– Kto to zabrał – ork spytał w swoim podłym języku, który Regis trochę rozumiał.

– Zabrał co? – wypalił ork po lewej. – Masz najlepszy kawałek, ty żarłoku!

– Ty zabrał mój łańcuch! – warknął okradziony ork. Zamachnął się jelenią nogą, uderzając drugiego orka mocno w głowę.

– Au, a skąd Tuko go ma? – spytał inny. Jak na ironię, był to ten z którego kieszeni wystawał łańcuszek. – Ty trzymał swą rękę z dala od Tuko całą noc!

Sytuacja uspokoiła się na chwilę. Regis wstrzymał oddech.

– Masz rację, co nie, Ginick? – spytał okradziony ork, a z jego chytrego tonu Regis wywnioskował, że ciężko kapujący stwór coś zauważył.

Rozgorzała straszliwa awantura, ofiara Regisa zerwała się i zamachnęła trzymaną oburącz jelenią nogą niczym maczugą, celując w głowę Ginicka. Będący jego celem ork zasłonił się krzepką ręką i podniósł gwałtownie, chwytając drugiego w pasie i przetaczając w drugą stronę przez biednego Tuko. Wkrótce biła się już cała szóstka – ciągnąc się za włosy, grzmocąc, uderzając i gryząc.

Wkrótce potem Regis odczołgał się, niosąc wystarczającą ilość dziczyzny, by zadowolić głodnego krasnoluda oraz jeszcze głodniejszego niziołka.

I mając na ręku świeżo zdobytą złotą bransoletę, która dogodnie wypadła z kieszeni fałszywie oskarżonego orcze go złodzieja.

ROZBIEŻNE DROGI

– Przy odrobinie magii czarodzieja droga byłaby szybsza – stwierdziła Catti-brie. Nie był to pierwszy raz, gdy kobieta przekomarzała się z obdarzonym dobrą naturą Drizztem w sprawie jego odmowy, by przyjąć ofertę Val-Doussena. – Pewnie już byśmy wracali, prowadząc ze sobą Wulfgara.

– Z każdym dniem brzmisz coraz bardziej jak krasnolud – zripostował Drizzt, używając patyka, by podsycić ogień, na którym gotował się dobry gulasz. – Powinnaś zacząć się martwić, gdy zauważysz awersję do otwartych przestrzeni, jak ta droga, po której podróżujemy.

– Nie, czekaj! – sarkastycznie zakrzyknął drow, jakby uświadomił sobie prawdę. – Czy właśnie nie okazujesz takiej awersji?

– Wymachuj dalej jęczorem, Drizzcie Do'Urdenie – mruknęła cicho Catti-brie. – Możesz się dobrze posługiwać swymi obracającymi się klingami, ale jak ci się powiedzie złapanie paru żądających strzał?

– Już przeciąłem ci cięciwę – niedbale odparł drow, wychylając się do przodu i próbując parujący gulasz.

Catti-brie naprawdę zaczęła spoglądać na Taulmaril, który leżał nie napięty obok zwałonej kłody, będącej jej siedziskiem. Uśmiechnęła się jednak i odwróciła do swego sarkastycznego przyjaciela.

– Sądzę po prostu, że mogliśmy przegapić Duszka Morskiego, gdy wypłynął w ostatni rejs w tym sezonie – powiedziała, tym razem poważnie.

Istotnie, w przeciągu ostatnich kilku dni wiatr stał się mroźny, jesień szybko przemijała. Deudermont często wyprowadzał Duszka Morskiego o tej porze roku, aby zapolować przez kilka dekadni na wodach otaczających Waterdeep, zanim zawracał na południe ku cieplejszemu klimatowi i bardziej aktywnym piratom.

Drizzt również o tym wiedział, widać to było wyraźnie w minie, jaka pojawiła się na jego kanciastych rysach. Ta niewielka możliwość nękała go, odkąd opuścił wraz z Catti-brie Gościnną Wieżę, i sprawiała, że zastanawiał się, czy jego odmowa Val-Doussenowi nie była samolubna.

– Wszystkim, czego chciał ten głupi mag było trochę gadki – ciągnęła kobieta. – Kilka godzin twojego czasu by go uszczęśliwiło, a nam zaoszczędziło dekadnia marszu. Nie, nie boję się drogi i

nie ona nie męczy, wiesz o tym! Nie ma innego miejsca na świecie, w którym chciałabym być bardziej niż na drodze u twojego boku, ale musimy też myśleć o innych, a byłoby lepiej dla Bruenora, oraz dla Wulfgara, gdybyśmy go znaleźli, zanim wpadnie w jeszcze większe kłopoty.

Drizzt zaczął odpowiadać przypominając, że Wulfgar, jeśli rzeczywiście był wraz z Deudermontem oraz załogą Duszka Morskiego, znajdował się w świetnych rękach, był wśród sojuszników przynajmniej tak potężnych jak Towarzysze z Hali. Wstrzymał jednak te słowa i zastanowił się baczniej nad argumentem Catti-brie, naprawdę słuchając tego, co mówiła, zamiast instynktownie formułować obronną odpowiedź.

Wiedział, że miała rację, że dla Wulfgara, dla nich wszystkich byłoby lepiej, gdyby się z powrotem zjednoczyli. Być może powinien był spędzić kilka godzin na rozmowie z Val-Doussenem.

– Powiedz mi więc, dlaczego tego nie zrobiłeś – delikatnie drażyła sprawę Catti-brie. – Mogłeś zapewnić nam podróż do Waterdeep w mgnieniu czarodziejskiego oka, a wiem, że uważasz, iż byłoby to słuszne. A jednak tego nie zrobiłeś, więc mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego?

– Val-Doussen nie jest uczonym – odparł Drizzt. Catti-brie wychyliła się i wzięła od niego łyżkę, po czym zanurzyła ją w gulaszu i, odgarnawszy z twarzy długie, gęste kasztanowe włosy, wypła łyk. Cały czas wpatrywała się w Drizzta, pytającą miną wskazując, że powinien rozwieść się nad tym tematem.

– Jego zainteresowanie Menzoberranzan związane jest tylko z osobistymi korzyściami, niczym więcej – stwierdził Drizzt. – Nie miał zamiaru polepszyć świata, lecz miał jedynie nadzieję, że coś, co bym powiedział, dałoby mu przewagę, jaką mógłby wykorzystać.

Catti-brie wciąż się w niego wpatrywała, wyraźnie nie łapiąc. Nawet jeśli słowa Drizzta były prawdziwe, dlaczego miałyby to mieć znaczenie, zważywszy na relacje Drizzta z jego niegodziwymi pobratymcami?

– Miał nadzieję, że ujawnię mu niektóre tajemnice drowów – ciągnął Drizzt, niezrażony miną swej towarzyszki.

– A nawet gdybyś to zrobił, z tego, co wiem o Menzoberranzan, Val-Doussen nie byłby w stanie użyć twych słów do czegokolwiek innego niż swoja własna zguba – wtrąciła Catti-brie, i to szczerze, bowiem odwiedziła to egzotyczne miasto mrocznych elfów i знаła dobrze wielką potęgę tego miejsca.

Drizzt wzruszył ramionami i sięgnął po łyżkę, lecz Catti-brie, uśmiechając się szeroko, odsunęła ją przed nim.

Drizzt cofnął się, wpatrując w nią i nie odpowiadając uśmiechem. Pogrążony był w głębokiej koncentracji, musiał przekazać swój punkt widzenia.

– Val-Doussen miał nadzieję uzyskać osobiste korzyści z moich słów, wykorzystać moje opowieści do własnych niecznych celów, i to kosztem tych przekazanych informacji. Czy chodziłoby o moich pobratymców w Menzoberranzan, czy Bruenora w Mithrilowej Hali, moje działania nie byłyby mniej niegodziwe.

– Nie porównywałabym klanu Battlehammer z... – zaczęła Catti-brie.

– Ja nie porównuję – zapewnił ją Drizzt. – Nie mówię tu o niczym więcej niż moje własne zasady. Jeśli Val-Doussen szukałby informacji o osadzie goblinów, by móc poprowadzić przeciwko nim prewencyjny szturm, chętnie bym się podporządkował, ponieważ wierzę, że taka goblinowska osada dość wkrótce spowodowałaby tragedię u okolicznych mieszkańców.

– A czy twoi ziomkowie nie przyszedli do Mithrilowej Hali? – spytała Catti-brie, podążając za jego sposobem rozumowania.

– Raz – przyznał Drizzt. – Jednak z tego, co wiem, moi ziomkowie nie kierują się z powrotem na powierzchnię w poszukiwaniu łupów i rzezi.

– Z tego, co wiesz.

– Poza tym, cokolwiek przekazałbym Val-Doussenowi, w żadnym razie nie powstrzymałoby drowich najazdów – podjął Drizzt, stąpając lekko, by Catti-brie nie mogła go schwytać w logiczną pułapkę. – Nie, bardziej prawdopodobne, że ten głupiec udałby się do Menzoberranzan, sam lub z innymi, próbując jakiejś wielkiej kradzieży. Wielce prawdopodobne, że podjudziłoby to mroczne elfy do zabójczej zemsty.

Catti-brie zamierzała zadać kolejne pytanie, lecz zdecydowała się jedynie siedzieć, wpatrując w swego przyjaciela. W końcu skinęła głową i powiedziała:

– Zakładasz tu pewne rzeczy.

Drizzt nawet nie zaczął się spierać, ani werbalnie, ani mową ciała.

– Ale dostrzegam twoje stanowisko, że nie powinieneś mieć konszachtów z tymi, których zamiary są zdecydowanie niehonorowe.

– Szanujesz to? – zapytał Drizzt.

Catti-brie wykonała coś, co mogło być skinieniem głowy.

– To daj mi łyżkę – mroczny elf rzekł z większym naciskiem. – Umieram z głodu!

W odpowiedzi, Catti-brie wychyliła się i zanurzyła łyżkę w kociołku, po czym uniosła ją ku nadstawionym wargom Drizzta. W ostatniej chwili, gdy lawendowe oczy drowa zamknęły się

osłaniając przed parą, kobieta wsunęła łyżkę do własnych ust.

Oczy Drizzta otworzyły się, jego zaskoczona i rozgniewana mina została pokonana zabawowym i kpiącym spojrzeniem Catti-brie. Rzucił się nagle do przodu, spadając na kobietę i zrzucając ją z kłody, po czym kotłując się z nią w walce o łyżkę.

Ani Drizzt ani Catti-brie nie mogli zaprzeczyć prawdzie, że na całym świecie nie było miejsca, w którym woleliby być.

* * *

Ściany wznosiły się dookoła małej grupy, połączenie ciemnych, szarobrazowych klifów i spłachetków rosnącej na stromiźnie zielonej trawy. Brzegi parowu upstrzone były paroma drzewami, małymi i wąskimi, nie mogącymi zapuścić głęboko korzeni w skalisty grunt.

Le'lorinel rozumiał, że miejsce to było świetne na zasadzkę, lecz ani elf, ani żadne z pozostałych członków grupy nie było ani trochę zmartwionych taką możliwością. Wąwóz ten należał do Sheili Kree i jej zbójów. Le'lorinel zauważył, jak przywódczyni grupy, brązowo włosą kobietą o imieniu Genny, wykonuje parę subtelnych sygnałów w kierunku szczytów. Najwyraźniej byli tam ustawieni wartownicy.

Nie było jednak żadnych zawołań, bowiem nie dałoby się nic usłyszeć na dalej niż parę tuzinów kroków. W oddali Le'lorinel słyszał nieprzerwaną pieśń przecinającej ten parów rzeki, płynącej teraz pod ziemią, pod ścianą położoną z lewej strony, gdy przedzierali się na południe. Bezpośrednio przed nimi, jakiś kawałek w przód, morze uderzało w skaliste wybrzeże. Zza nich dął wicher, wypełniając ich uszy. Mroźny wicher Doliny Lodowego Wichru uciekał z tundry przez tę górską przełęcz.

Le'lorinel czuł się dziwnie spokojnie w tym, wydawałoby się, nieprzyjaznym i opuszczonym miejscu. Był wolny od społeczności, która nigdy nie była ważnym przedmiotem jego zainteresowania. Być może z tej jego relacji z Sheilą Kree wyniknie coś więcej, zamyślił się Le'lorinel. Być może, gdy zakończy już sprawę z Drizztem Do'Urdenem, będzie mógł pozostać w bandzie Kree, służąc za wartownika w tym wąwozie.

Oczywiście wszystko to zależało od tego, czy elf pozostanie przy życiu po spotkaniu z mrocznym elfem, czy też nie, a tak naprawdę, jeśli Le'lorinel nie zdoła znaleźć jakiegoś sposobu, by odzyskać od Genny swój zaklęty pierścień, wydawało się to bardzo odległą możliwością.

Czy Le'lorinel odważy się w ogóle wystąpić przeciwko mrocznemu elfowi bez tego pierścienia?

Dreszcz przeszedł elfowi po plecach, wywołany nie mroźnym wichrem, a myślami.

Grupa przeszła obok kilku małych szczelin, naturalnych otworów wentylacyjnych dla jaskiń, służących za dom Kree w mierzącym niemal sto metrów wzgórzu po lewej, szeregu grot umieszczonych ponad dzisiejszą rzeką. Za zakrętem wąwozu dotarli do szerokiej naturalnej wnęki i większego wejścia do jaskini, miejsca, w którym rzeka przegryzła się niegdyś przez wapienne skały.

Trzech strażników siedziało na graniach na ścianie z prawej strony, skuleni w cieniach, rzucając kośćmi i żując niemal surową baraninę, trzymając na podorędziu broń. Podobnie jak trójka, która towarzyszyła Le'lorinelowi do tego miejsca, strażnicy byli rośli, wyraźnie stanowili owoc mieszanych rodziców, człowieka i ogra, przy czym dominowała ogrza strona.

Poruszyli się na widok zbliżającej się grupy, lecz nie wydawali się zbyt zatroskani, a Le'lorinel rozumiał, że wartownicy w wąwozie ostrzegli ich zapewne o intruzach.

– Gdzie szefowa? – spytała Genny.

– Chogurugga w swoim pokoju – jeden z żołnierzy mruknął w odpowiedzi.

– Nie Chogurugga – powiedziała Genny. – Sheilą Kree. Prawdziwa szefowa.

Le'lorinelowi nie umknął grymas, jaki został skierowany do kobiety po tym oświadczeniu. Elf łatwo zrozumiał, że miały tu miejsce jakieś zmagania o władzę, zapewne między piratami a ogrami.

Jeden ze strażników warknął i pokazał swe paskudne żółte zęby, po czym wskazał gestem na jaskinię.

Trzej towarzyszący im żołnierze wyjęli i zapalili pochodnie. Podróżni weszli do środka, idąc krętą drogą, mijając liczne spektakularne zjawiska natury. Z początku Le'lorinel uważał, że wszędzie dookoła otacza ich woda, spływająca po ścianach tunelu szerokimi, pięknymi wodospadami, lecz gdy elf przyjrzał się uważniej, prawda stała się oczywista. Nie była to woda, lecz formacje skalne pozostawione przez starą rzekę, wapień ukształtowany w wodospady wciąż wilgotne od kropel, które spadały przy każdym deszczu. Od głównego tunelu odbiegały inne, szerokie, wiele wiło się spiralą w głąb pagórka, inne rozgałęziały się na tym poziomie, często formując wielkie, usiane głazami komnaty. Tak wiele obrazów szturmowało przyzwyczajone do przestrzeni zmysły elfa – obrazy zwierząt i broni, splecionych kochanków i wielkich lasów oraz wszystkiego, co wyobraźnia Le'lorinela pozwalała mu zauważać! Le'lorinel był istotą lasu, istotą księżycy i nigdy dotąd nie był pod ziemią. Po raz pierwszy elf docenił w pewnym stopniu krasnoludy i niziołki, gnomy i wszelkie inne rasy, które przedłożyły podziemny świat nad otwarte niebo.

Nie, nie wszelkie inne rasy, szybko przypomniał sobie Le'lorinel. Nie drowy, te mahoniowoskóre diabły z pozbawionych światła komnat. Z pewnością było tam piękno, lecz wyłącznie piękno odbijające się w świetle pochodni.

Grupa poruszała się w niemal całkowitej ciszy, nie licząc trzasku pochodni, bowiem podłoga była gliniana, gładka i miękka. Schodzili przez jakiś czas wzdłuż głównej komnaty, głównym

korytem rzeźnym sprzed wieków, i przeszli obok kilku następnych posterunków wartowniczych, obsadzonych głównie przez półogry, raz przez parę prawdziwych ogarów, a raz przez zwyczajnie wyglądających mężczyzn – piratów, sądząc po ich strojach i zachowaniu.

Lelorinel przyjmował to wszystko bez przekonania, zbyt zatroskany nadciągającym spotkaniem, wielce istotną prośbą, jaką musiał przedłożyć Sheili Kree. Przy współpracy Kree Le'lorinel mógł znaleźć koniec długiej, dręczącej drogi. Bez łaski Kree Le'lorinel zapewne zginie i zostanie porzucony w jednym z tych bocznych przejść.

I co gorsza, według elfa, Drizzt Do'Urden pozostanie jak najbardziej żywy.

Genny skręciła nagle w wąski boczny korytarz. Genny i Le'lorinel musieli paść na czworaka, aby móc iść dalej, pełzną pod nisko zwieszoną skałą. Ich trzej więksi towarzysze musieli paść na brzuchy i pełznąć. Po drugiej stronie znajdowała się rozległa komnata o zaskakującym kształcie, poszerzająca się w górę i w lewo, jej usiany stalaktytami strop wisiał wysoko, wysoko nad nimi.

Genny nawet na niego nie spojrzała, lecz skupiła się na małym otworze w podłodze, podchodząc do drabiny przymocowanej do jednej ze ścian. Zeszła na dół, za nią strażnik, następnie Le'lorinel i pozostali dwóch.

Daleko w dole, po może stu stopniach, dotarli do następnego korytarza i poszli dalej, szybko wyłaniając się w kolejnej grocie. Była wielka, otwarta na południowy zachód, na skalistą zatokę i rozciągające się dalej morze. Woda wlewała się tu z licznych otworów w ścianach i stropie, łącząc się w spływającą do morza rzekę.

W jaskini stał Krwawy Kil, przycumowany do zachodniej ściany. Krążyli po nim marynarze, naprawiając olinowanie i uszkodzenia kadłuba.

– Teraz, gdy już tyle zobaczyłeś, byłoby roztropnie, gdybyś pomodlił się do dowolnego znanego ci boga, aby Sheila Kree cię zaakceptowała – Genny wyszeptała do elfa. – Można stąd wyjść tylko na dwa sposoby: jako przyjaciel lub jako trup.

Spoglądając na kręcącą się po okręcie łotrowską załogę podżynaczy gardeł, Le'lorinel nawet przez chwilę nie wątpił w te słowa.

Genny zaprowadziła ich do kolejnego wyjścia, tym razem wijącego się z powrotem w głąb góry od tylnej części służącej do cumowania groty. Korytarze pachniały dymem i na całej długości oświetlone były pochodniami, tak więc eskortujący ich strażnicy zgasili i schowali własne. Wspinali się coraz wyżej w głąb góry, mijając magazyny i baraki, przechodząc przez obszar, który według Le'lorinela wydawał się przeznaczony dla piratów i inne, straszliwie śmierdzące miejsce, siedzibę klanu ogarów.

Wiele wygłodniałych oczu spoglądało w stronę elfa, gdy mijali żarłoczne ogry, lecz żaden z nich nie zbliżył się nawet na tyle by choć szturchnąć Le'lorinela. Elf dostrzegwał ich ogromny szacunek

wobec Kree, chociażby w tym, że nie powodowały żadnych kłopotów. Le'lorinel posiadał wystarczająco wiele doświadczeń z ogrami, by wiedzieć, że zwykle były niepokorne i ochoczo robiły sobie posiłek z każdego napotkanego mniejszego humanoida.

Niedługo później dotarli do najwyższych poziomów pagórka, zatrzymując się w otwartej komnacie, w której znajdowało się kilkoro drzwi. Genny wskazała pozostałej czwórce, by poczekać, sama zaś podeszła do środkowych drzwi, zapukała, i zniknęła za nimi. Wróciła krótką chwilę później.

– Chodź – poprosiła Le'lorinela.

Gdy trzech osiłkowaci strażnicy podeszli, by eskortować elfa, Genny zatrzymała ich podniesioną dłonią.

– Weźcie sobie coś do jedzenia – brązowowłosa kobieta poleciła półgłom.

Le'lorinel zerknął z zaciekawieniem na oddalające się półogry, nie będąc pewien, czy znaczyło to, iż Sheila Kree ufała słowom Genny, czy też, że piratka była po prostu zbyt pewna siebie albo zbyt dobrze chroniona, by się tym troskać.

Le'lorinel uznał, że musi chodzić o to ostatnie.

W środku pomieszczenia Sheila Kree, odziana jedynie w lekkie bryczesy oraz lekką koszulę bez rękawów, stała pośród stert futer, wyglądając przez okno na otwarte wody. Odwróciła się, gdy Genny zapowiedziała Le'lorinela. Na jej piegowatej twarzy widniał uśmiech, a jej zielone oczy lśniły pod koroną zebranych wysoko rudych włosów.

– Powiedziano mi, że obawiasz się o moje życie, elfie – stwierdziła przywódczyni piratów. – Jestem wzruszona twą troską.

Le'lorinel spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Przyszedłeś ostrzec mnie przed mrocznym elfem, tak mówi Genny – wyjaśniła piratka.

– Przyszedłem zabić mrocznego elfa – sprostował Le'lorinel. – To, że moje działania przyniosą również tobie korzyść, jest jedynie szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Sheila Kree roześmiała się donośnie i podeszła, by stanąć tuż przed elfem, górując nad nim. Wzrok piratki przebiegł wzdłuż szczupłej, wręcz delikatnej sylwetki Le'lorinela.

– Szczęśliwym dla ciebie, czy dla mnie?

– Dla obojga, jak sądzę – odpowiedział Le'lorinel.

– Musisz dość mocno nienawidzić tego drowa, skoro tu przyszedłeś – uznała Sheila Kree.

– Bardziej niż tylko jesteś sobie w stanie wyobrazić.

– A powiesz mi dlaczego?

– To długa opowieść – rzekł Le'lorinel.

– Cóż, jako że szybko zbliża się zima, a Krwawy Kil wciąż jest w doku, wygląda na to, że mamy czas – Sheila Kree powiedziała, znów się śmiejąc. Wskazała ręką na sterty futer, pokazując, by Le'lorinel do niej dołączył.

Rozmawiali przez resztę popołudnia. Le'lorinel dawał szczere, choć jednostronne świadectwo licznych błędów Drizzta Do'Urdena. Sheila Kree słuchała uważnie, podobnie jak Genny, i podobnie jak trzecia kobieta, Bellany, która zjawiła się krótko po tym, jak elf rozpoczął swą opowieść. Wszystkie trzy wydawały się być dość mocno rozbawione i zainteresowane, a z biegiem czasu Le'lorinel jeszcze bardziej się rozluźnił.

Gdy opowieść dobiegła końca, Bellany i Genny wyraziły swą aprobatę, lecz po chwili przerwały i popatrzyły na Sheilę w poszukiwaniu wskazówek.

– Dobra opowieść – zdecydowała przywódczyni piratów. – I uważam, że wierzę w twoje słowa. Rozumiesz, że musimy wiele sprawdzić, zanim pozwolimy ci poruszać się swobodnie.

– Oczywiście – zgodził się Le'lorinel, skłaniając się lekko.

– Oddasz swą broń i osadzimy cię w pokoju – wyjaśniła Sheila. – Nie mam teraz dla ciebie żadnej pracy, więc możesz odpocząć po długiej drodze. – Skończywszy, piratka wyciągnęła dłoń.

Le'lorinel zastanawiał się nad wszystkim tylko przez chwilę, po czym uznał, że Kree i jej współpracownicy – zwłaszcza ta o imieniu Bellany, którą Le'lorinel uważał za czarodziejkę, zapewne zaklinaczkę – tak naprawdę uważały oddanie broni jedynie za symboliczne. Uśmiechnąwszy się do zacieklej piratki, elf podał jej sztylet i miecz.

* * *

– Podejrzewam, że uważasz to za zabawne – Drizzt powiedział cierpko, jego głos przerywany był jedynie czasami sapaniem, gdy próbował zaczerpnąć tchu.

Leżał na ziemi, z twarzą w piachu, a na jego plecach leżało trzysta kilogramów pantery. Wezwał Guenhwyvar, by zapolowała, podczas gdy on i Catti-brie ciągnęli swą udawaną bitwę o gulasz, lecz wtedy kobieta wyszeptała coś do ucha Guen i kocica, wyraźnie kierując się solidarnością płci,

potężnym susem powaliła Drizzta na ziemię.

Kilka kroków dalej Catti-brie z lubością delektowała się posiłkiem.

– Wyglądasz trochę śmiesznie – przyznała pomiędzy łykami. Drizzt zaszamotał się i niemal wyslizgnął spod pantery. Guenhwyvar położyła mu wielką łapę na barku, wyciągając długie pazury i przytrzymując go mocno.

– Walcz dalej, a Guen będzie miała posiłek – stwierdziła Catti-brie.

Drizzt zmrużył lawendowe oczy.

– Pozostaje jeszcze drobna kwestia zadośćuczynienia – powiedział cicho.

Catti-brie parsknęła, po czym na kolanach podeszła bliżej niego. Podniosła łyżkę pełną gulaszu i dmuchnęła na nią delikatnie, po czym podsunęła do Drizzta, powoli, drażniąco. Niemal sięgał już do niej ustami, gdy kobieta cofnęła ją nagle, chowając łyżkę we własnych ustach.

Jej śmiech zniknął jednak szybko, gdy ujrzała jak Guenhwyvar rozwiewa się w szarą mgłę. Kocica zaprotestowała, lecz nie mogła zignorować odprawienia przez swego pana, Drizzta.

Catti-brie rzuciła się do lasu, a Drizzt biegł za nią.

Niewiele dalej złapał ją skacząc na nią i powalając ją na ziemię, pod sobą, po czym używając swej zdumiewającej zręczności i złudnej siły, aby ją przekręcić i przyszpilić. Światło ogniska zostało za drzewami i krzakami, jedynie blask gwiazd i półksiężyc oświetlał piękne rysy kobiety.

– To nazywasz zadośćuczynieniem? – rzuciła kpiąco kobieta, gdy Drizzt znalazł się nad nią, siedząc na niej okrakiem i przyciskając jej ręce do ziemi za jej głową.

– Dopiero zaczynam – obiecał.

Catti-brie zaczęła się śmiać, lecz urwała nagle, a jej mina stała się poważna, wręcz zatroskana.

– O co chodzi? – spytał spostrzegawczy drow. Wycofał się trochę, puszczając jej ręce.

– Jeśli będziemy mieć szczęście, znajdziemy Wulfgara – powiedziała Catti-brie.

– Na to mamy nadzieję, owszem – zgodził się drow.

– Co o tym sądzisz? – kobieta zapytała bezceremonialnie. Drizzt usiadł bardziej prosto, wpatrując się w nią uważnie.

– A co powinienem sądzić?

– Jesteś zazdrosny? – spytała Catti-brie. – Czy obawiasz się, że powrót Wulfgara, oczywiście jeśli z nami wróci, zmieni w twoim życiu coś, czego nie chciałbyś zmieniać?

Drizzt zachichotał bezradnie, pokonany bezpośredniością i szczerością Catti-brie. Drow wiedział, że coś zaczynało między nimi rozkwitać, coś od dawna spóźnionego, lecz mimo to wciąż zdumiewającego i zaskakującego. Catti-brie nigdy nie kochała Wulfgara, była z nim nawet zaręczona i miała się z nim pobrać tuż przed jego rzekomym zgonem w Mithrilowej Hali, cóż więc by się stało, gdyby Wulfgar wrócił do nich teraz – nie Wulfgar, który uciekł, Wulfgar, który uderzył mocno Catti-brie – lecz mężczyzna, którego kiedyś znali, mężczyzna, który zabrał nigdy jej serce?

– Czy mam nadzieję, że powrót Wulfgara nie wpłynie w żaden negatywny sposób na nasze relacje? – spytał. – Oczywiście, że tak. A mówiąc to, czy mam nadzieję, że Wulfgar do nas wróci? Oczywiście, że tak. I modłę się, aby wydostał się ze swej ciemności, by znów stał się człowiekiem, którego nigdy nie znaleźliśmy i kochaliśmy.

Catti-brie ułożyła się wygodniej i nie przerywała, jej zainteresowana mina ponaglała go, by rozwinął myśl.

Drizzt zaczął od wzruszenia ramionami.

– Nie chcę przeżyć mego życia w zazdrości – powiedział. – I szczególnie nie mogę myśleć w tych kategoriach, jeśli chodzi o kogoś z moich prawdziwych przyjaciół. Moje pragnienie, by Wulfgar wrócił, jest nie mniejsze od twojego. Moja radość byłaby jeszcze większa, gdyby dumny i szlachetny barbarzyńca, z którym nigdy poszukiwałem przygód, wrócił znów do mego życia.

– A co do naszej przyjaźni i tego, co może z niej wyniknąć – ciągnął cicho Drizzt, lecz z tą samą dawną pewnością siebie, wewnętrzną siłą, która wyprowadziła go z niegodziwego Menzoberranzan i od tego czasu przeprowadziła przez wiele trudnych przygód oraz decyzji.

Uśmiechnął się tęsknie i wzruszył ramionami.

– Toczę moje życie najlepiej jak potrafię – powiedział. – Działam szczerze w dobrej wierze i z nadzieją na dobrą przyjaźń. Mam nadzieję, że sytuacja okaże się jak najlepsza. Mogę być wyłącznie tym drowem, którego widzisz przed sobą, niezależnie od tego, czy Wulfgar wróci do nas czy nie. Jeśli w twoim i w moim sercu ma być między nami coś więcej, niech tak się stanie. Jeśli nie... – urwał, uśmiechnął się i znów wzruszył ramionami.

– No i masz, znów wymachujesz jęzorem – rzekła Catti-brie. – Pomyślałeś kiedyś, że mógłbyś się po prostu zamknąć i mnie pocałować?

STATUA O LAWENDOWYCH OCZACH

– Cisza, prostaki – cicho złażała Gayselle, gdy mała łódka zbliżyła się do imponujących świateł Przystani Waterdeep. – Mam nadzieję przybić tak, by nikt nie zauważył.

Trzej wioślarze, półogry o krzepkich mięśniach, którym brakowało delikatnego dotyku, pomrukiwali pomiędzy sobą, lecz starali się, bezskutecznie, uciszyć pluski wiosła. Gayselle znosiła to, wiedząc, że robią, co mogą. Będzie się cieszyła, gdy to wszystko się skończy, gdy będzie mogła znaleźć się daleko od swych aktualnych towarzyszy, których imion nie знаła, lecz których przeważała Pyszczatym, Zrzędą i Głuptakiem.

Stała na przedzie łodzi, starając się wypatrzeć na brzegu jakieś charakterystyczne punkty, którymi mogłaby się kierować. W przeciągu ostatnich kilku lat przybijała do Waterdeep wiele, wiele razy i dobrze znała to miejsce. Najbardziej chciała teraz unikać długich nabrzeży i większych statków, chciała dostać się do mniejszych, słabiej obserwowanych i uregulowanych doków, gdzie za kilka monet można było kupić tymczasowe schronienie.

Ku swej uldze zauważyła, że tego wieczora po pomoście nie chodziło zbyt wielu strażników. Łódka, nawet przy akompaniamencie plusków półogrów, nie miała większych problemów z dostaniem się do szeregu mniejszych doków po południowej stronie drugiego nabrzeża.

Gayselle przeszła na tył i wyciągnęła rękę do najbliższego z osiłeków, Zrzędy, trzymając pojemnik z trzema małymi fiołkami.

– Wypijcie to i przejdźcie w ludzkie formy – wyjaśniła. Gdy biorący pojemnik Zrzęda uśmiechnął się lubieżnie, dodała: – W męskie ludzkie formy. Sheila Kree nie znieśie, jeśli któryś z was choć na chwilę przybierze formę kobiety.

Wywołało to jeszcze więcej pomruków ze strony osiłeków, lecz każdy z nich wziął buteleczkę i wysączył jej zawartość. Jeden po drugim przetransformowali swe fizyczne sylwetki w ludzkich mężczyzn.

Gayselle pokiwała z satysfakcją głową i wzięła kilka długich, uspokajających oddechów, zastanawiając się nad tym, co ją czekało. Znała oczywiście położenie domu, który był celem. Znajdował się niedaleko od doków, stał na wzgórzu ponad skalistą zatoczką. Wiedziała, że musieli szybko załatwić tę mroczną sprawę, bowiem polimorfujące eliksiry nie wystarczą na długo, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła Gayselle była przechadzka po ulicach Waterdeep w towarzystwie trzech półogrów.

Kobieta postanowiła sobie wtedy, że jeśli eliksiry się wyczerpią, a jej towarzysze ujawnią się jako intruzi, porzuci ich i zbiegnie sama w głąb miasta, gdzie miała przyjaciół, którzy mogli jej pomóc wrócić do Sheili Kree.

Przybili w jednym z mniejszych doków, przywiązując łódź obok tuzina podobnych łódek, cicho objadających się o pomost wraz z delikatnymi falami. W pobliżu nie było nikogo widać. Gayselle i trzej eskortujący ją „ludzie” ruszyli jak najszybciej na północ, opuszczając doki i wkraczając na kręte alejki, które miały ich zaprowadzić do domu kapitana Deudermonta.

* * *

Niezbyt daleko od nich Drizzt i Catti-brie przeszli przez północną bramę Waterdeep. Drow z łatwością oganiał się od stanowczych spojrzeń, które kierowały się w jego stronę od niemal każdego wartownika. Jeden czy dwóch rozpoznało go i wyjaśniło to swym nerwowym kompanom, lecz potrzeba było więcej niż parę uspokajających słów, by zmniejszyć trwogę żywioną wobec drowa przez przeciętnego mieszkańca powierzchni.

Nie martwiło to Drizzta, bowiem przechodził już przez to wcześniej dziesiątki razy.

– Znają cię, nie martw się – Catti-brie wyszeptała do niego.

– Niektórzy – zgodził się.

– Wystarczy – rzekła beznamiętnie kobieta. – Nie możesz się spodziewać, że cały świat będzie znał twoje imię.

Drizzt zachichotał i potrząsnął głową, zgadzając się.

– I wiem dość dobrze, że nieważne, co osiągnę w życiu, będę cierpiał ich spojrzenia. – Uśmiechnął się szczerze i wzruszył ramionami. – Cierpiał nie jest dobrym słowem – zapewnił ją. – Już nie.

Catti-brie zamierzała odpowiedzieć, lecz urwała, jej butne słowa zostały pokonane przez rozbrajający uśmiech Drizzta. Toczyła tę walkę o akceptację u boku swego przyjaciela przez wszystkie te lata, w Dolinie Lodowego Wichru, w Mithrilowej Hali i Silverymoon, nawet tu w Waterdeep oraz w każdym innym mieście i miasteczku na Wybrzeżu Mieczy w czasach, gdy żeglowali z Deudermontem. Catti-brie rozumiała, że w tym ważnym momencie bardziej troskała się tymi spojrzeniami niż Drizzt. Zmusiła się, by pójść tym razem za jego przewodem, by spojrzenia ześlizgiwały się po jej ramionach, bowiem to właśnie robił teraz Drizzt. Mogła to stwierdzić po szczerości jego uśmiechu.

Drizzt zatrzymał się i obrócił w stronę strażników, a najbliższa ich dwójka podskoczyła

zaskoczona.

– Jest Duszek Morski! – spytał drow.

– D-duszek Morski! – jeden wyjąkał w odpowiedzi. – Gdzie? Co?

Starszy żołnierz stanął obok zdenerwowanej dwójki.

– Jeszcze nie ma kapitana Deudermonta – wyjaśnił. – Choć spodziewany jest na ostatni popas, zanim zapadnie zima.

Drizzt dotknął dłonią czoła, by zsalutować w podziękowaniu, po czym odwrócił się i odszedł wraz z Catti-brie.

* * *

Delly Curtie była tego wieczora w świetnym nastroju. Miała przeczucie, że Wulfgar wróci wkrótce z Aegis-fangiem i że będzie mogła wraz ze swym mężem cieszyć się nareszcie życiem.

Delly nie była do końca pewna, co to oznaczało. Czy wrócą do Luskan i życia w Cutlassie wraz z Arumnem Gardpeckiem? Nie sądziła. Nie, Delly rozumiała, że w polowaniu na Aegis-fanga chodziło o coś więcej niż tylko o odzyskanie młota – gdyby szło tylko o to, Delly zniechęciłaby Wulfgara do szukania broni.

W polowaniu chodziło o to, by Wulfgar odnalazł samego siebie, swą przeszłość i swoje serce, a Delly uważała, że gdy to się stanie, znajdzie także drogę powrotną do domu – swego prawdziwego domu, w Dolinie Lodowego Wichru.

– A my pójdziemy tam razem z nim – powiedziała do Colson, trzymając dziewczynkę na wyciągnięcie ramion.

Myśl o Dolinie Lodowego Wichru podobała się Delly. Wiedziała o trudach tej okolicy, wiedziała wszystko o jej straszliwych śniegach i potężnych wichrach, o goblinach, yeti i innych niebezpieczeństwach. Jednak dla Delly, która dorastała na brudnych ulicach Luskan, Dolina Lodowego Wichru wydawała się czymś czystym, czymś szczerym i nieskalanym, a poza tym będzie przecież u boku ukochanego mężczyzny, mężczyzny, którego z każdym dniem kochała coraz bardziej. Wiedziała, że gdy tylko Wulfgar odnajdzie siebie, ich związek jedynie się wzmocni.

Zaczęła śpiewać, tańcząc zgrabnie po pokoju, kołysząc Colson, gdy obracała się i płasała.

– Tatuś wróci wkrótce do domu – obiecała córce, a Colson, jakby rozumiejąc, roześmiała się.

A Delly tańczyła.

I cały świat wydawał się piękny, pełen możliwości.

* * *

Dom kapitana Deudermonta był niczym pałac, nawet jak na waterdeepskie standardy. Miał dwie kondygnacje i ponad tuzin pokoi. Głównym elementem foyer były wielkie szerokie schody, była tam także sklepiona alkowa, w której znajdowało się dwoje wielkich, drewnianych, podwójnych drzwi, na każdym skrzydle wyrzeźbiona była połowa trój masztowego szkunera, wyraźny wizerunek Duszka Morskiego. Drugie schody, z tyłu, prowadziły do salonu, wychodzącego na skalistą zatoczkę oraz morze.

Było to Waterdeep, Miasto Wspaniałości, miasto praw. Jednak pomimo licznych patroli osławionej waterdeepskiej Straży oraz ogólnie obywatelskiej postawy populacji, większość dużych domów, także ten Deudermonta, zatrudniała również osobistych strażników.

Deudermont wynajmował dwóch – byłych żołnierzy-marynarzy, którzy służyli przed wieloma laty na Duszku Morskim. W równym stopniu jak najemnikami byli także przyjaciółmi, tak samo wartownikami co gośćmi domu. Choć poważnie podchodzili do swej pracy, nie mogli się przy niej nie rozluźnić. Żaden dzień nie niósł za sobą żadnych wypadów. Pomagali więc przy obowiązkach domowych, pracując wraz z Delly przy naprawie gontów zrywanych przez morski wicher, albo nieustannie malując okapy. Gotowali i sprząтали. Czasami nosili broń, a czasami nie, bowiem rozumieli, podobnie jak Deudermont, że byli bardziej środkiem prewencyjnym. Złodzieje z Waterdeep unikali domów, o których było wiadomo, że znajdowali się tam strażnicy.

Tak więc byli całkowicie nieprzygotowani na to, co spadło tej mrocznej nocy na dom Deudermonta.

Gayselle pierwsza znalazła się przy frontowych drzwiach Deudermonta, w towarzystwie jednego z osiłków, który, dzięki zastosowaniu eliksiru polimorfii, całkiem nieźle imitował fizyczne rysy kapitana Deudermonta. Tak dobrze, że Gayselle zastanawiała się, czy nie powinna była inaczej przezwąć Głuptaka. Rozejrzawszy się dookoła, by upewnić się, że na ulicy było spokojnie, Gayselle skinęła głową Pryszczatemu, który stał na końcu alejki, pomiędzy dwoma żywopłotami. Osilek zaczął natychmiast pocierać stopami o kamienie, nabierając przyrzeczności i uśmiechając się paskudnie.

Jedne z podwójnych drzwi otworzyły się po zapukaniu, tylko na kilka centymetrów, bowiem, jak się spodziewano, zabezpieczone były łańcuchem. W szczelinie pojawił się gładko ogolony, potężny mężczyzna o krótkich czarnych włosach i brwiach tak nastroszonych, że wyglądał jakby mógł za ich pomocą osłaniać oczy przed słońcem.

– Czy mogę w czymś pomóc...?

Jego głos zamarł jednak, gdy przyjrzał się mężczyźnie stojącemu za kobietą, mężczyźnie, który zdecydowanie przypominał kapitana Deudermonta.

– Przyprowadziłam brata kapitana Deudermonta – odrzekła Gayselle. – Przyszedł porozmawiać ze swym dawno zaginionym krewniakiem.

Oczy strażnika otworzyły się szerzej na chwilę, po czym powrócił do stanowczej, fachowej postawy.

– Miło poznać – odezwał się – jednak obawiam się, że pańskiego brata nie ma aktualnie w Waterdeep. Proszę mi powiedzieć, gdzie się pan zatrzymał, a poinformuję go o tym, zaraz gdy wróci.

– Kończą nam się zasoby – odpowiedziała szybko Gayselle. – Długo byliśmy w drodze. Mieliśmy nadzieję znaleźć tu schronienie.

Strażnik zastanawiał się nad tym przez krótką chwilę, lecz potrząsnął głową. Jego rozkazy w takich sprawach były bezkompromisowe, pomimo tak nadzwyczajnego wypadku, zwłaszcza że kobieta i dziecko przebywały w domu jako goście. Zaczął wyjaśniać, mówić im, że mu przykro, ale w jednej z gospód mogą znaleźć schronienie za rozsądną cenę.

Gayselle niezbyt słuchała. Od niechcenie zerknęła na uliczkę, na rozochoczonego półogra. Piratka skinęła leciutko głową, pozwalając Pryszczatemu na szarżę.

– Może więc otworzysz drzwi przed trzecim z naszej grupy – kobieta powiedziała słodko.

Strażnik znów potrząsnął głową.

– Wątpię... – zaczął mówić, lecz nagle został pozbawiony słów i tchu, gdy półogr uderzył ze straszliwą szybkością w drzwi, roztrzaskując drewno i wyrywając mocowanie łańcucha. Strażnik został odrzucony w tył i ciśnięty na podłogę, a półogr zatoczył się, lądując na nim.

Do środka weszli Gayselle oraz naśladowca Deudermonta, wyciągając broń. Półogr zdjął z siebie iluzyjny obraz, porzucając ludzką fasadę.

Strażnik na podłodze zaczął krzyczeć, próbując wyrwać się półogrowi, lecz znalazła się przy nim Gayselle, ze sztyletem w dłoni. Szybkim i pewnym ruchem poderżnęła mu gardło.

Drugi strażnik wyłonił się z drzwi z boku foyer. Następnie, z wyrazem najczystszej przerażenia na twarzy, rzucił się do schodów.

Sztylet Gayselle trafił go w tył nogi, przecinając ścięgna. Uparcie parł dalej przed siebie, kuśtykając po schodach i wołając. Głuptak dopadł go i z przerażającą siłą ściągnął ze schodów, posyłając na sam dół, gdzie czekał drugi półogr.

Do domu wszedł Zrzęda, wciąż w ludzkiej formie. Spokojnie zamknął drzwi, choć nie wisały już prosto na wygiętych zawiasach.

* * *

Delly wyraźnie usłyszała z dołu fałszywą nutę, która zakończyła jej piosenkę. Jako że dorastała pośród zbójów, widziała wiele bijatyk i w wielu, wielu brała udział, kobieta rozumiała, co dzieje się na dole.

– Na bogów – mruknęła, wstrzymując krzyk, zanim mógł zdradzić ją i Colson.

Przycisnęła dziecko mocno do siebie i podbiegła do drzwi. Uchyliła je, wyjrzała, po czym otworzyła szeroko. Przystanęła tylko na tyle, by zrzucić twarde buty, wiedząc, że by ją zdradziły, po czym podreptała cicho korytarzem pomiędzy ścianą a balustradą. Trzymała się ściany, nie chcąc być zauważona z foyer, bowiem to właśnie tam, jak mogła stwierdzić z odgłosów – jęków i ciężkich uderzeń – znajdowali się napastnicy. Gdyby była sama, zbiegłaby po schodach i przyłączyła się do walki, lecz gdy miała w ramionach Colson, mogła myśleć jedynie o bezpieczeństwie dziecka.

Minąwszy frontowe schody, Delly skręciła w boczny korytarz i pobiegła, przemykając przez osobisty gabinet Deudermonta do tylnej klatki schodowej. Zeszła na dół, na każdym kroku wstrzymując oddech, nie miała bowiem jak sprawdzić, czy w domu mogą być inni, może nawet w pomieszczeniu poniżej.

Usłyszała nad sobą hałas i zrozumiała, że ma niewielki wybór, wpadła więc przez drzwi prowadzące do ozdobnego salonu. Jedno z okien znajdowało się po przeciwległej stronie rozległego pokoju. Wiał chłodny wiatr, lekko muskając skraj odsuniętej zasłony.

Delly zastanowiła się nad drogą. Te duże okna wychodziły na skaliste urwisko nad zatoczką. Przeklęła się za to, że zdjęła buty, lecz wiedziała w sercu, że nie robiło to większej różnicy. Urwisko było zbyt strome i zbyt niebezpieczne – wątpiła, by intruzi dostali się z tamtej strony – i nie śmiała pójść tamtędy mając w ramionach Colson.

Dokąd jednak pójść?

Zawróciła do głównych drzwi pokoju, prowadzących przez korytarz do foyer. Od tego korytarza odchodziły boczne pomieszczenia, w tym kuchnia, gdzie znajdował się zsyp na śmieci. Sądząc, że może się schować tam razem z Colson, podbiegła do drzwi i otworzyła je – lecz zatrzasnęła natychmiast i opuściła blokującą je sztabę, gdy ujrzała zbliżające się masywne sylwetki. Z drugiej strony usłyszała odgłos biegnących stóp, a po nich trzask, gdy ktoś rzucił się na zablokowane drzwi.

Delly rozejrzała się dookoła, na schody i na otwarte okno, nie wiedząc, dokąd powinna uciekać. Była tak zdenerwowana, że nawet nie zauważyła, jak do pokoju wsunęła się inna postać.

Drzwi znów zostały uderzone i zaczęły pękać. Delly słyszała potężnego mężczyznę grzmocącego mocno w drewno. Kobieta cofnęła się.

Następnie znów rozległ się odgłos biegnących stóp i kolejne uderzenie w drzwi. Otworzyły się gwałtownie i na stertę szczap przewróciła się wielka sylwetka. Do środka weszła kobieta, w towarzystwie jednego z osiłków – drugi w tym czasie podniósł się. Były to najbrzydsze zbiry, jakie Delly Curtie kiedykolwiek widziała. Nie wiedziała, kim byli, bowiem jej doświadczenia niezbyt wybiegały poza Luskan, lecz po ich plamistej zielonkawej skórze i rozmiarze rozumiała, że muszą być jakoś spokrewnieni z gigantami.

– No proszę, cóż za ślicznotka – dziwna kobieta powiedziała, uśmiechając się niegodziwie – Chyba nie chcesz wyjść, zanim skończy się impreza, co?

Delly odwróciła się do schodów, lecz nawet nie ruszyła w ich stronę, widząc jak schodzi po nich powoli kolejny osiłek, przyglądając się jej lubieżnie na każdym kroku.

Delly pomyślała o oknie z tyłu, przy którym spędziła tak wiele godzin z Wulfgarem, obserwując zachodzące słońce lub gwiazdy odbijające się w ciemnych wodach. Nie była w stanie uciec, nie będąc złapana, lecz i tak szczerze zastanawiała się nad tą drogą, myślała, czy nie rozpędzić się i nie rzucić wraz z Colson na skały, kończąc to wszystko szybko i litościwie.

Delly Curtie знаła ten gatunek zbrojów i rozumiała, że czekają pewna zguba.

Kobieta i jej dwaj towarzysze podeszli na krok w jej stronę.

Okno, zdecydowała Delly. Odwróciła się i pobiegła, zdecydowana skoczyć daleko, by zapewnić sobie szybką i bezbolesną śmierć.

Wtedy jednak zszedł ze schodów trzeci olbrzym. Wahanie Delly pozbawiło ją możliwości samobójstwa. Osiłek z łatwością złapał ją jedną wielką ręką, przyciskając ją mocno do swej masywnej piersi.

Odwrócił się, śmiejąc, i dołączyły do niego wycia dwóch ogrzycich towarzyszy. Kobieta nie wydawała się jednak rozbawiona. Podeszła do Delly, przyglądając się jej uważnie.

– Nie jesteś kobietą Deudermonta, prawda? – spytała.

– Nie – Delly odpowiedziała szczerze, lecz w jej głosie nie słychać było szczerości, drżał bowiem ze strachu.

Obawiała się nie tyle o siebie, co o Colson, choć wiedziała, że następne kilka chwil jej życia, zapewne kilka ostatnich chwil jej życia, będą najstraszniejszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek zaznała.

Dziwna kobieta podeszła do niej spokojnie, uśmiechając się.

– Deudermont jest twoim mężczyzną?

– Nie – powtórzyła Delly z trochę większą pewnością. Kobieta uderzyła ją mocno w twarz, ciosem, po którym Delly zatoczyła się na krok do tyłu. Zbir szybko przyciągnął ją jednak z powrotem, ustawiając ponownie w zasięgu uderzenia.

– Jest delikatna – osiłek powiedział z lubieżnym chichotem i ścisnął ręce Delly. – My się z nią pobawimy, zanim my ją zjemy!

Pozostali dwaj w pokoju zaczęli się śmiać, a jeden wykonywał obleśne ruchy biodrami.

Delly poczuła jak słabną pod nią nogi, lecz zacisnęła zęby i wzmocniła upór, zdając sobie sprawę, że miała obowiązek wykraczający poza poświęcenie, jakie zostanie jej wkrótce narzucone.

– Zrobicie ze mną, co zechcecie – powiedziała. – A ja będę dla was dobra tak długo, jak nie skrzywdzicie mego dziecka.

Oczy dziwnej kobiety zmrużyły się, gdy Delly to powiedziała. Wyraźnie nie podobało jej się, że Delly może uzyskać jakąkolwiek kontrolę nad sytuacją.

– Pobawicie się później – powiedziała do swych trzech towarzyszy, po czym obróciła głowę, przyglądając się każdemu po kolei. – A teraz idźcie zebrać jakieś łupy. Nie chcielibyście stanąć przed szefową bez łupów, co?

Osiłek trzymający Delly naprężył się na te słowa, lecz nie puścił jej. Jego towarzysze zaczęli się jednak miotać, potykając się prawie o siebie, gdy próbowali zaspokoić żądania swojej szefowej.

– Proszę – Delly powiedziała do kobiety. – Nie jestem dla was zagrożeniem i nie wyrządę żadnych kłopotów. Tylko nie skrzywdźcie mego dziecka. Jesteś kobietą, więc wiesz.

– Zamknij pysk – obca przerwała jej gwałtownie.

– Zjemy obie! – wrzasnął olbrzym trzymający Delly, biorąc za wskazówkę lekceważący ton kobiety.

Kobieta podeszła o krok, z podniesioną dłonią, a Delly wzdrygnęła się. Jednak to uderzenie przeszło obok niej, trafiając w zaskoczony osiłka. Kobieta cofnęła się, znów przyglądając się Delly.

– Zajmiemy się dzieckiem – rzekła spokojnie.

– Proszę – błagała Delly.

– Co do ciebie, jesteś skończona i wiesz o tym – ciągnęła kobieta, ignorując ją. – Ale jeśli

powiesz nam, gdzie są najlepsze łupy, to może zlitujemy się nad tą małą. Może nawet sama ją wezmę.

Delly bardzo starała się nie skrzywić na tę straszną myśl. Uśmiech obcej poszerzył się, gdy nachyliła się bliżej i przyjrzała dziecku.

– W końcu nie może nas wydać straży, prawda?

Delly wiedziała, że powinna powiedzieć w tym momencie coś konstruktywnego, wiedziała że powinna przedrzeć się przez przerażenie oraz szaleństwo tego wszystkiego i poprowadzić kobietę w kierunku najlepszym dla Colson. Okazało się to jednak dla niej zbyt wielkim wysiłkiem. Miała oszałamiającą świadomość, że wkrótce zginie, że jej córka jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i że nie mogła nic z tym zrobić. Jąkała się i zacinała, w końcu nic nie mówiąc.

Kobieta zacisnęła pięść i uderzyła Delly mocno prosto w twarz. Gdy Delly zatoczyła się, obca wyrwała jej Colson z ramion.

Upadając Delly sięgnęła po nią, próbując złapać dziecko z powrotem, lecz wielki zbir wbił jej w pierś ciężkie przedramię, przyspieszając jej upadek. Wylądowała ciężko na plecach, a osiłek nie tracił czasu wdrapując się na nią.

Hałas z boku zapewnił jej tymczasową ulgę, wszystkie oczy skierowały się ku jednemu z pozostałych osiłków, stojącemu w środku sterty potłuczonej zastawy stołowej – bardzo kosztownej zastawy stołowej.

– Znajdź coś, żeby to przenieść, głupcze! – kobieta wrzasnęła na niego. Rozejrzała się po pokoju, zatrzymując w końcu wzrok na jednej z ciężkich, długich zasłon, po czym wskazała stworowi, by się pospieszył.

Wydając z siebie zrezygnowane westchnięcie, podeszła i kopnęła mocno w zębra osiłka, który wciąż znajdował się na Delly.

– Zabij tylko tę wiedźmę i skończ z tym – powiedziała. Osiłek podniósł na nią wzrok, butny jak nigdy, i potrząsnął głową.

Ku przestraszeni Delly, kobieta jedynie machnęła ręką na paskudne stworzenie, poddając się.

Delly zamknęła oczy i próbowała wyzwolić umysł z ciała.

Zbir, który upuścił naczynia, pobiegł na drugą stronę pokoju po zasłonę i zerwał ją jednym silnym pociągnięciem. Osiłek zaczął zawracać, lecz zatrzymał się, obserwując dziwną rzeźbę stojącą za zdjętą zasłoną. Była to naturalnej wielkości sylwetka elfa, odziana w strój poszukiwacza przygód i najwyraźniej wykonana z jakiegoś ciemnego materiału, czarnego kamienia lub drewna. Stała z zamkniętymi oczyma i dwoma ozdobnymi sejmitarami skrzyżowanymi na piersi.

– Huh? – powiedział osiłek.

– Huh? – powtórzył, wyciągając powoli rękę, by dotknąć gładkiej skóry.

Oczy otworzyły się, przeszywające, lawendowe oczy, które zmroziły olbrzyma w miejscu, które wydawały się mówić mu bez cienia wątpliwości, że jego czas na tym świecie szybko dobiegał końca.

* * *

Tak błyskawicznie, że stwór nawet tego nie zarejestrował, „statua” rzuciła się do działania, tnąc sejmityrami z prawej i z lewej. Drow obrócił się, nabierając pędu do jeszcze potężniejszych cięć. Podwójne cięcie, jeden sejmitar biegnący za drugim, otworzyło oszołomionego półogra od barku do biodra. Szybki krok ustawił drowa tuż przy padającym osiłku. Odwrócił praworęczny chwyt, wbił jedno z zaklętych ostrzy głęboko w grzbiet stwora, przecinając mu kręgosłup, po czym wykonał półobrót i podciął bestii ścięgna – u obu nóg – precyzyjnym i druzgocącym cięciem drugiej klingi.

Drizzt odsunął się, gdy umierający półogr zwałił się na podłogę.

– Chyba powinieneś z niej zleźć – drow powiedział niedbale do następnego osiłka, który leżał na Delly, wpatrując się niedowierzająco w Drizzta.

Zanim piratka zdołała w ogóle wywarczyć rozkaz do ataku, trzeci półogr rzucił się przez cały pokój na drowa, drogą prowadzącą tuż obok otwartego okna. W połowie odległości zderzyła się z nim lecąca czarna sylwetka. Trzysta kilogramów kłapiących zębów i szarpiących pazurów zatrzymało gwałtownie szarżę półogra w kierunku Drizzta, odpychając go z powrotem na środek pomieszczenia.

Osiłek szamotał się dziko, lecz pantera miała zbyt wiele naturalnej broni i zbyt wiele siły. Guenhwyvar chwyciła paszczą jedno z przedramion, po czym szarpnęła głową w rył i w przód, miażdżąc kości i rozrywając ciało. Przez cały ten czas przednie łapy pantery drapały raz za razem twarz zbira, zbyt szybko, by mógł je zablokować drugą ręką. Silne tylne łapy Guen znalazły punkt zaczepienia na nogach i torsie półogra, wbijając się pazurami, po czym rozrywając.

Ostatni półogr stoczył się z Delly i stanął na nogach. Uniósł swą broń, ciężki szeroki miecz, i rzucił się na drowa, zamierzając przeciąć Drizzta na pół jednym ciosem.

Wykonujący cięcie miecz trafił jedynie powietrze, gdy zwinny drow z łatwością odsunął się przed ciosem, po czym wbił Błysk w brzuch osiłka i zgrabnie uchylił się znów o krok.

Półogr złapał się za ranę, lecz tylko na chwilę, bo zaraz rzucił się do prostego pchnięcia.

Sejmitar Lodowa Śmierć, zaciśnięty w lewej dłoni Drizzta, z łatwością odtrącił miecz na bok.

Drizzt wystąpił o krok naprzód obok pochylonego osiłka i znów dźgnął go mocno Błyskiem, tym razem zahaczając czubkiem o szerokie żebro.

Półogr ryknął i obrócił się, wykonując potężne cięcie, spodziewając się przeciąć Drizzta na pół. Znów trafił jedynie powietrze.

Półogr przystanął, ogłupiały, bowiem nigdzie nie było widać jego przeciwnika.

– Silny, ale powolny – dobiegł z tyłu głos drowa. – Straszliwa kombinacja.

Półogr zawył ze strachu i skoczył na bok, lecz Lodowa Śmierć była szybsza, cięła mocno w bok jego szyi. Półogr wykonał trzy rozpedzone kroki, sięgając ręką do rozerwanej szyi, po czym padł na kolano, a następnie całkowicie na podłogę, wijąc się z bólu.

Drizzt ruszył w jego stronę, by go dobić, lecz zmienił kierunek i zatrzymał się nagle, wpatrując się w kobietę, która wycofała się do ściany przy połamanych drzwiach. W jej ramionach znajdowało się dziecko, a do jego gardła przyciśnięty był wąski, śmiercionośny sztylet.

– Jakie sprawy sprowadzają mrocznego elfa do Waterdeep? – spytała kobieta, starając się brzmieć spokojnie i pewnie, lecz była wyraźnie wstrząśnięta. – Jeśli pragniesz domu jako własnego celu, zostawię ci go. Zapewniam cię, że nie mam zamiaru rozmawiać z władzami. – Kobieta urwała i przyjrzała się uważnie Drizztowi, a na jej twarzy wymalował się w końcu porozumiewawczy uśmiech.

– Nie jesteś drowem przybyłym z bezświatlnych głębi na wyprawę łupieżczą – stwierdziła kobieta. – Żeglowałeś z Deudermontem.

Drizzt uklonił się przed nią i nawet nie kłopotał się powstrzymaniem ostatniego ogra, którego straszliwie zranił, gdy pełził w kierunku kobiety. Po drugiej stronie pokoju Guenhwyvar skradała się wzdłuż ściany, zachodząc kobietę z drugiej strony, pozostawiwszy drugiego półogra rozerwanego i martwego w kałuży własnej krwi.

– A kim jesteś ty, która przychodzisz nieproszona do domu Deudermonta? – zapytał Drizzt. – Wraz z niezbyt odpowiednimi towarzyszami.

– Oddaj mi Colson! – błagała druga kobieta, którą musiała być Delly Curtie. Wciąż była na podłodze, oparta na łokciach. – Och, proszę. Ona nic nie zrobiła.

– Milcz! – piratka wrzasnęła na nią. Popatrzyła znów na Drizzta, wymownie obracając ten paskudny sztylet w jedną i w drugą stronę przy gardle dziecka. – Ona zachowa dziecko, a ja życie – wyjaśniła. – Gdy się stąd wydostanę, uciekając.

– Targujesz się o to, o czym tylko myślisz, że posiadasz – stwierdził Drizzt, podchodząc o krok.

Półogr dotarł wtedy już do swej pani. Z wielkim wysiłkiem klęknął przed nią, opierając ręce na ścianie i podnosząc się na kolana.

Gayselle zerknęła na niego, bo czym jej dłoń błysnęła, wbijając sztylet głęboko w gardło osiłka. Przewrócił się chwytając gwałtownie powietrze, umierając.

Kobieta, dla której walka wyraźnie nie była pierwszą, natychmiast cofnęła sztylet z powrotem do gardła dziecka, błyskawicznym ruchem, który sprawił, że Delly krzyknęła, a Drizzt i Guenhwyvar rzucili się na nią przez chwilę. Jednak tylko przez chwilę, bowiem ów sztylet zbyt szybko znalazł się na swoim miejscu i nie mogło być wątpliwości, że go użyje.

– Nie mogłam zabrać go ze sobą i nie mogłam pozwolić, żeby się wygadał – kobieta wyjaśniła, gdy drow popatrzył na jej zdychającego półogrzego towarzysza.

– A ja nie mogę pozwolić, żebyś wyszła z dzieckiem – odparł drow.

– Ależ możesz, bo masz niewielki wybór – oznajmiła. – Opuzczę to miejsce i wyślę wiadomość, gdzie możecie znaleźć dziecko, całe i zdrowe.

– Nie – sprostował Drizzt. – Oddasz dziecko jego matce, po czym opuścisz to miejsce, żeby nigdy tu nie wrócić.

Kobieta roześmiała się na ten pomysł.

– Twoja pantera doścignęłaby mnie i powaliła, zanim doszłabym do ulicy – rzekła.

– Daję ci moje słowo – zaproponował Drizzt. Kobieta znów się zaśmiała.

– Czy mam wierzyć słowu drowa?

– A czy ja mam wierzyć słowu złodziejki i mordercy? – szybko zripostował Drizzt.

– Ale ty nie masz wyboru, drowie – wyjaśniła kobieta, podnosząc dziecko bliżej do swej twarzy, spoglądając na nie z dziwną, chłodną miną i jeżdżąc płazem sztyletu po szyi Colson.

Delly Curtie znów zaskomlała i schowała twarz w dłoniach.

– Jak mnie powstrzymasz, drowie? – kobieta rzuciła kpiąco.

W chwili, gdy te słowa opuściły jej usta, przez pokój przemknęła srebrzysta błyskawica, ponad leżącą sylwetką Delly Curtie, tuż obok delikatnego ciała Colson, wbijając się piratce dokładnie między oczy, rzucając ją plecami na ścianę i przybijając do niej.

Rozłożyła szeroko ręce, podrygujące spazmatycznie, a dziecko wypadło z jej objęć.

Jednak nie na podłogę, bowiem zaraz, gdy usłyszał ten znajomy odgłos cięciwy, Drizzt przeokołkował do przodu, podnosząc się tuż przy przybitej kobiecie i delikatnie chwytając Colson w nadstawione dłonie. Wstał i popatrzył na piratkę.

Kobieta była już martwa. Jej ręce wykonały jeszcze kilka gwałtownych spazmów, po czym oklapła, wisząc z czaszką przybitą do ściany. Już nie oglądała ani nie słyszała świata.

– Dokładnie tak – mimo to powiedział do niej Drizzt.

NADCHODZI ZIMA

– Nigdy ni przepadałem zbytnio za tym miejscem – mruknął Bruenor stojąc wraz z Regisem przy północnej bramie Luskan. Byli tu trzymani przez długi czas przez i zaciekawionych i podejrzliwych strażników.

– Wkrótce nas puszczą – odparł Regis. – Zawsze się tak zachowują, gdy zmienia się pogoda. W końcu to wtedy z gór spływa cała szumowina. I do miasta wędrują z powrotem rozbójnicy, udając, że cały czas tam byli.

Bruenor splunął na ziemię.

W końcu strażnik, który ich zatrzymał powrócił wraz z innym, starszym żołnierzem.

– Mój przyjaciel mówi, że przybyliście z Doliny Lodowego Wichru – stwierdził starszy. – A jakież przynieśliście towary, żeby je sprzedać przez zimę?

– Przyniosłem siebie i to winno ci wystarczyć – mruknął Bruenor. Żołnierz przyjrzał mu się groźnie.

– Przybyliśmy tu, by spotkać się z przyjaciółmi, którzy są w drodze – szybko wtrącił się spokojniejszym tonem Regis.

Wszedł pomiędzy Bruenora a żołnierza, starając się rozładować potencjalnie wybuchową sytuację – bowiem ostatnio każda sytuacja, w której brał udział Bruenor Battlehammer była wybuchowa! Krasnolud pragnął odnaleźć swego zaginionego syna i biada każdemu, kto próbował mu w tym przeszkadzać.

– Jestem radcą w Dekapolis – niziołek wyjaśnił. – Regis z Samotnego Lasu. Może o mnie słyszeliście?

Żołnierz, zjeżony z powodu zachowania Bruenora, splunął niziołkowi pod nogi.

– Nie.

– A moim towarzyszem jest sam Bruenor Battlehammer – Regis powiedział dość dramatycznie. – Przywódca klanu Battlehammer w Dekapolis. Niegdyś i wkrótce ponownie król Mithrilowej Hali.

– O nim też nie słyszałem.

– Ale och, usłyszysz – mruknął Bruenor. Zaczął obchodzić Regisa, a niziołek przesunął się szybko, by dalej go blokować.

– Twardziel, co? – powiedział żołnierz.

– Proszę, dobry panie, dość tych głupot – błagał Regis. – Bruenor jest w strasliwym nastroju, bowiem stracił syna, który żegluje podobno wraz z kapitanem Deudermontem.

To wywołało zaskoczoną minę na twarzy starego żołnierza.

– Nie słyszałem o żadnych krasnoludach żeglujących na Duszku Morskim – rzekł.

– Jego syn nie jest krasnoludem, lecz wojownikiem, dumnym i silnym – wyjaśnił Regis. – Zwie się Wulfgar. – Niziołek sądził, że posunie się tym do przodu, lecz na wspomnienie imienia Wulfgara żołnierz przybrał wielce przerażoną i rozwścieczoną minę.

– Jeśli nazywasz tego gamonia swoim synem, to zdecydowanie nie jesteś mile widziany w Luskan – oznajmił żołnierz.

Regis westchnął, wiedząc, co nadciąga. Wyszczerbiony topór wbił się w ziemię u jego stóp. Przynajmniej Bruenor nie próbował przeciąć mężczyzny na dwoje. Niziołek starał się przewidywać ruchy krasnoluda, by pozostawać pomiędzy nimi dwoma, lecz Bruenor podniósł go od niechcienia i odwrócił, stawiając Regisa za sobą.

– Zostań tu – polecił krasnolud, machając niziołkowi przed twarzą sękatym, krzywym palcem.

Gdy krasnolud odwrócił się z powrotem, żołnierz wyciągnął już miecz.

Bruenor popatrzył na niego i roześmiał się.

– A teraz, co mówiłeś o mym chłopcu? – spytał.

– Mówiłem, że jest gamoniem – powiedział mężczyzna, po tym, jak rozejrzał się dookoła, czy posiada w okolicy odpowiednie wsparcie. – Jest jeszcze milion innych obelg, które mógłbym słusznie cisnąć w tego, który zwie się Wulfgarem, między nimi morderca i łotr!

Niemal dokończył to zdanie.

Niemal podniósł miecz, by zablokować pocisk Bruenora – pocisk, którym było całe ciało krasnoluda.

Drizzt odwrócił się i ujrzał w oknie obszarpaną i brudną Catti-brie, opierającą się od zewnątrz o parapet, z ponurą twarzą i Taulmarilem w dłoni.

– Sporo ci to zajęło – stwierdził drow, lecz jego dowcip nie trafił w Catti-brie. Nie tak szybko po zabójstwie. Spoglądała za Drizzta, nawet nie rejestrując jego słów. Czy takie czyny kiedykolwiek zaczną ją mniej dręczyć?

Wielka część kobiety, którą była Catti-brie miała nadzieję, że nie.

Delly Curtie zerwała się z podłogi i pospieszyła do Drizzta, biegnąc ku swemu płaczącemu dziecku. Zbliżywszy się, kobieta uspokoiła się, bowiem uśmiechnięty mroczny elf wyciągnął w jej stronę całe i zdrowe, choć wyraźnie zdenerwowane dziecko i chętnie przekazał jej Colson.

– Byłoby łatwiej, gdybyś weszła zaraz za mną – Drizzt powiedział do Catti-brie. – Mogłoby to nam oszczędzić trochę kłopotów.

– Czy one wyglądają ci na elfie? – odwarknęła kobieta, wskazując swe oczy, ludzkie oczy, dalece gorzej spisujące się w przyćmionym świetle waterdeepskiej nocy. – I myślisz, że to była łatwa wspinaczka?

Drizzt wzruszył ramionami, wciąż się uśmiechając. W końcu skaliste urwisko nie sprawiło mu żadnego kłopotu.

– Wracaj więc na dół – nalegała Catti-brie. Przełożyła nogę przez okno i zaczęła wchodzić do pokoju, nie poruszając się szybko, miała bowiem rozerwaną nogawkę i krwawiła jej noga. – Wróc z zamkniętymi oczami i powiedz mi, jak łatwo się chodzi po mokrych skałach.

Weszła do środka, wykonując kilka kroków, zanim odzyskała w pełni równowagę – to zaś doprowadziło ją tuż przed Delly Curtie oraz dziecko.

– Catti-brie – powiedziała kobieta. Jej ton, choć dość przyjazny i wdzięczny, pokazywał, że jest dość niespokojna, widząc tu Catti-brie.

Kobieta z Doliny Lodowego Wichru ukloniła się lekko.

– A ty jesteś Delly Curtie, chyba że się mylę – odparła. – Wraz z moim przyjacielem przybyliśmy właśnie z Luskan, z tawerny Arumna Gardpecka.

Delly zachichotała i wydawała się pierwszy raz odetchnąć, odkąd rozpoczęła się walka. Przeniosła wzrok z Catti-brie na Drizzta, znając ich z opowieści Wulfgara.

– Nigdy wcześniej nie widziałam drowa – rzekła. – Ale słyszałam wiele o tobie od mego

mężczyzny.

Wbrew sobie, Catti-brie poderwała się na te słowa, a jej niebieskie oczy otworzyły się szeroko. Popatrzyła na Drizzta i zauważyła, że przygląda się jej porozumiewawczo.

Uśmiechnęła się, potrząsnęła głową i znów przeniosła wzrok na Delly.

– Od Wulfgara – powiedziała pewnym głosem Delly.

– Wulfgar jest twoim mężczyzną? – Catti-brie spytała bezceremonialnie.

– Tak – przyznała Delly, przygryzając dolną wargę. Catti-brie dokładnie ją rozumiała. Widziała, że Delly się boi, nie fizycznego uszczerbku, lecz że powrót Catti-brie do życia Wulfgara w jakiś sposób zagrozi ich związkowi. Catti-brie widziała jednak również, że Delly była w kropce, bowiem nie mogła tak naprawdę, być zła z powodu przybycia Catti-brie oraz Drizzta, zważywszy, że właśnie ocalili ją oraz jej dziecko przed pewną śmiercią.

– Przybyliśmy, żeby go znaleźć – wyjaśnił Drizzt. – Żeby się dowiedzieć, czy nadszedł już czas, aby wrócił do domu, do Doliny Lodowego Wichru.

– Widzisz, on już nie jest sam – Delly powiedziała do drowa. – On ma... – chciała wymienić siebie, lecz urwał i pokazała Colson. – Ma maleństwo, o które się troszczy.

– Tak słyszeliśmy, lecz to wydaje się dziwaczną opowieścią – rzekła Catti-brie, podchodząc. – Mogę potrzymać dziewczynkę?

Delly przytuliła bardziej wciąż płaczące dziecko.

– Boi się – wyjaśniła. – Najlepiej żeby była z mamą. Catti-brie uśmiechnęła się do niej, kierując w jej stronę szczerze ciepłą minę.

Ich radość z powodu udanej akcji ratowniczej trochę przygasła, gdy Drizzt zostawił Delly oraz Catti-brie w salonie i potwierdził, jak krwiożercza była naprawdę ta banda. Znalazł w foyer dwóch zamordowanych strażników, jeden leżał przy drzwiach, drugi na schodach. Wyszedł przez dom i krzyknął kilkakrotnie, dopóki nie odezwała się w końcu odpowiedź.

– Proszę sprowadzić straż! – Drizzt poprosił sąsiada. – Miał tu miejsce straszliwy mord!

Drow wrócił do Delly i Catti-brie. Delly siedziała z dziewczynką, próbując powstrzymać jej płacz, zaś Catti-brie stała przy oknie, wyglądając na zewnątrz, z Guenhwyvar zwiniętą na podłodze obok siebie.

– Ona ma dla nas długą opowieść o naszym Wulfgarze – Catti-brie powiedziała do Drizzta.

Drow popatrzył na Delly Curtie.

– On często mówi o was obojgu – wytłumaczyła Delly. – Powinniście wiedzieć, jaką przeszedł drogę.

– Wkrótce – odrzekł Drizzt. – Lecz nie teraz. Szybko powinny się zjawić siły porządkowe. – Skończywszy, mroczny elf rozejrzał się po pokoju, jego wzrok lądował na kolejnych ciałach intruzów. – Masz jakiś pomysł, co mogło spowodować ten atak? – spytał Delly.

– Deudermont zrobił sobie wielu wrogów – Catti-brie przypomniała mu od okna, nawet się nie odwracając.

– Nic więcej niż zwykle – zgodziła się Delly. – Wielu chciałoby głowy kapitana Deudermonta, lecz nie słyszałam, by święciło się coś wyjątkowego.

Drizzt milczał, zastanawiając się, czy spytać Delly, co wiedziała o tej piratce, która posiadała rzekomo młot Wulfgara. Znów rozejrzał się po pokonanych intruzach, skupiając wzrok na kobiecie.

Wzór pasował, uświadomił sobie, zważywszy na to, czego dowiedział się dzięki spotkaniu z Jule Pepper w Dolinie Lodowego Wichru i od Morika Łotra. Przeszedł przez pokój, ignorując odgłosy sił porządkowych zbliżających się do drzwi frontowych, i przystanął tuż przy martwej kobiecie, która wciąż stała przy ścianie, przybita strzałą Catti-brie.

– Co robisz? – Catti-brie spytała, gdy Drizzt odsunął kołnierz zakrwawionej tuniki kobiety. – Wyciągnij tylko tę cholera strzałę, a spadnie.

Catti-brie była wyraźnie zdenerwowana widokiem martwej kobiety, swej najświeższej ofiary, lecz Drizzt nie próbował jej odczepić. Zdecydowanie nie, jej aktualna pozycja zapewniała mu najlepszy widok.

Wyciągnął jeden sejmitar i użył jego ostrej krawędzi, by przeciąć lekko ubranie, aby móc ściągnąć materiał z barku martwej kobiety.

Drow skinął głową, zdecydowanie nie zaskoczony.

– Co to jest? – Delly spytała ze swego miejsca, gdzie w końcu uciszyła Colson.

Wyraz twarzy Catti-brie wskazywał, że zamierzała zapytać o to samo, lecz zmienił się natychmiast, gdy wojowniczką zauważyła, w którym miejscu Drizzt przygląda się kobiecie, a na jego ciemnej twarzy malowała się porozumiewawcza mina.

– Jest napiętnowana – odpowiedziała Catti-brie, choć pozostawała po drugiej stronie salonu.

– Znak Aegis-fanga – potwierdził Drizzt. – Znak Sheili Kree.

– Co to znaczy? – spytała zatroskana Delly. Wstała ze swego krzesła, podchodząc do drowa, przyciskając mocno dziecko niczym żywą, emocjonalną tarczę. – Czy to znaczy, że Wulfgar i kapitan Deudermont pojмали Sheilę Kree, tak więc jej przyjaciele próbują ją odbić? – zapytała, przenosząc nerwowo wzrok z drowa na kobietę przy oknie. – Czy też znaczy to, że Sheila zatopiła Duszka Morskiego i teraz przybywa, by zniszczyć wszystko, co jest związane z kapitanem Deudermontem i jego załogą? – Mówiąc podnosiła stopniowo głos, w którym wyraźnie rozbrzmiewał niepokój.

– Albo nie oznacza to nic poza tym, że piratka dowiedziała się, iż kapitan Deudermont ją ściga, tak więc chciała zadać pierwszy cios – odparł bez przekonania Drizzt.

– Albo nic nie oznacza – dodała Catti-brie. – Wyłącznie zbieg okoliczności.

Pozostała dwójka popatrzyła na nią, lecz nikt, nawet Catti-brie, ani przez chwilę w to nie uwierzył.

Chwilę później otworzyły się gwałtownie drzwi i do pokoju wpadła grupa żołnierzy. Niektórzy skierowali się natychmiast do mrocznego elfa, pokrzykując na widok drowa, lecz inni rozpoznali Drizzta, a przynajmniej rozpoznali Delly Curtie i domyślili się po jej zachowaniu, że niebezpieczeństwo minęło. Powstrzymali swych towarzyszy.

Catti-brie wyprowadziła Delly Curtie. Kobieta wyniosła dziecko, a Catti-brie zawołała za sobą Guenhwyvar, zaś Drizzt przekazał władzom porządkowym pełne świadectwo tego, co się przydarzyło. Drow nie zatrzymał się na tym, lecz wyjaśnił także prawdopodobną osobistą waśń wzmagającą się pomiędzy Sheila Kree a kapitanem Deudermontem.

Po tym, jak upewnił się, że żołnierze rozstawią warty wokół domu, Drizzt wszedł na górę do kobiet.

Znalazł je w dobrym nastroju, Catti-brie kołysała Colson, a Delly odpoczywała na łóżku, ze szklanką wina w dłoni.

Catti-brie skinęła kobiecie głową i bez dalszych ponagleń Delly rozpoczęła opowieść o Wulfgarze, mówiąc Drizztowi oraz Catti-brie wszystko o postępującym upadku barbarzyńcy w Luskan, o jego procesie na Więziennym Karnawale, o ucieczce na północ z Morikiem oraz o okolicznościach, które połączyły go z dzieckiem.

– Byłam zaskoczona, gdy Wulfgar wrócił do Cutlassa – dokończyła Delly. – Dla mnie!

Mówiąc to, nie mogła się powstrzymać przed zerknięciem na Catti-brie, dość nerwowo, z pewną wyższością. Wyraz twarzy kasztanowowłosej kobiety nie zmienił się jednak.

– Przyszedł, żeby przeprosić i och, w końcu winien był to nam wszystkim – ciągnęła Delly. – Poszliśmy, nasza trójka, mój mężczyzna i me dziecko, żeby znaleźć kapitana Deudermonta i żeby Wulfgar odnalazł Aegis-fanga. Jest tam teraz – skończyła Delly, spoglądając przez wychodzące na

zachód okno. – Taką mam nadzieję.

– Sheila Kree nie spotkała się jeszcze z Duszką Morską – Drizzt powiedział do niej. – A jeśli tak, to jej okręt jest na dnie tych zimnych wód, a Wulfgar jest w drodze powrotnej do Waterdeep.

– Nie możesz tego wiedzieć – rzekła Delly.

– Ale dowiemy się – wtrąciła zdeterminowana Catti-brie.

* * *

– Zima szybko się zbliża – kapitan Deudermont powiedział do Wulfgara. Stali obaj na rufie Duszki Morskiej, gdy okręt płynął niesiony silnym wiatrem. W przeciągu ostatnich kilku dekad nie widzieli żadnych piratów, oraz niewiele żaglowców kupieckich, poza ostatnimi grupami uciekającymi z Luskan na południe.

Wulfgar, który dorastał w Dolinie Lodowego Wichru i znał dobrze zmiany pogody – dramatyczne i szybkie zmiany tak daleko na pomocy – nie sprzeciwił się. On również widział znaki, wyraźnie mroźną nutę na wietrze oraz zmianę jego kierunku, teraz wiał bardziej od północnego zachodu, od zimnych wód Morza Ruchomego Lodu.

– Nie przybijemy w Luskan, lecz poześlujemy prosto do Waterdeep – wyjaśnił Deudermont. – Tam przygotujemy okręt na zimowe rejsy.

– Więc nie zamierzasz przybijać na zimę – stwierdził Wulfgar.

– Nie, lecz nasza droga będzie wiodła na południe od Przystani Waterdeep, nie na północ – wymownie wytłumaczył Deudermont. – Być może będziemy patrolować wody koło Wrót Baldura, może jeszcze dalej na południe. Robillard powiedział wyraźnie, że wolałby pracować na zimę i wspominał mi wielokrotnie o Wyspach Pirackich.

Wulfgar przytaknął ponuro, więcej rozumiejąc z tonu Deudermonta niż z jego słów. Kapitan uprzejmie namawiał go, by wysiadł w Waterdeep i pozostał tam wraz z Delly i Colson.

– Będziesz potrzebował mojej silnej ręki – Wulfgar powiedział niezbyt przekonująco.

– Raczej nie spotkamy Sheili Kree na południe od Waterdeep – rzekł wyraźniej Deudermont. – Nigdy nie słyszano, by Krwawy Kil żeglował na południe od Miasta Wspaniałości. Wiadomo jest, że przybija do przystani, niezależnie, gdzie ta przystań się znajduje, na zimowe miesiące.

Powiedział to, wyraźnie i bez ogródek. Wulfgar popatrzył na niego, bardzo starając się nie

obrazić. Logicznie rzecz biorąc, rozumiał sposób rozumowania kapitana. Ostatnio nie był zbyt pomocny w wysiłkach Duszka Morskiego, musiał to przyznać. Choć to sprawiało jedynie, że chciał rzucić się z powrotem do walki, rozumiał, że Deudermont miał więcej zmartwień niż uczucia jednego wojownika.

Wulfgarowi ciężko było formułować słowa, lecz uroczyście powiedział:

– Spędzę zimę z moją rodziną. Jeśli pozwolisz nam używać swego domu przez ten czas.

– Oczywiście – rzekł Deudermont. Zmusił się do uśmiechu i poklepał Wulfgara lekko po ramieniu, co oznaczało, że musiał dość wysoko podnieść dłoń. – Ciesz się tymi chwilami ze swoją rodziną – powiedział cicho i z wielkim współczuciem. – Znajdziemy Sheilę Kree wiosną, daję słowo, a Aegis-fang wróci do swego prawowitego właściciela.

Każde włókno w Wulfgarze chciało odrzucić cały ten scenariusz, chciało wrzeszczeć na Deudermonta, że nie był załamany wojownikiem, że wróci do walki, z całą furią oraz, co ważniejsze, z całą dyscypliną wymaganą od wyszkolonej załogi. Chciał wyjaśnić kapitanowi, że znajdzie swą drogę, zapewniać go, że wojownik, który był Wulfgarem, synem Beornegara, czekał na uwolnienie z tego emocjonalnego więzienia, by móc odnaleźć drogę powrotną.

Wulfgar zachował jednak te myśli dla siebie. W świetle swych ostatnich niebezpiecznych niepowodzeń w walce, nie miał prawa spierać się z Deudermontem, lecz musiał uprzejmie zaakceptować grzeczną wymówkę kapitana, by pozbyć się go z okrętu.

Za dekadzień znajdą się w Waterdeep i Wulfgar tam pozostanie.

* * *

Delly Curtie znalazła Drizzta i Catti-brie, gdy pakowali swoje rzeczy, szykując się do opuszczenia domu Deudermonta wcześniej następnego ranka.

– Duszek Morski zapewne wkrótce wróci – wyjaśniła im.

– Zapewne – powtórzył Drizzt. – Lecz obawiam się, że na północy mogą już być wieści o konfrontacji między Kree a Duszkim Morskim. Pójdziemy do Luskan, gdzie spotkamy się z pewnymi przyjaciółmi i podążymy za tropem, który zaprowadzi nas do Kree, lub do Wulfgara.

Delly rozmyślała nad tym tylko przez chwilę.

– Dajcie mi trochę czasu, żebym mogła spakować i przygotować Colson – powiedziała.

Catti-brie potrząsała głową, zanim jeszcze Delly skończyła to zdanie.

– Będziesz nas spowalniać – rzekła.

– Jeśli idziecie do Wulfgara, to moje miejsce jest przy was – kobieta odparła stanowczo.

– Nie wiemy, czy idziemy do Wulfgara – Catti-brie odpowiedziała z całą szczerością i z wyrachowanym spokojem. – Możliwe, że Wulfgar wkrótce wróci tutaj z Duszkiem Morskim. Jeśli tak będzie, to lepiej, żebyś tu została, żeby się z nim spotkać i opowiedzieć mu wszystko, co wiesz.

– Jeśli pójdziesz z nami, a Duszek Morski przybije do Waterdeep, Wulfgar będzie się o was straszliwie martwić – wyjaśnił Drizzt. – Zostańcie tutaj. Straż będzie już czuwać nad waszym bezpieczeństwem.

Delly zastanawiała się przez chwilę, na jej delikatnych rysach wyraźnie było widać zatrwożenie. Catti-brie wyraźnie to rozumiała.

– Jeśli pierwsi spotkamy się z Wulfgarem, to wrócimy z nim tutaj – powiedziała, a Delly uspokoiła się wyraźnie.

Po chwili kobieta przytaknęła zgadzając się.

Drizzt i Catti-brie wyszli po chwili, uzyskawszy zapewnienie od władz porządkowych, że dom Deudermonta, a także Delly i Colson, będą strzeżone dzień i noc.

– Nasza droga idzie w tę i we w tę – Catti-brie rzekła do drowa, gdy przechodzili przez północną bramę wielkiego miasta. – I przez cały ten czas Wulfgar również żegluje w tę i we w tę. Musimy mieć tylko nadzieję, że nasze drogi dość szybko się skrzyżują, choć sędzę, że on wylądaje w Waterdeep, gdy my będziemy wchodzić do Luskan.

Drizzt nie uśmiechnął się na jej humorystyczne słowa i ton. Wpatrywał się w nią bacznie, dając jej chwilę, by mogła się zastanowić nad napaścią zeszłej nocy oraz jej niebezpiecznymi implikacjami, po czym powiedział ponuro:

– Musimy mieć tylko nadzieję, że Duszek Morski wciąż pływa, a Wulfgar wciąż żyje.

KRWAWY TROP

Po raz kolejny Catti-brie pokazuje mi, że zna mnie lepiej niż ja sam. Gdy zrozumieliśmy, że Wulfgar wychodzi ze swej ciemnej dziury, że naprawdę staje się znów wojownikiem, którym był niegdyś, musiałem się przyznać do odrobiny strachu, do odrobiny zazdrości. Czy powróci jako mężczyzna, który niegdyś skradł Catti-brie serce? Choć czy tak naprawdę kiedykolwiek to uczynił? Czy ich planowane małżeństwo nie było po prostu wygodne dla obu stron, czy nie było logicznym połączeniem dwojga ludzi, dopasowanych wiekiem i urodą?

Myślę, że po trochu z obojga, stąd moja zazdrość. Bowiem choć rozumiem, że stałem się wyjątkowy dla Catti-brie w kwestiach, których sobie nigdy wcześniej nie wyobrażałem, istnieje część mnie, która pragnie, by nikt inny nigdy taki nie był. Bowiem choć jestem pewien, że oboje dzielimy wiele uczuć, które są dla nas obojga nowe i ekscytujące, nie lubię rozważać możliwości, że kiedykolwiek dzieliła taki emocje z kimś innym, nawet jeśli był tak drogim przyjacielem.

Być może szczególnie dlatego, że był tak drogim przyjacielem!

Nawet jednak, jeśli przyznaję się do tego wszystkiego, wiem, że muszę wziąć głęboki oddech i odepchnąć całą mą obawę oraz zazdrość. Muszę przypomnieć sobie, że kocham tę kobietę, Catti-brie, i że jest ona tym, kim jest z powodu wszystkich doświadczeń, które doprowadziły ją do tego punktu. Czy wolałbym, żeby jej ludzcy rodzice nigdy nie zginęli? Z pewnej strony, oczywiście! Jednak gdyby nie zginęli, Catti-brie nigdy nie stałaby się przybraną córką Bruenora, zapewne nie zamieszkałaby wcale w Dolinie Lodowego Wichru. W związku z tym prawie na pewno nigdy byśmy się nie spotkali. Poza tym, gdyby została wychowana w tradycyjny ludzki sposób, nigdy nie stałaby się wojowniczką, którą jest teraz, osobą, która najlepiej potrafi podzielać moje poczucie przy gody, która potrafi przyjmować znoje drogi z dobrym humorem i ryzykować, oraz pozwalając mi ryzykować – wszystkim! – występując przeciwko elementom i potworom świata.

Uważam, że gdybanie jest bezużytecznym narzędziem. Jesteśmy, każde z nas, w aktualnym punkcie naszego życia z powodu niezliczonych okoliczności i każde z nas ma obowiązek (jeśli nie lubimy punktu, w którym jesteśmy) poruszać się po drodze życia, aby znajdować lepszą ścieżkę, jeśli aktualna nam nie pasuje, albo by kroczyć nią z radością, jeśli to rzeczywiście nasza życiowa droga. Gdyby zmieniać nawet tylko złe rzeczy, które stały się wcześniej, całkowicie zmieniłoby się to, kim jesteśmy teraz i uważam, że nie da się przewidzieć, czy byłoby to dobre czy nie.

Tak więc przyjmuję me przeszłe doświadczenia i pozwalam Catti-brie przyjmować jej, a także staram się niczego nie żałować. Próbuję jedynie przemienić naszą aktualną egzystencję w coś

większego i piękniejszego.

Cóż więc z Wulfgarem? Ma nową towarzyszkę oraz dziecko, które tak naprawdę nie jest ani jego, ani jej. A jednak z twarzy Delly Curtie i z jej ochoty, by oddać siebie, jeśli tylko dziecko nie ucierpi widać wyraźnie, że kocha dziewczynkę jakby była jej własna. Sądzę, że tak samo musi być z Wulfgarem, ponieważ pomimo prób, pomimo jego niedawnego zachowania wiem, kim jest tam głęboko poniżej, pod twardą, emocjonalnie wzmocnioną skorupą.

Wiem z jej słów, że kocha tę kobietę, Delly Curtie, a jednak wiem, że niegdyś kochał również Catti-brie.

Co z tą tajemnicą, miłością? Co wywołuje tę najbardziej nieuchwytną magię? Tak wiele razy słyszałem osoby głoszące, że ich partner jest ich jedyną miłością, jedynym możliwym uzupełnieniem ich dusz, i zdecydowanie czuję tak wobec Catti-brie oraz oczekuję, że ona czuje to samo wobec mnie. Czy jednak, w kategoriach logicznych, jest to możliwe? Czy istnieje jedna osoba, która może dopełnić duszę kogoś innego. Czy naprawdę jest to zasada jeden na jeden, czy kwestia zbiegu okoliczności?

Albo też czy istoty rozumne mają zdolność kochania wielu i łączy je nie los, a sytuacja?

Logicznie rzecz biorąc znam odpowiedź na to ostatnie pytanie. Wiem, że gdybyśmy my – Wulfgar, albo Catti-brie, albo ja – przebywali w innej części świata, zapewne wszyscy znaleźlibyśmy to wyjątkowe dopełnienie naszych dusz w kimś innym. Logicznie rzecz biorąc, tak musi być w świecie o wielu rasach i wielkich populacjach, bowiem jak inaczej spotykałiby się prawdziwi kochankowie? Jestem istotą myślącą, racjonalną, tak więc wiem, że to prawda.

Dlaczego więc, gdy spoglądam na Catti-brie, wszystkie te logiczne argumenty mają niewielki sens? Pamiętam nasze pierwsze spotkanie, gdy była ledwie młodą kobietą – wręcz bardziej dziewczynką – i ujrzałem ją na zboczu Kopca Kelina. Pamiętam, jak spojrzałem wtedy w jej niebieskie oczy, czując ciepło jej uśmiechu i otwartość jej serca – coś, czego nie zaznałem w nadmiarze, odkąd przybyłem do świata powierzchni – i czując tam zdecydowaną więź magii, której nie umiałbym wyjaśnić. Gdy zaś obserwowałem jej dojrzewanie, owa więź jedynie się wzmocniła.

Tak więc była to sytuacja czy los? Wiem, co mówi logika.

Wiem jednak również, co mówi mi moje serce.

To był los. Ona jest tą jedyną.

Być może sytuacja pozwala niektórym, nawet większości osób, znaleźć odpowiedniego partnera, lecz jest w tym coś znacznie więcej niż samo znalezienie. Być może niektórzy mają po prostu więcej szczęścia niż inni.

Gdy patrzę w niebieskie oczy Catti-brie, gdy czuję ciepło jej uśmiechu i otwartość jej serca, wiem, że ja mam.

Drizzt Do'Urden

POTWIERDZENIE

– Kierowałaś oczy i uszy na elfa? – Sheila Kree spytała Bellany, gdy kobieta dołączyła do niej w jej prywatnej komnacie tego burzliwego jesiennego dnia.

– Le’lorinel pracuje na Krwawym Kilu, zajmując się swymi obowiązkami bez zbytnich narzekań czy sprzeciwów – odparła zaklinaczka.

– Tego właśnie oczekiwałabym od szpiega.

Bellany wzruszyła ramionami, odsuwając z twarzy ciemne włosy, a jej mina wskazywała, że odrzuca podejrzenia Sheili.

– Odwiedziłam Le’lorinela prywatnie i bez pozwolenia. Za pomocą magii, gdy Le’lorinel sądził, że pokój jest pusty. Nie widziałam ani nie słyszałam nic, co mogłoby podważyć jego opowieść.

– Mroczny elf – stwierdziła Sheila Kree, podchodząc do otworu wychodzącego na morze, jej rude włosy załopotwały od świszczącego, słonego wiatru. – Mroczny elf, który nas odszuka, zgodnie z własnymi słowami Le’lorinela. – Odwróciła się, by spojrzeć na Bellany, która wyglądała tak, jakby mogła uwierzyć w tej chwili we wszystko.

– Jeśli ten mroczny elf, ten Drizzt Do’Urden, rzeczywiście nas odszuka, to będziemy się cieszyć, że nie pozbyłyśmy się tego tutaj – uznała zaklinaczka.

Sheila Kree obróciła się z powrotem ku morzu, potrząsając głową, jakby wydawało się to niemożliwe.

– A jak długo powinniśmy czekać, zanim uznamy, że Le’lorinel jest szpiegiem? – spytała.

– I tak nie możemy przeciągnąć tego elfa pod kilem, gdy Krwawy Kil stoi w doku – Bellany powiedziała z chichotem, a jej rozumowanie rozjaśniło również nastrój Sheili. – Spodziewam się, że ta zima nie będzie taka długa.

Nie była to ich pierwsza tego rodzaju dyskusja. Odkąd Le’lorinel przybył z szaloną opowieścią o mrocznym elfie i krasnoludzkim królu, zjawiających się, by odzyskać młot, który według siebie Sheila uczciwie zakupiła od tego głupca, Josiego Puddlesa, szefowa i jej zaklinająca doradczyni spędziły niezliczone godziny i niezliczone dni debatując nad losem tego dziwnego elfa. I podczas wielu z tych dni Bellany opuszczała Sheilę sądząc, że Le’lorinel zginie zapewne przed następnym

świtem.

A jednak elf pozostawał przy życiu.

– Gość, pani szefowo – dobiegł od drzwi gardłowy głos. Wszedł półogry strażnik, prowadząc wysoką i szczupłą czarnowłosą kobietę. Po obu jej stronach szły półogry. Sheila i Bellany wytrzeszczyły ze zdumienia oczy, gdy zauważyły nowoprzybyłą.

– Jule Pepper – Sheila powiedziała niedowierzająco. – Sądziłam, że zdobyłaś do tej pory w swe posiadanie połowę Dekapolis!

Czarnowłosa kobieta, wyraźnie pokrzepiona ciepłym tonem swej byłej szefowej, strząsnęła ze swych ramion dłonie dwóch osiłków i przeszła przez pokój, by objąć się z Sheila oraz z Bellany.

– Nieźle mi szło – wycedziła rozbójniczka. – Miałam pod sobą bandę o niezłej sile, działającą zgodnie ze schematem, który wydawał się całkiem bezpieczny. Tak przynajmniej myślałam, dopóki nie pojawił się pewien podły elf-drow wraz ze swymi przyjaciółmi i nie zakończył zabawy.

Sheila Kree oraz Bellany popatrzyły na siebie z zaskoczeniem, a szefowa piratów wydała z siebie zdumione parsknięcie.

– Mroczny elf? – spytała Sheila. – Nie nazywa się chyba przypadkiem Drizzt Do'Urden, co?

* * *

Nawet bez pomocy czarodziejów i kapłanów, bez ich magicznych czarów wieszczenia oraz komunikacji, wieści podróżowały szybko po północnych obszarach Wybrzeża Mieczy, zwłaszcza gdy dotyczyły one osób żyjących poza ograniczeniami i świadomością prawa, a jeszcze szybciej, gdy aktualny bohater należał do rasy nieznannej z takich czynów. Od tawerny do tawerny, z ulicy na ulicę, z łodzi na łódź i z portu do portu biegło świadectwo wydarzeń w domu kapitana Deudermonta, o tym, jak tajemniczy elf-drow i dwie jego towarzyszkę, z których jedna była wielką kocicą, zdusili złodziejski i morderczy spisek przeciwko domowi dobrego kapitana.

Niewielu wiązało Drizzta z Wulfgarem lub nawet Drizzta z Deudermontem, choć niektórzy wiedzieli, że mroczny elf zagłował niegdyś na Duszku Morskim. Była to pikantna opowieść, sama z siebie wzbudzająca zainteresowanie, lecz u osób z podbrzusza miasta, które rozumiały, że takie wystąpienia przeciwko szlachetnym i bohaterskim obywatelom rzadko były przypadkowe, zainteresowanie było jeszcze większe. Z pewnością istniały implikacje wykraczające poza wydarzenia w domu znanego kapitana.

Tak więc opowieść pędziła wzdłuż wybrzeża, w pewnym punkcie napotkała nawet pewną czarodziejską pomoc, która przeniosła ją dalej, tak więc wieści o zdarzeniach w domu poprzedziły

przybycie Drizzta oraz Catti-brie do Luskan oraz podążyły jeszcze dalej na północ.

Sheila Kree wiedziała o stracie Gayselle, zanim mroczny elf przeszedł przez południową bramę Luskan.

Piratka wpadła do swych prywatnych kwater, przewracając stoły i klnąc wylewnie. Wezwała dwóch półogrzych wartowników, by móc na nich nawrzeszczyć i ich obić, bardzo długo wyzywając na nich swą frustrację.

W końcu, zbyt wyczerpana, by kontynuować, rudowłosa piratka odesłała wartowników i podniosła fotel, by móc się w niego zapaść, wciąż przeklinając pod nosem.

Nie miało to dla niej sensu. Kim był ten głupi mroczny elf – ten sam, który pokrzyżował próby Jule Pepper, by zorganizować potężną bandę w Dekapolis – i w jaki sposób zdołał pojawić się w domu kapitana Deudermonta akurat na czas, by spotkać tam bandę Gayselle? Sheila Kree zamknęła oczy i pozwoliła, by to wszystko do niej dotarło.

– Zmiana wystroju? – dobiegło pytanie od drzwi. Sheila otworzyła oczy i ujrzała stojącą na progu Bellany, ze zdezorientowanym uśmiechem na twarzy.

– Słyszałaś o Gayselle? – zapytała Sheila.

Zaklinaczka wzruszyła ramionami, jakby nie miało to znaczenia.

– Nie będzie ostatnią, którą stracimy.

– Sądzę, że ostatnio słyszę zbyt wiele o pewnym drowie – stwierdziła Sheila.

– Wygląda na to, że zrobiliśmy sobie wroga – zgodziła się Bellany. – Jakie szczęście, że zostałyśmy przestrzeżone.

– Gdzie elf?

– Pracuje na łajbie, jak co dzień. Le'lorinel zajmuje się przydzielonymi obowiązkami bez słowa skargi.

– Jest dla niego tylko jedno zadanie.

– Pewien mroczny elf – zgodziła się Bellany. – Czy nadszedł czas, żeby Le'lorinel wspiął się wyżej w naszej małej bandzie?

– Przynajmniej czas, by porozmawiać – odparła Sheila, a Bellany nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Odwróciła się skinąwszy głową i skierowała na niższe poziomy, by przyprowadzić elfa, którego opowieść stała się o tyle bardziej intrygująca po przybyciu Jule Pepper oraz wieści o

katastrofie w Waterdeep.

– Gdy tutaj przyszedłeś, myślałam, by cię zabić i z tobą skończyć – Sheila Kree stwierdziła bezceremonialnie. Piratka skinęła głową do swych osiłkowatych strażników, którzy podbiegli i chwycili Le’lorinela mocno za ramiona.

– Nie skłamałem ci, nie zrobiłem nic, by zasłużyć... – zaczął protestować Le’lorinel.

– Och, dostaniesz to, na co zasługujesz – Sheila Kree zapewniła elfa. Podeszła i chwyciła go za koszulę, po czym, z paskudnym uśmiechem, pociągnęła mocno, zrywając ją i obnażając elfa do pasa.

Półogry zachichotały. Sheila Kree wskazała na drzwi z tyłu pokoju i osiłki przewlekły przez nie swego jeńca do mniejszego pomieszczenia, pozbawionego wyposażenia, nie licząc gorącego paleniska pod jedną ze ścian oraz klocka sięgającego mniej więcej do pasa na środku.

– Co robisz? – Le’lorinel zażądał odpowiedzi tonem, w którym rozbrzmiewał jego spokój, pomimo wyraźnych kłopotów.

– To będzie bolało – Sheila Kree ostrzegła, gdy półogry przełożyły elfa przez klocek, trzymając mocno.

Le’lorinel walczył daremnie pod potężnym chwytem.

– A teraz opowiedz mi znów o tym drowie, Drizzcie Do’Urdenie – rzekła Sheila.

– Powiedziałem ci wszystko i to szczerze – zaprotestował Le’lorinel.

– Opowiedz mi znów – powiedziała Sheila.

– Tak, zrób to – dobiegł inny głos, należący do Bellany, która weszła do pokoju. – Opowiedz nam wszystko o tej fascynującej postaci, która stała się nagle dla nas tak bardzo ważna.

– Słyszałem o zabójstwach w domu kapitana Deudermonta – stwierdził Le’lorinel, stękając, gdy półogry przycisnęły go zbyt mocno. – Ostrzegałem was, że Drizzt Do’Urden jest potężnym wrogiem.

– Ale sądzisz, że możesz go pokonać – przerwała Sheila.

– Nie przygotowałem się na nic innego.

– A przygotowałeś się na ból? – Sheila spytała paskudnym głosem. Le’lorinel poczuł ogromne gorąco.

– Nie zasługuję na to! – Elf zaprotestował, lecz jego wypowiedź skończyła się przesywającym

wrzaskiem, gdy rozżarzony metal opadł mocno na grzbiet Le'lorinela.

Pokój wypełnił się mdlącym zapachem spalonej skóry.

– A teraz opowiedz nam znów o Drizzcie Do'Urdenie – Sheila Kree zażądała jakiś czas później, gdy Le'lorinelowi wróciła świadomość oraz zmysły. – Wszystko, także to, dlaczego tak bardzo pragniesz jego śmierci.

Wciąż trzymany nad klockiem, Le'lorinel spoglądał na piratkę długo i stanowczo.

– Ach, puście tego głupca – Sheila powiedziała półogrom. – I precz stąd, obydwaj!

Osiłki wykonały rozkaz, wychodząc spieszenie z pokoju. Z wielkim wysiłkiem Le'lorinel wyprostował się.

Bellany cisnęła koszulę w trzęsące się ręce elfa.

– Chyba będziesz wolał chwilę poczekać, zanim spróbujesz to założyć – wyjaśniła zaklinaczka.

Le'lorinel przytaknął i przeciągnął się kilkakrotnie, próbując rozciągnąć nowe blizny.

– Chcę usłyszeć to wszystko – powiedziała Sheila. – Jesteś mi to teraz winien.

Le'lorinel spoglądał przez chwilę na piratkę, po czym wykrzywił szyję, by ujrzeć nowe piętno, znak Aegis-fanga, znak akceptacji i hierarchii w bandzie Sheili.

Mrużąc groźnie oczy i zaciskając zęby z wściekłości, zaprzeczającej palącemu bólowi piętna, elf znów popatrzył na Sheilę.

– Powiem wszystko i uwierzysz, że nigdy nie spocznę, póki Drizzt Do'Urden nie zginie, zabity moimi własnymi rękoma.

Później Sheila, Bellany i Me Pepper usiadły razem w pokoju Sheili, przetrawiając wszystko to, co Le'lorinel opowiedział im o Drizzcie Do'Urdenie i jego towarzyszach, którzy polowali najwyraźniej na Sheilę, próbując odzyskać młot bojowy.

– Mamy szczęście, że Le'lorinel do nas przyszedł – przyznała Bellany.

– Myślisz, że elf może pokonać drowa? – Sheila spytała z powątpiewającym parsknięciem. – Cholerny drow. Nigdy żadnego nie widziałam. Nigdy nie chciałam widzieć.

– Nie mam pojęcia, czy Le'lorinel ma jakiegokolwiek szansę przeciwko temu mrocznemu elfowi, czy nie – szczerze odpowiedziała Bellany. – Wiem, że nienawiść elfa wobec Drizzta jest szczerą i głęboką, a niezależnie od tego, kto jest silniejszy, możemy się spodziewać, że Le'lorinel poprowadzi

szarżę, jeśli Drizzt Do'Urden wystąpi przeciwko nam. Samo to jest korzystne. – Gdy skończyła, skierowała zachęcające spojrzenie na Jule Pepper, jedyną spośród nich, która spotkała się z Drizztem i jego przyjaciółmi.

– Zawahałabym się, gdybym miała cokolwiek postawić przeciwko tej grupie – rzekła Jule. – Nienagannie działają zespołowo, jako że walczą razem od lat, i każdy z nich, nawet mizerny niziołek, jest groźny.

– Co więc z tymi pozostałymi? – spytała wyraźnie zdenerwowana przywódczyni piratów. – Co z krasnoludzkim królem Bruenorem? Myślisz, że poprowadzi przeciw nam armię?

Ani Jule ani Bellany nie mogły tego wiedzieć.

– Le'lorinel wiele nam powiedział – powiedziała zaklinaczka – lecz informacje zdecydowanie nie są kompletne.

– Gdy spotkałam się z nimi w Dolinie Lodowego Wichru, krasnolud działał wraz ze swymi przyjaciółmi, lecz zupełnie bez żadnego wsparcia ze strony swego klanu – wtrąciła się Jule. – Jeśli jednak Bruenor zna moc waszej bandy, może zdecydować się na obudzenie furii klanu Battlehammer.

– I? – spytała Sheila.

– Wtedy odpłyniemy, nieważne czy będzie zimowa burza – szybko odparła Bellany. Sheila zamierzała ją złać, lecz zauważyła, że Jule kiwa twierdząco głową i rzeczywiście, lodowate wody północnego Wybrzeża Mieczy zimą wydawały się niczym w porównaniu z groźbą ze strony armii nieprzyjrzanych krasnoludów.

– Gdy Wulfgar był w Luskan, wiadomo, że pracował dla Arumna Gardpecka w Cutlassie – odezwała się Jule, która bywała w tamtych czasach w Luskan.

– To głupi przyjaciel Arumna sprzedał mi młot – stwierdziła Sheila.

– Ale jego towarzysz ucieczki był moim starym przyjacielem – ciągnęła Jule. – Skryty mały złodziej znany jako Morik Łotr.

Sheila i Bellany popatrzyły po sobie oraz skinęły głowami. Sheila słyszała o Moriku, choć bez szczegółów. Bellany jednak znała go dość dobrze, przynajmniej kiedyś, gdy terminowała w Gościnnej Wieży Wtajemniczeń. Popatrzyła na Jule, rozważyła to, co sama wiedziała o lubieżnym Moriku i zrozumiała, co piękna, zmysłowa kobieta miała zapewne na myśli mówiąc „stary przyjaciel”.

– Och, na bogów – Sheila Kree sapnęła kilka chwil później z głową ociężałą od tak wielu rzeczy, które stały się dla niej nagle jasne.

Obydwie jej towarzyszki popatrzyły na nią z zaciekawieniem.

– Deudermont nas ściga – wyjaśniła Sheila Kree. – Myślicie, że czego szuka?

– Czy wiemy, że w ogóle czegokolwiek szuka? – odrzekła Bellany, lecz zastanowiła się następnie, zaczynając chwytać, o co chodzi.

– A teraz Drizzt i jego przyjaciółka czekają na nas w domu Deudermonta – ciągnęła Sheila.

– Więc Deudermont również szuka Aegis-fanga – stwierdziła Jule Pepper. – To wszystko się ze sobą wiąże. Jednak Wulfgar nie jest, a przynajmniej nie był z Drizztem i pozostałymi z Doliny Lodowego Wichru, więc...

– Wulfgar może być z Deudermontem – dokończyła Bellany.

– Zapłacę Josiemu Puddlesowi za to, nie ma wątpliwości – Sheila powiedziała ponuro, rozpierając się w swym fotelu.

– Nie wiemy, gdzie może być Wulfgar – wtrąciła się Jule Pepper. – Wiemy, że Deudermont nie pozegluje zapewne w następnym sezonie na pomoc od Waterdeep, więc jeśli Wulfgar jest z Deudermontem...

Przerwała, gdy Sheila warknęła i zerwała się ze swego siedziska, uderzając pięścią w otwartą dłoń.

– Nie wiemy dość, by dokonywać jakichkolwiek wyborów – mruknęła. – Musimy dowiedzieć się więcej.

Nastąpiła niezręczna cisza, przzerwana w końcu przez Jule Pepper.

– Morik – kobieta powiedziała.

Bellany i Sheila popatrzyły na nią z zaciekawieniem.

– Morik Łotr, najlepiej poinformowany łajdak na ulicach Luskan. – wyjaśniła Jule. – I interesował się wcześniej Wulfgarem, jak sama powiedziałaś. Będzie miał dla nas zapewne więcej odpowiedzi.

Sheila myślała nad tym przez chwilę.

– Sprowadź go do mnie – wydała polecenie dla Bellany, której magiczne moce mogły szybko zabrać ją do Luskan, niezależnie od pogody.

Bellany przytaknęła, po czym wstała bez słowa i opuściła pokój.

– Mroczne elfy i młoty bojowe – Sheila Kree stwierdziła, gdy pozostała sama z Jule Pepper. – Tajemniczy i piękny elfi gość...

– Nawet jeśli nie piękny, to egzotyczny – zgodziła się Jule. – I przyznaję, że mi się podoba, zwłaszcza czarna maska.

Sheila Kree roześmiała się na szaleństwo tego wszystkiego i potrząsnęła energicznie głową, owiewając dookoła rudymi włosami.

– Jeśli Le’lorinel to przeżyje, zrobię z niego jednego z moich dowódców – wytłumaczyła.

– Wielce tajemniczy, piękny i egzotyczny elf – Jule zgodziła się ze śmiechem. – Choć może trochę szalony.

Sheila popatrzyła na nią z niedowierzającą miną.

– A my nie?

NADRINKUZ OPRYSKLIWYM KRASNOLUDEM

– Winienem był wiedzieć, że lepiej ni pozwalać wam dwojgu biegać samopas – opryskliwy głos powitał ich głośno, gdy Drizzt i Catti-brie weszli do Cutlassa w Luskan. Bruenor i Regis siedzieli przy barze, naprzeciwko Arumna Gardpecka, wciąż wyglądając dość niechlujnie po męczącej podróży.

– Nie sądziłem, że wyruszycie – stwierdził Drizzt, przyciągając w poblize przyjaciół. – Już późna pora roku.

– Późniejsza niż myślisz – mruknął Regis, a Drizzt i Catti-brie zwrócili się do Bruenora po wyjaśnienia.

– Ba, mała burza, nic, czym by się martwić – ryknął krasnolud.

– Mała dla giganta górskiego – Regis wymamrotał cicho, a Bruenor parsknął.

– Daj tym tutaj, memu przyjacielowi i mej dziewczusze trochę wina – Bruenor zawołał do Arumna, który właśnie to robił. Zaraz gdy Arumn podał drinki, po czym, skinąwszy parze głową, zaczął odchodzić, mina rudobrodego krasnoluda stała się bardzo poważna.

– Więc gdzie mój chłopak? – spytał.

– Z Deudermontem, żegluje na Duszku Morskim, z tego, co możemy powiedzieć – odpowiedziała Catti-brie.

– Nie ma ich tu w porcie – rzekł Regis.

– Ani w Waterdeep, choć mogą przybić przed zimą – wyjaśnił Drizzt. – To zwyczajowa procedura kapitana Deudermonta, żeby odpowiednio wyposażyć okręt na nadciągającą zimną porę.

– Więc zapewne poześlują na południe – dodała Catti-brie. – Nie wrócą do Waterdeep aż do wiosny.

Bruenor znów parsknął, lecz z ustami pełnymi piwa i skończyło się na tym, że wypluł połowę na Regisa.

– Więc dlaczego tu jesteście? – zażądał odpowiedzi. – Jeśli mój chłopak będzie zaraz w

Waterdeep i nie wróci tam przez pół roku, dlaczego ni jesteście tam, by się z nim zobaczyć?

– Zostawiliśmy wiadomość – odparł Drizzt.

– Wiadomość? – krasnolud powtórzył niedowierzająco. – Co to mogła być za wiadomość? Witaj? Miło było poznać? Trzymaj się ciepło przez zimę? Ty dumny głupi elfie, liczyłem na to, że sprowadzicie mi chłopaka.

– To jest skomplikowane – odrzekł Drizzt.

Dopiero wtedy Catti-brie zauważyła, że zarówno Arumn Gardpeck, jak i Josi Puddles cicho nachylali się bliżej, każdy nadstawiał ucha ku czwórce przyjaciół. Nie złążała ich jednak, bowiem rozumiała dobrze ich udział w tym wszystkim.

– Znaleźliśmy Delly – powiedziała, obracając się teraz do nich dwóch. – I dziecko, Colson.

– Jak się miewa moja Delly? – spytał Arumn, a Catti-brie nie umknął fakt, że Josi Puddles przygryzał nerwowo wargę. Catti-brie widziała, że zapewne leciał na tę dziewczynę.

– Miewa się dobrze, podobnie jak mała – wtrącił Drizzt. – Choć gdy przybyliśmy, znaleźliśmy je w niebezpieczeństwie.

Wszyscy czterej słuchacze popatrzyli na niego bacznie, słysząc te złowróżbne słowa.

– Sheila Kree, piratka, a przynajmniej tak sądzimy – wytłumaczył Drizzt. – Z jakiegoś nieznanego mi jeszcze powodu, postanowiła wysłać do Waterdeep bandę łupieżczą.

– Szukając mego chłopca? – zapytał Bruenor.

– Albo starając się zająć z tyłu Deudermonta, który ściga ją cały sezon – stwierdził Arumn, który był dobrze obeznany w takich rzeczach, słuchając wielu plotek licznych w tawernie marynarzy.

– Albo jedno albo drugie, a więc wróciliśmy, żeby dowiedzieć się, które.

– Czy wiemy w ogóle, że Duszek Morski wciąż pływa po powierzchni? – zapytał Regis.

Oczy niziołka powiększyły się i ugryzł się w wargę, gdy usłyszał, jakie słowa wydobywają się z jego ust, jego grymas wskazywał wyraźnie, że zbyt późno uświadomił sobie, jak taka możliwość zniszczenia okrętu mogła zaciążyć na barkach Bruenora.

Mimo to było to szczere pytanie, które zresztą Drizzt i Catti-brie postanowili zadać Arumnowi na długo, zanim wrócili do Luskan. Oboje popatrzyli pytająco na barmana.

– Nie słyszałem nic, co by twierdziło, że nie – odpowiedział Arumn. – Ale jeśli Sheila Kree

dostała Duszka Morskiego, mogą minąć miesiące, zanim dowiemy się o tym tutaj. Nie mogę w to jednak uwierzyć. Po dokach krążą wieści, że nikt nie pokonałby Duszka Morskiego na pełnym morzu.

– Zobacz, czego możesz się dowiedzieć, błagam cię – Drizzt rzekł do niego.

Korpulentny tawerniarz przytaknął i gestem wskazał Josiemu, by również zaczął śledztwo.

– Mocno wątpię, by Sheila Kree choć zbliżyła się do Duszka Morskiego – powtórzył Drizzt, by uspokoić Bruenora i z przekonaniem. – A jeśli tak, to zapewne to resztki jej zdziesiątkowanej bandy dokonały najazdu na dom kapitana Deudermonta, dążąc do ostatniego odwetu za zniszczenie okrętu Sheili i stratę jej załogi. Żeglowałem z kapitanem Deudermontem przez pięć lat i mogę wam powiedzieć, że nigdy nie spotkałem żadnego statku, który mógłby pokonać Duszka Morskiego.

– Ani jego czarodzieja, Robillarda – dodała Catti-brie. Bruenor dalej wpatrywał się po prostu bacznie w ich dwoje.

Krasnolud znajdował się wyraźnie w stanie skrajnego niepokoju o swego zaginionego syna.

– Więc mamy czekać? – spytał kilka chwil później. Z jego tonu widać było wyraźnie, że nie jest podekscytowany tą perspektywą.

– Zima odsuwa Duszka Morskiego od polowania na okręt Sheili Kree – wyjaśnił Drizzt, ścisząc głos, by mogli go usłyszeć tylko towarzysze. – I zapewne odsuwa Sheilę Kree od zimnych wód. Musi gdzieś dokować.

Wydawało się to trochę uspokoić Bruenora.

– Znajdziemy ją więc – powiedział zdecydowanie. – I odzyskamy mój młot.

– A Wulfgar, miejmy nadzieję, dołączy do nas – dodała Catti-brie. – Żeby mógł znów uchwycić Aegis-fanga. Żeby mógł odkryć, gdzie miejsce jego i młota.

Bruenor uniósł kufel piwa w toaście za te pełne nadziei uczucia, a wszyscy pozostali dołączyli się. Każdy rozumiał, że scenariusz Catti-brie musiał być uważany za najbardziej optymistyczny i że zapewne oczekiwała ich znacznie mroczniejsza droga.

W dyskusji, jaka się później wywiązała towarzysze postanowili spędzić kilka następnych dni na poszukiwaniach na obszarze wokół Luskan, także w dokach. Arumn i Josi, a także Morik Łotr, gdy tylko go znajdą, mieli wypytywać, gdzie tylko się dało o Duszka Morskiego i Sheilę Kree. Plan ten dawał być może Wulfgarowi szansę, by do nich dołączyć, jeśli otrzyma wiadomość w Waterdeep i taki będzie jego zamiar. Było też możliwe, że Duszek Morski zawinie do Luskan w drodze do Waterdeep. Drizzt wiedział, że jeśli tak by się stało, miałyby to miejsce bardzo szybko, bowiem zbliżała się zima.

Drizzt zamówił kolejkę dla całej czwórki, po czym wstrzymał pozostałych, zanim zaczęli pić. Podniósł szklankę do drugiego toastu, potwierdzenia pierwszego, Bruenorowego.

– Wieści są lepsze niż mogliśmy się spodziewać, gdy opuszczaliśmy Dekapolis – przypomniał im wszystkim. – Zgodnie z wszelkimi doniesieniami, nasz przyjaciel żyje i znajduje się w dobrym oraz godnym zaufania towarzystwie.

– Za Wulfgara! – Regis powiedział, gdy Drizzt przerwał.

– I za Delly Curtie oraz Colson – Catti-brie dodała z uśmiechem skierowanym do Bruenora oraz, bardziej wymownie, do Drizta. – Nasz przyjaciel znalazł wspaniałą żonę i dziecko, które urosnie na silne pod czujnym okiem Wulfgara.

– Nauczył się wychowywać syna od mistrza, rzekłbym – stwierdził Drizzt, szczerząc zęby do Bruenora.

– I szkoda, że ten mistrz nie wiedział tak dużo o wychowywaniu córki – dodała Catti-brie, lecz zaczęła z ciśnięciem tej drwiny do chwili, gdy Bruenor zaczął żłopać swe piwo.

Jak można się było spodziewać, Bruenor parsknął i Regis znów został zmoczony.

* * *

Morik Łotr miał na twarzy zaciekawioną i całkiem zadowoloną minę, gdy po otwarciu drzwi do swego małego mieszkania znalazł czekającą na niego niską, ciemnowłosą kobietę.

– Chyba weszłaś w nieodpowiednie drzwi – uprzejmie odezwał się Morik, a jego ciemne oczy przyglądały się kobiecie z niemalym zainteresowaniem. Była urodziwa i nosiła się z doskonałą postawą oraz iskrą intelektu, który zawsze intrygował Morika.

– Wiele osób nazwałoby drzwi Morika Łotra nieodpowiednimi – kobieta odpowiedziała. – Ale nie ja. I właśnie tutaj zamierzałam się znaleźć. – Uśmiechnęła się nieśmiało i popatrzyła na Morika równie badawczo, jak on patrzył na nią. – Ładnie się starzejesz – rzekła.

Wniosek, że ta urokliwa istota znała go kiedyś, pobudziła ciekawość łotrzyka. Spojrzał na nią jeszcze baczniej, próbując ją umiejscowić.

– Chyba pomogłoby, gdybym rzucała czary, by trząść naszym łóżkiem – stwierdziła kobieta. – Albo wielokolorowe światła, tańczące wokół nas, gdy się kochamy.

– Bellany! – krzyknął nagle Morik. – Bellany Tundash! Ile to lat minęło?

Istotnie, Morik nie widział zaklinaczki od kilku lat, odkąd była pomniejszą uczennicą w Gościnnej Wieży Wtajemniczeń. Była szalona! Niemal każdej nocy wykradała się z gildii czarodziejów, by bawić się na co dzikszych ulicach Luskan. I podobnie jak wiele pięknych kobiet, które wychodziły się bawić, Bellany nieuchronnie znalazła przy kilku okazjach drogę do Morika oraz do jego łóżka.

Wspaniałych okazjach, przypomniał sobie Morik.

– Nie tak wiele, Moriku – odrzekła Bellany. – A myślałam, że byłam dla ciebie kimś bardziej wyjątkowym. – Zrobiła lekko nadąsaną minę, wydymając wargi w taki sposób, że pod Morikiem ugięły się kolana. – Sądziłam, że rozpoznasz mnie natychmiast i weźmiesz mnie w ramiona, by wycalować serdecznie.

– Już to naprawiam! – powiedział Morik, podchodząc z rozłożonymi szeroko rękoma i z szerokim oraz ochoczym uśmiechem na twarzy.

* * *

Catti-brie i Regis szybko skapitulowali tego wieczora, lecz Drizzt pozostał w tawernie z Bruenorem, podejrzewając, że krasnolud potrzebował rozmowy.

– Gdy ta sprawa się skończy, ty i ja musimy udać się do Waterdeep – stwierdził drow. – Z chęcią posłuchałbym, jak Colson mówi o swym dziadku.

– Dzieciak mówi? – spytał Bruenor.

– Jeszcze nie – Drizzt odparł ze śmiechem. – Lecz już niedługo.

Bruenor jedynie przytaknął, nie wydając się zbyt zaintrygowany tym wszystkim.

– Ma dobrą matkę – Drizzt powiedział po chwili. – I znamy charakter jej ojca. Colson będzie świetną dziewczyną.

– Colson – mruknął Bruenor i wysączył pół kufła piwa. – Głupie imię.

– To w elfim – wyjaśnił Drizzt. – Ma dwa znaczenia i obydwie wydają się doskonale pasować. „Col” znaczy „nie”, tak więc dosłownie imię tłumaczy się jako „nie-syn”, a więc „córka”. Razem jednak imię Colson oznacza „z ciemnego miasta”. Świetne imię, rzekłbym, zważywszy na opowieść Delly Curtie o tym, jak Wulfgar zyskał dziecko.

Bruenor znów prychnął i opróżnił kufel do końca.

– Sądziłem, że będziesz podekscytowany wieściami – drow ośmielił się powiedzieć. – Ty, który lepiej niż ktokolwiek znasz radość znajdowania zbląkanego dziecka i kochania go jak własne.

– Ba – parsknął Bruenor.

– I podejrzewam, że Wulfgar dość szybko da ci wnuki z własnych łądźwi – stwierdził Drizzt, przesuając w stronę Bruenora kolejne piwo.

– Wnuki? – powtórzył powątpiewająco Bruenor, po czym przestawił krzesło, by siedzieć dokładnie naprzeciwko drowa. – Czy ni zakładasz, że Wulfgar jest mym własnym chłopakiem?

– Jest.

– Czyżby? – zapytał Bruenor. – Myślisz, że kilka lat rozłąki zmiękczyło me serce dla jego czynów przeciw Catti-brie. – Krasnolud znów parsknął, podniósł z niesmakiem rękę, po czym odwrócił się z powrotem do baru, kołysząc w dłoniach nowy kufel i mrużąc: – Może szukam go, by trzasnąć go mocno w pysk za sposób, w jaki potraktował mą dziewczuchę.

– Twoja troska jest wyraźna i szczerą – rzekł Drizzt. – Przebaczyłeś Wulfgarowi, czy się do tego przyznajesz czy nie.

– Podobnie jak ja – Drizzt dodał szybko, gdy krasnolud znów się do niego obrócił, mrużąc groźnie oczy. – I jak Catti-brie. Wulfgar był w ciemnym miejscu, lecz z tego, co się dowiedziałem, wygląda na to, że zaczął się wspinać z powrotem ku światłu.

Słowa te zmiękczyły trochę minę Bruenora, a jego parsknięcie nie miało tym razem tak ostatecznego wydźwięku.

– Polubisz Colson – Drizzt powiedział ze śmiechem. – I Delly Curtie.

– Colson – powtórzył Bruenor, wsłuchując się bacznie w brzmienie tego słowa. Popatrzył na Drizzta i potrząsnął głową, lecz jeśli nawet próbował okazywać dalej swoje niezadowolenie, straszliwie mu się to nie udawało.

– Więc mam teraz wnuczkę od syna, który ni jest moim własnym, która ni jest na dokładkę jego własna – Bruenor powiedział jakiś czas później po tym, jak wrócili na jakiś czas z Drizztem do swych drinków. – Można pomyśleć, że któryś z nas doszedł do wniosku, że połową zabawy jest robienie przeklętych bachorów!

– A czy Bruenor spłodzi pewnego dnia własnego syna? – spytał Drizzt. – Krasnoludzkie dziecko?

Krasnolud obrócił się i popatrzył niedowierzająco na Drizzta, lecz zastanowił się przez chwilę nad jego słowami i wzruszył ramionami.

– Może – powiedział. Przeniósł wzrok z powrotem na swoje piwo, a Drizzt zauważył, że jego twarz staje się poważniejsza i trochę smutna. – Widziałem, jak przemijały stulecia i pamiętam czasy, gdy rodzice rodziców rodziców Catti-brie i Wulfgara nie poczuli jeszcze ciepła pierwszego świtu, czuję się stary, ni wątp w to! Czuję to w mych kościach.

– Tak może być po stuleciach walenia w kamień – Drizzt rzekł cierpko, lecz jego beztroska nie mogła przebić się w tej chwili przez nastrój krasnoluda.

– I widziałem jak doroślała moja dziewczucha, tak samo chłopak, a teraz on ma małą... – Bruenor zawiesił głos i westchnął głęboko, po czym wysączył resztę kufla, obracając się przy tym, by popatrzeć prosto na drowa. – I ta mała zestarzeje się i umrze, a mnie wciąż będą bolały kości.

Drizzt rozumiał, bowiem on również był długowieczną istotą i dostrzegał wyraźnie dylemat Bruenora. Gdy elfy, ciemne bądź jasne, czy też krasnoludy, zaprzyjaźniały się z krócej żyjącymi rasami – ludźmi, niziołkami i gnomami – pojawiała się świadomość, że będą obserwować starzenie się i śmierć swych przyjaciół. Drizzt wiedział, że jeden z powodów, dla których elfy i krasnoludy trzymały się własnych klanów, nieważne czy chciały się do tego przyznawać czy nie, był dokładnie taki – obydwie rasy chroniły się przed emocjonalnym rozdarciem.

– I chyba dlatego winniśmy trzymać się własnych ziomków, co, elfie? – dokończył Bruenor, spoglądając chytrze na Drizzta kątem oka.

Mina Drizzta przeszła z sympatii w ciekawość. Czy Bruenor ostrzegał go właśnie przed spoufalaniem się z Catti-brie? To zdecydowanie zbiło Drizzta z tropu! I zatrzęśło nim na krześle, gdy siedział wpatrując się w Bruenora. Czy pozwolił sobie w końcu dostrzec prawdę swych uczuć do Catti-brie tylko po to, by natrafić na tę krasnoludzką przeszkodę? Czy też Bruenor miał rację, a Drizzt był głupcem?

Drow poświęcił długą, długą chwilę, by uspokoić się i zebrać myśli.

– A może ci z nas, którzy kryją się przed bólem, nigdy nie zaznają radości, które mogłyby prowadzić do tak głębokiego bólu – Drizzt powiedział w końcu. – Lepiej...

– Lepiej co? – przerwał Bruenor. – Zakochać się w jednym z nich? Poślubić, elfie?

Drizzt ciągle nie wiedział, o co chodziło Bruenorowi. Czy mówił Drizztowi, by się wycofał, nazywając drowa głupcem za to, że jedynie pomyślał o zakochaniu się w Catti-brie.

Lecz wtedy Bruenor złączył dłonie opuszkami.

– Taa, zakochać się w jednym z nich – powiedział z kpiącym parsknięciem, lecz Drizzt rozumiał, że w równym stopniu wymierzał je w samego siebie. – A może wziąć jedno z nich, by wychować jako własne. Cholera, więcej niż jedno!

Bruenor zerknął na Drizzta, przez jego jaskraworude wąsy przeświecał zębaty uśmiech. Uniósł swój kufel w stronę Drizzta w geście toastu.

– Więc za nas obu, elfie! – zagrzmał. – Za dwóch głupców, lecz uśmiechniętych głupców!

Drizzt z ochotą odpowiedział na ten toast stukając się z krasnoludem własną szklanką. Zrozumiał wtedy, że Bruenor nie próbował go subtelnie – w ujęciu krasnoludzkim – zniechęcić, lecz że po prostu upewniał się, czy Drizzt rozumie głębię tego, co on przeżywał.

Wrócili do picia. Bruenor wysączał kufel za kuflem, a Drizzt wciąż kołysał w dłoniach tę jedną szklankę wina.

Minęło wiele minut, zanim któryś z nich znów się odezwał i był to Bruenor, chrypiącym tonem, który wydawał się wielce poważny, co czyniło go jeszcze zabawniejszym:

– Hej, elfie, moje następne wnuczę ni będzie w paski, co?

– Jeśli nie będzie miało rudej brody – odparł nie zbity z tropu Drizzt.

* * *

– Słyszałam, że podróżowałaś z wielkim barbarzyńskim wojownikiem o imieniu Wulfgar – Bellany powiedziała do Morika, gdy łotrzyk obudził się w końcu długo po następnym świcie.

– Wulfgar? – powtórzył Morik, wycierając sen z ciemnych oczu i przejeżdżając palcami po potarganych czarnych włosach. – Nie widziałem Wulfgara od wielu miesięcy.

Nie wychwycił wymownego sposobu, w jaki Bellany mu się przypatrywała.

– Udał się na południe, jak sędzę, by znaleźć Deudermonta. Ja ci nie wystarczam? – spytał.

Ciemnowłosa zaklinaczka uśmiechnęła się w neutralny sposób, celowo nie odpowiadając na pytanie łotrzyka.

– Pytam tylko w imieniu swojej przyjaciółki – rzekła. Uśmiech Morika był idealnie prymitywny.

– Dwie, co? – zapytał. – Ja nie wystarczę?

Bellany westchnęła głęboko i zsunęła się z brzegu łóżka, owijając się narzutą i ciągnąc ją za sobą, gdy wstawiała.

Dopiero wtedy Morik dostrzegł ten intrygujący znak na jej łopacie.

– Więc nie rozmawiałaś z Wulfgarem od miesiący? – kobieta spytała, idąc po swoje ubranie.

– Dlaczego pytasz?

Podejrzliwa natura tego pytania sprawiła, że zaklinaczka obróciła się, by popatrzeć na Morika, który wciąż wylegiwał się na łóżku, leżąc na boku i oparty na jednym łokciu.

– Przyjaciółka chce wiedzieć, co u niego – Bellany powiedziała dość szorstko.

– Wygląda na to, że wiele osób nagle chce wiedzieć, co u niego – stwierdził łotrzyk. Opadł z powrotem na plecy i przesłonił °czy jedną ręką.

– Osób takich, jak mroczny elf? – spytała Bellany.

Morik wyrzwał spod swej ręki, a jego mina wyraźnie odpowiadała na to pytanie.

Jego oczy otworzyły się jeszcze szerzej, gdy zaklinaczka podniosła leżącą na krześle szatę i wyciągnęła spod niej wąską, czarną różdżkę. Bellany nie wycelowała jej w jego stronę, lecz groźba była oczywista.

– Ubieraj się i to szybko – rzekła Bellany. – Moja pani chce z tobą porozmawiać.

– Twoja pani?

– Nie mam czasu, by teraz wyjaśniać sprawę – odparła Bellany. – Mamy przed sobą długą drogę i choć mam czary, które nam ją przyspieszą, lepiej żebyśmy opuścili Luskan w przeciągu godziny.

Morik parsknął.

– Opuścili dokąd? – zapytał. – Nie mam zamiaru opuszczać...

Jego głos zamarł, gdy Bellany podeszła z powrotem do krawędzi łóżka, kładąc na nim kusząco jedno kolano i zniżyła twarz, przykładając palec do wydętych warg.

– Są dwa sposoby, w jakie możemy to zrobić, Moriku – wyjaśniła cicho i spokojnie, zbyt spokojnie jak na gust biednego, zaskoczonego łotrzyka. – Jeden będzie dla ciebie dość przyjemny, jestem tego pewna, i zagwarantuje ci bezpieczny powrót do Luskan, gdzie twoi przyjaciele bez wątpienia będą komentować szerokość i długość trwania twojego uśmiechu.

Morik przyglądał się przez kilka chwil ponętnej kobiecie.

– Nawet się nie kłopotcz mówieniem mi o tym drugim – zgodził się.

* * *

– Arumn Gardpeck go nie widział – doniosła Catti-brie – podobnie jak żaden z pozostałych stałych bywalców Cutlassa. A widują Morika Łotra niemal każdego dnia.

Drizzt zastanowił się bacznie nad tymi słowami. Było oczywiście możliwe, że nieobecność Morika – nie było go w jego mieszkaniu ani w żadnym z jego ulubionych lokali – nie była niczym więcej jak zbiegiem okoliczności. Człowiek taki jak Morik pozostawał w nieustannym ruchu, od jednego interesu do następnego, od jednej kradzieży do następnej.

Minął jednak ponad dzień, odkąd czworo przyjaciół rozpoczęło poszukiwania łotrzyka, używając wszystkich dostępnych im środków, w tym luskańskiej straży miejskiej, a po mężczyźnie nie było śladu. Zważywszy na to, co stało się w Waterdeep z agentami Sheili Kree i na to, że Morik był znanym współnikiem Wulfgara, Drizzt nie był zadowolony z tego zniknięcia.

– Zaniósłeś wiadomość do Gościnnej Wieży? – Drizzt spytał Regisa.

– To złodzieje, nie czarodzieje – odparł niziołek. – Lecz owszem, pošłą informację do czarodzieja na Duszku Morskim, Robillarda, jak tylko zdołają go zlokalizować. Trzeba było ponad pół sakiewki złota, by ich do tego przekonać.

– Dałem ci całą sakiewkę, byś za to zapłacił – stwierdził cierpko Bruenor.

– Nawet z moim rubinowym wisiorkiem trzeba było ponad pół sakiewki złota, by ich do tego przekonać – uściślił Regis.

Bruenor opuścił jedynie głowę i nią potrząsnął.

– Cóż, to znaczy, że masz jeszcze niemal pół sakiewki mojego złota, by je bezpiecznie przechowywać, Pasibrzuchu – zdecydował się stwierdzić otwarcie i przy świadkach.

– Czy czarodzieje powiedzieli cokolwiek o losie Duszka Morskiego”? – zapytała Catti-brie. – Wiedzą, czy wciąż pływa po wodzie?

– Powiedzieli, że nie widzieli nic, co świadczyłoby, że jest inaczej – odpowiedział Regis. – Mają kontakty wśród doków, w tym wielu piratów. Gdyby Duszek Morski poszedł na dno gdzieś niedaleko Luskan, uroczystości byłyby natychmiastowe i z pewnością huczne.

Nie było to zbytnim potwierdzeniem, lecz pozostała trójka przyjęła te słowa z wielką nadzieją.

– Co sprowadza nas z powrotem do Morika – rzekł Drizzt. – Jeśli ta piratka Kree próbuje uderzyć jako pierwsza, by pochwycić Deudermonta i Wulfgara, to może Morik stał się celem.

– Jaka byłaby więź tego łotrzyka z Deudermontem? – spytała Catti-brie, co było idealnie

logicznym pytaniem i wyraźnie zbiło Drizzta z tropu.

– Być może Morik jest w sojuszu z Sheilą Kree – wydedukował Regis. – Informator?

Drizzt już potrząsał głową, zanim niziołek skończył. Po swym krótkim spotkaniu z Morikiem nie sądził, by mógł on zrobić coś takiego. Aczkolwiek musiał przyznać, że Morik był człowiekiem, którego lojalność nietrudno było kupić.

– Co wiemy o tej Kree? – spytał drow.

– Wiemy, że ni ma jej nigdzie w pobliżu – Bruenor odpowiedział niecierpliwie. – I wiemy, że tracimy tu czas, jeśli o to chodzi!

– Prawda – zgodziła się Catti-brie.

– Ale zima zapada na północy – wtrącił Regis. – Może powinniśmy zacząć poszukiwania na południu.

– Wszystkie znaki wskazują, że Sheilą Kree przyczaiła się na północy – szybko odparł Drizzt. – Plotki, które słyszeliśmy, od Morika i od Josiego Puddlesa, umieszczają ją gdzieś tam.

– Sporo wybrzeża między nami a Morzem Ruchomego Lodu – wtrącił Bruenor.

– Więc powinniśmy czekać? – szybko spytał Regis.

– Więc powinniśmy się ruszyć! – Bruenor odparł równie szybko, a jako że Drizzt i Catti-brie zgadzali się z rozumowaniem krasnoluda, czworo przyjaciół opuściło Luskan jeszcze tego samego dnia, kilka godzin po Moriku i Bellany. Jednak ci drudzy, poruszając się przy współpracy wielu magicznych czarów i wiedząc, dokąd się udają, wkrótce znaleźli się bardzo, bardzo daleko.

NIEOCZEKIWANA PRZYJAŹŃ

Jak zwykle, Wulfgar jako pierwszy opuścił Duszka Morskiego, gdy szkuner wślizgnął się do doku przy jednym z licznych długich nabrzeży Waterdeep. Krok barbarzyńcy nie był tego dnia zbyt chyży, pomimo jego ekscytacji z możliwości ujrzenia znów Delly oraz Colson. Ostatnia poważna rozmowa z Deudermontem, mająca miejsce przed ponad dekadniem, uświadomiła Wulfgarowi wiele rzeczy, zmusiła go, by spojrzeć w lustro.

Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Wiedział, że kapitan Deudermont był jego przyjacielem, szczerym przyjacielem, który na dodatek uratował mu życie pomimo dowodów na to, że to on, wraz z Morikiem, próbował go zamordować. Deudermont wierzył w Wulfgara, gdy nie wierzył w niego nikt inny. Ocalił go przed Więziennym Karnawalem bez żadnych pytań, prosząc o potwierdzenie, że Wulfgar nie był zaangażowany w żaden spisek mający na celu zabicie go. Deudermont powitał z chęcią Wulfgara na pokładzie Duszka Morskiego i wielokrotnie zmieniał kurs swego łowiącego piratów szkunera starając się odnaleźć wymykającą się Sheilę Kree. Nawet mimo tego, że gotował się w nim gniew od obrazu w lustrze, jakie Deudermont wymownie postawił przed jego oczyma w drodze powrotnej do portu macierzystego, Wulfgar nie mógł klócić się ze szczerością zawartą w owym obrazie.

Deudermont przekazał mu prawdę o tym, kim się stał, z największym możliwym taktem.

Wulfgar nie mógł zignorować teraz tej prawdy. Wiedział, że dni jego żeglugi na pokładzie Duszka Morskiego dobiegły końca, przynajmniej w tym roku. Jeśli Duszek Morski płynął na południe, jak zwykle przebiegał jego zimowy kurs – i tak naprawdę jedyny możliwy zimą kurs – nie było większych szans na napotkanie Kree. A jeśli okręt nie płynął, by znaleźć Kree, po co miałyby mieć Wulfgara na pokładzie, zwłaszcza jeśli barbarzyński wojownik i jego impulsywna taktyka były zagrożeniem dla załogi?

Wulfgar wiedział, że na tym polegało sedno. To było prawdą, odbijającą się w lustrze. Nigdy dotąd dumny syn Beornegara nie uważał, by był kimś mniej niż wojownikiem. Wielokrotnie w swym życiu Wulfgar robił rzeczy, z których nie był dumny – nie było nic bardziej wymownego niż chwila, w której uderzył Catti-brie. Nawet wtedy Wulfgar miał wszakże jedną rzecz, której mógł się trzymać. Był wojownikiem, jednym z największych, jakich kiedykolwiek wydała Dolina Lodowego Wichru, jednym z najbardziej legendarnych, jakich kiedykolwiek wydało plemię Łosia czy którekolwiek z innych plemion. Był wojownikiem, który zjednoczył plemiona siłą ramienia i przekonaniem, barbarzyńcą, który cisnął wysoko swym młotem bojowym, by strącić wielki sople lodowy, upuszczając tę naturalną włócznię na grzbiet wielkiego jaszczura, Lodowej Śmierci. Był

wojownikiem, który zmierzył się ze słońcem i skrytobójcami Calimportu, przedzierając się przez gildię okrytego złą sławą zbira, by ocalić swego niziołczego przyjaciela. Był, ponad wszystko inne, towarzyszem Drizzta Do'Urdena, Towarzystem z Hali, częścią drużyny, która ustanawiała legendy gdziekolwiek by się nie udała.

Jednak nie teraz. Teraz nie mógł prawomocnie przypisywać sobie tytułu potężnego wojownika, nie po swych katastrofalnych próbach walki z piratami na pokładzie Duszka Morskiego. Teraz jego przyjaciel Deudermont – szczerzy i współczujący przyjaciel – popatrzył mu w oczy i pokazał prawdę, a owa prawda go pomniejszała. Czy Wulfgar znajdzie znów w sercu odwagę, która prowadziła go przez kryzysy emocjonalne? Czy kiedykolwiek stanie się znów tym dumnym wojownikiem, który zjednoczył plemiona Dekapolis, który pomógł odzyskać Mithrilową Halę, który ścigał okrytego złą sławą skrytobójcę po całym Torilu, by uratować swego niziołczego przyjaciela?

Czy też Errtu pozbawił go tego na zawsze? Czy demon naprawdę złamał tego głęboko ukrytego ducha w synu Beomegara? Czy na zawsze zmienił jego tożsamość?

Idąc ulicami Waterdeep, kierując się na wzgórze, na którym stał dom Deudermonta, Wulfgar nie mógł całkowicie odrzucić możliwości, że mężczyzna, którym niegdyś był, wojownik, którym niegdyś był, został utracony na zawsze. Nie był jednak pewien, co to oznaczało.

Kim był?

Kierował myśli do wewnątrz, dopóki prawie nie dotarł do frontowych drzwi rezydencji kapitana Deudermonta. Wtedy to ostry, nieznany głos kazał mu zatrzymać się i przedstawić.

Wulfgar podniósł wzrok i jego kryształowo błękitne oczy przyjrzały się okolicy, zauważając wielu stojących wokół domu żołnierzy, zauważając jaśniejszą barwę popękane drzewa w pobliżu zamka drzwi frontowych.

Wulfgar poczuł, jak kurczy mu się żołądek, jego instynkt wojownika mówi mu wyraźnie, że coś tu jest straszliwie nie tak, serce mówiło mu, że Delly i Colson spotkało niebezpieczeństwo. Z warknięciem w połowie spowodowanym wściekłością, a w połowie przerażeniem, Wulfgar popędził prosto do domu, nie zwracając uwagi na trzech żołnierzy, którzy pospieszyli, by zablokować drogę swymi wielkimi halabardami.

– Dajcie mu przejść! – w ostatniej chwili dobiegł krzyk, tuż przed tym, jak Wulfgar wpadł na zagradzających mu drogę żołnierzy. – To Wulfgar wrócił! Wpłynął Duszek Morski!

Żołnierze rozstąpili się, ostatni roztropnie cofnął się, by otworzyć drzwi, inaczej Wulfgar z pewnością rozbiłby je w drzazgi. Barbarzyńca wpadł do środka.

Zatrzymał się jednak gwałtownie tuż na skraju foyer, zauważając schodzącą głównymi schodami Delly, trzymającą mocno w ramionach Colson.

Wpatrywała się w niego, próbując się słabo uśmiechać, dopóki nie dotarła do końca schodów. Tam nie wytrzymała, popłynęły jej obficie łzy i pospieszyła do przodu, wpadając w nadstawione ręce i czule uściski Wulfgara.

Czas wydawał się zatrzymać, gdy stali tam objęci, potrzebując nawzajem swego wsparcia. Wulfgar mógł tak stać przez całe godziny, lecz usłyszał za sobą zaskoczony głos kapitana Deudermonta, po nim zaś potok przekleństw Robillarda.

Wulfgar delikatnie odsunął Delly i odwrócił się do wchodzącej dwójki. Stali tam we trzech, rozglądając się w osłupieniu, a ich spojrzenia nie stały się mniej niedowierzające, gdy Delly włożyła nareszcie trochę sensu w tę surrealistyczną scenę, mówiąc po prostu:

– Sheila Kree.

* * *

Deudermont znalazł Wulfgara później, samego, gdy barbarzyńca wyglądał przez okno na fale rozbijające się daleko w dole. Było to to samo okno, przez które weszli Drizzt z Catti-brie, by uratować Delly i Colson.

– Wspaniałych przyjaciół zostawiłeś za sobą w Dolinie Lodowego Wichru – stwierdził kapitan, podchodząc do Wulfgara i wyglądając na zewnątrz, zamiast patrzeć na wielkiego mężczyznę. Gdy Wulfgar nie odpowiedział, Deudermont zerknął w jego stronę i zauważył, że na jego twarzy widnieje ból.

– Czy sądzisz, że powinieneś być tutaj, chroniąc Delly i dziecko? – kapitan powiedział bez ogródek. Podniósł wzrok, gdy Wulfgar popatrzył na niego z góry. Barbarzyńca nie skrzywił się, lecz nie wyglądał na zbyt zadowolonego.

– Ty tak najwyraźniej sądzisz – zażartował barbarzyńca.

– Dlaczego tak mówisz? – spytał kapitan. – Ponieważ zasugerowałem, że być może nie powinieneś wypływać wraz z Duszką Morską w następną podróż? Jaki byłby cel? Dołączyłeś do nas, by polować na Sheilę Kree, a nie znajdziemy jej na południu, dokąd z pewnością się udamy.

– Nawet teraz? – zapytał Wulfgar, wyglądając na trochę zaskoczonego. – Po tym, jak Kree przypuściła ten atak przeciwko twojemu własnemu domowi? Po tym, jak dwaj twoi przyjaciele spoczęli martwi w ziemi, zamordowani przez jej siepaczy?

– Nie możemy pożegłować na północ, gdy zaczną dąć zimowe wichry – odparł Deudermont. – Tak więc naszym kursem jest południe, gdzie znajdziemy wielu piratów równych Sheili Kree swymi mordami i zbrodniami. Nie sądzę jednak, że zapomnę o tym ataku na mój dom – kapitan dodał z

niebezpiecznym grymasem. – Gdy zerwą się ciepłe wiosenne wiatry, Duszek Morski powróci i pożegluje, jeśli będzie trzeba nawet na Morze Ruchomego Lodu, aby odnaleźć Sheilę Kree i jej odpłacić.

Deudermont przerwał i spojrział na Wulfgara, utrzymując to spojrzenie, dopóki barbarzyńca nie odpowiedział mu własnym.

– Chyba że oczywiście nasz mroczny przyjaciel nas tam wyprzedzi – stwierdził kapitan.

Wulfgar znów się skrzywił i popatrzył znów na morze.

– Atak miał miejsce niemal przed miesiącem – ciągnął Deudermont. – Drizzt jest już zapewne daleko na północ od Luskan, prowadząc polowanie.

Wulfgar przytaknął, lecz nawet nie mrugnął na te słowa, a kapitan widział, że wielki mężczyzna był naprawdę rozdarty.

– Podejrzewam, że drow i Catti-brie z chęcią powitaliby w tej walce towarzystwo swego starego przyjaciela – odważył się powiedzieć.

– Tak źle życzysz Drizztowi, że chciałbyś go na to skazać? – Wulfgar spytał z całą powagą. Wypowiadając te potępiające słowa zmierzył Deudermonta lodowatym wzrokiem, spojrzeniem łączącym w sobie sarkazm, gniew i odrobinę rezygnacji.

Deudermont odpowiadał własnym spojrzeniem jedynie przez kilka krótkich chwil, przyglądając się mężczyźnie. Następnie wzruszył jedynie ramionami i rzekł:

– Jak sobie życzysz. Muszę ci jednak powiedzieć, Wulfgarze z Doliny Lodowego Wichru, że rozczulanie się nad sobą nie pasuje do ciebie.

Z tymi słowy kapitan odwrócił się i opuścił pokój, pozostawiając Wulfgara samego z pewnymi bardzo niepokojącymi myślami.

* * *

– Kapitan powiedział, że możemy zostać tak długo, jak chcemy – Wulfgar wyjaśnił Delly tego samego wieczora. – Przez zimę i wiosnę. Znajdę jakąś pracę, nieobce jest mi kowalstwo, i być może w przyszłym roku będziemy mieć własny dom.

– W Waterdeep – spytała kobieta, wydając się dość zatroskana.

– Może. Albo w Luskan, czy gdziekolwiek indziej, gdzie Colson będzie mogła zdrowo dorastać.

– W Dolinie Lodowego Wichru? – kobieta zapytała bez wahania, a Wulfgarowi opadły ramiona.

– To trudna ziemia, pełna niewygód – Wulfgar odpowiedział, starając się pozostać rzeczowym.

– Pełna silnych mężczyzn – dodała Delly. – Pełna bohaterów. Mina Wulfgara pokazywała wyraźnie, że przestał się już bawić w tę grę.

– Pełna podżynaczy gardeł i złodziei – powiedział stanowczo. – Pełna osób uciekających z uczciwych ziem i nieodpowiednie miejsce, by dziewczynka stała się kobietą.

– Wiem o jednej dziewczynce, która wyrosła tam na dość silną i uczciwą – naciskała niezrażona Delly Curtie.

Wulfgar rozejrzał się dookoła, wyglądając na rozłoszczonego i spiętego, a Delly wiedziała, że schwyciła go w pułapkę. Zważywszy na jego coraz bardziej cierpką minę, zastanawiała się, czy dobrze zrobiła i zamierzała zasugerować, by przez dający się przewidzieć czas zostali w Waterdeep, aby go wyprowadzić z tego niezręcznego punktu.

Wtedy jednak Wulfgar przyznał bez ogródek:

– Nie wrócę do Doliny Lodowego Wichru. Kiedyś tam byłem, lecz teraz nie jestem i nie mam zamiaru kiedykolwiek ponownie widzieć tego miejsca. Niech plemiona mego ludu znajdują swą drogę beze mnie.

– Niech twoi przyjaciele znajdują swą drogę bez ciebie, nawet jeśli próbują znaleźć drogę, by ci pomóc?

Wulfgar wpatrywał się w nią przez długą chwilę, zaciskając zęby na jej oskarżycielskie słowa. Odwrócił się i ściągnął koszulę, jakby uważał sprawę za skończoną, lecz Delly Curtie nie dawała się tak łatwo zniechęcić.

– I mówisz o uczciwej pracy – powiedziała do jego pleców, a choć nie odwrócił się, przestał odchodzić. – Uczciwej pracy, jak polowanie na piratów z kapitanem Deudermontem? Dałby ci na pewno niezłą zapłatę, a w międzyczasie odzyskałbyś swój młot.

Wulfgar odwrócił się powoli, złowróżbnie.

– Aegis-fang nie jest mój – obwieścił, a Delly musiała przygryźć dolną wargę, by na niego nie wrzasnąć. – Należał do człowieka, który nie żyje, do wojownika, który już nie istnieje.

– Nie możesz tak myśleć! – wykrzyknęła Delly, podchodząc, by chwycić go w objęcia.

Wulfgar odepchnął ją jednak na długość rąk i odpowiedział bezkompromisowym spojrzeniem na jej zaprzeczenia.

– Nie chcesz nawet odnaleźć Drizzta i Catti-brie, by podziękować im za uratowanie mnie i twego maleństwa? – spytała wyraźnie dotknięta kobieta. – Czy nie ma to dla ciebie znaczenia?

Twarz Wulfgara złagodniała. Przyciągnął Delly i przytulił ją mocno.

– To jest dla mnie wszystkim – wyszeptał jej do ucha. – Wszystkim. I jeśli kiedykolwiek moja droga skrzyżuje się z drogą Drizzta oraz Catti-brie, podziękuję im. Nie pójdę jednak ich szukać, nie ma potrzeby. Wiedzą, co czuję.

Delly Curtie po prostu pozwoliła sobie cieszyć się uściskiem i zakończyć w tym miejscu rozmowę. Wiedziała jednak, że Wulfgar oszukuje samego siebie. Nie było sposobu, by Drizzt i Catti-brie naprawdę mogli wiedzieć, co czuł.

Jakże mogliby, skoro nawet Wulfgar nie wiedział.

Delly nie wiedziała, co teraz robić, czy popychać wojownika z powrotem ku jego korzeniom, czy też pozwolić mu na tę nową tożsamość, którą najwyraźniej wypróbował. Czy powrót do tego, kim był niegdyś go nie złamie, albo też czy nie będzie wiecznie nawiedzany przez tę zatrwającą i bohaterską przeszłość, jeśli wybierze zwyczajniejsze życie jako kowal?

Delly Curtie nie potrafiła odpowiedzieć.

* * *

Paskudny nastrój towarzyszył Wulfgarowi przez kilka następnych dni. Pocieszał się obecnością Delly i Colson, używając ich jako zbroi przeciwko emocjonalnemu zamętowi, który się teraz w nim kotłował, lecz widział wyraźnie, że nawet Delly staje się przez niego coraz bardziej sfrustrowana. Nieraz kobieta zasugerowała, że być może powinien przekonać Deudermonta, by zabrał go ze sobą na Duszku Morskim, gdy wypłyną na południe, co miało się stać niechybnie.

Wulfgar rozumiał, czym były tak naprawdę te sugestie: frustracją ze strony biednej Delly, która musiała wysłuchiwać jego bezustannego narzekania, która musiała siedzieć obok i obserwować, jak rozrywają go emocje, których nie potrafił kontrolować.

W przeciągu tych kilku dni wychodził często z domu i zdołał nawet znaleźć pracę u jednego z licznych w Waterdeep kowali.

Był w tej pracy w dniu, w którym Duszek Morski wypływał.

Był w tej pracy dzień później, kiedy to wszedł tam pewien bardzo nieoczekiwany gość.

– Widzę, że zaprzęgasz te swoje ogromne mięśnie do pracy – powiedział czarodziej Robillard.

Wulfgar popatrzył na niego z niedowierzaniem, a jego mina przeszła z zaskoczenia w podejrzliwość. Chwycił wielki młot, podniósł się i przyjrzał gościowi, gotów rzucić mu narzędziem prosto w twarz, gdyby zaczął rzucać jakiś czar. Wulfgar wiedział bowiem, że Duszek Morskimi dawno temu opuścił dok. Wiedział także, że Robillard był wystarczająco dobrze znany wśród pirackiego motłochu, aby inni czarodzieje mogli się w niego wcielić za pomocą magii. Zważywszy na poprzedni atak na dom Deudermonta, barbarzyńca nie miał zamiaru w żaden sposób ryzykować.

– To ja, Wulfgarze – Robillard powiedział z chichotem, wyraźnie dostrzegając każdą wątpliwość na twarzy barbarzyńcy. – Dołączę do kapitana oraz załogi za kilka dni. Naprawdę drobny czar teleportuje mnie do miejsca, jakie naszykowałem na okręcie specjalnie na takie okazje jak ta.

– Nigdy nie robiłeś tak wcześniej, z tego, co wiem – stwierdził Wulfgar. Jego podejrzlenia wciąż były silne, a uchwyt na młocie mocny jak nigdy.

– Nigdy wcześniej nie bawiłem się w piastunkę zagubionego barbarzyńcy – zripostował Robillard.

– No, proszę – dobiegł opryskliwy głos. Do środka wszedł postępujący mężczyzna, którego fartuch, włosy, broda i skóra były równie ciemne z powodu sadzy. – Co chciałbyś kupić albo naprawić?

– Chciałbym porozmawiać z Wulfgarem i nic więcej – Robillard powiedział szorstko.

Kowal splunął na podłogę, po czym wytarł usta brudną szmatą.

– Nie płacę mu za gadanie – rzekł. – Płacę mu za pracę!

– Zobaczymy – powiedział czarodziej. Odwrócił się z powrotem do Wulfgara, lecz kowal ruszył w jego kierunku, celując palcem w czarodzieja, by podkreślić swoje stanowisko.

Robillard skierował na Wulfgara znudzoną minę, a barbarzyńca zrozumiał, że jeśli nie uspokoi swego gniewnego szefa, wkrótce może go już nie mieć. Poklepał kowala delikatnie po ramieniu i z siłą sztychującą nawet z człowieka, który przez całe życie zajmował się tym zajęciem, wyprowadził go.

Gdy Wulfgar wrócił do Robillarda, na jego twarzy malował się gniew.

– Czego chcesz, czarodzieju? – spytał opryskliwie. – Przyszedłeś tu, by ze mnie kpić? Poinformować mnie, jak lepiej wiedzie się Duszkowi Morskemu, gdy ja jestem na lądzie?

– Hmm – powiedział Robillard, drapiąc się po brodzie. – Jest w tym prawda, jak przypuszczam.

Kryształowo błękitne oczy Wulfgara zmrużyły się groźnie.

– Ależ nie, mój duży, głupi... czymkolwiek jesteś – stwierdził Robillard, a jeśli był choć trochę

zdegenerowany niebezpieczną postawą Wulfgara, nie okazywał tego w najmniejszym stopniu. – Przyszedłem tutaj, jak sądzę, ponieważ posiadam czułe serce.

– Dobrze ukryte.

– Celowo – czarodziej odparł bez wahania. – Powiedz mi więc, czy zamierzasz spędzić całą zimę w domu Deudermonta, pracując... tutaj? – zakończył pytanie z kpiącym parsknięciem.

– Czy byłbyś zadowolony, gdybym opuścił dom kapitana? – Wulfgar spytał w odpowiedzi. – Czy masz plany co do tego domu? Ponieważ, jeśli masz, to chętnie odejdę i to natychmiast.

– Uspokój się, gniewny gigancie – Robillard powiedział czysto protekcyjnym tonem. – Nie mam planów co do domu, bowiem powiedziałem ci już, że wkrótce wrócę na Duszka Morskiego, a nie mam na brzegu ważniejszej rodziny. Powinieneś być lepiej uważać.

– Więc po prostu chcesz mnie wyrzucić – skonkludował Wulfgar. – Z domu i z życia Deudermonta.

– To zupełnie inna kwestia – cierpko odrzekł Robillard. – Czy powiedziałem, że chcę cię wyrzucić, czy też spytałem, czy zamierzasz zostać?

Zmęczony tymi gierkami słownymi i zupełnie zmęczony Robillardem, Wulfgar warknął lekko i wrócił do pracy, kując metal wielkim młotem.

– Kapitan powiedział mi, że mogę zostać – rzekł. – Tak więc zamierzam zostać, póki nie zarobię dość pieniędzy, by kupić własny kąt do mieszkania. Odszedłbym teraz, bo nie chcę mieć wobec niego żadnych długów, tyle że muszę się troszczyć o Delly i Colson.

– Zrozumiałem to na odwrót – Robillard mruknął pod nosem, lecz wystarczająco głośno, a Wulfgar wiedział, że celowo, by barbarzyńca mógł usłyszeć.

– Wspaniały plan – czarodziej powiedział głośniejszym głosem. – I będziesz go wprowadzał w życie, podczas gdy twoi byli przyjaciele będą działać, a może nawet dadzą się zabić, próbując odzyskać magiczny młot bojowy, bo ty byłeś zbyt głupi, by go utrzymać. Wspaniale, młody Wulfgarze!

Wulfgar podniósł się znad roboty, młot wypadł mu z ręki, a usta otworzyły się ze zdumienia.

– To prawda, czy nie? – spytał spokojnie niewstrząśnięty czarodziej.

Wulfgar chciał odpowiedzieć, lecz nie miał żadnych praktycznych słów, których mógłby użyć przeciwko temu brutalnemu i bezpośredniemu atakowi. Choć mógłby zastanawiać się nad odpowiedzią, choć mógłby wypowiedzieć słowa, by poczuć się lepiej, faktem było to, że obserwacje Robillarda były słuszne.

– Nie mogę zmienić tego, co się stało – pokonany barbarzyńca powiedział schylając się po młot.

– Ale możesz pracować nad naprawieniem poczynionych przez siebie błędów – wskazał Robillard. – Kim jesteś, Wulfgarze z Doliny Lodowego Wichru? A co ważniejsze, kim chciałbyś być?

Nie było nic przyjaznego w ostrym tonie Robillarda ani w jego sztywnej i drapieżnej postawie, w jego rękach skrzyżowanych butnie na piersi, w minie wyrażającej absolutną wyższość. Mimo to jednak sam fakt, że czarodziej okazywał jakiegokolwiek zainteresowanie ciężkim położeniem Wulfgara był dla barbarzyńcy zaskoczeniem. Pomyślał, i to nie bez powodu, że jedynym zmartwieniem Robillarda było utrzymać go poza Duszką Morską.

Gniewne spojrzenie, jakie Wulfgar kierował na Robillarda przeszło w wyrażający samodezaprobę chichot.

– Jestem tym, kogo widzisz przed sobą – powiedział i zaprezentował się, rozkładając szeroko ręce, ukazując wyraźnie skórzany kowalski fartuch. – Niczym więcej, niczym mniej.

– Człowiek żyjący kłamstwem szybko zostaje przez nie pochłonięty – stwierdził Robillard.

Uśmiech Wulfgara przeszedł w grymas.

– Wulfgar kowal? – Robillard spytał sceptycznie, po czym parsknął. – Nie jesteś robotnikiem i oszukujesz się, jeśli sądzisz, że to najnowsze zajęcie pozwoli ci ukryć się przed prawdą. Urodziłeś się wojownikiem, zostałeś wychowany oraz wyszkolony na wojownika i zawsze rozkoszowałeś się tym powołaniem. Jakże wiele razy Wulfgar szarżował do walki z pieśnią Tempusa na ustach?

– Tempus – Wulfgar powiedział z pogardą. – Tempus mnie opuścił.

– Tempus był z tobą, a twoja wiara w kodeks wojownika wspierała cię podczas twoich prób – z naciskiem odparł Robillard. – Wszystkich twoich prób.

– Nie możesz wiedzieć, przez co przeszedłem.

– Nie obchodzi mnie, przez co przeszedłeś – odrzekł Robillard. Jego słowa oraz czysta moc w jego głosie zdecydowanie zbiły Wulfgara z tropu. – Obchodzi mnie tylko to, co widzę przed sobą teraz, mężczyznę żyjącego kłamstwem i powodującego ból we wszystkich, którzy go otaczają oraz w sobie, ponieważ nie ma odwagi, by stawić czoła prawdzie o własnej tożsamości.

– Wojownik? – Wulfgar spytał powątpiewająco. – A jednak to właśnie Robillard mnie przed tym powstrzymuje. To Robillard, który poprosił kapitana Deudermonta, by wysadził mnie z Duszki Morskiej.

– Nie ma dla ciebie miejsca na Duszku Morskim, tego jestem pewien – spokojnie odpowiedział

czarodziej. – Przynajmniej nie teraz. Na Duszku Morskim nie ma miejsca dla kogoś, kto rzuca się naprzód w pogoni za osobistymi demonami. Wygrywamy, ponieważ każdy z nas zna swoje miejsce podczas walki z piratami. Wiem jednak również, że to także nie jest miejsce dla ciebie, praca kowala w waterdeepskim warsztacie. Zważ teraz na moje słowa, Wulfgarze z Doliny Lodowego Wichru. Twoi przyjaciele wkraczają w śmiertelne niebezpieczeństwo, a czy przyznasz się do tego czy nie, robią to dla ciebie. Jeśli nie przyłączysz się do nich teraz, a przynajmniej nie udasz się, by porozmawiać z nimi, aby zmienili swój kurs, wystąpią konsekwencje. Jeśli Drizzt Do'Urden i Catti-brie spotka niebezpieczeństwo podczas poszukiwań Aegis-fanga, niezależnie od rezultatu, będziesz się za to karał przez resztę życia. Nie za swą głupotę, która doprowadziła do utraty młota, lecz za tchórzostwo, które nie pozwoliło ci do nich dołączyć.

Czarodziej przerwał nagle i stał, jedynie wpatrując się w barbarzyńcę, który z beznamiętną twarzą przetrwał prawdę tych słów.

– Odeszli przed niemal miesiącem – Wulfgar powiedział głosem mającym w sobie znacznie mniej przekonania. – Mogą być gdziekolwiek.

– Mijali Luskan, to pewne – odparł Robillard. – Mogę cię tam przenieść jeszcze tego dnia, tam zaś mam kontakty, które ułatwią nam drogę.

– Dołączysz do polowania?

– Dla twoich byłych przyjaciół, owszem – odpowiedział Robillard. – Dla Aegis-fanga? Zobaczymy, lecz to raczej nie jest moja sprawa.

Wulfgar wyglądał tak, jakby mógł go przewrócić delikatny wietrzyk. Kołysał się w tył i w przód, z jednej stopy na drugą, patrząc pustym wzrokiem.

– Nie odrzucaj tej okazji – ostrzegł Robillard. – To twoja jedyna szansa, by odpowiedzieć na pytania, które tak cię dręczą i jedyna szansa, by pozbyć się winy, która zawsze ciąży ci na ramionach. Oferuję ci to, lecz droga życia jest zbyt usiana nieoczekiwanymi zakrętami, byś mógł żywić nadzieję, że taka okazja kiedykolwiek jeszcze pojawi się przed tobą.

– Dlaczego? – zapytał cicho Wulfgar.

– Dość wyraźnie wyjaśniłem moje rozumowanie co do twojego aktualnego stanu, podobnie jak moje przekonanie, że powinieneś teraz podjąć kroki, by skorygować swój błędny kurs – odrzekł Robillard, lecz Wulfgar potrząsał głową, zanim jeszcze czarodziej dokończył myśl.

– Nie – sprostował barbarzyńca. – Dlaczego ty? – Gdy Robillard nie odpowiedział od razu, Wulfgar ciągnął dalej: – Oferujesz mi pomoc, choć nie okazałeś mi zbytnej przyjaźni, a ja nie wykonałem żadnych kroków, by zaprzyjaźnić się z tobą. A jednak jesteś tu, oferując radę i współpracę. Dlaczego? Czy to z powodu twojej dawnej przyjaźni z Drizstem i Catti-brie? Czy też z powodu pragnienia, bym znajdował się jak najdalej od twojego bezcennego Duszka Morskiego?”

Robillard popatrzył na niego chytrze.

– Tak – odpowiedział.

PUNKT WIDZENIA MORIKA

– Jest dość rozmowny jak na jeńca, rzekłabym – Sheila Kree stwierdziła do Bellany po wyczerpujących trzech godzinach przesłuchań, podczas których Morik Łotr zdradził wszystko, co wiedział o Wulfgarze, Drizzcie i Catti-brie. Sheila słuchała wyjątkowo uważnie każdego słowa o mrocznym elfie.

– Mottem Morika jest przetrwanie – wyjaśniła Bellany. – Nic ponad to. Wraziłby sztylet w serce samego Wulfgara, gdyby tego wymagało jego własne życie. Morik nie będzie zadowolony, jeśli Drizzt i Wulfgar wystąpią przeciwko nam. Może nawet znaleźć sposób, by pozostać poza walką i nie pomagać nam, gdy będziemy niszczyć jego byłego towarzysza, lecz nie zaryzykuje swoim życiem, idąc przeciwko nam. Nie narazi też obietnicy lepszej przyszłości, o której wie, że możemy ją zapewnić. To po prostu nie w jego stylu.

Sheila mogła z wystarczającą łatwością zaakceptować ideę osobistego zysku jako stojącą ponad wspólną lojalnością. Takie było z pewnością źródło wszelkiej lojalności, jaką żywiła wobec niej jej banda podżynaczy gardeł. Byli załogą, jaką utrzymywała w kupie za pomocą obietnic i gróźb – tylko dlatego, że wszyscy wiedzieli, iż największe osobiste zyski mogli znaleźć pod dowództwem Sheili Kree. Wiedzieli także, że gdyby spróbowali odejść, doświadczyliby gniewu śmiercionośnej przywódczyni piratów oraz jej elitarnych dowódczyni.

Siedząca z boku pokoju Jule Pepper była jeszcze bardziej przekonana co do prawdopodobności Morika, głównie z powodu jego działań, jakie wykonywał od przybycia wraz z Bellany do Złotej Zatoczki. Wszystko, co Morik powiedział pozostawało w absolutnej zgodzie z tym, czego dowiedziała się o Drizzcie podczas swego krótkiego pobytu w Dekapolis.

– Jeśli drow i Catti-brie zamierzają ruszyć na poszukiwanie młota bojowego, to możemy się spodziewać, że dołączą do nich krasnolud Bruenor i niziołek Regis – powiedziała. – I nie zapominajcie o tej panterze towarzysze, którą Drizzt nosi ze sobą.

– O niczym takim nie zapomnimy – zapewniła ją Sheila Kree. – Coraz bardziej się cieszę, że Le’lorinel do nas przyszedł.

– Pojawienie się tutaj Le’lorinela może być najszcześniejszą rzeczą, jaka nas spotkała – zgodziła się Bellany.

– Morik będzie teraz walczył z elfem? – zapytała przywódczyni piratów, bowiem Le’lorinel, mający tak wielką obsesję na punkcie Drizzta, poprosił o trochę czasu z najnowszym w kryjówce

gościem, który niedawno doświadczył osobistego spotkania ze zniechęconym mrocznym elfem.

Jule Pepper roześmiała się w głos na to pytanie. Niedługo po jej przybyciu do Złotej Zatoczki Le'lorinel spędzał z nią wiele godzin, prosząc ją o naśladowanie każdego ruchu, jaki widziała u Drizzta, nawet niezwiązanego z walką. Le'lorinel chciał znać długość jego kroku, kąt, pod jakim przekrzywił głowę, gdy mówił, absolutnie wszystko, co było związane ze zniechęconym drowem. Jule wiedziała, że Morik nie mógł zapewne pokazać elfowi niczego, co miałoby jakąkolwiek wartość, lecz wiedziała również, że Le'lorinel będzie od niego wymagał, by w nieskończoność powtarzał jego gesty i słowa. Nigdy dotąd Jule nie widziała nikogo ogarniętego taką obsesją.

– Morik zapewne już teraz jest wraz z Le'lorinelem, bez wątpienia odgrywając sekwencję, dzięki której został pojmany przez Drizzta i Catti-brie – Bellany odrzekła, zerkając na rozbawioną Jule.

– Obserwuj ich swoją magią – Sheila poleciała zaklinacze. – Zwracaj uwagę na każde wypowiedane przez Le'lorinela słowo, na każdy ruch, jaki wykonuje wobec Morika.

– Wciąż się obawiasz, że nasi wrogowie mogli posłać elfa w charakterze dywersyjnym? – spytała Bellany.

– Przybycie Le'lorinela było trochę zbyt dogodne – stwierdziła Jule.

– Jeszcze bardziej obawiam się tego, że ten głupi elf pójdzie szukać Drizzta i jego przyjaciół, zanim oni znajdą nas – wyjaśniła Sheila. – Ta grupa może spędzić całe dekadnie wałęsając się po górach bez żadnego śladu Klasztornej Wąwozu czy Złotej Zatoczki, a wolę, by tak potężni wrogowie weszli prosto do środka.

– Chętnie wzniosę latarnię, by ich ściągnąć – Jule rzekła cicho. – Jestem im to winna i zamierzam spłacić dług w całości.

– Nie mówiąc już o magicznych przedmiotach, jakie przy sobie noszą – zgodziła się Bellany. – Sądzę, że mogłabym się przyzwyczaić do takiej towarzyski jak Guenhwyvar, ty zaś, Sheilo, dobrze byś wyglądała nosząc wokół swego pasa rzekomo wspaniałe sejmity mrocznego elfa.

Sheila Kree przytaknęła i uśmiechnęła się paskudnie.

– Ale musimy spotkać się z tą grupą na naszych warunkach, a nie ich – wyjaśniła. – Sprowadzimy ich tu, gdy będziemy na nich gotowi, po tym jak zima trochę ich zmiękczy. Damy Le'lorinelowi walkę, która dręczy tego głupiego elfa od tylu lat i miejmy nadzieję, że Drizzt tam właśnie upadnie z hukiem. A jeśli nie, będzie nas mniej do dzielenia skarbów.

– A jak już o tym mówimy – wtrąciła Jule. – Zauważyłam, że wielu naszych ogrzych przyjaciół kręci się po okolicy, polując.

Uważam, że dobrze by było trzymać ich blisko, póki nie skończy się sprawa z Drizztem

Do'Urdenem.

– Tylko paru na raz – odparła Sheila Kree. – Mówiłam już o tym z Choguruggą.

Bellany opuściła pokój niedługo potem i nie mogła nie uśmiechnąć się, gdy pomyślała, jak sprawy się toczą. Zwykle zimy były straszliwie nudne, lecz ta obiecywała dobrą walkę, jeszcze lepsze skarby oraz towarzystwo w osobie Morika Łotra, którego młoda zaklinaczka знаła od czasów spędzonych jako uczennica w Luskan.

To będzie świetna zima.

Bellany wiedziała jednak, że Sheila Kree miała rację w kwestii Le'lorinela. Jeśli nie będą ostrożne, obsesja szalonego elfa na punkcie Drizzta może doprowadzić do katastrofy.

Bellany udała się prosto do swojej komnaty i zebrała komponenty, jakich potrzebowała do pewnych czarów wieszczenia, po czym dostroiła się do rozległej i skalistej komnaty, jaką Sheila przydzieliła Le'lorinelowi, obserwując, jak elf i Morik ciągną swój taniec z bronią. Le'lorinel instruował Morika raz za razem, by mówił mu wszystko, co wiedział o tym dziwnym mrocznym elfie.

* * *

– Jak wiele razy muszę ci powtarzać, że to nie była walka? – spytał z rozdrażnieniem Morik, rozkładając ręce szeroko i po bokach, trzymając sztylet w każdej dłoni. – Nie miałem zamiaru kontynuować, gdy poznałem biegłość drowa i jego przyjaciółki.

– Nie miałem zamiaru kontynuować – wymownie powtórzył Le'lorinel. – Co oznacza, że zacząłeś. I przyznałeś właśnie, że poznałeś biegłość mrocznego elfa. Pokaż mi więc, i to teraz, inaczej ja pokażę ci moją biegłość!

Morik przekrzywił głowę i uśmiechnął się do elfa, odrzucając groźbę tego ważniaka. A przynajmniej udając, że to robi. Tak naprawdę Le'lorinel dość mocno niepokoił Morika. Łotrzyk przetrwał wiele lat na brutalnych ulicach dlatego, że rozumiał swych potencjalnych wrogów i przyjaciół. Instynktownie wiedział, kiedy walczyć, kiedy blefować, a kiedy uciekać.

To spotkanie przechodziło szybko do trzeciej kategorii, bowiem Morik nie był w stanie ocenić Le'lorinela. Widział, że obsesja elfa nie dawała się ogarnąć, przechodziła w coś zbliżonego do obłądu. Widział to wyraźnie w spojrzeniu niebiesko-złotych oczu, wyglądających na niego zza tej śmiesznej czarnej maski. Czy Le'lorinel naprawdę by go zaatakował, gdyby nie dał mu wymaganych informacji, i to najwyraźniej w sposób, jaki Le'lorinel mógłby zaakceptować? Nie wątpił w to nawet przez chwilę, nie wątpił też, że byłby stroną zdecydowanie słabszą. Drizzt Do'Urden pokonał jego najlepszy manewr ataku z niesamowitą łatwością i rozpoczął kontrę, która zabiłaby Morika w przeciągu sekund, gdyby drow tak zapragnął, zaś jeśli Le'lorinel mógł stanowić prawdziwe

wyzwanie dla Drizzta...

– Pragniesz jego śmierci, ale dlaczego? – spytał łotrzyk.

– To moja sprawa, a nie twoja – odpowiedział szorstko Le'lorinel.

– Mówisz do mnie w złości, jakbym nie mógł ani nie chciał ci pomóc – powiedział Morik, zmuszając się do wyraźnego spokoju w głosie. – Może jest sposób...

– To moja walka, a nie twoja – dobiegła odpowiedź równie ostra jak sztylety Morika.

– Ach, ale jesteś sam, przeciwko Drizztowi i jego przyjaciółom – stwierdził łotrzyk. – Możesz rozpocząć wspaniałą i wygrywający atak przeciw drowowi tylko po to, by zostać zastrzelonym przez Catti-brie, stojącą spokojnie z boku. Jej łuk...

– Wiem wszystko o Taulmarilu, o Guenhwyvar i o wszystkich pozostałych – elf zapewnił go. – Znajdę Drizzta na moich własnych warunkach i pokonam go twarzą w twarz, jak wymaga sprawiedliwość.

Morik roześmiał się.

– On nie jest takim złym gościem – zaczął mówić, lecz dziki wyraz narastający w oczach Le'lorinela poradził mu, by zmienił sposób rozumowania. – Być może powinieneś znaleźć sobie kobietę – dodał łotrzyk. – Elfią lub ludzką, wydaje się być tyle atrakcyjnych dookoła. Kochaj, mój przyjacielu. To jest sprawiedliwość!

Spojrzenie, które odpowiedziało Morikowi, choć nawet przez chwilę nie spodziewał się zgody, zaskoczyło go, tak wątpiącym i niedowierzającym się wydawało.

– Ile masz lat? – naciskał Morik. – Siedemdziesiąt? Pięćdziesiąt? Jeszcze mniej? Tak trudno to powiedzieć o elfach i owszem, jestem z tego powodu zazdrosny. Masz w sobie jednak niezaprzeczną przystojność, delikatne piękno, które spodoba się kobietom. Znajdź więc kochankę, mój przyjacielu. Znajdź dwie! I nie ryzykuj stuleciami życia, jakie ci pozostały w tej walce z Drizztem Do'Urdenem.

Le'lorinel zbliżył się o krok. Morik cofnął się szybko, delikatnie przekręcając dłonie, by postać sztylet w zamaskowaną twarz przeciwnika, jeśli Le'lorinel będzie podchodził dalej.

– Nie mogę żyć – elf krzyknął gniewnie. – Dopilnuję, by stała się sprawiedliwość! Sama myśl o mrocznym elfie krocącym po powierzchni, udającym przyjaźń i dobroć, obraża wszystko, czym jestem i wszystko, w co wierzę. Oszust, którym jest Drizzt Do'Urden jest obelgą dla wszystkich moich przodków, którzy wygnali drowy ze świata powierzchni, do bezświetlnych głębin, gdzie ich miejsce.

– A gdyby Drizzt wycofał się do bezświetlnych głębin, czy ścigałbyś go tam? – spytał Morik, uważając, że znalazł lukę w rozumowaniu elfa.

– Zabiłbym każdego drowa, gdybym miał taką moc w mych rękach – parsknął w odpowiedzi Le’lorinel. – Unicestwiłbym całą rasę i byłbym z tego dumny. Zabiłbym ich matki opiekunki oraz ich morderczych łupieżców. Wbiłbym sztylet w serce każdego drowiego dziecka!

Elf zbliżał się wraz z każdym zdaniem, a Morik roztropnie się wycofywał, pozostając poza jego niebezpiecznym zasięgiem, trzymając dłonie przed sobą, mając sztylety wciąż w gotowości, wykonując dłońmi uspokajające gesty, by ułagodzić tę wzbierającą burzę.

W końcu Le’lorinel zatrzymał się i stał, wpatrując się w niego.

– A teraz, Moriku, czy zamierzasz pokazać mi, co działo się między tobą a Drizstem Do’Urdenem, czy też mam osobiście sprawdzić twoje umiejętności walki i wykorzystać je jako miarę biegłości Drizzta Do’Urdena, zważywszy na to, co już wiem o waszym spotkaniu?

Morik westchnął i przytaknął zgadzając się. Następnie ustawił Le’lorinela tak, jak Drizzt stał tamtej nocy w luskańskim zaułku, po czym przeszedł z elfem przez sekwencję ataku oraz obrony.

Raz za razem, raz za razem, na przewidywalne nalegania Le’lorinela.

* * *

Bellany obserwowała całą wymianę słów z niemalym rozbawieniem. Podobało jej się obserwowanie płynnych ruchów Morika, choć nie mogła zaprzeczyć, że Le’lorinel był jeszcze piękniejszy w walce, ze swymi większymi umiejętnościami i gracją. Bellany roześmiała się głośno, zważywszy na błędne spostrzeżenia Morika.

Gdy w końcu skończyli swe wielokrotne płasy, Bellany usłyszała, jak Morik ośmielił się spierać:

– Jesteś świetnym wojownikiem, wspaniałym wojownikiem. Nie kwestionuję twych zdolności, przyjacielu. Ostrzegam cię jednak, że Drizzt Do’Urden jest dobry, bardzo dobry. Być może najlepszy na całej północy. Wiem to nie tylko z mojego przelotnego spotkania z nim, lecz z opowieści przekazanych mi przez Wulfgara w czasie, jaki spędziliśmy ze sobą. Widzę, że twoja wściekłość jest szczerą, lecz nawołuję, byś zmienił swoje zamiary. Drizzt Do’Urden jest bardzo dobry, a jego przyjaciele naprawdę potężni. Jeśli dalej będziesz postępować tym torem, zabije cię. A jakąż stratą stuleci by to było!

Morik ukłonił się, odwrócił i szybko wyszedł, udając się, jak Bellany podejrzewała, do jej pokoju. Spodobała jej się ta myśl, bowiem obserwowanie zabawy pomiędzy Morikiem a Le’lorinelem zdecydowanie ją podnieciło i uznała, że nie będzie poprawiać łotrzyka. Przynajmniej

nie szybko.

Było zbyt fajnie.

* * *

Morik rzeczywiście zamierzał zobaczyć się z Bellany, gdy opuścił komnatę sparingową Le'lorinela. Elf bardziej go rozbawił niż wstrząsnął – Morik uważał Le'lorinela za absolutnego głupca, marnującego wszelkie możliwe rozrywki oraz życiowe doświadczenia, wypełniając tę krwawą przysięgę zemsty na mrocznym elfie, którego lepiej było zostawić samemu sobie. Według Morika to, czy Drizzt miał dobry czy zły charakter nie było tak naprawdę kwestią. Prostą miarą wartości misji Le'lorinela było pytanie, czy Drizzt szukał elfa czy też nie. Jeśli tak, to Le'lorinel zrobiłby dobrze uderzając jako pierwszy, lecz jeśli nie, to elf był zdecydowanie głupcem.

Drizzt nie szukał elfa, Morik wiedział to instynktownie. Drizzt szukał informacji o Wulfgarze oraz o Aegis-fangu, lecz nic nie powiedział o żadnym elfie zwanym się Le'lorinel, w ogóle o żadnym elfie. Drizzt nie polował na Le'lorinela, zapewne nie wiedział nawet, że Le'lorinel poluje na niego.

Morik skierował się do bocznego korytarza, podchodząc do wypaczonych drewnianych drzwi. Z wielkim wysiłkiem zdołał je otworzyć i przeszedł przez nie na półkę położoną wysoko na ścianie urwiska, jakieś sześćdziesiąt metrów nad rozbijającymi się daleko w dole falami.

Morik zastanowił się nad ścieżką wijącą się wokół skalistej iglicy, która mogła go zaprowadzić na dno wąwozu po drugiej stronie pagórka i oddalić od Sheili Kree. Mógł zapewne ze względną łatwością przedostać się obok pilnujących wąwozu strażników, mógł zapewne z niewielkim wysiłkiem udać się daleko, daleko stąd.

Oczywiście na północnym zachodzie zbierały się burzowe chmury, nad Morzem Ruchomego Lodu, a wicher był zimny. Ciężko by mu było dotrzeć do Luskan, zanim ogarnęłaby go zima, a nawet gdyby się udało, nie byłaby to przyjemna podróż. Poza tym Bellany pokazała już oczywiście, że potrafi go znaleźć w Luskan.

Morik wyszczerzył zęby, zastanawiając się nad innymi możliwymi drogami. Nie był dokładnie pewien, gdzie był – Bellany używała magii, by przenosić ich z miejsca na miejsce podczas drogi w tę stronę – lecz podejrzewał, że nie był bardzo daleko od potencjalnego schronienia na zimę.

– Ach, lordzie Feringalu, czy spodziewasz się gości? – łotrzyk wyszeptał, lecz śmiał się przy każdym słowie, niezbyt poważnie biorąc możliwość ucieczki do Auckney, nawet gdyby zdołał ustalić, gdzie Auckney mieściło się w odniesieniu do Złotej Zatoczki. Bez odpowiedniego stroju trudno mu będzie znów przybrać tożsamość lorda Brandeburga z Waterdeep, pseudonimu, jaki niegdyś przybrał, aby oszukać lorda Feringala z Auckney.

Morik roześmiał się na myśl o zawędrowaniu w zimowe góry i idea ta zdecydowanie nie była poważna. Po prostu przyjemniej było Morikowi wiedzieć, że mógłby zapewne uciec, gdyby zechciał.

Mając to w myślach, Morik nie był zaskoczony, że piratki dały mu pewną swobodę. Gdyby zaproponowały odstąpienie go z powrotem do Luskan, by nigdy już go nie kłopotać, nie był pewien, czy by się na to zgodził. Życie tam było ciężkie, nawet dla kogoś o takim sprycie i reputacji jak Morik, lecz życie w tej zatoczce wydawało się dość proste, a Bellany z pewnością zamierzała wychodzić z siebie, by uczynić je przyjemnym.

Ale co z Wulfgarem? Co z Drizztem Do'Urdenem i Catti-brie?

Morik popatrzył po zimnych wodach i poważnie rozważył dług, jaki mógł być winien swemu byłemu towarzyszowi podróży. Tak, troszczył się o Wulfgara i postanowił w tej właśnie chwili, że jeśli barbarzyńca nie wystąpi przeciwko Złotej Zatoczce, starając się odzyskać Aegis-fanga, zrobi co tylko będzie mógł, aby przekonać Sheilę Kree, a szczególnie Bellany, by spróbowały go pojmać, a nie zniszczyć.

Morik wiedział, że będzie to trudniejsze zadanie zważywszy na Drizzta, zważywszy na własne ostatnie spotkanie z szalonym Le'lorinelem, lecz Morik był w stanie dość łatwo otrząsnąć się z tej możliwości.

Co tak naprawdę Morik Łotr był winien Drizztowi Do'Urdenowi? Albo Catti-brie?

Mały ciemnowłosy złodziej przeciągnął się i przycisnął ręce bliżej piersi, by osłonić się przed zimnym wichrem. Pomyślał o Bellany oraz o jej ciepłym łóżku i natychmiast ruszył do niej.

Le'lorinel stał ponuro w komnacie sparingowej po tym, jak Morik odszedł, rozważając jego ostatnie słowa.

Wiedział, że Morik był w błędzie. Elf nie wątpił w jego ocenę umiejętności walki Drizzta. Le'lorinel znał dobrze opowieści o wyczynach drowa. Morik nie rozumiał jednak lat przygotowań do tej jednej walki, wielkich wyrzeczeń, do jakich Le'lorinel się posunął, aby zyskać możliwość pokonania Drizzta Do'Urdena.

Le'lorinel nie mógł jednak łatwo odrzucić ostrzeżenia Morika. Ta walka z Drizztem naprawdę się stanie, elf powtarzał sobie w myślach, dotykając palcami pierścienia, zawierającego niezbędne czary. Nawet jeśli wszystko nie odbędzie się dokładnie tak, jak Le'lorinel przygotował i zaplanował, zapewne zakończy się dwoma zgonami, niejednym.

Niech tak się stanie.

GDZIE TROP STYKA SIĘ Z DYMEM

Czworo towarzyszy, okutanych warstwami futer i z krwią zagęszczoną po latach życia w trudach Doliny Lodowego Wichru, nie martwiła się zbytnio zimowymi warunkami, jakie czekały na nich niedaleko na północ od Luskan. Śnieg był głęboki w niektórych miejscach, w innych szlak był pokryty lodem, lecz grupa parła do przodu. Bruenor prowadził Catti-brie i Regisa, ryjąc drogę swym krzepkim ciałem, zaś Drizzt pilnował ich z boku.

Mieli niesamowite tempo, zważywszy na pogodę i trudny teren, lecz Bruenor znalazł oczywiście powód do marudzenia.

– Ten cholerny pomykający elf nawet ni przebija powierzchni – mruknął, wbijając stopę w zaspę sięgającą mu powyżej pasa, podczas gdy Drizzt przemykał po skrzypiącej powierzchni śniegu, na wpół się ślizgając, na wpół biegnąc. – Trzeba go zmusić, coby więcej jadł i odłożył trochę mięśni na tych chudych kończynach.

Idąca za krasnoludem Catti-brie jedynie się uśmiechnęła. Wiedziała, podobnie jak Bruenor, że gracia Drizzta była bardziej kwestią równowagi niż ciężaru. Drow wiedział, jak idealnie rozłożyć swą wagę, a ponieważ zawsze zachowywał doskonałą równowagę, mógł natychmiast przerzucić ciężar na drugą stopę, gdyby poczuł, że śnieg się pod nim zapada. Catti-brie była Drizztowi równa wzrostem i była od niego nawet trochę lżejsza, lecz nie była w stanie poruszać się tak jak on.

Jako że znajdował się na powierzchni śniegu, zamiast się przez niego przedzierać, Drizzt dysponował dogodnym punktem obserwacyjnym na rozciągające się dookoła białe ziemie. Zauważył trop niedaleko z boku – świeży, świadczący, że coś lub ktoś ryło śnieg, podobnie jak teraz Bruenor.

– Stać! – zawołał drow. W chwili gdy to mówił, Drizzt dostrzegł kolejny ciekawy widok, wzbijający się w niebo dym, jakiś kawałek dalej, pionowo niczym z komina. Zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym zerknął znów na trop, który wydawał się wieść mniej więcej w tamtym kierunku. Pewnie chata trapera albo pustelnika.

Uznawszy, że przyjaciółom mogłaby się przydać odrobina odpoczynku, Drizzt pospieszył do tropu. Opuścili Luskan przed niemal dekadniem, a dobre schronienie trafiło się im tylko dwukrotnie, pierwszej nocy u rolnika, a drugiej w którejś z kolejnych w jaskini.

Drizzt nie miał już tak ochoczych myśli o schronieniu, gdy dotarł do szlaku w śniegu i ujrzał odciski ponad dwa razy większe niż jego własne.

– Co tam masz, elfie? – zawołał Bruenor.

Drizzt wskazał gestem, by byli cicho i by do niego dołączyli.

– Wielkie orki, być może – stwierdził, gdy byli już wszyscy razem. – Albo małe ogry.

– Albo barbarzyńcy – uznał Bruenor. – Ci kolesie mają największe stopy, jakie kiedykolwiek widziałem u ludzi.

Drizzt przyjrzał się uważniej jednemu z tropów, nachylając się, by ustawić oczy jedynie kilkanaście centymetrów od niego. Potrząsnął głową.

– Są zbyt ciężkie i zostały zrobione przez twarde buty, nie miękkie skóry, jakie nosiliby pobratymcy Wulfgara – wyjaśnił.

– Więc ogry – powiedziała Catti-brie. – Albo wielkie orki.

– Wiele ich w tych górach – wtrącił Regis.

– I kierują się do tego dymu – wyjaśnił Drizzt, wskazując na cienką strużkę.

– Może to ich ziomki robią ten dym – stwierdził Bruenor. Uśmiechając się paskudnie, krasnolud zwrócił się do Regisa: – Zajmij się tym, Pasibrzuchu.

Regis zbladł, myśląc że być może spisał się zbyt dobrze przy ostatnim obozowisku orków, gdy wraz z Bruenorem szedł do Luskan. Niziołek nie miał zamiaru uchylać się od swych obowiązków, lecz jeśli to były ogry, był w zdecydowanie niekorzystnej sytuacji. Poza tym wiedział, że ogry ceniły sobie niziołków jako jeden z najbardziej ulubionych posiłków.

Gdy Regis wyszedł z rozmyślań, zauważył, że Drizzt spogląda na niego, uśmiechając się porozumiewawczo, jakby odczytywał każdą myśl niziołka.

– To nie jest zadanie dla Regisa – powiedział mroczny elf.

– Zrobił to w drodze do Luskan – zaprotestował Bruenor. – I zrobił dobrze.

– Ale nie w takim śniegu – odparł Drizzt. – Żaden złodziej nie byłby w stanie znaleźć odpowiednich cieni przy takiej bieli. Nie, chodźmy razem, by sprawdzić, na jakich przyjaciół czy wrogów trafimy.

– A jeśli to ogry? – spytała Catti-brie. – Myślisz, że dawno nie walczyliśmy?

Mina Drizzta pokazywała wyraźnie, że ta myśl nie była mu nieprzyjemna, lecz potrząsnął głową.

– Jeśli nas nie obchodzą, to lepiej byśmy my nie obchodzili ich – powiedział. – Dowiedzmy się jednak, czego możemy. Być może znajdziemy dach nad głową i dobre jadlo przed nocą.

Drizzt szedł z boku i lekko z przodu, zaś Bruenor prowadził wyrytym szlakiem. Krasnolud wyciągnął swój wielki topór i nałożył solidnie jednorogi hełm na głowę, zdecydowanie gotów do walki. Za nim Catti-brie nałożyła strzałę na Taulmarila i sprawdziła naciąg.

Jeśli to były ogry lub orki i zdarzyłoby się tak, że ich schronienie byłoby nieźle zbudowane, to Catti-brie w pełni spodziewała się, że zajmą je przed zapadnięciem nocy. Znała Bruenora Battlehammera zbyt dobrze, by uważać, że krasnolud odszedłby kiedykolwiek od walki z którymś z tych potworów.

* * *

– Twoja kolej, by iść po opał – Donbago warknął do swego młodszego brata, Jedditha. Pchnął młodego mężczyznę w kierunku drzwi wieży. – Wszyscy zamrzniemy do rana, jeśli nie przyniesiesz!

– Taa, wiem – stęknął młodszy żołnierz, przejeżdżając dłonią po tłustych włosach i drapiąc się w ugryzienia od wszy. – Cholerna pogoda. Nie powinno być jeszcze tak zimno.

Pozostali dwaj żołnierze w kamiennej wieży mruknęli, zgadzając się. Zima nadeszła wcześniej i gwałtownie od Grzbietu Świata, spływając na lodowatym wicherze, który przedzierał się przez kamienie prostej wieży wgryzając się w żołnierzy. W kominku płonął ogień, lecz przygasał, a nie mieli dość drewna, by utrzymać go przez noc. W pobliżu było go jednak mnóstwo, więc żaden z nich się nie martwił.

– Jeśli mi pomożesz, przyniesiemy dość, by gorzało – zauważył Jeddith, lecz Donbago mruknął coś o jego kolejności na wartę na szczycie wieży i skierował się do schodów w chwili, gdy Jeddith ruszył do drzwi frontowych.

Wiatr świszczący przez otwarte wrota popchnął Donbago, gdy dochodził do drugiej kondygnacji, gdzie natknął się na pozostałych dwóch żołnierzy tego wysuniętego posterunku.

– No, kto jest na górze?? – Skarcił ich Donbago.

– Nikt – odpowiedział jeden z nich, wdrapując się po drabinie biegnącej ze środka okrągłej podłogi do środka dachu. – Kłapa przymarzła.

Donbago mruknął i podszedł do podstawy drabiny, obserwując jak jego towarzysz warty grzmoci w metalową kłapę. Rozbite lodu zajęło im trochę czasu, tak więc Donbago nie był na dachu i nie mógł obserwować, jak Jeddith, znajdujący się jakieś dziesięć metrów od drzwi wieży, pochylił się, by podnieść trochę drewna, nieświadomy przyczajonego ogra, który wyszedł zza drzewa i zmiażdżył

mu czaszkę pojedynczym ciosem ciężkiej maczugi.

Jeddith upadł nie wydając żadnego dźwięku, a bandyta odciągnął go z pola widzenia.

Osilek przy podstawie wieży był głośniejszy, cisnął kotwiczką przymocowaną do grubej liny w kierunku górnej krawędzi wieży, lecz odgłos ten został zagłuszony uderzeniami w metalową klapę.

Zanim Donbago i jego towarzysz odblokowali drzwi, półogr chwycił powiazaną w supły linę i wszedł po niemal dziesięciometrowej ścianie wieży, wciągając się na dach.

Osilek obrócił się, sięgając po wielki topór, jaki miał przypięty do pleców, gdy klapa otworzyła się i wyszedł przez nią Donbago.

Wydając z siebie ryk, półogr skoczył na niego, lecz jedynie odtrącił mężczyznę na bok. Szczęście towarzyszyło Donbago i topór półogra jedynie wbił się w ciężkie drzwi. Mimo to mężczyzna został rzucony na blanki wieży, pozbawiony tchu.

Dyszząc, Donbago nawet nie mógł wykrzyknąć ostrzeżenia, gdy jego towarzysz wspinał się na dach. Półogr oswobodził swój topór.

Donbago skrzywił się, gdy osilek niemal przeciął jego kompana na pół. Wyciągnął swój miecz i zmusił się do powstania oraz szarży. Zbliżając się do osiłka, pozwolił się prowadzić swej wściekłości, widział jak jego towarzysz, jego przyjaciel, na wpół wychylony z otworu, wije się w ostatnich chwilach życia. Jako doświadczony wojownik, Donbago nie pozwolił, by ten obraz skłonił go do jakichkolwiek pochopnych działań. Natarł szybko i z furią, lecz starannie, wykonując coś, co wyglądało na szeroki zamach, po czym wycofując ostrze na tyle, by potężne parowanie osiłka przemknęło obok, nie trafiając w nic.

Teraz Donbago rzucił się naprzód z pchnięciem, a potem z następnym, spychając bandytę w tył i rozcinając mu trzewia.

Półogr zaskowyczał i próbował się wycofać, lecz stracił równowagę na śliskich kamieniach i przewrócił się.

Donbago natarł, skacząc naprzód ze straszliwym cięciem, lecz w chwili, gdy jego miecz opadał, półogr wierzgnął wielką nogą, trafiając solidnie i posyłając mężczyznę w niekontrolowane salto. Jego zamach trafił jednak i poharatany półogr musiał się usilnie starać, by odzyskać równowagę.

Donbago podniósł się przed nim, wykonując pchnięcia i cięcia. Wciąż przenosił wzrok ze swego celu na martwego przyjaciela, pozwalając, by kierowała nim wściekłość. W chwili, gdy ogr zaatakował, udało mu się głęboko ugodzić. Mimo to, z powodu swej ofensywnej postawy nie mógł się odsunąć i został draśnięty tym straszliwym toporem, następnie otrzymał potężne uderzenie pięścią w twarz, które złamało mu nos oraz kości w obydwu policzkach i posłało pod ścianę.

Osunął się tam, powtarzając sobie, że musi pozbyć się czarnych plam z oczu, że musi się podnieść i przyjąć postawę obronną, że osiłek właśnie się na niego rzuca i że zostanie zmiażdżony oraz porąbany.

Z warkotem, który dobywał się z głębi jego żołądka, oszołomiony i krwawiący Donbago zmusił się do powstania, trzymając przed sobą miecz w żalosnej próbie ustrzeżenia się przed tym, co jak wiedział będzie zabójczym ciosem.

Jednak półogra tam nie było. Stał, a raczej klęczał na jednym kolanie przy otwartym włazie, trzymając się za brzuch, trzymając się za swe wnętrzności, a na jego paskudnej twarzy widniało niedowierzanie i czyste przerażenie.

Nie chcąc czekać, aż bestia zdecyduje się, czy rana jest śmiertelna, czy też nie, Donbago pospieszył przez dach i uderzył kilkakrotnie mieczem w podniesioną rękę półogra. Gdy owa ręka została w końcu odtrącona na bok, mężczyzna dalej siekał z całą pozostałą mu siłą i energią, pobudzony przez widok martwego towarzysza oraz nagły strach o brata...

Jego brat!

Donbago krzyknął i zamachnął się, miażdżąc stworowi czaszkę, powalając go na kamienie. Uderzał jeszcze przez chwilę, na długo po tym, jak półogr przestał się ruszać, zmieniając jego ohydną głowę w miazgę.

Następnie podniósł się i pokuśtykał do otwartego włazu, starając się przeciągnąć do końca swego rozciętego przyjaciela. Gdy nic z tego nie wyszło, Donbago wpełznął go zamiast tego do wewnątrz, trzymając go tak nisko, jak tylko mógł, by upadek nie był zbyt gwałtowny dla zmaltretowanych zwłok.

Otrząsając się z przerażenia i łez, Donbago zawołał do pozostałych, by zabezpieczyli wieżę, by ktoś poszedł znaleźć jego brata.

Usłyszał jednak z dołu odgłosy walki i wiedział, że nikt go nie słyszy.

Nie mając siły, by zbiec na dół i do nich dołączyć, Donbago zastanowił się nad pozostałymi mu możliwościami i zmartwił się, że inne osiłki mogą się tu wspinać za nim.

Zaczął odwracać się od klapy i od widoku martwego przyjaciela w pomieszczeniu poniżej, lecz zatrzymał się, gdy ujrzał, że inny z żołnierzy wbiega po schodach, by zatrzymać się z boku drugiej kondygnacji.

– Ogry! – krzyknął mężczyzna, kuśtykając do drabiny. Niemal dotarł do jej podstawy, lecz nagle pojawił się za nim półogr i zamachnął się na niego kotwiczką przymocowaną do łańcucha. Zahaczył o bark wspinającego się po drabinie mężczyzny.

Donbago wrzasnął i zaczął schodzić do niego, lecz jednym potężnym pociągnięciem, nieludzko silnym szarpnięciem, półogr oderwał mężczyznę od drabiny tak nagle, tak brutalnie, że Donbago musiał mrugnąć, by pozbyć się iluzji, że żołnierz po prostu zniknął.

Czy też przynajmniej jego część, bowiem drabiny wciąż trzymała się odcięta ręka.

Donbago spojrział do pomieszczenia poniżej akurat, by ujrzeć ostatnie chwile mężczyzny, gdy półogr powalał go na kamienną podłogę. Następnie osiłek podniósł wzrok na Donbago, uśmiechając się paskudnie.

Zmaltretowany Donbago odtoczył się od klapy, po czym szybko odwrócił metalowe wrota i zamknął je, następnie położył się w poprzek nich, używając swego ciała jako sztaby.

Zerknięcie na martwego ogra na szczycie wieży przypomniało mu jak był tu odsłonięty. Nie słysząc z dołu żadnych odgłosów poza odległą walką, Donbago zerwał się i podbiegł do krawędzi wieży, odczepiając kotwiczkę. Zabrał ją ze sobą, rzucając się z powrotem na klapę, wciągając tym samym linę zwisającą z wieży. Kilka chwil później poczuł od spodu potężny cios, straszliwe uderzenie, które sprawiło, że zadygotały mu zęby.

* * *

Drizzt zauważył, że drzwi wieży były rozwarte. Dostrzegł także karmazynowe plamy na śniegu koło pobliskich drzew. Następnie usłyszał okrzyk ze szczytu wieży.

Wskazał swym przyjaciołom, by byli czujni, po czym pomknął na bok, zachodząc wieżę z prawej, starając się ocenić, co się stało i gdzie będzie najlepiej dołączyć do walki.

Catti-brie i Bruenor pozostali na szlaku ogrów, lecz poruszali się teraz ostrożniej, wykonując gesty w stronę Drizzta. Ku zaskoczeniu drowa, Regis nie pozostał z nimi. Niziołek pobiegł w lewo, zachodząc wieżę z drugiej strony. Przedarł się przez śnieg, po czym nareszcie dotarł do spłachetka smaganej wichrem skały i przemykał z cienia w cień, pochylony, poruszając się szybko, kierując się na tyły.

Drizzt nie mógł powstrzymać uśmiechu, myślał bowiem, że Regis jak zwykle stara się znaleźć leżącą na uboczu kryjówkę.

Uśmiech ten zgasł jednak niemal natychmiast, bowiem drow zrozumiał, że niebezpieczeństwo jest wielkie, że naprawdę toczy się już bitwa. Ujrzał mężczyznę z zakrwawioną tuniką oraz twarzą, wyskakującego przez otwarte drzwi wieży i biegnącego w bok, wrzeszcząc o pomoc.

Wielka sylwetka, duży i ohydny ogr, rzuciła się za nim w pościg, z podniesioną wysoko zakrwawioną maczugą.

Mężczyzna dysponował przewagą kilku kroków, lecz Drizzt wiedział, że nie mogła się ona utrzymać w głębokim śniegu. Dłuższe i silniejsze nogi ogra szybko zmniejszyły dystans, a ta maczuga...

Drizzt odwrócił się od wieży w pogoni za parą. Zdołał wykonać szybki sygnał dłonią do Bruenora i Catti-brie, pokazując im swe zamiary i wskazując, by szli dalej do wieży. Pobiegł, a jego lekkie kroki utrzymywały go na powierzchni śniegu.

Z początku Drizzt obawiał się, że ogr pierwszy dogoni uciekającego mężczyznę, lecz nabrał on prędkości i rzucił się na łeb na szyję przez krawędź uskoku, turlając się po śniegu.

Ogr zatrzymał się przy krawędzi, a Drizzt wrzasnął. Osiołek wydawał się wielce szczęśliwy, gdy odwrócił się i ujrzał nowego przeciwnika. Oczywiście ochoczy blask w oczach ogra zniknął, a głupawy uśmiešek stał się wyrazem prawdziwego zaskoczenia, gdy ogr rozpoznał, że ten wróg nie jest kolejnym człowiekiem, lecz elfem-drowem.

Drizzt zaatakował mocno, wirując sejmitarami, skacząc, by szybko zabić. Wtedy będzie mógł zająć się rannym mężczyzną oraz zawrócić do wieży i pomóc swym przyjaciółom.

Jednak ten osiołek nie był zwyczajnym ogrem. Był doświadczonym wojownikiem, mierzącą dwa metry siedemdziesiąt stertą mięśni i kości, zdolną z zaskakującą zwinnością manewrować swą nabijaną maczugą.

Gorliwość Drizzta niemal go wiele kosztowała, bowiem gdy rzucił się do natarcia, wirując sejmitarami w przeciwne strony, szybki ogr odsunął się akurat poza jego zasięg i zamachnął się potężnie swą maczugą, zahaczając o jeden z sejmitarów. Drizzt ledwo był w stanie utrzymać chwyt na tej broni. Gdyby ją upuścił, mógłby jej nigdy nie znaleźć w głębokim śniegu.

Drizzt zdołał nie tylko usunąć swą drugą klingę, trzymaną w prawej dłoni, z drogi ciosu, lecz jeszcze wykonać nią pchnięcie, które zraniło wysunięte do przodu przedramię ogra. Osiołek przyjął jednak użądlenie w zamian za przedarcie się przez jego prawdziwy atak. Unosząc ciężką nogę i uzupełniając zamach maczugą ciężkim kopnięciem, trafił Drizzta w ramię i posłał go trzy metry dalej, gdzie wylądował w śniegu.

Drow dostrzegł wtedy swą pomyłkę i cieszył się jedynie, że dokonał jej na otwartej przestrzeni, gdzie mógł się szybko otrząsnąć. Uznał, że gdyby został w ten sposób kopnięty we wnętrzu wieży, teraz byłby zaledwie czerwoną plamą na ścianie.

* * *

Ujrzeli sygnał drowa, lecz ani Bruenor ani Catti-brie nie zamierzali opuścić Drizzta w pościgu za ogrem – dopóki nie usłyszeli wołania o pomoc, najbardziej żałosnego okrzyku, jaki kiedykolwiek

słyszeli, dobiegającego z wnętrza wieży.

– Strzelaj tymi cholernymi strzałami nad moją głową – Bruenor wrzasnął do dziewczyny, po czym pochylił ramiona i rzucił się ku drzwiom frontowym wieży, nabierając szybkości, pędu i furii.

Catti-brie starała się dotrzymać mu kroku, biegła ledwie kilka kroków z tyłu, z ustawionym i gotowym do strzału Taulmarilem w dłoni.

W szarzy krasnoluda nie było nic subtelnego ani cichego i jak można było się spodziewać, w drzwiach powitała Bruenora kolejna wielka sylwetka. Topór krasnoluda wykonał mocne cięcie, a strzała Catti-brie wbiła się osiłkowi w pierś. Te dwa ciosy, połączone z pędem krępego krasnoluda, sprawiły, że Bruenor wpadł do głównego pomieszczenia najniższej kondygnacji wieży.

Z tym przeciwnikiem, półogrem i do tego krzepkim, sprawa nie była jeszcze skończona. Zdołał wykonać kontratak swą maczugą, uderzając Bruenora mocno w bark.

– Musisz się bardziej postarać! – zagrzemiał krasnolud, choć tak naprawdę zabolało go.

Uśmiechając się pomimo bólu, Bruenor zamachnął się w poprzek swym toporem. Półogr odkuśtykał poza jego zasięg, lecz zbyt szybko wrócił, by oddać. Cios na odlew Bruenora ugodził go płazem w zębra, pozbawiając pędu i możliwości planowanego ataku.

Półogr zachwiał się, dając Bruenorowi czas, by odpowiednio ustawić stopy i zacząć wszystko od nowa. Następne uderzenie nie było płazem, lecz poszarpaną, wyszczerbioną głowicą, było cięciem, które wbiło się w pierś zmaltretowanego osiłka.

Zanim Bruenor zdołał jednak nacieszyć się wyraźnym zwycięstwem, ze schodów zeskoczył drugi półogr, wpadając na swego śmiertelnie ранego towarzysza i przewracając się wraz z nim na Bruenora, zagrzebując krasnoluda pod niemal toną mięśni i kości.

Krasnolud bardzo potrzebował w tej chwili Catti-brie, lecz wołanie z góry powiedziało mu, że być może nie tylko on.

Znajdujący się z tyłu wieży, blisko podstawy ściany, nasłuchujący bacznie Regis usłyszał szarzę Bruenora. Nie miał jednak zbyt dużego zamiaru pójść za krasnoludem, bowiem taktyka Bruenora była bezpośrednia, mięśnie przeciwko mięśniom, wymiana ciosu za cios.

Stosując tę strategię przeciwko ogrom Regis nie przetrwałby pierwszego ciosu.

Usłyszał okrzyk z góry. Zaczął się wspinać dłoń za dłonią, wybierając uchwyty w zimnym, popękany kamieniu. Gdy znalazł się w połowie drogi, jego biedne palce były już podrapane i krwawiły, lecz szedł dalej, poruszając się ze zwinnością, o jaką ciężko go było podejrzewać, dobrze wybierając uchwyty i zbliżając się do szczytu.

Usłyszał wrzask i trzask, po czym jakiś głośny zgrzyt. Wspiął się na górę najszybciej, jak mógł, po czym ześlizgnął się i niemal spadł, chwytając się w ostatniej chwili – z niemałym szczęściem.

W końcu położył dłoń na krawędzi wieży i wyjrzał. To, co ujrzał, niemal skłoniło go do zeskoczenia.

* * *

Biedny Donbago, krzyczący bezustannie, chciał jedynie trzymać wrota zamkniętymi, zamknąć oczy i przeczekać cały ten koszmar. Był doświadczonym wojownikiem i brał udział w wielu walkach oraz stracił wielu przyjaciół.

Lecz nie jego brat.

Wiedział głęboko w sercu, że Jeddith był powalony i zapewne nie żył. Wiedział w sercu, że wieża jest stracona i że nie będzie uciezki. Być może, gdyby leżał tam po prostu dość długo, używając swego ciała jako blokady, osiłki by odeszły. Wiedział w końcu, że ogry nie były znane z uporu ani ze sprytu.

Przynajmniej większość.

Donbago z początku nie wyczuwał ciepła, choć czuł palącą się skórę. Nie rozumiał – póki nie poczuł na plecach ostrego bólu. Instynktownie się odtoczył, lecz natychmiast się zatrzymał, zdając sobie sprawę, że musi trzymać drzwi zamknięte.

Próbował wrócić, lecz metal był gorący – tak gorący!

Znajdujące się poniżej ogry musiały go rozgrzewać pochodniami.

Donbago wskoczył na klapę, mając nadzieję że buty ochronią go przed gorącem. Usłyszał wrzask, gdy jeden z jego towarzyszy opuścił wieżę, a kilka chwil później ryknięcie z dołu, przy drzwiach frontowych.

Podskakiwał, a jego buty dymiły się. Rozejrzał się szaleńczo dookoła, szukając czegoś, co mógłby położyć na klapie, może obluzowanego kamienia z blanków.

Został odrzucony potężnym uderzeniem znajdującego się niżej ogra. Drugi cios, zanim Donbago zdołał wrócić, otworzył gwałtownie właz. Osilek wyłonił się ze zdumiewającą szybkością, wyraźnie podniesiony na dach przez towarzysza.

Donbago, wciąż czując fale bólu promieniujące z pogruchotanej twarzy, rzucił się na niego natychmiast i z furją, przy każdym szalonym ciosie myśląc o swym bracie. Trafił kilkakrotnie ogra,

który wydawał się naprawdę zaskoczony jego zaciekłością, lecz nagle obok znalazł się jego towarzysz. Uderzały go dwie ciężkie maczugi, raz jedna, raz druga.

Robił uniki i uchylał się, nawet nie próbując parować zbyt potężnych ciosów, a jego desperacka ofensywna postawa pozwoliła mu wykonać kolejne udane pchnięcie w pierwszego osiłka, rozkładając go na kamieniach.

Donbago został trafiony, powalony na plecy i stracił miecz, a zanim zdołał sobie chociaż uświadomić, co się stało, ów dzielny żołnierz poczuł, jak silna dłoń chwyta go za kostkę.

Natychmiast został podniesiony w górę i wisiał głową w dół na końcu potężnej ogrzej ręki.

* * *

Drizzt potoczył się po śniegu, nie walcząc z pędem, lecz zwiększając go, pozwalając, by kopnięcie ogra zaniósło go tak daleko od groźnego przeciwnika, jak to tylko możliwe. Chciał podnieść się i stawić ogrowi bezpośrednio czoła, aby mieć możliwość lepszej oceny i umieścić walkę z powrotem na bardziej przewidywalnym gruncie. Uważał, że trafienie to zawdzięczał wyłącznie zlekceważeniu przeciwnika, że pomylił się wielce.

Znów był zaskoczony tym, że gdy wsunął w końcu pod siebie stopę i zaczął się podnosić, ogr dopadł go i właśnie rzucał się w kolejnym zaciekłym ataku.

Osilek poruszał się zbyt szybko, znacznie wykraczał ponad to, czego Drizzt, nie będący nowicjuszem w walkach z ogromami, spodziewałby się po przeciętnym osobniku tej powolnej rasy.

Nastąpił zamach maczugą, w lewo i w dół, zmuszając drowa do uchylenia się w prawo. Ogr zatrzymał szybko zamach i przełożył maczugę górami, unosząc ją oburącz jak do rozbijania drewna, po czym uderzył pionowo w dół w nowe miejsce, w którym ustawiał się Drizzt, z siłą większą niż ktoś o posturze Drizzta mógłby mieć nadzieję zablokować lub nawet odbić.

Drizzt rzucił się koziołkując w lewo, podniósł się obrócony w bok i rzucił się do szybkiego odwrotu, odkładając trochę dystansu między sobą a osiłkiem. Obrócił się w gotowości, niemal spodziewając się, że ten zaskakujący wróg zaraz go zaatakuje.

Tym razem jednak ogr pozostał w miejscu. Wyszczrzył zęby, spoglądając na Drizzta, po czym wyciągnął zza pasa ceramiczną buteleczkę – pasa, w którym było już kilka pustych przegródek, jak zauważył Drizzt – i wsunął do ust, przeżuając, by dostać się do eliksiru.

Niemal natychmiast ręce ogra zaczęły pulsować zwiększoną siłą, siłą wielkiego giganta.

Drizzt poczuł się naprawdę lepiej, gdy zagadka się rozwikłała. Ogr wypił wyraźnie eliksir

szybkości, a teraz siły, a zapewne także inne o magicznych właściwościach wzmacniających. Teraz drow rozumiał i mógł lepiej przewidywać.

Drizzt żałował, że Guenhwyvar była przy nim zeszłej nocy, więc nie mógł teraz wykorzystać magii figurki. Nie mógł wezwać pantery, a wyglądało na to, że przydałaby mu się teraz pomoc.

Ogr rzucił się do ataku, wymachując dookoła swą maczugą, wyjąc z wściekłości oraz z oczekiwania na to słodkie zabójstwo. Drizzt musiał opaść nisko na kolano, inaczej osiłek szybko osiągnąłby to zwycięstwo.

Teraz jednak Drizzt miał plan. Ogr poruszał się szybciej niż zwykle, a jego wielka siła pośle maczugę ze straszliwym, raczej nie dającym się odwrócić pędem. Drizzt mógł być może wykorzystać to przeciwko bestii, mógł ją zmylić, aby pozbawić ogra równowagi i znaleźć ewentualne luki w obronie.

Drow podniósł się, rzucając się na bok – a raczej udając, że tak robi – po czym zawrócił i pobiegł prosto przed siebie, trafiając mocno w nogę ogra, gdy przemykał obok.

Obrócił się z powrotem w stronę przeciwnika, spodziewając się ujrzeć krew płynącą wartko z tej rozciętej nogi.

Ogr nie krwawił jednak, jakby coś innego niż jego skóra wchłonęło ten paskudny cios sejmitem.

Umysł Drizzta zawirował od możliwości. Słyszał, że istniały eliksiry, które mogły powodować takie rzeczy, eliksiry oferujące rozmaite stopnie zwiększonego bohaterstwa.

– Ach, Guen – pożalił się drow, wiedział bowiem, że czeka go poważna walka.

* * *

Krasnolud zastanawiał się, czy nie udusi się po prostu pod ciężarem dwóch ciał, zwłaszcza pod bezwładnym ciężarem tego, którego pokonał. Poruszył się i przykurczył nogi, a następnie postarał się znaleźć jakieś solidne oparcie i odepchnął się z całej siły, napinając potężnie swe krótkie, postronkowe mięśnie.

Wydostał głowę spod biodra powalonego osiłka, lecz wtedy musiał nagle schować się z powrotem pod spód, gdy drugi olbrzym, wciąż leżący na umierającym pierwszym, zamachnął się na niego potężną dłonią.

Ogr wsunął ową dłoń pod spód w pościgu za krasnoludem, a Bruenor, wciąż mając ręce przyszpilone do boków, nie mógł odpowiedzieć własnym chwytem.

Tak więc ugryzł tę dłoń, zaciskając zęby niczym rozwścieczony pies, zgrzytając zębami i miażdżąc knykcie osiłka.

Półogr zawył i podciągnął rękę, lecz potężne szczęki krasnoluda pozostawały zaciśnięte. Bruenor trzymał się zaciekle. Osilek zlął ze swego umierającego towarzysza, obracając się, by znaleźć jakiś punkt zaczepienia, po czym uniósł biodro powalonego ogra i szarpnął mocno, wyciągając krasnoluda uwieszonego do jego ręki.

Osilek podniósł drugą rękę, by uderzyć w krasnoluda, lecz uwolniony Bruenor nie tracił czasu. Chwycił oburącz przedramię, którego dłoń ugryzł i, wciąż zaciskając mocno zęby, pobiegł w tył, obracając się i wykręcając ramię, gdy przechodził za półogra.

– Mam coś dla ciebie! – krasnolud wrzasnął, puszczając w końcu dłoń, bowiem pozabawił półogra równowagi, chwilowo czyniąc go bezradnym, i ustawił na wprost otwartych drzwi. Bruenor rzucił się przed siebie z całą swą siłą, zmuszając osiłka do szybkich kroków. Pociągnąwszy, krasnolud doprowadził osiłka do drzwi i dalej przez nie.

A tam spotkał się ze strzałą Catti-brie, która trafiła go prosto w pierś.

Półogr zatoczył się do tyłu, czy raczej zaczął się zataczać, bowiem zaraz, gdy Bruenor go puścił, krasnolud wycofał się na kilka kroków, pocierając ciężkimi butami o podłogę, by uzyskać lepszą przyczepność, i rzucił się przed siebie, skacząc, by uderzyć silnie w dolną część pleców, cofającego się osiłka.

Olbrzym wytoczył się przez drzwi, gdzie kolejna strzała trafiła go mocno w pierś.

Padł na kolana trzymając się trzęsącymi dłońmi za dwa drzewca.

Catti-brie znów do niego strzeliła, prosto w twarz.

– Więcej na schodach! – Bruenor wrzasnął do niej. – Chodź, dziewczyno, potrzebuję cię!

Catti-brie ruszyła przed siebie, gotowa przebiec obok osiłka, którego właśnie powaliła, lecz wtedy z góry dobiegł kolejny krzyk. Podniosła wzrok i ujrzała szamoczącego się, skamlającego mężczyznę wiszącego za krawędzią wieży, trzymanego przez wielkiego półogra za kostki.

Podniosła Taulmarila, celując w twarz osiłka, bowiem Catti-brie uznała, że mężczyzna może dobrze przetrwać upadek w śnieg, dość wysoko spiętrzony po tej stronie wieży, lecz nie ma szans przetrwać przy swym aktualnym ciemiezcy.

Lecz półogr również ją zauważył i, z paskudnym uśmieszkiem, podniósł własną broń – wielką maczugę – po czym ustawił ją do uderzenia, które z pewnością rozerwałoby szamoczącego się mężczyznę.

Catti-brie odruchowo krzyknęła.

* * *

Po drugiej stronie szczytu wieży Regis usłyszał ten krzyk. Spojrzawszy w tamtą stronę, zrozumiał, że biedny żołnierz był w poważnych opałach. Niziołek nie mógł jednak zdążyć do osiłka, a nawet gdyby zdążył, cóż mógłby zrobić swym malutkim buzdyganem przeciwko tak wielkiemu potworowi?

Drugi półogr, zraniony przez dzielnego żołnierza, lecz nie zabity, znów ruszył do swego towarzysza. Biegł przez szczyt wieży, nieświadomy niziołka wyglądającego przez krawędź.

Kierując się czystym instynktem – gdyby się nad tym zastanowił, niziołek zapewne raczej zemdlałby ze strachu niż to zrobił – Regis przeciągnął się przez krawędź i ruszył naprzód. Na wpół biegnąc i na wpół rzucając się, wpadł z boku pomiędzy nogi biegnącego półogra.

Osiłek potknął się, wierzgając w biednego niziołka i wystrzeliwując Regisa w krótki lot.

Pozbawiony kontroli półogr nabierał pędu, wpadając prosto na szeroki grzbiet swego towarzysza.

* * *

Catti-brie nie miała wyboru, musiała zaryzykować ze strzałem, podobnie jak w przypadku piratki trzymającej Colson w domu kapitana Deudermonta.

Półogr najwyraźniej właśnie to przewidział i zrezygnował z zamachu w mężczyznę, rzucając się zamiast tego w tył, a strzała przemknęła nieszkodliwie przed nim.

Catti-brie skrzywiła się, uważając, że mężczyzna jest już zgubiony. Zanim jednak zdążyła sięgnąć po następną strzałę, półogr rzucił się nagle naprzód, przez krawędź wieży. Puścił mężczyznę, który spadł, wrzeszcząc, w śnieg. Sam również upadł, wymachując bezradnie rękoma.

* * *

Łapczywie chwytając oddech i mając mocno posiniaczone zębra, zmaltretowany niziołek zdołał wstać i odwrócić się ku półogrowi, którego przewrócił, akurat w chwili, gdy osiłek obrócił się, by popatrzeć na niego złowróźnie. Jego wzrok zawierał wyłącznie groźbę, obietnicę straszliwej śmierci.

Warknąwszy, wykonał długi krok w kierunku niziołka.

Regis przyjrzał się swemu malutkiemu buzdyganowi, doskonale nieskutecznej broni przeciwko czystej masie i sile tego osiłka, po czym westchnął i cisnął go na podłogę. Zasalutowawszy do kaptura, niziołek odwrócił się i pobiegł ku tylnej części wieży, wrzeszcząc przy każdym kroku. Wiedział, jaki upadek czeka go za tą krawędzią. Było to dobre dziesięć metrów, a tamta strona, w przeciwieństwie do frontu, była niemal czystą, wymiecioną przez wiatr skałą.

Mimo to niziołek nawet trochę nie zwolnił. Skoczył i przekoziółkował nad krawędzią. Nie zwalnając, rycząc z wściekłości przy każdym kroku, półogr rzucił się tuż za nim.

* * *

Niższy punkt widzenia dał Bruenorowi przewagę, gdy szarżował na półogra stojącego na krętych schodach. Osilek zamachnął się swą maczugą prosto w krasnoluda, lecz Bruenor miał nad głową swą świętą tarczę – ozdobioną spienionym kuflem, herbem klanu Battlehammer – ustawioną pod idealnym kątem. Krasnolud miał wystarczająco silną rękę, by przyjąć i odbić cios.

Półogr nie miał takiego szczęścia wobec kontry, potężnego zamachu świętego topora Bruenora, który wbił mu się w kostkę, roztrzaskując kość i ryjąc bardzo głęboką ranę. Osilek zawył z bólu i sięgnął instynktownie w dół, by chwycić się za rozerwaną kończynę. Bruenor przesunął się pod ścianę i wskoczył trzy stopnie do góry, stając o jeden powyżej pochylonego półogra. Krasnolud stanął, odpowiednio kierując tarczę w stronę osiłka obracającego się, by stawić mu czoła. Bruenor pchnął z całej siły, napinając krótkie, muskularne nogi.

Półogr spadł ze schodów. Nie był to długi upadek, lecz okazał się katastrofalny, bowiem gdy osilek próbował odzyskać równowagę, wylądował na strzaskanej kostce. Przewrócił się na bok, wyjąc z bólu.

Zamglony wzrok oczyścił mu się po chwili, a gdy podniósł z powrotem głowę, ujrzał pędzącego w jego stronę rudobrodego krasnoluda, z ustami otwartymi w pierwotnym ryku, twarzą wykrzywioną wściekłością i z tym diabelskim toporem trzymanym oburącz.

Krasnolud szarpnął swym ciałem skacząc, po czym wbił mocno topór, rozbijając głowę ogra na pół.

– Założę się, że to boli – mruknął Bruenor, podnosząc się.

Popatrzył na mieszaninę krwi z mózgiem na toporze i skrzywił się. Po czym wrzucił jedynie ramionami i wytarł ostrze o brudną futrzaną tunikę martwej bestii.

* * *

Drizzt pomknął do drzewa, po czym pochylił się i przetoczył wokół niego, by uniknąć solidnego uderzenia.

Maczuga ogra ugodziła mocno w młode drzewko i okazała się silniejsza, rozszczepiając żywe drewno.

Drizzt jęknął na głos, gdy popatrzył na przewracające się drzewo, wyobrażając sobie, jak wyglądałaby jego szczupła sylwetka, gdyby nie uchylił się na bok. Nie miał jednak czasu na dłuższe rozmyślenia, bowiem ogr, poruszający się ze zwiększoną szybkością i z łatwością dzierżący swą ciężką maczugę dzięki mięśniom giganta, szybko go ścigał. Przeskoczył przez upadające drzewo i znów się zamachnął.

Drizzt padł twarzą na płaski śnieg, a maczuga przemknęła tuż nad nim. Ze zdumiewającą szybkością i gracją drow wsunął nogi pod siebie i podskoczył nad szybkim ciosem na odlew, który opadał na skos, by ugodzić w miejsce, w którym Drizzt właśnie leżał. Znajdując się w powietrzu, drow nie mógł oprzeć swych ciosów własną wagą, lecz wykonywał sejmitemami naprzemienne pchnięcia, wbijając ich czubki w szeroką pierś ogra.

Drow wylądował lekko i znów znalazł się z powrotem w powietrzu, wykonując salto nad zamachującą się w bok maczugą. Gdy wylądował, odwrócił pęd swego salta i wbił mocno jedną z kling w brzuch ogra. Znów jego cios nie zadał takiej rany, jak mógł się spodziewać, lecz nie zatrzymał się, by lamentować nad tym faktem. Zawrócił wokół biodra ogra, odwracając uchwyt na prawej broni, po czym wbił ją mocno od tyłu w podobną do drzewa nogę bestii.

Drizzt rzucił się prosto przed siebie, przeskakując kolejne przewrócone drzewo i zawracając za dwoma dębami, obracając się ku szarżującemu zapewne przeciwnikowi.

Ogr ścigał go wokół dębów, lecz Drizzt miał przewagę, bowiem mógł przemknąć pomiędzy rosnącymi blisko drzewami, podczas gdy wielki osiłek musiał ominąć obydwa. Wykonał kilka zwrotów, pozwalając ogrowi wpaść w ustalone tempo, po czym rzucił się pomiędzy drzewa i zawrócił szybko oraz gwałtownie, zanim osiłek zdołał odpowiednio skrócić i zorganizować obronę.

Znów drow uzyskał dwa trafienia, jedno pchnięcie i jedno cięcie. Gdy ciął w poprzek prawą dłoń, podążył za tym ruchem, wykonując pełen obrót, a następnie znów popędził naprzód, ścigany przez ryczącego ogra.

Tak ciągnęło się to przez wiele minut. Drizzt używał strategii trafiania i wycofywania się, mając nadzieję zmęczyć ogra, mając nadzieję, że eliksiry, będące zapewne tymczasowymi zaklęciami, wyczerpią się.

Drizzt kolejne dwa razy zdołał słabo trafić, lecz wiedział, że nie jest to konkurs finezji, gdzie jacyś neutralni sędziowie przyznawali zwycięstwo lepszemu wojownikowi. To była walka do końca,

a choć wyglądał pięknie ze swymi precyzyjnymi manewrami i uderzeniami, jedynym trafieniem, które miało znaczenie, będzie ostatnie. Zważywszy na samą siłę ogra, zważywszy na obrazy wypalone w myślach drowa, gdy następne drzewo rozszepiło się i przewróciło pod ciężarem ciosu osiłka, Drizzt rozumiał, że pierwsze solidne trafienie, jakie otrzyma od stwora, będzie zapewne ostatnim trafieniem w tej walce.

Drow przemknął z pełną szybkością ponad śnieżnym uskokiem, ślizgając się na plecach w dół i zjeżdżając na dno. Podniósł się szybko, obracając w stronę napastnika. Drow dążył do kolejnego trafienia, a raczej, jako że miejsce było niekorzystne, po prostu do ucieczki.

Lecz ogra tam nie było, a gdy usłyszał, że osiłek ląduje za nim, zrozumiał, że wykorzystał swą wzmocnioną szybkość oraz siłę w inny sposób.

Ogr przeskoczył przez krawędź uskoku tuż za ześlizgującym się i obracającym drowem.

Drizzt uświadomił sobie swoją pomyłkę.

* * *

Zaskoczony półogr wylądował płasko na plecach kilka kroków od wieży i od jeńca, którego upuścił, lecz zerwał się natychmiast, nie wyglądając na zbyt ранego.

Catti-brie poprzedziła swą szarżę kolejną srebrzystą strzałą, celując w trzewia, po czym odrzuciła łuk na bok i wyciągnęła Khazid-heę. Rozochocony miecz telepatycznie ponaglał ją, by pocięła bestię na strzępy.

Osiłek chwycił się jedną dłonią za ranę w brzuchu, a drugą sięgnął w stronę Catti-brie, jakby starając się pochwycić jej szarżę. Błysk Khazid-hei zakończył tę próbę, posyłając dookoła krótkie i grube paluchy.

Catti-brie atakowała z furją, wykorzystując przewagę i nawet przez chwilę jej nie dając, tnąc w tę i z powrotem swym niezwykle ostrym mieczem i nie zwalniając nawet na tyle, by odpowiednio wymierzać swe ciosy.

Nie musiała, nie z tym mieczem.

Ciężki strój i skórzana zbroja półogra rozszepiały się, jakby były z cienkiego papieru, i w przeciągu paru chwil stwór pokrył się jaskrawoczerwonymi liniami.

Półogr zdołał wymierzyć w nią jeden cios pięścią, lecz Khazid-hea była na miejscu, przechwyciła ów cios swą ostrą krawędzią, rozcinając dłoń półogra i wbijając się aż do szerokiego nadgarstka.

Jakże bestia zawyla!

Krzyk ten ucichł jednak po chwili, gdy Catti-brie wykonała Khazid-heą wysokie poprzeczne cięcie, trafiając w gardło osiłka. Półogr przewrócił się, a Catti-brie doskoczyła do niego, tnąc go raz za razem.

– Dziewczyno! – Bruenor krzyknął na wół z przerażenia i na wół z zaskoczenia, gdy wyszedł z wieży i ujrzał swą przybraną córkę pokrytą krwią. Podbiegł do niej i niemal został rozcięty na pół, gdy obróciła się błyskając Khazid-heą.

– To ten cholerny miecz! – Bruenor krzyknął do niej, rzucając się do tyłu i podnosząc defensywnie ręce.

Catti-brie zatrzymała się gwałtownie, wpatrując się z szokiem w swą wspaniałą klingę.

Bruenor miał rację. W chwili gniewu i przerażenia na widok mężczyzny spadającego z wieży, w chwili obwiniania się za to, że mężczyzna spadł z powodu jej chybionego strzału, paskudnie świadomy miecz Khazid-hea odnalazł znów drogę do jej myśli, wtrącając ją w szaleństwo.

Roześmiała się bezradnie. Jej białe zęby wyglądały śmiesznie lśniąc w czerwonej od krwi twarzy. Wbiła ostrze miecza w śnieg.

– Dziewczyno? – Bruenor spytał ostrożnie.

– Chyba obojgu nam przydałaby się kąpiel – Catti-brie powiedziała do niego, wyraźnie odzyskawszy kontrolę.

* * *

Regis, wiszący na krawędzi wieży, zastanawiał się, czy półogr uświadomił sobie w ogóle swą pomyłkę, gdy nad nim przelatywał, wymachując szaleńczo kończynami w szybkiej drodze ku skalistemu gruntowi. Osilek spadł ze stłumionym jęknięciem i potoczył się raz lub dwa.

Niziołek podciągnął się z powrotem na szczyt wieży i spojrzął w dół na półogra uparcie próbującego odzyskać równowagę. Zatoczył się i przewrócił, lecz próbował ponownie się podnieść.

Regis podniósł swój mały buzdygan i wycelował. Zagwizdał do półogra, gdy wypuścił pocisk, idealnie wymierzywszy czas, by osilek podniósł wzrok akurat, gdy spadająca broń będzie go trafiać w twarz. Rozległ się ostry odgłos, niczym metal uderzający w kamień, a półogr stał tam przez długą chwilę, wpatrując się w Regisa.

Niziołek wciągnął gwałtownie powietrze, nie mogąc uwierzyć, że buzdygan, spadający z

wysokości dziesięciu metrów, nie wyrządził większych obrażeń.

Jednak wyrządził – osiłek przewrócił się gwałtownie i już nie podniósł.

Dreszcz przeszedł po małym grzbiecie Regisa i niziołek przystanął, by zastanowić się nad swymi działaniami w tej bitwie, by rozważyć, że zaangażował się w ogóle, gdy tak naprawdę wcale nie musiał. Starał się bardzo usilnie, by nie spoglądać na sytuację w ten sposób, starał się przypominać sobie raz za razem, że działał w zgodzie z zasadami swych przyjaciół, swych drogich zaufanych towarzyszy, którzy bez zastanowienia zaryzykowałiby własnym życiem, aby pomóc tym, którzy byli w potrzebie.

Nie po raz pierwszy i nie ostatni Regis zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej znaleźć sobie nową grupę przyjaciół.

* * *

Drizzt mógł jedynie zgadywać, z której strony nadejdzie potężny zamach ogra i rozumiał, że jeśli zgadnie źle, wskoczy prosto pod nadciągający cios. W ułamku sekundy, jaki miał na reakcję, wszystko mu się ułożyło, jego wojowniczy instynkt odegrał mu w myślach styl walki ogra, mówiąc mu wyraźnie, że ogr rozpoczynał każdy atak od uderzenia z prawej do lewej.

Drizzt rzucił się więc w lewo, a jego magiczne bransolety przyspieszyły desperacko uciekające stopy.

I maczuga opadła za nim, zahaczając o niego, gdy obracał się i skakał, sprawiając, że wpadł w długi kołowrotek. Śnieg złagodził jego upadek, lecz gdy się podniósł, odkrył że trzyma tylko jeden sejmitar. Jego prawa ręka zupełnie zdrętwiała, a bark i bok eksplodowały bólem. Drow zerknął w dół i skrzywił się. Jego bark był wyraźnie zwichnięty, wypchnięty z normalnej pozycji.

Drizzt nie miał wiele czasu, bowiem ogr rzucił się w pościg – choć, co drow zauważył z pewną nadzieją, już nie tak szybko jak wcześniej.

Drizzt pomknął w bok, obracając się w ruchu i praktycznie rzucając się plecami na drzewo, używając go, by wepchnąć wybitą kość z powrotem na miejsce. Fala bólu wyrzuciła mu żołądek i wywołała przed oczyma czarne plamy. Niemal zemdłał, lecz wiedział, że jeśli podda się tej chwilowej słabości, ogr go rozerwie.

Przetoczył się wokół drzewa i odkuśtykał dalej, kupując sobie trochę czasu. Po tym, jak łatwo zdołał oddalić się od osiłka wiedział, że przynajmniej jeden z eliksirów zakończył swe działanie.

Każdy krok zapewniał Drizztowi pewną ulgę. Ból w barku już osłabł i odkrył, że znów czuje palce. Wybrał okrężną drogę, która prowadziła go z powrotem do upuszczonego sejmitara, a głupi

ogr, najwyraźniej sądząc, że walka już jest wygrana, szybko rzucił się za nim w pogoń.

Drizzt zatrzymał się i odwrócił, wwiercając się lawendowymi oczyma w zbliżającego się osiłka. Tuż przed tym, jak przeciwnicy się starli, ich spojrzenia zetknęły się, a ogra opuściła pewność siebie.

Tym razem ze strony mrocznego elfa nie było już mowy o zlekceważeniu.

Drizzt rzucił się naprzód z furją, utrzymując kontakt wzrokowy. Jego sejmityary poruszały się jakby z własnej woli, w doskonałej harmonii i z oślepiającą szybkością – zbyt szybko, by ogr, którego magiczna szybkość się wyczerpała, a ogromna siła zmniejszyła się, mógł mu dotrzymać kroku. Osilek próbował przyjąć zamiast tego postawę ofensywną, wymachując dziko maczugą, lecz Drizzt znalazł się za nim jeszcze przed tym, jak stwór zakończył swój cios. Ten trzeci eliksir, który w jakiś sposób czynił ogra odpornym na uządlenia drowich sejmitarów, także przestawał działać.

Tym razem Błysk i Lodowa Śmierć wbiły się jednocześnie, jeden w nerkę, a drugi podciął ścięgna.

Drizzt działał z furją, lecz również z kontrolowaną precyzją, biegając wokół przeciwnika, wykonując pchnięcia i cięcia, zawsze w żywotne organy.

Zwycięski drow odłożył sejmityary dopiero wtedy, gdy po wyczerpaniu się adrenaliny znów zdrętwiała mu prawa ręka. Zataczając się przy każdym kroku i przeklinając, że zlekceważył takiego przeciwnika, wrócił do wieży. Znalazł tam Bruenora i Regisa, siedzących przy otwartych drzwiach i wyglądających na zmaltretowanych, a Catti-brie, pokryta od stóp do głów krwią, stała w pobliżu, zajmując się oszołomionym i rannym mężczyzną.

– Będzie świetnie, jeśli wszyscy nie skończymy jako trupy jeszcze zanim w ogóle dotrzemy do tej piratki Kree – mruknął Bruenor.

WYBÓR WULFGARA

Nie był martwy. Podążając za wskazówkami Donbago, który odzyskał już zmysły po upadku, Catti-brie i Regis odnaleźli jego brata za jakimś krzakiem niedaleko od wieży. Miał zakrwawioną i bolącą głowę. Owinęli ranę mocno jakimiś bandażami i próbowali zapewnić mu największe możliwe wygody, lecz stało się oczywiste, że oszołomiony i bredzący mężczyzna potrzebuje uzdrowiciela i to szybko.

– On żyje – Catti-brie oznajmiła mężczyźnie, gdy wraz z Regisem zaniósła go z powrotem do miejsca, w którym Donbago siedział oparty o wieżę.

Łzy spłynęły po twarzy Donbago.

– Moje dzięki – powtarzał raz za razem. – Kimkolwiek jesteście, dzięki za życie mego brata i moje własne.

– W wieży żyje jeszcze jeden – obwieścił Bruenor, wychodząc. – W końcu się obudziłeś, co? – spytał Donbago, który kiwał z wdzięcznością głową.

– I mamy jeszcze jednego z tych głupich półogrów przy życiu – dodał Bruenor. – Ohydne stworzenie.

– Musimy go zaprowadzić do uzdrowiciela i to szybko – Catti-brie wyjaśniła, gdy zdołała wraz z Regisem położyć na wpół nieprzytomnego Jedditha obok brata.

– Auckney – nalegał Donbago. – Musimy się dostać do Auckney. Drizzt wszedł przez drzwi i usłyszał wyraźnie mężczyznę. Wraz z Catti-brie wymienili zaciekawione spojrzenia, znając dobrze tę nazwę z opowieści, jaką Delly Curtie przekazała im o Wulfgarze i dziecku.

– Jak daleko jest do Auckney? – drow spytał Donbago. Mężczyzna obrócił się w stronę Drizzta, a jego oczy otworzyły się szeroko. Wyglądał jakby miał zaraz zemdleć.

– On ma tak często – zażartował Regis, klepiąc Donbago po ramieniu. – Wybacz ci.

– Drow? – zapytał Donbago, próbując się obrócić, by popatrzeć na Drizzta, lecz wydawał się nie być w stanie oderwać spojrzenia od mrocznego elfa.

– Dobry drow – wyjaśnił Regis. – W końcu go polubisz.

– Ba, elf to elf! – parsknął Bruenor.

– Przepraszam, dobry drowie – wyjąkał Donbago, wyraźnie zagubiony, jego uczucia rozdarte były pomiędzy faktem, że ta grupa właśnie uratowała życie jemu oraz jego bratu, a pomiędzy tym wszystkim, czego kiedykolwiek dowiedział się o rasie złych mrocznych elfów.

– Nie potrzeba przepraszać – odparł Drizzt. – Ale odpowiedź byłaby mile widziana.

Donbago zastanawiał się przez chwilę nad tym stwierdzeniem, po czym pokiwał kilkakrotnie głową.

– Auckney – powtórzył. – Kilka dni, nie więcej, jeśli pogoda się utrzyma.

– Kilka dni, jeśli nie – powiedział Bruenor. – Dobrze więc. Musimy nieść dwóch i ciągnąć półogra za krocze.

– Sądzę, że osiłek może iść – stwierdził Drizzt. – Jest trochę za ciężki, by go ciągnąć.

Drizzt wykonał parę noszy z koców oraz drągów, jakie zebrał w pobliżu i niedługo później wyruszyli. Jak się okazało, półogr nie był mocno ranny. Była to dobra rzecz, bowiem choć Bruenor mógł ciągnąć Jedditha, ranny bark drowa nie dawał mu siły potrzebnej do ciągnięcia drugich noszy. Zapędzili do tego jeńca, a Catti-brie szła tuż za nim, z naciągniętym Taulmarilem i strzałą na cięciwie.

Pogoda się utrzymała i obszarpana, zmaltretowana banda, parła szybko naprzód, pojawiając się na rogatkach Auckney po niecałych trzech dniach.

* * *

Wulfgar zamrugał kilkakrotnie, gdy wielokolorowe bańki pękały i znikwały w powietrzu wokół niego. Barbarzyńca, nigdy nie przepadający za magią i nie obeznany z nią, musiał poświęcić długą chwilę, by zorientować się w nowym otoczeniu, nie był już bowiem w wielkim mieście Waterdeep. Pewna budowla, wieża o wyjątkowym kształcie, której rozgałęzienia sprawiały, że wyglądała jak żyjące drzewo, potwierdziła Wulfgarowi, że był już w Luskan, jak Robillard obiecał.

– Widzę wątpliwości wymalowane wyraźnie na twojej twarzy – czarodziej stwierdził cierpko. – Sądziłem, że się zgodziliśmy...

– Ty się zgodziłeś – przerwał Wulfgar – ze sobą.

– Nie uważasz więc, że to jest dla ciebie najlepsza droga? – Robillard spytał sceptycznie. – Wolałbyś towarzystwo Delly Curtie w bezpiecznym Waterdeep, w bezpiecznym warsztacie

kowalskim?

Słowa te zdecydowanie dotknęły barbarzyńcę, lecz to protekcyjnalny ton Robillarda sprawił tak naprawdę, że Wulfgar chciał udusić chudego mężczyznę. Nie patrzył na czarodzieja, obawiając się, że mógłby mu po prostu splunąć w twarz. Nie obawiał się tak naprawdę walki z groźnym czarodziejem, nie gdy był tak blisko, lecz gdyby nastąpiła i złamałby Robillarda na pół, miałby przed sobą naprawdę długi spacer do Waterdeep.

– Nie przejdę znowu przez to z tobą, Wulfgarze z Doliny Lodowego Wichru – powiedział Robillard. – Albo Wulfgarze z Waterdeep, czy też Wulfgarze skądkolwiek uważasz, że Wulfgar być powinien. I tak już zaoferowałem ci więcej niż zasługujesz i więcej niż zwykle zaoferowałbym komuś takiemu jak ty. Muszę być dziś w świetnym i szczodrym nastroju.

Wulfgar wykrzywił się w jego stronę, lecz to sprawiło jedynie, że Robillard roześmiał się w głos.

– Jesteś w samym centrum miasta – ciągnął Robillard. – Za południową bramą leży droga do Waterdeep i Dolly oraz twojego kowalskiego fachu. Za północną bramą jest droga do twych przyjaciół i tego, co uważam za twój prawdziwy dom. Podejrzewam, że zdecydowanie łatwiej ci będzie udać się drogą południową niż północną, Wulfgarze synu Beornegara.

Wulfgar się nie odezwał, nie odpowiedział nawet na badawcze spojrzenie, jakim mierzył go teraz Robillard. Wiedział, którą drogę powinien wybrać według czarodzieja.

– Zawsze uważałem tych, którzy wybierają łatwiejszą drogę, choć wiedzą, że powinni pójść trudniejszą, za tchórzów – stwierdził Robillard. – A ty?

– To nie jest takie łatwe, jak próbujesz to przedstawić – Wulfgar odparł cicho.

– Zapewne jest znacznie trudniejsze niż mógłbym sobie w ogóle wyobrazić – powiedział czarodziej. Po raz pierwszy Wulfgar odkrył w jego głosie odrobinę sympatii. – Nie wiem nic o tym, przez co przeszedłeś, nie wiem nic o bólu, który osłabił twoje serce. Wiem jednak, kim byłeś i kim jesteś teraz oraz z niemałym przekonaniem mogę powiedzieć, że lepiej jest wejść w ciemność i zginąć niż próbować się ukryć za węglami kowalskiego paleniska.

– Taki jest twój wybór – dokończył czarodziej. – Żegnaj, dokądkolwiek się udasz! – Z tymi słowami, Robillard zaczął znów machać rękoma, rzucając kolejny czar.

Wulfgar, rozkojarzony i spoglądający na północ, nie zauważył, że już jest za późno. Obrócił się, by ujrzeć jak wielokolorowe bańki wypełniają już powietrze za znikającym czarodziejem. W miejscu, w którym stał czarodziej pojawił się worek, wraz z przypominającym duży topór berdyszem. Była to raczej nieporęczna broń, lecz przynajmniej przypominała kształtem i stylem walki wielki młot bojowy, a poza tym mógł nią zadawać ogromne obrażenia. Nawet nie musiał zaglądać do worka, by wiedzieć, że zawiera zapasy na drogę.

Wulfgar był samotny. Bardziej samotny niż kiedykolwiek stał w samym środku Luskan i przypominał sobie, że nie powinien być w tym miejscu. Był w Luskan banitą. Mógł jedynie żywić nadzieję, że sędziowie i strażnicy nie mają dobrej pamięci.

Którędy jednak pójść? zastanawiał się barbarzyńca. Zatoczył kilka kół. Wszystko to było zbyt zmatwane, zbyt przerażające, a złowieszcze słowa Robillarda dręczyły go na każdym kroku.

Niedługo później Wulfgar z Doliny Lodowego Wichru przeszedł przez północną bramę Luskan, wlokąc się samotnie w kierunku zimnej dziczy.

* * *

Przyjaciele szli przez małą wioskę Auckney i wchodzili do zamku lorda Feringala oraz lady Meraldy pod zaskoczonymi i przerażonymi spojrzeniami. Donbago, który wydobrzał już na tyle, by swobodnie iść, prowadził ich i ostrzegał każdego, kto chwycił za broń na widok półogra, by nie mówił nic przeciwko mrocznemu elfowi.

Donbago porozmawiał z grupą żołnierzy dowodzonych przez powarkującego gнома, którzy zgromadzili się przy drzwiach. Gnom zapędził pozostałych do działania, pomagając Donbago zanieść biednego majaczącego Jedditha do uzdrowiciela oraz zaciągając półogra do lochów, grzmocąc go na każdym kroku.

Energiczny gnom, Liam Woodgate, zaprowadził następnie całą ich piątkę do komnaty i przedstawił staremu, wyglądającemu jak jastrząb, mężczyźnie o imieniu Temigast.

– Drizzt Do’Urden – powtórzył Temigast, kiwając porozumiewawczo głową, gdy wypowiadał to imię. – Tropiciel z Dekapolis, jak słyszałem. – Ty zaś, dobry krasnoludzie, czy nie jesteś królem Mithrilowej Hali?

– Byłem niegdyś i znów będę, jeśli ci tutaj moi przyjaciele nie doprowadzą do mojej śmierci – odparł Bruenor.

– Moglibyśmy się spotkać z twoim lordem i lady? – spytała Catti-brie. Choć Regis i Bruenor popatrzyli na nią z zaciekawieniem, Drizzt, który również chciał ujrzeć kobietę będącą matką wychowywanego teraz przez Wulfgara dziecka, uśmiechnął się.

– Liam pokaże wam miejsce, w którym będziecie się mogli odpowiednio umyć i ubrać do audiencji – wyjaśnił zarządca Temigast. – Gdy będziecie gotowi, zostanie zaaranżowana audiencja u lorda i lady Auckney.

Choć Bruenor jedynie spryskał się odrobiną wody, marudząc, że wygląda dobrze dla kogokolwiek, Drizzt i Regis dokładnie się umyli. W innym pomieszczeniu Catti-brie nie tylko

wzięła upragnioną pianistą kąpiel, lecz spędziła tam długą chwilę, przymierzając liczne wspaniałe suknie, które przysłała jej lady Meralda.

Niedługo później cała czwórka znalazła się w wielkiej sali audiencyjnej zamku Auck, stojąc przed lordem Feringalem, mężczyzną po trzydziestce o kręconych czarnych włosach i gęstej, ciemnej koziej bródce, oraz lady Meralda, młodszą i niezaprzeczalnie piękną kobietą, o kruczoczarnych włosach, delikatnej skórze i uśmiechu, który rozświetlał całe pomieszczenie.

I choć lord Auckney niemal nieustannie się krzywił, uśmiech Meraldy nie zniknął nawet na chwilę.

– Podejrzewam, że pragniecie teraz nagrody – spytała trzecia obecna osoba, jędzowata przysadzista kobieta, siedząca troszkę z tyłu i na lewo od Feringala, co według tradycji tego regionu określało ją jako siostrę lorda.

Stojący za czworgiem zmęczonych drogą towarzyszy zarządca Temigast odchrząknął.

– Myślisz, że masz dość złota, co byśmy je w ogóle zauważyli? – odwarknął jej Bruenor.

– Nie potrzebujemy monet – wtrącił się Drizzt, starając się utrzymać spokój. W końcu Bruenor właśnie musiał przejść przez kąpiel, a to zawsze wprawiało i tak już opryskliwego krasnoluda w jeszcze gorszy nastrój. – Przyszliśmy tu wyłącznie po to, by przyprowadzić Donbago oraz dwóch rannych mężczyzn do ich domów, a także, by dostarczyć więźnia. Prosilibyśmy jednak, że jeśli zdołacie wyciągnąć od tego osiłka jakieś informacje, które mogą dotyczyć okrytej złą sławą piratki, zwanej się Sheila Kree, byście nam je przekazali. Polujemy właśnie na Kree.

– Oczywiście podzielimy się z wami wszystkim, czego możemy się dowiedzieć – odrzekła lady Meralda, przerywając swemu mężowi, cokolwiek chciał powiedzieć. – I więcej. Czegokolwiek potrzebujecie, winniśmy wam to.

Drizztowi nie uszedł grymas kobiety z boku i wiedział, że jest to spowodowane zarówno jej ogólną opryskliwością, jak i dość chłopskim sposobem mówienia lady Auckney.

– Możecie przeczekać zimę, jeśli byście chcieli – ciągnęła Meralda.

Feringal popatrzył na nią, z początku z zaskoczeniem, lecz następnie ze zgodą.

– Moglibyśmy znaleźć dla was pusty dom w miasteczku, żeby... – zaczęła mówić kobieta z tyłu.

– Umieścimy ich tutaj w zamku, Priscillo – oznajmiła lady Auckney.

– Nie sądzę... – zaczęła się spierać Priscilla.

– W twoim własnym pokoju, jeśli usłyszę od ciebie jeszcze choć słowo – powiedziała Meralda i mrugnęła okiem do czworga przyjaciół.

– Feri! – ryknęła Priscilla.

– Zamknij się, droga siostrze – Feringal rzekł pełnym rozpaczy tonem, który wyraźnie pokazywał przyjacielom, że często musiał kierować takie uczucia w stronę swej kłopotliwej siostry. – Nie zawstydzaj nas przed wielce dystyngowanymi gośćmi, gośćmi, którzy uratowali moich trzech lojalnych żołnierzy i pomścili straty z rąk bestialskich ogrów.

– Gości, którzy mogą opowiedzieć o dalekich ziemiach i smoczycy skarbach – Meralda dodała z błyskiem w swych zielonych oczach.

– Tylko tej nocy, obawiam się – powiedział Drizzt. – Nasza droga będzie bez wątpienia kręta i długa. Jesteśmy zdecydowani odnaleźć i ukarać piratkę Kree przed wiosennymi roztopami, zanim zdoła spuścić swój okręt na bezpieczne wody i wyrządzić więcej szkód na wodach wokół Luskan.

Rozczarowanie Meraldy było wyraźne, lecz Feringal skinął głową, wydając się niezbyt przejmować tym, czy zostaną, czy też odejdą.

Lord i lady Auckney wydali tego wieczora wspaniałą ucztę na cześć bohaterów, a Donbago również mógł przyjść, przynosząc ze sobą mile widzianą wiadomość, że jego brat oraz drugi mężczyzna już się mają lepiej i wygląda na to, że dojdą do siebie.

Jedli i śmiali się, a Bruenor i Regis więcej niż wszyscy pozostali razem wzięci!

Towarzysze, którzy pozostawili tak wiele kilometrów za swymi zniszczonymi i znoszonymi butami, opowiadali o dalekich ziemiach, jak zażyczyła sobie lady Meralda.

Spory czas później Catti-brie zdołała mrugnąć okiem i skinąć głową Drizztowi, prowadząc go do małej bocznej komnaty, gdzie mogli zostać sami. Usiedli ramię przy ramieniu na kanapie, pod jasnym gobelinem, wprawdzie kiepsko wykonanym, lecz o bogatych kolorach.

– Myślisz, że powinniśmy jej powiedzieć o dziecku? – spytała Catti-brie, kładąc dłoń na szczupłym, silnym przedramieniu Drizzta.

– To przyniosłoby jej jedynie ból po początkowej uldze, obawiam się – odparł drow. – Może kiedyś, ale nie teraz.

– Och, musicie do nas dołączyć – przerwała Meralda, wchodząc przez drzwi i stając przy nich. – Król Bruenor opowiada najlepszą historię, o mrocznym smoku, który skradł jego królestwo.

– Znamy ją aż za dobrze – Catti-brie odrzekła z uśmiechem.

– Jednak byłoby niegrzecznie nie usłyszeć jej znowu – powiedział Drizzt, wstając. Ujął dłoń Catti-brie i podniósł ją, po czym zaczęli przechodzić obok Meraldy.

– Więc myślicie, że go znajdziecie? – lady Auckney spytała, gdy ją mijali.

Zatrzymali się i obrócili jednocześnie w jej stronę.

– Ostatniego z waszej grupy – wyjaśniła Meralda. – Tego, który poszedł z wami odzyskać Mithrilową Halę, zgodnie z własnymi słowami krasnoluda. – Przerwała i popatrzyła na nich stanowczo. – Tego, którego nazywacie Wulfgarem.

Drizzt i Catti-brie stali przez chwilę, milcząc. Kobieta miała wyraźnie zszargane nerwy, przygryzała wargę i spoglądała na drowa w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Naszą nadzieją jest go znaleźć, i to znaleźć w całości – Drizzt odpowiedział cicho, starając się nie zaangażować całej sali w konwersację.

– Jestem zainteresowana...

– Wiemy o tym wszystko – przerwała Catti-brie.

Lady Meralda stała bardzo prosto, wyraźnie walcząc, by się nie zachwiać.

– Dziecko rośnie silne i bezpieczne – Drizzt zapewnił ją. – A jak ją nazwali?

– Colson.

Meralda westchnęła i uspokoiła się. W jej zielonych oczach ukazał się smutek, lecz chwilę później zdobyła się na uśmiech.

– Chodźcie – powiedziała cicho. – Posłuchajmy opowieści krasnoluda.

* * *

– Więzień zostanie powieszony, zaraz gdy znajdziemy dość silną linę, by go utrzymała – lord Feringal zapewnił grupę wczesnym rankiem, gdy zebrali się w foyer zamku Auck, przygotowując się do odejścia.

– Bestia roi sobie, że jest silna – mężczyzna ciągnął z uśmiechem. – Ale jakże skamlał zeszłej nocy!

Drizzt skrzywił się, podobnie jak Catti-brie i Regis, lecz Bruenor jedynie przytaknął.

– Osilek był istotnie częścią większej bandy – wyjaśnił Feringal. – Może piratów, głupi stwór wydawał się nie rozumieć tego słowa.

– Może Kree – powiedział drow. – Masz jakieś pojęcie, skąd przyszła ta łupieżcza banda, lordzie?

– Wybrzeże na południe od górskiej odnogi – odrzekł Feringal. – Nie mogliśmy zmusić ogra, by przyznał to otwarcie, lecz sądzimy, że wie coś o Klasztornym Wąwozie. To będzie trudna podróż zimą, przełęcz będą zapewne pełne śniegu.

– Trudna, lecz tego warta – odparł Drizzt.

Wtedy do komnaty weszła lady Meralda, w świetle wczesnego poranka wydając się nie mniej piękna niż zeszłego wieczoru. Popatrzyła po kolei na Drizzta i Catti-brie, uśmiechając się do nich z wdzięcznością.

Kobieta i drow zauważyli również, że Feringal nie mógł ukryć swego grymasu na tę bezgłośną wymianę. Rany tutaj były wciąż zbyt świeże, a Feringal wyraźnie rozpoznał imię Wulfgara we wczorajszej opowieści Bruenora i ta świadomość sprawiała mu wielki ból.

Bez wątpienia sfrustrowany lord Auckney wyzwolił swój gniew na półogrzym więźniu.

Czworo przyjaciół opuściło zamek Auckney i królestwo jeszcze tego samego poranka, choć na wschodzie zbierały się chmury. Nie było fanfar, nie było wiwatów na cześć odchodzących bohaterów.

Tylko lady Meralda, stojąca na pomoście pomiędzy wieżami bramy, otulona grubym futrem, obserwowała ich odejście.

Nawet z tej odległości Drizzt i Catti-brie widzieli w jej zielonych oczach mieszaninę bólu z nadzieją.

W POSZUKIWANIU ZNACZENIA

Pogoda była straszna, zimno wgrzyzało się w moje palce, lód mroził mi oczy tak, że patrzenie wywoływało ból. Każda przełęcz była usiana niebezpieczeństwami – przyczajoną lawiną, potworem gotowym do skoku. Każda noc była spędzana w świadomości, że możemy zostać zagrzebani pod każdym schronieniem, jakie napotkamy (jeżeli będziemy mieć choć tyle szczęścia, by znaleźć schronienie), bez możliwości wydostania się na zewnątrz, na pewną śmierć.

Nie tylko ja byłem w śmiertelnym niebezpieczeństwie, lecz także moi najdrożsi przyjaciele.

Nigdy w swym życiu nie byłem bardziej wypełniony radością. Bowiem naszymi krokami kierował cel, każdym krokiem wykonywanym w głębokim i padającym śniegu. Nasz cel był jasny, nasza droga słuszna. Pokonując zaśnieżone góry w pogoni za piratką Kree oraz młotem Aegisfangiem reprezentowaliśmy to, w co wierzyliśmy, podążaliśmy za naszymi sercami oraz duszami.

Choć wielu szukałoby skrótów do prawdy, nie da się przejść wokół najprostszych zasad: znój rodzi osiągnięcia, a osiągnięcia rodzą radość – prawdziwą radość oraz poczucie spełnienia, które definiuje, kim jesteśmy jako istoty rozumne. Często słyszałem osoby żalące się, że gdyby tylko miały królewskie bogactwa, mogłyby być naprawdę szczęśliwe, i baczę na to, by nie spierać się z takim stanowiskiem, choć wiem, że zdecydowanie są w błędzie. Przyznaję, że jest w tym trochę prawdy, bowiem u biednych pewna ilość bogactwa może pozwolić na pewną ilość szczęścia, lecz nie licząc wypełniania podstawowych potrzeb, ścieżka do radości nie jest brukowana złotem, szczególnie niezastężonym.

Zdecydowanie nie! Ścieżka do radości jest brukowana poczuciem pewności siebie i własnej wartości, świadomością, że być może uczyniliśmy świat odrobinę lepszym, albo też że pomimo przeciwnostw walczyliśmy o nasze przekonania. Podczas mych podróży z kapitanem Deudermontem wieczerałem z wieloma bogatymi rodzinami Waterdeep, łamałem się chlebem z wieloma dziećmi bogaczy. Sam Deudermont należał do tej grupy, jego ojciec był ważnym posiadaczem ziemskim w południowej dzielnicy Waterdeep. Wielu z aktualnego miotu młodych arystokratów zrobiłoby dobrze, biorąc sobie kapitana Deudermonta za przykład, bowiem nie chciał on spocząć na laurach poprzedniego pokolenia. Jako bardzo młody chłopak dostrzegł pułapkę bogactwa, na które się nie zasłużyło. Tak więc w młodym wieku dobry kapitan zdecydował, jak będzie wyglądało jego życie, zdecydował się na życie, jakie wypełniało jego serce i stara się usilnie, aby wody Wybrzeża Mieczy były lepszym miejscem dla przyzwoitych i uczciwych żeglarzy.

Kapitan Deudermont mógł umrzeć młodo z powodu swego wyboru, podobnie jak mógłbym ja

czy Catti-brie. Jednak prosta wypływająca z tego prawda jest taka, że gdybym wtedy przed dziesięcioleciem pozostał w Menzoberranzan, albo gdybym postanowił pozostać teraz w zaciszu Doliny Lodowego Wichru czy Mithrilowej Hali, w tak wielu aspektach już byłbym martwy.

Nie, dajcie mi drogę i niebezpieczeństwa, dajcie mi nadzieję, że dążę z celem do tego, co jest słuszne, dajcie mi poczucie spełnienia, a zaznam radości.

Moje przekonanie stało się tak głębokie, że mogę powiedzieć z całą pewnością, iż gdyby nawet Catti-brie miała zginąć na drodze przy mym boku, nie wycofałbym się do tego bezpieczniejszego miejsca. Wiem bowiem, że jej serce jest w tej kwestii podobne do mojego. Wiem, że będzie podejmować te starania, że musi podejmować te starania, jakkolwiek niebezpieczne by nie były, które kierują ją w stronę jej serca i sumienia.

Być może jest to rezultat wychowania przez krasnoludy, bowiem żadna rasa na całym Torilu nie rozumie tej prostej prawdy o radości lepiej niż powarkujący, marudzący, brodaty lud. Krasnoludzcy królowie niemal od zawsze należą do najaktywniejszych z klanu, pierwsi rzucają się do walki i pierwsi do pracy. Pierwsi wyobrażają sobie potężną podziemną fortecę i pierwsi oczyszczają glinę blokującą grotę, w której ona stanie. Twarde, ciężko pracujące krasnoludy dawno temu poznały wartość osiągnięć kosztem luksusu, dawno temu zrozumiały, że bogactwa ducha są znacznie cenniejsze niż złoto – choć kochają swe złoto!

Tak więc jestem tutaj w zimnym i niesionym wichrem śniegu, na zdradzieckich przełęczach otoczonych przez wrogów, w drodze do walki z niezaprzeczalnie groźnym przeciwnikiem.

Czy słońce mogłoby zabłysnąć choć trochę jaśniej?

Drizzt Do'Urden

NAKAZ EKSMISJI

Mieszkańcy północnych miast Faerunu sądzą, że rozumieją naturę śnieżyc i zjadłość wichru, lecz tak naprawdę nikt, kto nie szedł po tundrze Doliny Lodowego Wichru czy przełęczach Grzbietu Świata podczas zimowej zawieruchy nie może szczerze docenić czystej siły wyzwolonej natury.

Taka burza spotkała czworo przyjaciół, gdy pokonywali pewną wysoką przełęcz na południowy wschód od Auckney.

Popychani byli zaciekłym i mroźnym wichrem, który zmuszał ich do pochylania się w przód, żeby się nie przewrócić, żądłący śnieg bardziej w nich uderzał niż na nich padał. Ów wichur zmieniał się nieustannie wokół kolejnych zboczy, wirując i zmieniając kierunek, nie dając im żadnej szansy na znalezienie osłony i zawsze wiejąc im śniegiem w twarze, nieważne, w którą stronę by się obrócili. Każde z nich próbowało sformułować plan i musieli wyrzaskiwać swe sugestie co sił w płucach, przykładając usta tuż do ucha osoby, z którą chcieli się skomunikować.

W końcu wszelka nadzieja planu uzyskania jakiejś ulgi musiała całkowicie polegać na szczęściu – towarzysze musieli znaleźć jaskinię lub przynajmniej głęboką niszę ze ścianami chroniącymi ich przed najbardziej napierającymi wiatrami.

Drizzt pochylił się nisko nad białym szlakiem i położył przed sobą czarną onyksową figurkę. Z podobną nagłością jak zazwyczaj, gdy czekała go straszliwa bitwa, mroczny elf zawołał Guenhwyvar. Cofnął się, lecz nie daleko, i czekał aż pojawi się szara mgła, wirując i stopniowo formując się w kształt pantery, po czym materializując w samą kocicę. Drow schylił się i przekazał jej swe życzenia, a pantera skoczyła, pędząc przez burzę, przeszukując górskie ściany i liczne boczne małe przełęcze, które odchodziły od głównego szlaku.

Drizzt również wyruszył, udając się na identyczną misję. Pozostałych troje towarzyszy pozostało jednak blisko siebie, defensywnie kuląc się przed wichrem i innymi potencjalnymi niebezpieczeństwami. Sama ta bliskość zapobiegła całkowitej katastrofie, gdy zaryczał wielki podmuch wichru, przewracając Catti-brie na kolano, a biednego niziołka na plecy. Regis odtoczył się i zaczął szamotać, próbując odzyskać równowagę, a przynajmniej chwycić czegoś solidnego.

Krzepki i opanowany Bruenor chwycił swą córkę za łokieć i podniósł ją, po czym pchnął w kierunku szamoczącego się niziołka. Catti-brie zareagowała natychmiast, ściągając Taulmaril z ramienia, rzucając się na brzuch przez krawędź szlaku i wyciągając hak w kierunku osuwającego się towarzysza.

Regis chwycił łuk i złapał się go mocno na ułamek sekundy przed tym, jak stoczył się z wysoko położonego szlaku. Inaczej zapewne wylądowałby dziesiątki metrów niżej i prawdopodobnie pociągnął za sobą lawinę. Potrzeba było tylko kilku minut, by Catti-brie podciągnęła niziołka z otwartego klifu, lecz gdy już znalazł się na górze, był cały biały od śniegu i trząśł się straszliwie.

– Nie możemy tu zostać! – kobieta wrzasnęła do Bruenora, który podbiegł do nich. – Ta burza przyniesie nam śmierć!

– Elf coś nam znajdzie – odkrzyknął krasnolud. – On albo ten jego kot!

Catti-brie przytaknęła. Regis również próbował skinać głową, lecz przez to, że się trząśł wypadło to jeszcze śmieszniej. Wszyscy troje wiedzieli, że szybko kończą im się możliwości. Wszyscy troje rozumieli, że lepiej, by Drizzt i Guenhwyvar znaleźli im jakąś kryjówkę.

I to szybko.

Ryk Guenhwyvar był najwspanialszym dźwiękiem, jaki Drizzt Do'Urden słyszał od długiego, długiego czasu. Wytrzeszczył oczy przez oślepiające płaty niesionej wichrem bieli i ujrzał wielką czarną panterę na szczycie postrzępionej grupy skał, z położonymi po sobie uszami i pyskiem pokrytym lodowatym białym śniegiem.

Drizzt na wpół przejechał, na wpół przeleciał ukośnym torem, dzięki któremu utrzymywał potężny wiatr za sobą, docierając do Guenhwyvar.

– Co znalazłaś? – spytał kocicę, gdy zjawił się tuż pod nią, patrząc w górę.

Guenhwyvar znów zaryczała i odskoczyła. Drow pospieszył za nią i kilkadziesiąt metrów dalej na bocznym szlaku zasypanym wysoko śniegiem para natknęła się na długi nawis skalny. Drizzt skinał głową, sądząc że to da przynajmniej jakąś osłonę, lecz wtedy Guenhwyvar szturchnęła go i zawarczała. Weszła do kryjówki, na sam jej koniec, który pozostawał ukryty w cieniu. Drow rozumiał, że pantera poruszała się i wpatrywała bacznie, ponieważ tam, na końcu zacienionego obszaru, drow zauważył u podstawy kamiennej ściany sporą szczelinę.

Mroczny elf podszedł tam, szybko i cicho, po czym przyklęknął przy szczelinie, nabierając otuchy, gdy jego bystre oczy powiedziały mu, że dalej rzeczywiście rozciąga się jakiś bardziej osłonięty teren, jaskinia lub korytarz. Nie zwalniając, przypominając sobie, że jego przyjaciele wciąż znajdowali się w burzy, Drizzt rzucił się głową naprzód w otwór, czołgając się, by wsunąć pod siebie stopy, gdy dotarł do wyższej części.

Był w jaskini, dużej i o wielu skalnych półkach oraz gładkich. Podłoga była głównie gliniana, a gdy pozwolił, by jego oczy przeszły w dostrzegający ciepło wzrok mieszkańców Podmroku, zauważył źródło światła, palenisko, którego zawartość została bardzo niedawno wygaszona.

Tak więc jaskinia nie była niezamieszкана, a zważywszy na ich położenie oraz na szalejącą na

zewnątrz straszną burzę, Drizzt byłby szczerze zaskoczony, gdyby była.

Chwilę później zauważył mieszkańców, poruszających się wśród cieni przeciwległej ściany, ich cieplejsze ciała były dla niego świetnie widoczne. Od razu wiedział, że to gobliny i mógł sobie dobrze wyobrazić, że w takim osłoniętym miejscu jest ich więcej niż garstka.

Drizzt zastanowił się, czy się nie wycofać, pójść po przyjaciół i zawłaszczyć jaskinię dla siebie. Działając z typową dla siebie skutecznością, towarzysze nie powinni mieć większych problemów z małym gangiem goblinów.

Drow zatrzymał się jednak i to wcale nie ze strachu o swych towarzyszy. A co z moralnością? Czy towarzysze mogli wejść do domu innej istoty i wyrzucić ją na śmiertelną pogodę? Drizzt przypomniał sobie innego goblina, którego spotkał niegdyś podczas swych podróży, dawno temu i daleko stąd, stworzenie, które nie było złe. Te gobliny, tak odizolowane wysoko w niemal niedostępnych górach, mogły nigdy nie spotkać żadnego człowieka, elfa, krasnoluda czy przedstawiciela innej dobrze nastawionej rasy.

Czy było więc dopuszczalne, by Drizzt i jego przyjaciele toczyli z nimi wojnę, próbując skraść ich dom?

– Chwała wam i miło was poznać! – drow zawołał w języku goblinów, który poznał podczas lat spędzonych w Menzoberranzan. Choć dialekt goblinów z głębokiego Podmroku różnił się od mowy ich kuzynów z powierzchni, mógł się z nimi dość dobrze porozumieć.

Zaskoczenie na twarzach goblinów, gdy odkryły, że intruz nie jest elfem, tylko drowem, stało się wyraźniejsze, gdy stworzenia się zbliżyły – czy raczej próbowały się zbliżyć, bowiem zaraz umknęły z powrotem, a ich chorobliwie żółtawe oczy były szeroko otwarte z szoku.

– Moi przyjaciele i ja potrzebujemy osłony przed burzą – Drizzt wyjaśnił, zachowując spokój i pewność siebie, starając się nie okazywać ani wrogości, ani strachu. – Możemy do was dołączyć?

Goblin jękał się zbyt mocno, by chociaż zacząć odpowiedź. Obrócił się, spanikowany, żeby popatrzeć na jednego ze swych towarzyszy. Ten goblin, zdecydowanie większy i zapewne, jak Drizzt podejrzewał ze swej znajomości goblinińskiej kultury, przywódca plemienia, wyszedł z cieni.

– Ile? – zachrypiał do Drizzta.

Drizzt przyglądał się goblinowi przez kilka chwil, zauważając że miał lepszy strój niż większość jego pobratymców, był w wysokiej czapce drwala, a w obu uszach miał złote kolczyki.

– Pięć – odparł drow.

– Płacicie złotem?

– Płacimy złotem.

Duży goblin wydał z siebie chrapliwy śmiech, co Drizzt wziął za odpowiedź. Drow wydostał się z jaskini, zostawił Guenhwyvar na straży i pospieszył, by znaleźć pozostałych.

Nietrudno było Drizztowi przewidzieć reakcję Bruenora, gdy opowiedział krasnoludowi o umowie z ich nowymi gospodarzami.

– Ba! – wypalił krasnolud. – Jeśli myślisz, że dam choć jedną moją sztukę złota śmierdzącym goblinom, to chyba masz mózg z litej skały, elfie! Lub co gorsza, myślisz jak śmierdzący goblin!

– Mają niewielkie zrozumienie bogactwa – Drizzt odrzekł z całą pewnością. Kontynuując dyskusję, celowo prowadził grupę dalej, nie chcąc tracić czasu na mroźnym zimnie. Szczególnie Regis zaczynał gorzej wyglądać, nieustannie się trząsał i dzwoniły mu zęby. – Moneta czy dwie wystarczą.

– Możesz im położyć miedziaki na oczach, gdy ich położę trupem! – Bruenor ryknął w odpowiedzi. – Niektórzy tak robią.

Drizzt zatrzymał się i popatrzył stanowczo na krasnoluda.

– Zawarłem z nimi umowę, słusznie czy niesłusznie, jednak zamierzam ją uszanować. – Nie wiemy, czy te gobliny zasługują na nasz gniew, a niezależnie od tego, jeśli po prostu wejdziemy do środka i wyrzucimy ich z własnego domu, to czy będziemy od nich choć trochę lepsi?

Bruenor roześmiał się w głos.

– Znów piłeś wodę święconą, co, elfie? – spytał. Drizzt zmrużył lawendowe oczy.

– Ba, tym razem pozwolę ci się kierować – uznał krasnolud. – Ale wiedz, że mój topór cały czas będzie w mej dłoni, a jeśli któryś głupi goblin wykona niewłaściwy ruch albo powie coś głupiego, ta jaskinia zostanie pomalowana. Czerwoną farbą!

Drizzt popatrzył na Catti-brie, oczekując wsparcia, lecz mina, jaką u niej ujrzał zaskoczyła go. Kobieta wydawała się popierać stronę Bruenora w tej dyskusji. Drizzt zastanawiał się, czy przypadkiem się nie myli, czy nie powinien po prostu wkroczyć wraz z przyjaciółmi i wygnać gobliny.

Mroczny elf wszedł pierwszy do jaskini, a Guenhwyvar tuż za nim. Choć widok wielkiej pantery sprawił, że niemało goblinów cofnęło się, widok następnego gościa – rudobrodego krasnoluda – sprawił, że wielu członków humanoidalnego plemienia zawyło w proteście, pokazując na niego palcami, wymachując pięściami i podskakując.

– Ty drow, nie krasnolud! – zaprotestował wielki goblin.

– Duergar – odparł Drizzt. – Głębinowy krasnolud. – Szturchnął Bruenora i wyszeptał mu kącikiem ust: – Spróbuj udawać szarego.

Bruenor skierował na niego sceptyczne spojrzenie.

– Krasnolud! – protestował dalej przywódca goblinów.

– Duergar – powtórzył Drizzt. – Nie znasz duergarów? Głębinowych krasnoludów, sojuszników drowów i goblinów z Podmroku?

W stwierdzeniu mrocznego elfa było dość prawdy, by zbić wodza goblinów z tropu. Głębokie krasnoludy z Faerunu, duergarowie, często handlowały, a czasami sprzymierzały się z drowami. W Podmroku duergarowie mieli mniej więcej podobne relacje z głębinowymi goblinami co drowy, nie tyle przyjazne, co tolerujące. W Menzoberranzan były gobliny, wiele goblinów. W końcu ktoś musiał sprzątać albo zapewniać młodym matkom opiekunkom cel, na którym mogłyby wprawiać się w swych wężowych biczach.

Regis wszedł jako następny, a wódz goblinów znów pisnął.

– Młody duergar – Drizzt powiedział, zanim protest zdążył nabrać tempa. – Używamy ich do infiltracji wioski niziołków.

– Och – dobiegła odpowiedź.

Ostatnia była Catti-brie i jej widok, widok człowieka, wywołał kolejną turę pohukiwania i tupania, wskazywania palcami i wymachiwania pięściami.

– Ach, więzień! – wódz goblinów powiedział lubieżnie. Oczy Drizzta otworzyły się szerzej na to słowo oraz ton, na wyraźne intencje wodza goblinów wobec kobiety. Drow dostrzegł swą pomyłkę. Nie chciał zaakceptować, że Nojheim, wyjątkowy goblin, jakiego poznał przed laty, był kimś mniej reprezentatywnym dla swej okrutnej rasy. Nojheim był zupełną anomalią, był naprawdę unikatem.

– Co on gada? – spytał Bruenor, który nie najlepiej rozumiał mowę goblinów.

– Powiedział, że umowa jest zerwana – odrzekł Drizzt. – Powiedział, żebyśmy się wynosili.

Zanim Bruenor zdążył zapytać, co drow chce teraz zrobić, Drizzt miał już w dłoniach swe sejmitary i zaczął iść po nierównej podłodze.

– Drizzt? – Catti-brie zawołała do drowa. Popatrzyła na Bruenora, ledwo widząc go w przytłumionym świetle.

– Cóż, oni to zaczęli! – ryknął krasnolud, lecz jego animusz skończył się nagle i krzyknął niepewnie do mrocznego elfa: – Prawda?

– Och, tak – dobiegła odpowiedź drowa.

– Zapal pochodnię dla mojej dziewczuchy, Pasibrzuchu! – Bruenor powiedział pohukując radośnie, po czym uderzył mocno toporem o otwartą dłoń i rzucił się naprzód. – Strzelaj po prostu w lewo, dziewczyno, póki nie będziesz widziała. Ja będę się starał trzymać prawej!

Dwóch goblinów ruszyło na Drizzta, po jednym z każdej strony. Drow pomknął w prawo, zawrócił i pochylił się nagle, wykonując obydwoma sejmityrami pchnięcie w tamtą stronę. Trzymający małą włócznię goblin wykonał niezły defensywny unik i niemal zdołał sparować jedną z kling.

Drizzt cofnął ostrza i zawrócił w drugą stronę, przemykając obok swych przyjaciół i wykonał paskudne krzyżowe cięcie, z prawą dłonią wysuniętą. Poczł pulsowanie w zranionym barku, lecz ta uwaga wodza goblinów o „więźniu”, to danie do zrozumienia, że chętnie spędziłby trochę czasu zabawiając się z Catti-brie, dały mu siłę, by zignorować ból.

Nacierający na niego goblin uchylił się przed pierwszym ostrzem i instynktownie uniósł włócznię, by sparować, gdyby Drizzt opuścił ten wysunięty sejmitar niżej.

Drugi sejmitar trafił go w gardło.

Trzeci stwór następował temu goblinowi na pięty i nagle znalazł się na swym martwym towarzyszu, powalony za pomocą szybkiego kroku i pchnięcia, zakrwawiony lewy sejmitar wbił się prosto w jego serce, podczas gdy prawa klinga wykonywała ciasne kręgi wokół pchającego miecza czwartego goblina.

– Cholerny elfie, zabierasz całą zabawę! – ryknął Bruenor.

Przebiegł tuż obok Drizzta, zamierzając wbić swój topór w czaszkę goblina ścierającego się z mrocznym elfem. Obok krasnoluda przemknęła czarna sylwetka i odtrąciła goblina, przyciskając go swymi trzystoma kilogramami czarnej sierści i szarpiących pazurów.

Jaskinia rozświetliła się nagle jaskrawym niebieskim światłem, a później następnym, bowiem Catti-brie zaprzęła swój śmiercionośny łuk do pracy, posyłając szereg srebrzystych strzał. Pierwsze strzały wbiły się w kamienną ścianę z lewej strony groty, lecz każda dawała jej wystarczająco wiele światła, by zauważyć jeden czy dwa cele.

Przy trzecim pocisku postrzeliła goblina i każdy następny wbijał się już śmiertelnie lub przemykał wystarczająco blisko, by gobliny musiały się miotać.

Troje przyjaciół naciskało, wybijając goblina i roztrącając przed sobą tuziny tych tchórzliwych stworzeń.

Catti-brie strzelała w bok miarowym strumieniem błyskawic, nie uzyskując już tak naprawdę

żadnych trafień, bowiem wszystkie tamtejsze gobliny skuliły się za osłonami. Jej wysiłki nie były jednak na próżno, bowiem utrzymywała stwory z dala od głównej walki na środku jaskini.

W międzyczasie Regis przedzierał się pod drugą ścianę, pełzając za głazami, stalagmitami oraz skulonymi goblinami. Zauważył, że gobliny znikają co jakiś czas w szczelinie w tylnej części jaskini i że wódz już tam poszedł.

Regis zaczekał na lukę w szeregu goblinów i wsunął się w głębszy mrok wewnętrznych tuneli.

Walka skończyła się w krótkim czasie, bowiem tak naprawdę, nie licząc początkowej szarży trzech goblinów na Drizzta, nie była zbytnio walką. Gobliny bardziej przykładały się do ucieczki niż do obrony przed potężnymi intruzami – niektóre wręcz rzucały swymi pobratymcami na ścieżkę szarżującego krasnoluda lub skaczącej pantery.

Skończyło się, gdy Drizzt i Bruenor jednocześnie zadźgali goblina próbującego uciec przez otwór w tylnej części.

Bruenor pociągnął za swój topór, lecz wbite ostrze nie chciało wyjść i skończyło się na tym, że uniósł bezwładnego goblina ponad swym ramieniem.

– Duży przelazł – mruknął krasnolud, wydając się nieświadomy faktu, że trzyma martwego goblina na końcu swego topora. – Idziesz za nim?

– Gdzie jest Regis? – dobiegło wołanie Catti-brie od wejścia do jaskini.

Obrócili się, by ujrzeć jak kobieta klęczy tuż przy otworze wejściowym, zapalając pochodnię.

– Pasibrzuch nie jest zbyt dobry w wypełnianiu poleceń – biadolił Bruenor. – Mówiłem mu, co by to zrobił!

– Nie potrzebowałam tego, mając łuk – wyjaśniła Catti-brie. – Ale jego nie ma. – Zawołała głośno: – Regis?

– Uciekł – Bruenor wyszeptał do Drizzta, lecz to po prostu nie brzmiało dobrze dla nich obu, po wspaniałym spisaniu się przez niziołka na drodze niedaleko Dekapolis oraz po jego zdumiewająco dobrym pokazie przeciwko ogrom. – Myślisz, że ogry odstraszyły go od walk?

Drizzt potrząsnął głową, obracając się powoli, by rozejrzeć się po obwodzie jaskini, bardziej obawiając się, że Regis został powalony, niż że uciekł.

Kilka chwil później usłyszeli swego małego przyjaciela, gwizdającego radośnie, gdy wychodził z tunelu, przez który uciekały gobliny. Popatrzył na Drizzta i Bruenora, którzy spoglądali na niego w czystym zdumieniu, po czym rzucił coś Drizztowi.

Drow chwycił to i obejrzał, po czym uśmiechnął się szeroko.

Goblińskie ucho ze złotym kolczykiem.

Krasnolud i mroczny elf popatrzyli na niziołka z niedowierzaniem.

– Słyszałem, co mówił – Regis odpowiedział ich spojrzeniom. – A rozumiem gobliński. – Strzelił swymi małymi palcami w powietrze przed oszołomioną dwójką i ruszył przez jaskinię w stronę Catti-brie. Zatrzymał się jednak kilka kroków dalej, obrócił i rzucił Drizztowi drugie ucho.

– Co w niego wstąpiło? – Bruenor spytał cicho drowa, gdy Regis był już daleko.

– Duch przygody? – Drizzt bardziej zapytał, niż stwierdził.

– Możesz mieć rację – powiedział Bruenor. – Splunął na ziemię. – On doprowadzi nas wszystkich do śmierci, albo jestem brodatym gnomem.

W pięcioro, bowiem Guenhwyvar została przez noc, przeczekali resztę burzy w goblińskiej jaskini. Z boku groty znaleźli kupkę opału, wraz z jakimś zepsutym mięsem, którego nie ośmielili się ugotować, a Bruenor rozpałił gorejący ogień w pobliżu wyjścia na zewnątrz, Guenhwyvar stała na warcie, podczas gdy Drizzt, Catti-brie i Regis składali goblińskie ciała w głębi tunelu. Zjedli i ścisnęli się wokół ognia. Wartowali tej nocy na zmianę, na raz spało dwoje, choć tak naprawdę nie spodziewali się, by tchórzliwe goblino wróciły zbyt szybko.

* * *

Wiele kilometrów na południe i wschód od towarzyszy inny znużony podróżnik nie dysponował luksusem kompanów, którzy trzymaliby wartę podczas jego snu. Mimo to, nie spodziewając się by podczas burzy takiej jak ta w pobliżu było zbyt wielu wrogów, Wulfgar oparł się o tylną ścianę osłoniętej niszy, jaką wybrał sobie za schronienie i zamknął oczy.

Wykopał tę niszę tak, że z prawej i z lewej strony otoczony był ścianami twardego śniegu, z tyłu miał skałę, a z przodu również śnieg. Wiedział, że nawet gdyby nie znalazły go żadne potwory ani dzikie zwierzęta, musiał spać krótkimi okresami, bowiem gdyby nie oczyszczał regularnie swego przodu ze śniegu, ryzykowałby zagrzebaniem żywcem, a gdyby nie dorzuczał co jakiś czas kolejnej kłody do ognia, ryzykowałby zamrożeniem na śmierć.

Były to jedynie drobne niedogodności dla zdrowego barbarzyńcy, który od małego był wychowywany w otwartej tundrze brutalnej Doliny Lodowego Wichru, przyzwyczajony do ostrego północnego wichru, śpiewającego mu w uszach.

I który został utwardzony w ognistych wirach demonicznego domu Errtu.

Wicher śpiewał żałobną pieśń ponad małym kamiennie-śnieżnym schronieniem Wulfgara, przeciągłą i melancholijną melodię, która otworzyła drzwi do wymęczonego serca barbarzyńcy. W tej jaskini, w tej burzy i na tej wietrznej melodii myśli Wulfgara zostały posłane wstecz poprzez czas.

Przypomniał sobie wiele rzeczy ze swego dzieciństwa w plemieniu Łosia, kiedy to biegał po otwartej i dzikiej tundrze, podążając za krokami swych przodków w łowach i rytuałach utrzymujących się od setek lat.

Przypomniał sobie bitwę, która sprowadziła go do Dekapolis, agresywną napaść jego wojowniczego ludu na osadników z miasteczek. Tam właśnie źle wymierzony cios w głowę szczególnie twarogłowego krasnoluda przyczynił się do porażki młodego Wulfgara – zaś owa porażka doprowadziła młodego Wulfgara prosto do nauk i służby u niejakiego Bruenora Bartlehammera, opryskliwego, marudnego krasnoluda o złotym sercu, który niedługo później stał mu się niczym ojciec. Ta porażka na polu bitwy doprowadziła Wulfgara do boku Drizzta i Catti-brie, ustawiła go na drodze, którą podążał przez późniejsze lata swej młodości i wczesne lata dorosłości. Ta sama jednak droga skierowała go do tego najohydniejszego z miejsc, do leża demona Errtu.

Na zewnątrz wicher lamentował i wołał do jego duszy, jakby prosząc go, by odwrócił się teraz na swej drodze wspomnień, by odrzucił wszelkie myśli o diabelskim leżu Errtu.

Ostrzegając go, ostrzegając go...

Jednak Wulfgar, równie dręczony własnymi spostrzeżeniami jak torturami Errtu, nie zamierzał się odwrócić. Nie tym razem. Otworzył się na straszliwe wspomnienia. Wprowadził je do swej świadomości i przyjrzał im się w pełni oraz racjonalnie, mówiąc sobie, że tak właśnie było. Nie było to tym, co powinno być, lecz była to po prostu rzeczywistość jego przeszłości, wspomnienie, jakie będzie musiał nosić.

Miejsce, z którego powinien próbować się rozwijać, nie w którym powinien się odruchowo kulić.

Wicher zawodził swe złowróżbne ostrzeżenia, wołając do niego, że może się zagubić w tej jamie koszmarów, że może udać się do mrocznych miejsc, które lepiej zostawić w spokoju. Wulfgar trzymał się jednak swych myśli, doprowadził je do ostatecznego zwycięstwa nad Errtu na Morzu Ruchomego Lodu.

Gdy obok siebie miał swoich przyjaciół.

To było powodem tego wszystkiego, wiedział zrozpaczony barbarzyńca. Gdy obok siebie miał swoich przyjaciół! Porzucił swych dawnych towarzyszy, ponieważ wierzył, że tak musi być. Uciekł od nich, szczególnie od Catti-brie, ponieważ nie mógł im pozwolić zobaczyć, kim tak naprawdę się stał: złamanym nędznikiem, skorupą swej dawnej chwały.

Wulfgar przerwał rozmyślenia i wrzucił do ognia ostatnią kłodę. Poprawił kamienie, jakie ustawił pod płomieniem, kamienie, które wchłoną ciepło i utrzymają je przez jakiś czas. Wyturlał jeden z nich z ognia i wtoczył pod swój materac, po czym tak umieścił go pod materiałem, by mógł się na nim wygodnie położyć.

Zrobił to i poczuł pod sobą nowe ciepło, lecz ten świeży komfort nie mógł wyeliminować ani odbić salwy pytań.

– A gdzie jestem teraz? – barbarzyńca zapytał wicher, lecz ten jedynie ciągnął swój melancholijny skowyt.

Nie miał odpowiedzi, podobnie jak sam Wulfgar.

* * *

Następny poranek był jasny i czysty, jaskrawe słońce wspinało się po bezchmurnym wschodnim niebie, podnosząc temperaturę do przyjemnej wysokości i zaczynając topić wczorajszą zawieruchę.

Drizzt przyglądał się widokowi oraz ciepłu z mieszanymi uczuciami, bowiem choć cieszył się wraz z przyjaciółmi, że powraca im czucie w kończynach, wszyscy wiedzieli jakie niebezpieczeństwo może nieść za sobą na górskich przełęczach takie światło słoneczne po śnieżycy. Będą musieli się dziś poruszać wyjątkowo ostrożnie, na każdym kroku uważając na lawiny.

Drow popatrzył z powrotem na jaskinię, gdzie spało jego troje przyjaciół, odpoczywając spokojnie, w nadziei na kontynuowanie podróży. Przy odrobinie szczęścia mogą jeszcze dziś dotrzeć do wybrzeża i rozpocząć na dobre poszukiwania Klasztornego Wąwozu oraz Sheili Kree.

Drizzt rozejrzał się dookoła i uświadomił sobie, że będą potrzebowali sporo szczęścia. Już słyszał odległe dudnienie spadającego śniegu.

* * *

Wulfgar ciosami pięści wydostawał się spod nawisu, który stał się jaskinią, prawie śnieżnym grobowcem, wypełzając i przeciągając się w jaskrawym porannym słońcu.

Barbarzyńca znajdował się na samym skraju gór, za nim teren opadał gwałtownie na południe w kierunku Luskan, zaś przed sobą, na całym północnym horyzoncie, miał górujące, pokryte śniegiem wierzchy. Zauważył również, parsknąwszy ze zrezygnowaniem, że najwyraźniej znajdował się na samym skraju podziału burzy pomiędzy śnieg a deszcz, bowiem te strome wzgórza na południu wydawały się bardziej zmoczone niż pokryte głębokim śniegiem, podczas gdy region na północ od

niego był zasypany białym proszkiem.

Zupełnie jakby sami bogowie mówili mu, by zawrócił.

Wulfgar skinął głową. Być może tak było. Albo też być może ta burza była jedynie analogią dróg, jakim stawiał czoła w swym życiu. Łatwa droga, podobnie jak to miało miejsce w Luskan, prowadziła na południe. Ta droga wołała go wyraźnie, pokazując mu ścieżkę, na której mógł uniknąć trudnego terenu.

Krzepki barbarzyńca roześmiał się z symboliki tego wszystkiego, ze sposobu, w jaki sama natura wydawała się pchać go z powrotem ku tej spokojniejszej i łatwiejszej egzystencji. Podniósł swój worek oraz niewyważony berdysz, jaki nosił zamiast Aegis-fanga, i ruszył powoli na północ.

ZMARNOWANE POWABY

– Mam sprawy do załatwienia w Luskan – narzekał Morik. – Wprowadziłem w ruch tak wiele rzeczy, powiązań i interesów, a teraz, z powodu ciebie i twoich przyjaciółek, to wszystko na nic.

– Ale spodoba ci się długa zimowa noc – Bellany powiedziała z chytrym uśmieszkiem. Zwinęła się kusząco na stercie futer.

– To nie jest... no dobrze, tak – przyznał Morik, potrząsając głową. – I mój protest nie ma nic wspólnego z tobą, wiesz przecież.

– Za dużo gadasz – odparła kobieta, wyciągając rękę ku małemu mężczyźnie.

– J... to znaczy, to nie może być! Nie teraz. Mam sprawy... – Później.

– Teraz!

Bellany uśmiechnęła się, przetoczyła i przeciągnęła. Protesty Morika musiały trochę zaczekać. Później jednak łotrzyk z Luskan zaraz do nich wrócił, skarżąc się Bellany, że jej mała wycieczka będzie go kosztować przynajmniej królewskie skarby.

– To nieuniknione – wyjaśniła zaklinaczka. – Musiałam cię tu sprowadzić, a zima przyszła wcześniej.

– I nie wolno mi odejść?

– Odejdź, jeśli chcesz – odrzekła Bellany. – Droga jest długa i zimna. Myślisz, że przetrwasz całą drogę powrotną do Luskan?

– To ty mnie tu sprowadziłaś, więc zabierz z powrotem.

– Niemożliwe – czarodziejka powiedziała spokojnie. – Nie potrafię teleportować na takie odległości. Takie czary są poza moimi możliwościami. Mogę przyzywać magiczne portale na krótkie dystanse, lecz nie aż do Luskan. A nie lubię zimna, Moriku. Ani trochę.

– Więc Sheila Kree będzie musiała znaleźć sposób, by zabrać mnie do domu – oznajmił Morik, zakładając spodnie. A przynajmniej próbując założyć. Gdy podciągnął je do kostek, Bellany machnęła dłonią i rzuciła prosty czar, który wywołał nagły wiatr. Podmuch był wystarczająco silny,

by pchnąć i tak już pozbawionego równowagi Morika do tyłu, sprawiając, że potknął się i upadł.

Przetoczył się i wsunął stopy pod siebie, po czym wstał, zatoczył z powrotem na kolana, znów się podniósł i skierował na kobietę oburzony wzrok.

– Bardzo zabawne – powiedział ponuro, lecz zaraz gdy wyrzekł te słowa, zauważył, iż w minie widniejącej na twarzy Bellany nie widać humoru.

– Pójdiesz do Sheili Kree i zażadasz, żeby zabrała cię do domu? – spytała zaklinaczka.

– A jeśli tak?

– To ona cię zabije – stwierdziła Bellany. – Sheila nie przepada zbytnio za tobą, mój przyjacielu, i tak naprawdę pragnie, byś odszedł stąd w równym stopniu, jak sam tego pragniesz. Nie poświęci jednak na to żadnych własnych środków, chyba że będzie chodziło o krótką podróż jednego z jej pupili ogrów, by cisnął twe pozbawione życia ciało do mroźnych wód oceanu.

– Nie, Moriku, zrozum, że lepiej zrobisz nie rzucając się w oczy i nie wchodząc Sheili w drogę – ciągnęła Bellany. – Krwawy Kil wypłynie wiosną i zapewne ruszy wzdłuż wybrzeża. Wysadzimy cię na brzegu niedaleko od Luskan, może nawet w porcie, jeśli będziemy pewne, że niejaki Deudermont nie będzie tam na nas czekał.

– Do tego czasu będę już nędzarzem.

– Cóż, jeśli wciąż jesteś bogaty i chcesz takim umrzeć, to idź do Sheili ze swoimi żądaniami – zaklinaczka powiedziała ze śmiechem. Przetoczyła się, owijając futrami, zasłaniając nawet głowę, by zasygnalizować Morikowi, iż ta rozmowa dobiegła końca.

Łotrzyk stał tam długo, wpatrując się w swoją kochankę. Lubił Bellany – bardzo – i sądził, że zima u jej boku może nie być taka zła. Było tu także kilka innych kobiet, w tym parę całkiem atrakcyjnych, jak Me Pepper. Być może na Morika czeka tej zimy parę wyzwania!

Łotrzyk otrząsnął się z tej myśli. Musiał być ostrożny z takimi sprawami, znajdując się w tak ciasnych i nie pozwalających na ucieczkę warunkach, u boku tak groźnych towarzyszy. Biada mu, jeśli rozżłościłby Bellany zalecając się do Jule. Skrzywił się, gdy wyobraził sobie baty, jakie mogłaby mu sprawić ta piękna zaklinaczka. Morik nigdy nie lubił żadnego rodzaju czarodziejów, ponieważ potrafili spoglądać przez jego przebrania i podstępny, a także mogli go spalić, zanim by się do nich w ogóle zbliżył. Według Morika czarodzieje po prostu nie walczyli uczciwie.

Tak, musiał uważać, by nie wywoływać żadnej zazdrości.

Być może właśnie o to chodziło, zamyślił się Morik, rozważając wyraźną pogardę Sheili. Być może zaciekle piratka nie pochwaliała kompana Bellany, ponieważ również była tu uwięziona, a nie miała nikogo, kto ogrzewałby jej futra.

Paskudny uśmiezek zakwitł na twarzy Morika, gdy obserwował rytmiczny oddech śpiącej Bellany.

– Ach, Sheilo – wyszeptał i zastanawiał się, czy chciałby w ogóle wrócić do domu spędziwszy trochę czasu z panią kapitan, zastanawiał się, czy nie mógłby tu więcej zyskać.

Chogurugga rzucała się gniewnie po swej wielkiej komnacie, ciskając meblami oraz mniejszymi ogrami i półogrami, którzy byli zbyt powolni, by zejść jej z drogi.

– Bathunk! – ogrzyca wrzeszczała raz za razem. – Bathunk, gdzie jesteś? – Ukochany syn ogrzycy opuścił dom na czele wyprawy łupieżczej, ekspedycji, która miała trwać zaledwie trzy lub cztery dni, lecz teraz minął już niemal dekadzień, a od młodej bestii nie było żadnych wiadomości.

– Śnieg głęboki – powiedział opanowany Bloog z boku komnaty, leżąc w wielkim hamaku, prezencie od Sheili Kree, tak że nogi wystawały mu po bokach.

Chogurugga przebiegła przez komnatę, chwyciła za brzeg hamaka i zrzuciła Blooga na kamienną podłogę.

– Jeśli ja się dowiem, coś ty zranił...

– Bathunk wyszedł – zaprotestował Bloog, zachowując spokój, choć ogrzyca nie była w stanie powiedzieć, czy to dlatego, że nie chciał stłuc swej pięknej żony, czy też dlatego, że nie chciał się śmiać z jej historycznego zachowania. – On wróci albo nie. Bloog nie wychodzi.

Ta logika, wystarczająco prosta, by nawet Chogurugga ją pojęła, nie uspokoiła ogrzycy, lecz chociaż odsunęła ją od Blooga. Pospieszyła z powrotem na drugą stronę komnaty, zawodząc do Bathunka.

Owszem, jej syn wielokrotnie spóźniał się z powrotem z wypraw łupieżczych, lecz tym razem było inaczej. Nie chodziło tylko o straszliwą burzę, jaka się zerwała. Tym razem Chogurugga czuła, że coś jest zdecydowanie nie tak. Jej ukochanego Bathunka spotkała katastrofa.

Nie wróci do domu.

Ogrzyca po prostu to wiedziała.

* * *

Morik uśmiechnął się szeroko i wyciągnął z małej sakiewki na prawym biodrze drugi puchar, również pięknie wykonany ze srebra i szkła, umieszczając go przed Sheilą na małym, stojącym pomiędzy nimi, stole.

Sheila popatrzyła na niego z rozbawioną miną i skinęła głową, prosząc, by kontynuował.

Następnie z sakiewki wyłoniła się butelka wina elfów – sama była zbyt duża, by zmieścić się w małym woreczku, nie mówiąc już o tym, że miałyby towarzyszyć parze sporych pucharów.

– Co jeszcze masz w swojej magicznej sakiewce, Moriku Łotrze? – spytała podejrzliwie Sheila.
– Czy Bellany wie o całej tej twojej magii?

– Dlaczego miałyby to ją obchodzić, droga piękna Sheilo? – Morik spytał wlewając szczerą ilość tego kosztownego trunku do kielicha Sheili oraz mniej do swojego.

Sheila uśmiechnęła się, po czym podniosła swój kielich tak szybko do wielkiego haustu, że trochę wina wylało jej się po bokach i spłynęło na rumianą twarz. Niezbyt się o to troszcząc, piratka z brzękiem postawiła naczynie z powrotem na stole, po czym przejechała ręką po ustach.

– Czy wróg kiedykolwiek powiedziałby inaczej? – spytała po prostu. – Niewielu nazwałoby się wrogami, gdyby zostali złapani.

Morik zachichotał.

– Nie pochwalasz tego, że Bellany mnie tu sprowadziła.

– Czy kiedykolwiek dałam ci odczuć coś przeciwnego?

– Nie pochwalasz też zainteresowania Bellany moim towarzystwem – Morik odważył się powiedzieć.

Gdy Sheila skrzywiła się lekko i poprawiła w fotelu, Morik wiedział, że trafił w czuły punkt. Pokrzepiony myślą, że opryskliwość Sheili wobec niego może nie być niczym więcej jak zazdrością – a dlaczego miałyby tak nie być, według sposobu rozumowania pewnego siebie Morika? – łotrzyk uniósł swój puchar w stronę piratki w geście toastu.

– Za lepsze zrozumienie wzajemnej wartości – powiedział, stukając o kielich Sheili.

– I za lepsze zrozumienie wzajemnych pragnień – odparła piratka, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Morik również się uśmiechnął, zastanawiając się, jak mógłby podsyć jej ogień, by uzyskać szaloną przyjemność.

Nie dostał tego, o co się targował.

Morik wytoczył się jakiś czas później z pokoju Sheili. Głowa pulsowała mu od lewego sierpowego, jak piratka wymierzyła w jego stronę wciąż mając na twarzy ten swój uśmiech.

Zakłopotany gwałtowną reakcją Sheili na jego zaloty – Morik podszedł do niej powoli i delikatnie pogładził jej rumiany policzek wierzchem dłoni – łotrzyk wymruczał tuzin odmiennych przekleństw i pokuśtykał w stronę pokoju Bellany. Nie przywykł do takiego traktowania ze strony kobiet i jego oburzenie było wyraźne dla zaklinaczki, gdy otworzyła drzwi i stała w ich, blokując mu drogę.

– Kochałeś się z uwięzionym borsukiem? – spytała uśmiechnięta Bellany.

– Chyba bym wolał – odparł Morik i spróbował wejść do środka. Bellany miała jednak wyciągniętą rękę, zasłaniając mu drogę.

Morik popatrzył na nią pytająco.

– Chyba nie jesteś zazdrosna?

– Wydajesz się dość wysoko oceniać własną wartość, skoro tak zdecydowanie znasz prawdę – odrzekła.

Morik zamierzał odpowiedzieć, lecz zrozumiał obelgę i przerwał, salutując lekko w jej stronę.

– Zazdrosna? – Bellany spytała sceptycznie. – Nie bardzo. Sądziłabym, że do tej pory powinienes już się przespać przynajmniej z Jule Pepper. Zaskakujesz mnie jednak ze swoim gustem. Nie sądziłam, że jesteś w typie Sheili Kree, ani ona w twoim.

– Najwyraźniej twoje podejrzenia są słuszne – stwierdził łotrzyk, pocierając posiniaczoną skroń. Znow ruszył naprzód i tym razem Bellany pozwoliła mu się minąć i wejść do pokoju. – Podejrzewam, że ty miałabyś więcej szczęścia zalecając się do niej.

– Potrzebowałeś wiele czasu, by do tego dojść – odparła Bellany, zamykając drzwi, gdy weszła za łotrzykiem.

Morik upadł na łóżko pokryte ciepłymi futrami i przetoczył się, by zerknąć na uśmiechającą się zaklinaczkę.

– Zwykle ostrzeżenie? – spytał. – Nie mogłaś mi tego powiedzieć wcześniej?

– I stracić zabawę?

– Wiele nie straciłaś – powiedział Morik i wyciągnął w jej stronę rękę.

– Chcesz, żeby ci wymasować ranę? – Bellany spytała, nie poruszając się. – Czy dumę?

Morik zastanawiał się nad tym pytaniem tylko przez chwilę.

– Jedno i drugie – przyznał, a czarodziejka, uśmiechnawszy się jeszcze bardziej, podeszła.

– To jest moje ostatnie ostrzeżenie – rzekła, osuwając się na łóżko obok niego. – Zadrzyj z Sheilą Kree, a ona cię zabije. Jeśli będziesz miał oczywiście szczęście. Jeśli nie, zapewne powie Chogurugdze, że masz do niej miłosne zapędy.

– Do ogrzycy? – spytał przerażony Morik.

– A jeśli nie zabije cię miłość z nią, zrobi to z pewnością Bloog.

Bellany przysunęła się bliżej, próbując pocałować mężczyznę, lecz Morik odwrócił się. Wszelkie namiętne myśli nagle z niego uleciały.

– Chogurugga – powiedział, a po grzbiecie przeszedł mu dreszcz.

JEDEN KROK NA RAZ

Przy mroźnym wichrze ryczącym w niego od prawej strony, Wulfgar parł do przodu, pochylając ramię oraz głowę pod bezustannym lodowym naciskiem. Znajdował się na wysokiej przełęczy i, choć nie lubił być na otwartej przestrzeni, ten omiatany wiatrem kawałek miał zdecydowanie najmniej śniegu. Wiedział, że wrogowie mogli go dostrzec z odległości kilometra, byłby dla nich czarną plamką na tle bieli, lecz wiedział również, że jeśli nie byli stworzeniami latającymi – i to na tyle dużymi, by opierać się ciosom wichru – nie zdołaliby się do niego zbliżyć.

Miał natomiast nadzieję na to, że mogą go zauważyć jego byli towarzysze. Jakże bowiem inaczej mógłby ich znaleźć w tej rozległej, górskiej okolicy, gdzie linia wzroku była zawsze ograniczona następnym wierchem i gdzie nie dawało się dokładnie określić odległości? Czasami następne zbocze, na którym można było zauważyć poszczególne drzewa, wydawało się znajdować w zasięgu krótkiego marszu, a w rzeczywistości było wiele kilometrów dalej i często znajdowało się za przeszkodami nie do pokonania, jak głęboka rozpadlina czy zbyt strome urwisko, nie pozwalającymi Wulfgarowi dostać się tam bez zboczenia z drogi, które mogło trwać całe dni.

Jak mogłem mieć w ogóle nadzieję na znalezienie ich? – barbarzyńca pytał siebie i to nie po raz pierwszy, ani nawet nie setny. Potrzęsnał głową na swą głupotę, na to, że tego pamiętnego poranka przeszedł w ogóle przez północną bramę Luskan i że szedł dalej w góry po tej straszliwej burzy, kiedy to południowa droga wydawała się znacznie wygodniejsza.

– I czyż nie byłbym głupcem, gdyby Drizzt i pozostali znaleźli schronienie, wioskę, w której mogliby spędzić zimę? – barbarzyńca spytał siebie, po czym roześmiał się w głos.

Tak, to było tak beznadziejne, jak tylko wydawało się możliwe, szukanie przyjaciół w dziczy tak rozległej i nieprzyjaznej, w warunkach tak ciężkich, że mógłby przejść kilka metrów od nich nie zauważając ich wcale. Mimo to jednak, gdy zastanowił się nad tym w tym kontekście, barbarzyńca uświadomił sobie, że pomimo swej sytuacji nie zachował się głupio, że zrobił to, co trzeba było zrobić.

Wulfgar przystanął na tym wysoko położonym punkcie obserwacyjnym i rozejrzał się dookoła po dolinkach, po szczycie majaczącym przed nim i po obszarze porośniętym jodłami, ciemnozielonym spłachetku na tle białego zbocza, w dół i na prawo.

Zdecydował, że tam pójdzie, by pod osłoną drzew iść dalej na zachód, póki nie dojdzie do głównej górskiej przełęczy, która zaprowadzi go z powrotem do Doliny Lodowego Wichru. Jeśli znajdzie po drodze swych byłych kompanów, tym lepiej. Jeśli nie, pójdzie dalej do Dekapolis i

zostanie tam, dopóki Drizzt i pozostali nie przyjdą do niego, lub, jeśli się nie pojawią do wiosny, kiedy to będzie mógł dołączyć do karawany kierującej się do Waterdeep.

Wulfgar osłonił oczy przed blaskiem i niesionym przez wiatr śniegiem oraz wybrał trasę. Musiał iść dalej po otwartym zboczu do większej góry, po czym zejść po jej stromej zachodniej stronie. Przynajmniej na tamtym zboczu będą drzewa, o które będzie mógł się opierać i spowalniać swe zejście. Gdyby spróbował zejść po nagim terenie i pośliznął się, sturlałby się na sam dół.

Wulfgar pochylił znów głowę i parł dalej, opierając się wichrowi.

To pochylenie sporo go kosztowało, gdy wszedł na kamień, który był bardziej pochylony na prawo niż się spodziewał. Jego futrzany but nie miał zbyt wielkiej przyczepności na lodowej powierzchni i pozbawiony równowagi Wulfgar nie mógł przesunąć środka ciężkości wystarczająco szybko, by się nie pośliznąć. Upadł, stopami do przodu, lądując ciężko na poślachach. Zjeżdżał w dół, wymachując szaleńczo rękoma, by się czegoś złapać.

Wypuścił wielki, nieporęczny berdysz, ciskając broń trochę na bok, by nie stoczyła mu się na głowę. Nie mógł zwolnić i wkrótce bardziej się turlał niż zjeżdżał, koziołkując zahaczył o duży głaz, który obrócił nim dookoła. Paski plecaka puściły, jeden się rozwiązał, a drugi pękł. Został z tyłu, kłapa otworzyła się i wszystkie zapasy rozsypały się po zboczu.

Wulfgar kontynuował swój kręty, gwałtowny zjazd, pozostawiając plecak, berdysz i szczyt przełęczony wysoko za sobą.

* * *

– On jest ranny! – powiedział kapitan Deudermont. Podniósł z niepokoju głos, obserwując długi i brutalny upadek barbarzyńcy.

Wraz z Robillardem znajdowali się w jego prywatnej komnacie na pokładzie Duszka Morskiego, wpatrując się w misę zaklętej wody, której czarodziej używał, by śledzić wędrującego barbarzyńcę. Robillard nie przepadał za takimi czarami wieszczenia ani nie był w nich zbyt biegły, lecz w sekrecie umieścił w fałdach zrobionego ze skóry srebrnego wilka płaszcz Wulfgara magiczną przypinkę. Owa przypinka, dostrojona do misy, pozwalała nawet Robillardowi, specjalizującemu się w wywoływaniu, a nie w wieszczeniu, obserwować znajdującego się daleko mężczyznę.

– Gamoń – cicho stwierdził Robillard.

Obserwowali w milczeniu. Deudermont przygryzł wargę, gdy Wulfgar podniósł się na dole długiego zbocza. Barbarzyńca był przechylony na bok, aby chronić zraniony bark. Gdy kręcił się dookoła, najwyraźniej próbując określić najlepszą ścieżkę do utraconego ekwipunku, zauważyli uszkodzoną kończynę.

– Nie uda mu się wejść z powrotem bez pomocy – rzekł Deudermont.

– Gamoń – powtórzył Robillard.

– Spójrz na niego! – krzyknął kapitan. – Mógł zawrócić na południe, jak przewidywałeś, lecz tego nie zrobił. Nie, poszedł na północ i to w mroźne góry, do miejsca, w które niewielu by się zapuściło, nawet latem i nawet w grupie, a jeszcze mniej odważyłoby się pójść tam samemu.

– Takie są prawa natury – zażartował Robillard. – Ci, którzy spróbowaliby pójść samemu, zapewne poszli, tak więc wszyscy są martwi. Głupcy mają zwyczaj rozsiewać się z dala od głównych szlaków.

– Sam chciałeś, by poszedł na północ – wymownie przypomniał kapitan. – Powiedziałaś to na dodatek wielokrotnie. I nie po to, żeby spadł i zginął. To ty nalegałaś, że jeśli Wulfgar jest człowiekiem zasługującym na takich przyjaciół jak Drizzt i Catti-brie, to powinien pójść na ich poszukiwania, niezależnie od okoliczności.

– Spójrz teraz, mój gburowaty przyjacielu – odezwał się Deudermont, kierując rękę ku misie z wodą, ku obrazowi upartego Wulfgara.

Najwyraźniej ogarnięty bólem, lecz odrzucający to grymasem, mężczyzna wchodził centymetr po centymetrze z powrotem po górskim zboczu. Barbarzyńca nie zatrzymywał się i nie wrzeszczał z wściekłością, nie wygrażał pięścią w powietrze. Po prostu wybrał drogę i wspinał się, nie narzekając.

Deudermont przyglądał się czarodziejowi równie uważnie, jak Robillard wpatrywał się w misę. W końcu czarodziej podniósł głowę.

– Być może ten Wulfgar ma w sobie więcej niż sądziłem – przyznał.

– Pozwolimy mu tam zginąć, w samotności i zimnie? Robillard westchnął, po czym warknął i przejechał mocno dłońmi po twarzy, tak że jego chude rysy zaczerwieniły się.

– Odkąd przybył do doku w Waterdeep, by z tobą porozmawiać, sprawia jedynie same kłopoty! – Robillard warknął i potrząsnął głową. – Nie, nawet wcześniej, w Luskan, gdy próbował cię zabić...

– Nie próbował! – nalegał Deudermont, zły że Robillard otworzył tę starą ranę. – To nie był ani Wulfgar, ani ten mały Morik.

– Tak twierdzisz.

– Cierpi znoje, nie skarżąc się – ciągnął kapitan, znów kierując oczy czarodzieja ku obrazowi w misie. – Choć nie sądzę, by Wulfgar uważał taką burzę za znoj po cierpieniach, jakie najwyraźniej

znosił z rąk demona Errtu.

– A więc nie ma problemu.

– Lecz co teraz? – naciskał kapitan. – Wulfgar nigdy nie znajdzie swoich przyjaciół, błakając się bez celu po zaśnieżonych górach.

Po westchnięciu, jakie się rozległo, Deudermont mógł poznać, że Robillard doskonale go rozumiał.

– Zauważyliśmy wczoraj pirata – stwierdził czarodziej, wiercąc się głośno w sposób, jakiego Deudermont jeszcze u niego nie słyszał. – Zapewne rano będziemy walczyć. Nie możesz sobie pozwolić...

– Jeśli znów ujrzę tego pirata, a ty jeszcze nie wrócisz, lub nie będziesz przygotowany do walki, to będziemy go śledzić. Skoro możemy przegonić każdy okręt, gdy go ścigamy, możemy również każdy, gdy jesteśmy w odwrocie.

– Nie lubię się teleportować do nieznanymi miejsc – mruknął Robillard. – Mogę się pojawić zbyt wysoko i spaść.

– A więc wcześniej rzuć czar latania lub unoszenia się.

– Albo zbyt nisko – Robillard powiedział ponuro, bowiem zawsze istniała taka możliwość i każdy czarodziej, który pojawił się zbyt nisko po teleportacji widział, jak jego kawałki rozrzucają się po kamieniach.

Deudermont nie miał na to żadnej innej odpowiedzi poza wzruszeniem ramion, lecz tak naprawdę nie była to dyskusja. Robillard po prostu narzekał tak sobie, a i tak miał jak najbardziej zamiar pomóc rannemu mężczyźnie.

– Zaczekaj, aż wrócę, zanim zabierzesz się do walki z jakimikolwiek piratami – mruknął czarodziej, szukając w swych licznych kieszeniach komponentów, jakich będzie potrzebował, by bezpiecznie, a przynajmniej względnie bezpiecznie, dotrzeć do Wulfgara. – A raczej, jeśli wrócę.

– Mam pełne przekonanie.

– Oczywiście – rzekł Robillard.

Kapitan Deudermont odsunął się, gdy Robillard podszedł do szafki z boku i otworzył ją gwałtownie, wyciągając jeden z przedmiotów będących własnością Deudermonta, ciężki wełniany koc. Bezustannie pomrukując, czarodziej zaczął czarować, najpierw rzucając zaklęcie, które sprawiło, że zaczął się unosić nisko nad podłogą, a później kolejne, które wydawało się rozdzierać materiał samego powietrza. Mrowie wielokolorowych baniek otaczało czarodzieja, dopóki nie

zamgliły zarysu jego sylwetki – i zniknął. Zostały jedynie bańki, stopniowo pękające i zlewające się, tak że powietrze znów wydawało się całością.

Deudermont podbiegł do przodu i spojrział w misę z wodą, wychwytyjąc ostatnie obrazy Wulfgara, zanim wieszczący dweomer Robillarda rozproszył się.

Ujrzał, jak w śnieżnej scenerii pojawia się druga sylwetka.

* * *

Wulfgar kolejny raz zaczął się ześlizgiwać, lecz warknął i padł na brzuch, wyciągając rękę i chwytając się nierówności w małym nagim głazie. Pociągnął z całej swej potężnej siły, wciągając się wyżej.

– Będziemy tu przez całe popołudnie, jeśli będziesz szedł dalej w takim tempie – usłyszał z góry znajomy głos.

Barbarzyńca podniósł wzrok i ujrzał stojącego na szczycie przełęczy Robillarda, z ciężkim brązowym kocem narzuconym na swe zwyczajowe szaty czarodzieja.

– Co...? – osłupiały Wulfgar zaczął pytać, lecz wraz z zaskoczeniem przyszło rozproszenie uwagi i skończyło się na tym, że zsunął się jakiś sześć metrów w dół, uderzając mocno o wyniesienie skalne.

Barbarzyńca podniósł się i spojrział znów w górę, widząc jak Robillard, z berdyszem w dłoni, płynie w powietrzu w dół górskiego zbocza. Czarodziej podniósł po drodze kilka innych przedmiotów Wulfgara, upuścił je przed nim i wzniósł się z powrotem, latając za pomocą magii tam i z powrotem dopóki nie zebrał wszystkich rozsypanych rzeczy. Skończywszy to zadanie, wylądował lekko obok wielkiego mężczyzny.

– Niezbyt się spodziewałem, że tu ciebie zobaczę – powiedział Wulfgar.

– Nie mniej niż ja spodziewałem się zobaczyć ciebie – odrzekł Robillard. – Spodziewałem się, że wybierzesz południową drogę, a nie północną. Twój zdumiewający hart ducha kosztował mnie nawet zakład z wioślarem Donnarkiem.

– Mam ci za to zwrócić? – Wulfgar spytał cierpko. Robillard wzruszył ramionami i skinął głową.

– Może innym razem. Nie mam zamiaru pozostawać w tej zapomnianej przez bogów dziczy ani chwili dłużej niż to konieczne.

– Mam swoje rzeczy i nie jestem mocno ranny – stwierdził Wulfgar. Wyprostował swe masywne

barki i wysunął butnie podbródek przed siebie, zdecydowanie gotów pozwolić czarodziejowi odejść.

– Ale nie znalazłeś swych przyjaciół – wyjaśnił czarodziej – i masz na to niewielką szansę bez mojej pomocy. Tak więc jestem tu taj.

– Ponieważ jesteś moim przyjacielem?

– Ponieważ jest nim kapitan Deudermont – sprostował Robillard z parsknięciem, które zaprzeczyło krzywemu uśmiezkowi na zarumienionej i zarośniętej twarzy barbarzyńcy.

– Masz czary, by ich zlokalizować? – zapytał Wulfgar.

– Mam czary, abyśmy wzlecieli ponad szczyty – poprawił Robillard. – Oraz inne, które mogą nas szybko przenosić z miejsca na miejsce. Dość niedługo policzymy wszystkie istoty w okolicy. Możemy mieć tylko nadzieję, że będą wśród nich twoi przyjaciele.

– A jeśli nie?

– To sugeruję, abyś wrócił ze mną do Waterdeep.

– Na Duszka Morskiego?

– Do Waterdeep – powtórzył z naciskiem Robillard.

Wulfgar wzruszył ramionami, nie chcąc spierać się w tej kwestii, o której miał nadzieję, że zostanie poddana pod dyskusję. Wierzył, że Drizzt i pozostali przybyli w poszukiwaniu Aegis-fanga, a jeśli tak było, spodziewał się, że wciąż tam byli, żywi i zdrowi.

Wciąż jednak nie był pewien, czy dobrze wybrał tamtego poranka w Luskan, wciąż nie był pewien, czy był na to gotowy, czy tego chciał. Jak zareaguje, gdy znów ich zobaczy? Co powie Bruenorowi i co będzie mógł zrobić, jeśli krasnolud, bezgranicznie chroniący Catti-brie, po prostu skoczy na niego, by go zadusić? I co powie Catti-brie? Jak będzie mógł w ogóle spojrzeć znów w jej niebieskie oczy po tym, co jej zrobił?

Pytania te dopadły go gwałtownie w chwili, kiedy wydawało się możliwe, że naprawdę znajdzie towarzyszy.

Nie miał jednak na nie odpowiedzi i wiedział, że nie będzie w stanie przewidzieć konfrontacji, nawet ze strony własnych uczuć.

Wulfgar wyłonił się ze swych rozważań i ujrzał wpatrującego się w niego Robillarda. Czarodziej miał na twarzy najbardziej zbliżoną do zrozumienia minę, jaką Wulfgar kiedykolwiek u niego widział.

– Jak zabrnąłeś tak daleko? – spytał Robillard. Wyraz twarzy Wulfgara pokazywał, że nie rozumiał.

– Jeden krok na raz – Robillard odpowiedział na własne pytanie. – Jeden krok wykonany na raz pozwoli Wulfgarowi zdeptać własne demony.

Następnie Robillard zrobił coś, co zdumiało wielkiego mężczyznę bardziej niż cokolwiek wcześniej: wyciągnął rękę i poklepał Wulfgara po ramieniu.

I POJAWIA SIĘ...

– Sądzę, że moglibyśmy powlec się z powrotem do tego głupiego lorda Feringala i tego jego małego Auckney – Bruenor mruknął włączając z powrotem do małej jaskini, w której grupa schroniła się w noc po burzy. Pogoda była zdecydowanie lepsza, lecz Bruenor rozumiał niebezpieczeństwa lawin, a sama ilość śniegu, jaki spadł tej nocy wprawiała go w osłupienie. – Śnieg głębszy niż do krocza giganta!

– Przejdź po nim – Drizzt stwierdził ze złośliwym uśmiechem.

Lecz tak naprawdę żadne z nich, nawet drow, nie było w nastroju do uśmiechania się. Śnieg spiętrzył się wysoko w całych górach i dzisiejsza podróż skróciła się, jak Drizzt się obawiał, z powodu zagrożenia lawinowego. Tuziny ich spadały wszędzie dookoła, wiele z nich blokowało przełęcze, zmuszając towarzyszy do obchodzenia ich dookoła. Mogło to oznaczać godziny, a nawet dni omijania zasypanej przełęczy, której przejście normalnie zajęłoby im godzinę.

– Nie znajdziemy ich, elfie – Bruenor powiedział bez ogródek. – Są głęboko pod ziemią, nie wątp w to, i zapewne nie wysuną swych smrodliwych głów na powierzchnię aż do wiosny. Nie znajdziemy ich w tym wszystkim.

– Zawsze wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo – Catti-brie przypomniała krasnoludowi.

– Znaleźliśmy grupę, która napadła na wieżę, a oni wskazali nam odpowiedni kierunek – wtrącił Regis. – Potrzebujemy więcej szczęścia, to jasne, ale czy nie wiedzieliśmy o tym od początku?

– Ba! – parsknął Bruenor. Kopnął dość duży kamień, tak że poturlał się silnie do bocznej ściany małej groty.

– Oddać im młot? – Drizzt z całą powagą spytał Bruenora.

– Albo zostać zasypanym, nim się do nich zbliżymy? – odparł krasnolud. – Wspaniały wybór, elfie!

– Albo wrócić do Auckney i przeczekać zimę – zaproponował Regis. – A potem spróbować znów wiosną.

– Gdy Krwawy Kil będzie zapewne pływać po pełnym morzu – przypomniała Catti-brie. – A Sheila Kree i Aegis-fang będą z dala od tych wybrzeży.

– Pójdziemy więc na południe – uznał Bruenor. – Znajdziemy Deudermonta i zaciągniemy się do jego polowania na piratów, póki nie dopadniemy Kree. Wtedy odbiorę mój młot i pošlę wiedźmę na dno tego pełnego morza, i dobrze jej tak!

Nastąpiła cisza, głęboka i długo, długo nie przerywana. Być może Bruenor miał rację. Być może polowanie na młot bojowy teraz nie przyniesie im nic poza katastrofą. A jeśli ktokolwiek z nich miał prawo odwołać poszukiwania Aegis-fanga, był to z pewnością Bruenor. W końcu to on stworzył młot i dał go Wulfgarowi. Tak naprawdę jednak żadne z nich, nawet Regis, który patrzył na sytuację z chyba największym dystansem, nie chciał odpuścić tego młota, wyjątkowego symbolu tego, czym Wulfgar był niegdyś dla nich wszystkich.

Być może przeczekanie zimy miało sens, lecz Drizzt nie był w stanie zaakceptować logicznego wniosku, że pogoda uczyniła ich podróż po prostu zbyt niebezpieczną, by można ją było kontynuować. Drow chciał z tym skończyć i to szybko. Chciał w końcu spotkać się z Wulfgarem, by odzyskać zarówno Aegis-fanga, jak i utracony symbol tego, czym wszyscy niegdyś byli, a wizja przeczekania kilku miesięcy śniegu nie leżała wygodnie na jego wąskich ramionach. Rozglądając się, drow uświadomił sobie sprawę, że pozostali, nawet Bruenor – a może szczególnie Bruenor, pomimo swego typowego narzekania – czuli mniej więcej podobnie.

Drow wyszedł z jaskini, wspinając się po ścianie śniegu, jaki został naniesiony przed wejście. Pobiegnął na najwyższy punkt obserwacyjny, jaki mógł znaleźć i pomimo blasku, który zdecydowanie kłuł jego wrażliwe na światło oczy, rozejrzał się dookoła, szukając drogi na południe, do morza, szukając jakiejś drogi, którą mogliby pójść dalej.

Krótką chwilę później usłyszał, jak ktoś zbliża się z tyłu i po odgłosie kroków wiedział, że to Catti-brie. Szła krokiem, który był czymś pomiędzy lekkim stąpaniem Drizzta a przedzieraniem się Bruenora.

– Równie źle mi wygląda wracanie, jak pójście dalej – powiedziała, gdy stanęła obok Drizzta. – Możemy więc równie dobrze iść dalej, według mnie.

– A Bruenor się zgodzi? Lub Regis?

– Pasibrzuch właśnie to samo wyjaśnia teraz Bruenorowi w środku – stwierdziła Catti-brie, a Drizzt odwrócił się w jej stronę. Wcześniej Regis był zawsze pierwszy, aby uciekać z drogi, prowadzącej ku przygodzie, pierwszy, by szukać ciepłych wygod.

– Pamiętasz, jak Artemis Entreri wcielił się w Regisa? – Drizzt spytał wyraźnie ostrzegawczym tonem.

Oczy Catti-brie powiększyły się w szoku na krótką chwilę, dopóki mina Drizzta nie przekonała jej, że tylko żartował. Mimo to dał wyraźnie do zrozumienia, że w Regisie coś się zmieniło i przekaz został w pełni odczytany.

– Można by pomyśleć, że gobliniska włócznia, którą dostał na rzece na południu winna go jeszcze głębiej wcisnąć w wyściełany fotel – stwierdziła Catti-brie.

– Bez magicznej pomocy z tego najmniej prawdopodobnego źródła straciłby zapewne przynajmniej rękę – przypomniał Drizzt i była to prawda.

Gdy Regis został pchnięty w bark, przyjaciele po prostu nie mogli powstrzymać krwawienia. Drizzt i Catti-brie byli już wręcz w trakcie przygotowywania ręki Regisa do amputacji, którą uznali za jedyną szansę zachowania niziołka przy życiu, gdy drowi porucznik Jarlaxle'a, w przebraniu Cadderly'ego, pojawił się i zaoferował magiczne leczenie.

Regis zachowywał milczenie do końca tej przygody, w trakcie podróży do kryształowej wieży Jarlaxle'a i walki Drizzta z Entrerim, a także podczas długiej i ponurej drogi powrotnej aż do Doliny Lodowego Wichru. Przyjaciele przeżyli razem wiele przygód i rezultat tej ostatniej był najgorszy ze wszystkich. Kryształowy Relikt wpadł w ręce niebezpiecznego przywódcy Bregan D'aerthe. Była również najbardziej bolesna i niebezpieczna dla samego Regisa, a jednak, z jakiegoś nieodgadnionego przez Drizzta i Catti-brie powodu, najwyraźniej wznieciła coś w Regisie. Stało się to wyraźne niemal natychmiast po ich powrocie do Dekapolis. Ani przez chwilę Regis nie próbował się uchylać przed patrolowaniem niebezpiecznych dróg w okolicy, a przy tych paru okazjach, kiedy natknęli się na potwory lub rozbójników, niziołek nie siedział z założonymi rękoma, pozwalając wyszkolonym przyjaciołom zająć się sytuacją.

I był też tutaj, próbując przekonać Bruenora, by parli dalej przez te nieprzyjazne i śmiercionośne góry, kiedy za nimi oczekiwał ciepły kominek zamku lorda Feringala.

– A więc troje do jednego – Catti-brie powiedziała w końcu. – Wygląda na to, że idziemy dalej.

– Z Bruenorem marudzącym na każdym kroku.

– Marudziłby na każdym kroku także wtedy, gdybyśmy zawrócili.

– Można na nim polegać.

– Przypomnienie dawno minionych czasów oraz sygnał tych które nadejdą – Catti-brie odparła bez wahania i oboje roześmiali się potrzebnym im serdecznym śmiechem.

Gdy wrócili z powrotem do głębokiej, wysokiej jaskini, zauważyli, że Bruenor jest mocno zajęty zwijaniem materacy w ciasne tobołki, a Regis miesza w kociołku zawieszonym nad wciąż płonącym ogniem.

– Którą drogą warto pójść? – spytał Bruenor.

– W przód albo w tył... mniej więcej podobnie – odpowiedział Drizzt.

– Tyle że, jeśli pójdziemy naprzód, wciąż będziemy musieli wrócić – stwierdził Bruenor.

– W przód, powiadam – zaproponowała Catti-brie. – Nie znajdziemy odpowiedzi w tym ospałym Auckney, a chcę je mieć przed wiosennymi roztopami.

– Co ty powiesz, elfie? – zapytał Bruenor.

– Zanim jeszcze wyruszyliśmy z Luskan, wiedzieliśmy, że droga będzie niebezpieczna i nieprzyjazna – odrzekł Drizzt. – Zналиśmy wtedy pogodę, a ten śnieg nie jest ani niezwykły, ani niespodziewany.

– Ale mieliśmy nadzieję znaleźć tę głupią piratkę wcześniej – wtrącił krasnolud.

– Mieliśmy nadzieję, lecz niezbyt się spodziewaliśmy – szybko odparł Drizzt. Popatrzył na Catti-brie. – Ja również niezbyt pragnę spędzić zimę, martwiąc się o Wulfgara.

– Do przodu więc – nagle zgodził się Bruenor. – I niech zabierze nas śnieg. I niech Wulfgar spędzi zimę, martwiąc się o nas! – Krasnolud zakończył strumieniem przekleństw, mruczając pod nosem w ten typowy bruenorowy sposób. Pozostała trójka wymieniła porozumiewawcze mrugnięcia i uśmiechy.

Niskie pomruki Bruenora przeszły jednak w ogólniejsze brzęczenie, które wypełniło powietrze i zwróciło uwagę całej czwórki.

Na środku jaskini pojawiła się niebieska pionowa linia, jaśniejąca do wysokości niewiele ponad dwóch metrów. Zanim przyjaciele zdążyli się odezwać lub zareagować, owa linia podzieliła się na dwie równej długości, po czym te dwie zaczęły się rozchodzić, a nad nimi pojawiła się równie niebieska pozioma.

– Czarodziejskie drzwi! – krzyknął Regis, przetaczając się na bok, w cienie, i wyciągając swój buzdygan.

Drizzt rzucił na podłogę figurkę pantery, gotów do wezwania Guenhwyvar. Wyciągnął swe sejmitary, podchodząc wraz z Bruenorem bezpośrednio przed świecący portal, podczas gdy Catti-brie odsunęła się na parę kroków, jednym płynnym ruchem zakładając cięciwę i naciągając łuk.

Drzwi uformowały się do końca, obszar pomiędzy trzema liniami migotał jaśniejszym odcieniem niebieskiego.

Przez portal przeszła sylwetka odziana w granatowe szaty. Bruenor ryknął i podniósł swój wyszczerbiony topór, a Catti-brie odciągnęła cięciwę, gotowa wypuścić strzałę.

– Robillard! – krzyknął Drizzt, a Catti-brie powtórzyła to samo ułamek sekundy później.

– Czarodziejski przyjaciel Deudermonta? – zaczął pytać Bruenor.

– Co tu robisz? – spytał drow, lecz jego słowa zamarły, gdy przez magiczny portal przeszła za czarodziejem druga sylwetka, wielka i potężna postać.’

Regis powiedział to pierwszy, bowiem pozostała trójka, szczególnie Bruenor, nie mogła dobrać z siebie głosu:

– Wulfgar?

ZNAKDROWA

Nieziemski skowyt, o prymitywnym i zbolalym brzmieniu, odbijał się echem od kamiennych ścian kompleksu jaskiń, dźwięcząc w sercu samej góry.

Czubki miecza i sztyletu Le'lorinela opadły ku podłodze. Elf przerwał swą sesję treningową i odwrócił się, by spojrzeć na otwarte drzwi sali oraz rozciągający się dalej korytarz, gdzie wciąż słyhać było echa strasznego krzyku. – O co chodzi? – Le'lorinel spytał, gdy obok przemknęła sylwetka. Jule Pepper, odgadł elf, zrywając się, by ją dogonić.

Le'lorinel pobiegł krętą drogą, ścigając Jule aż do kompleksu wielkich jaskiń znajdujących się bezpośrednio pod grotami Sheili Kree oraz jej zaufanych, noszących piętno towarzyszy, a później do leża Choguruggi oraz Blooga.

Le'lorinel musiał po wejściu umknąć na bok, bowiem przed nim przemknęło wielkie krzesło, roztrzaskując się o skałę. Znow rozległ się ten straszliwy krzyk – wrzask Choguruggi. Spoglądając za ogrzycę Le'lorinel zrozumiał, że to skowyt smutku.

Tam bowiem, na środku podłogi, leżało zakrwawione ciało innego ogra, młodego i silnego. Sheila Kree i Bellany stały nad zwłokami obok innego ogra, klęczącego, trzymającego swą wielką, ohydłą głowę na ciele. Z początku Le'lorinel pomyślał, że to Bloog, lecz wtedy elf zauważył ogromnego wodza ogrów, obserwującego spod przeciwległej ściany. Le'lorinel nie potrzebował wiele czasu, by domyślić się, że maska gniewu, jaką Bloog miał na twarzy była daleka od szczerości.

Le'lorinel pomyślał, że to Bloog mógł to zrobić.

– Bathunk! Moje dziecko! – Chogurugga wrzasnęła z troską bardzo nietypową dla ogrzycz matek.
– Bathunk! Bathunk!

Sheila Kree podeszła, by porozmawiać z ogrzycą, być może, by ją pocieszyć, lecz Chogurugga wpadła w tej chwili w kolejny atak szału, podnosząc głaz z wielkiego paleniska i ciskając nim o ścianę – niezbyt daleko od uchylającego się Blooga, jak dostrzegł Le'lorinel.

– Znaleźli ciało Bathunka w pobliżu posterunku na północy – Bellany wyjaśniła Jule i Le'lorinelowi, gdy do nich podeszła. – Wygląda na to, że paru zostało zabitych. Ten tam, Pokker, uznał za rozropne, by przynieść ciało Bathunka. – Mówiąc to, wskazała na ogra klęczącego nad zwłokami.

– Mówisz tak, jakby nie powinien był tego zrobić – stwierdziła Jule Pepper.

Bellany wzruszyła ramionami, jakby nie miało to znaczenia.

– Popatrzcie na tę łajdaczkę – wyszeptała, wskazując podbródkiem oszalałą Choguruggę. – Zapewne zabije połowę ogrów w Złotej Zatoczce lub sama zostanie zabita przez Blooga.

– Albo przez Sheilę – zauważyła Jule, bowiem wydawało się oczywiste, że Sheila Kree traciła cierpliwość wobec ogrzycy.

– Zawsze jest taka możliwość – rzekła ze śmiertelnie poważną twarzą Bellany.

– Jak to się stało? – spytał Le'lorinel.

– To nie jest takie niezwykle – odpowiedziała Bellany. – Każdego roku tracimy kilku ogrów, szczególnie zimą. Ci idioci nie są po prostu zdolni dopuścić, by zdrowy osąd wchodził w drogę potrzebie miażdżenia ludzi. Żołnierze z Grzbietu Świata są jak jeden mąż weteranami i stanowią niełatwy cel, nawet dla potworów tak potężnych i tak dobrze wyposażonych jak ogry Choguruggi.

W chwili, gdy Bellany odpowiadała, Le'lorinel podszedł ostrożnie w stronę wzdętego ciała Bathunka. Zauważywszy, że wyglądało na to, iż Chogurugga znajdowała się chwilowo pod kontrolą Sheili, elf ośmielił się jeszcze bardziej zbliżyć, pochylając się nisko, by uważniej popatrzeć na zwłoki.

Nagle zabrakło mu oddechu – na ciele było wiele cięć, były one pięknie rozmieszczone, a w wielu miejscach zakrzywiały się. Zakrzywiały się niczym ostrza sejmitarów. Zauważywszy jedną ranę na biodrze Bathunka, elf wyciągnął delikatnie dłoń i odchylił ciało lekko na bok. Znak przypominał odcisk delikatnie zakrzywionej klingi, podobnej do tych, które Le'lorinel wykonał dla Tuneveka, gdy półelf udawał pewnego mrocznego elfa.

Le'lorinel podniósł nagle wzrok, starając się przetrwać to wszystko, rozumiejąc wyraźnie, że to nie zwyczajny żołnierz powalił tego potężnego ogra.

Elf niemal roześmiał się wtedy w głos – a pragnienie to jedynie się zwiększyło, gdy Le'lorinel zauważył, że Bloog pociąga nosem i wyciera oczy, jakby leciały z nich łzy, co z pewnością nie było prawdą. Kolejny ryk z tyłu przypominał mu jednak wyraźnie, że pewnej ogrzycy może się nie spodobać, że ktoś bagatelizuje tę tragedię.

Le'lorinel wstał szybko i wrócił do Jule oraz Bellany, a następnie opuścił salę, biegnąc korytarzem do bezpiecznego górnego poziomu. Tam elf odetchnął i roześmiał się serdecznie, był jednocześnie podekscytowany i przerażony.

Bowiem Le'lorinel wiedział, iż jest to dzieło Drizzta Do'Urdena, że drow był w tej okolicy – niezbyt daleko, skoro ogr zdołał przynieść Bathunka w takiej zimowej pogodzie.

– Moje podziękowania, E'kresso – elf wyszeptał.

Dłonie Le'lorinela spoczęły instynktownie na mieczu i sztylcie, po czym złączyły się przed nim, palce prawej dłoni obracały zaklętym pierścieniem na jednym z palców lewej. Po wszystkich tych latach to miało się stać. Po całym tym starannym planowaniu, badaniu stylu oraz techniki Drizzta, treningu, konsultacjach z najlepszymi miecznikami północnego Faerunu, aby znaleźć sposoby na skontrolowanie manewrów drowa. Po wszystkich wyrzeczeniach, po latach pracy, by zapłacić za pierścień, za partnerów, za informacje.

Le'lorinel ledwo mógł oddychać. Drizzt był w pobliżu. Bathunka musiał powalić ten niebezpieczny mroczny elf.

Elf zaczął chodzić po pokoju, po czym wyszedł na korytarz, mijając drzwi Bellany oraz Sheili, kierując się do końca tunelu, do małej komnaty, jaką Jule Pepper urządziła sobie na zimę.

Trzy kobiety zjawily się chwilę później, potrząsając głowami i robiąc sobie niestosowne żarty z zachowania Choguruggi. Sheila Kree nieźle naśladowała rozszalałą ogrzycę.

– Nieźle wyście – stwierdziła Bellany. – Przegapiłeś to, co najlepsze.

– Biedna Chogurugga – Jule powiedziała z uśmiechem.

– Biedny Bloog, chciałaś powiedzieć – szybko sprostowała Sheila i wszystkie trzy roześmiały się.

– No dobrze, najlepiej powiedz mi, co o tym wiesz – Sheila rzekła do Le'lorinela, gdy elf nie przyłączył się do radości, gdy nawet w najmniejszym stopniu się nie roześmiał, a jego niebiesko-złote oczy jaśniały intensywnie.

– Byłem najwyraźniej tutaj, gdy Bathunk został zabity – przypomniał Le'lorinel.

Bellany pierwsza się roześmiała.

– Wiesz o czymś – powiedziała zaklinaczka. – Zaraz, gdy podszedłeś do zwłok Bathunka...

– Myślisz, że ten cholerny drow załatwił Bathunka – uznała Sheila Kree.

Le'lorinel nie odpowiedział, utrzymywał jedynie idealnie ponurą minę.

– Tak myślisz!

– Góry są rozległe, jest w nich wielu niebezpiecznych przeciwników – wtrąciła Jule Pepper. – Są tu całe tysiące, które mogły załatwić tego głupiego młodego ogra.

– Hmm – Bellany rzekła, zanim Le'lorinel zdążył odpowiedzieć i wyszła przed pozostałe dwie kobiety, kładąc delikatną dłoń na wydętych wargach. – Ale ty widziałeś rany – stwierdziła zaklinaczka.

– Zakrzywione rany, jak cięcia sejmitarami – potwierdził Le'lorinel.

– Miecz wycina taką ranę, gdy otrzymujący ją cel upada – wtrąciła Sheila. – Rany nie mówią tak wiele, jak byś chciał.

– Mówią mi wszystko, co muszę wiedzieć – odparł Le'lorinel.

– Były dobrze rozmieszczone – stwierdziła Jule. – Bathunk nie został powalony przez początkującego miecznika.

– A wiem, że Chogurugga dała mu wiele eliksirów, jakie jej przekazałaś – dodała zwracając się do Bellany.

To sprawiło, że nawet Sheila podniosła brwi z zaskoczenia. Bathunk nie był zwyczajnym ogrem. Był wielki, silny i dobrze wyszkolony, a niektóre z tych eliksirów potężnie go wzmacniały.

– To był Drizzt – stwierdził z całą pewnością Le'lorinel. – Jest blisko i zapewne kieruje się do nas.

– Tak powiedział wieszcz, który cię tu skierował – powiedziała Bellany, która dobrze знаła tę historię.

– Gnom E'kressa. Przesłał mnie, bym znalazł znak Aegis-fanga, bowiem ten znak sprowadzi Drizzta Do'Urdena.

Jule i Bellany popatrzyły po sobie, po czym odwróciły się do Sheili Kree, która stała z opuszczoną głową, zagłębiona w myślach.

– To mogli być żołnierze z wieży – przywódczyni piratów powiedziała w końcu. – Mogły być posiłki z jednej z małych wiosek. Mogła być wędrowna banda bohaterów, a nawet inne potwory, próbujące przejąć zdobycz ogrów.

– To mógł być Drizzt Do'Urden – wtrąciła Jule, która miała doświadczenia z pierwszej ręki z niebezpiecznym drowem oraz jego bohaterskimi przyjaciółmi.

Sheila popatrzyła na wysoką, smukłą kobietę i skinęła głową, po czym zmierzyła swym wzrokiem Le'lorinela.

– Czy jesteś na niego gotów, jeśli to on i idzie w tę stronę? Elf wyprostował się, cofając głowę i wypinając dumnie pierś.

– Od wielu lat nie jestem gotów na nic innego.

– Jeśli potrafił powalić Bathunka, to będzie ciężka walka, nie ma wątpliwości – dodała przywódczyni piratów.

– Wszystkie tam będziemy, by pomóc w tej sprawie – wskazała Bellany, lecz Le'lorinel nie wydawał się poruszony tą perspektywą.

– Znam go równie dobrze, jak on zna samego siebie – wyjaśnił elf. – Jeśli Drizzt Do'Urden do nas przyjdzie, to zginie.

– Na końcu twojej klingi – Bellany powiedziała z uśmiechem.

– Albo na końcu swojej własnej – odparł wiecznie zagadkowy Le'lorinel.

– A więc miejmy nadzieję, że to Drizzt – zgodziła się Sheila. – Ale nie możemy wiedzieć na pewno. Wieże w górach są dobrze strzeżone. Wielu ziomków Choguruggi zostało zabitych, idąc przeciwko nim lub po prostu działając na drogach. Krąży zbyt wielu żołnierzy i zbyt wielu bohatersko nastawionych poszukiwaczy przygód. Nie możemy wiedzieć, czy to Drizzt, czy ktoś inny.

Le'lorinel odpuścił sobie. Niech Sheila myśli, co chce.

Le'lorinel słyszał jednak znów słowa E'kressy.

Le'lorinel wiedział, że to Drizzt, i Le'lorinel był gotów. Nic innego – ani Sheila, ani przyjaciele Drizzta, ani ogry – nie miało znaczenia.

DOCHODZENIE DO POROZUMIENIA

– Wulfgar – powtórzył Regis, gdy nikt nie zareagował na jego pierwszą uwagę.

Niziołek rozejrzał się po pozostałych, starając się odczytać ich miny. Catti-brie była dość łatwa do rozszyfrowania. Kobieta wyglądała tak, jakby mógł ją przewrócić delikatny wietrzyk, wyglądała jakby zastygła w szoku, uświadomiwszy sobie, że Wulfgar znów stoi przed nią.

Drizzt wyglądał znacznie spokojniej i wydawało się Regisowi, jakby spostrzegawczy drow świadomie obserwował każdy ruch Wulfgara, jakby próbował uzyskać jakąś prawdziwą miarę tego, kim tak naprawdę był stojący przed nim mężczyzna. Wulfgarem z dawnych dni czy tym, który uderzył Catti-brie?

Co do Bruenora, to Regis nie był pewien, czy krasnolud chciał podbiec i uściskać mężczyznę, czy też podbiec i go zadusić. Bruenor się trząsał – choć niziołek nie mógł powiedzieć, czy z zaskoczenia, wściekłości, czy też po prostu ze zdumienia.

Wulfgar również wydawał się próbować odczytać jakieś wskazówki z wyrazu twarzy i postawy Bruenora. Barbarzyńca, którego baczne spojrzenie nawet na chwilę nie przerwało kontaktu z twardym i cierpkim wzrokiem Bruenora Battlehammera, skinął z szacunkiem głową w stronę niziołka.

– Szukaliśmy cię – stwierdził Drizzt. – Aż do Waterdeep i z powrotem.

Wulfgar przytaknął, utrzymując nieruchomą twarz, jakby bał się zmienić minę.

– Możliwe, że Wulfgar również szukał Wulfgara – wtrącił Robillard. Czarodziej uniósł brew, gdy Drizzt odwrócił się bezpośrednio w jego stronę.

– Cóż, znaleźliśmy cię, albo ty znalazłeś nas – powiedział Regis.

– Ale myślisz, że znalazłeś siebie? – spytał Bruenor, ze sporym sceptycyzmem w głosie.

Wargi Wulfgara zwężyły się w cienką linię, a szczęki zacisnęły mocno. Chciał krzyknąć, że znalazł – modlił się, by tak było. Popatrzył po kolei na nich, chcąc rzucić się gwałtownie w ich stronę, zebrać ich wszystkich w swych ramionach.

Natrafił jednak na ścianę, równie płynną i zmienną, jak dym w Otchłani Errtu, a jednak jego

emocje nie były w stanie jej przebić.

– Znów wygląda na to, że jestem waszym dłużnikiem – barbarzyńca zdołał powiedzieć. Wiedział, że to zdecydowanie głupia zmiana tematu.

– Delly opowiedziała nam o waszym bohaterstwie – szybko dodał Robillard. – Nie trzeba mówić, że wszyscy jesteście wam wdzięczni. Nigdy dotąd nikt nie wystąpił tak śmiało przeciwko domowi Deudermonta. Zapewniam was, że sprawcy sprowadzili pogardę lordów Waterdeep na tych, których reprezentowali.

To wniosłe oświadczenie było dość pomniejszone wiedzą wszystkich obecnych, że lordowie Waterdeep nie przybędą raczej na północ szukając konspiratorów. Lordowie Waterdeep, podobnie jak lordowie niemal każdego większego miasta, byli lepsi w ogłaszaniu proklamacji niż w prowadzeniu ich w życie.

– Być może zdołamy wykonać zemstę za lordów Waterdeep oraz za kapitana Deudermonta – Drizzt powiedział, kierując w stronę Robillarda chytrą minę. – Polujemy na Sheilę Kree i to ona doprowadziła do ataku na dom kapitana, – Przyprowadziłem wam Wulfgara, by przyłączył się do tych łowów.

Znów wszystkie oczy spoczęły na wielkim barbarzyńcy i znów jego wargi zwięzły się z napięcia. Drizzt widział to wyraźnie i rozumiał, że nie jest to czas, by przerywać tamę wstrzymującą Wulfgara, a więc również ich uczucia. Drow odwrócił się do Catti-brie i fakt, że nie mrugała przez kilka długich chwil powiedział mu wiele o kruchym stanie jej umysłu.

– Ale co z Robillardem? – mroczny elf spytał nagle, chcąc zatrzymać, a przynajmniej opóźnić nadciągającą powódź. – Czy nie użyje swych talentów, by nam pomóc?

To zbiło czarodzieja z tropu, a jego oczy otworzyły się szerzej.

– Już to zrobił! – zaprotestował, lecz w jego głosie odzwierciedlała się słabość tego argumentu.

Drizzt przytaknął, akceptując to.

– A może zrobić tak wiele więcej i to z łatwością.

– Moje miejsce jest z kapitanem Deudermontem oraz Duszkiem Morskim, którzy są właśnie na morzu polując na piratów. Tak naprawdę byliśmy właśnie w pościgu za jednym takim żaglowcem, gdy udałem się po Wulfgara – wytłumaczył Robillard, lecz uśmiech drowa jedynie się poszerzył.

– Twoje magiczne talenty pomogą nam dokonać w krótkim czasie rozległych poszukiwań – wyjaśnił Drizzt. – Znamy przybliżone położenie naszej zwierzyny, lecz w pokrytych śniegiem górach może to być za następnym wzniesieniem, a my nie będziemy o tym wiedzieć.

– Moje umiejętności zostały dostosowane do walk na morzu, mistrzu Do'Urdenie – odparł Robillard.

– Wszystkim, o co cię prosimy jest zlokalizowanie klanu piratów, jeśli, jak sądzimy, przyczaili się oni na południowo-zachodnim skraju gór. Z pewnością, jeśli wpłynęli swym okrętem do zimowego portu, są niedaleko wody. O ile większy obszar możesz przejrzeć i o ile wyższy punkt obserwacyjny możesz osiągnąć dzięki zakłębom lotu lub podobnym?

Robillard zastanowił się przez chwilę nad tymi słowami, podniósł dłoń i podrapał się po karku.

– Góry są rozległe – odrzekł.

– Uważamy, że znamy ogólny kierunek – odpowiedział Drizzt. Robillard milczał trochę dłużej, po czym pokiwał głową.

– Przeszukam dokładnie określony teren, dając wam tylko to jedno popołudnie – powiedział. – Później muszę wrócić do swych obowiązków na pokładzie Duszka Morskiego. Ścigamy pirata i nie pozwolę mu uciec.

– Może tak być – Drizzt powiedział skinąwszy głową.

– Zabiorę jedno z was ze sobą – rzekł czarodziej. Rozejrzał się dookoła i jego wzrok spoczął szybko na Regisie, który był zdecydowanie najlżejszy z grupy. – Ty – powiedział, wskazując na niziołka. – Udasz się ze mną na poszukiwania, dowiesz się, czego zdołasz, a następnie zaprowadzisz swoich przyjaciół do piratów.

Regis zgodził się bez najmniejszego wahania, a Drizzt i Catti-brie popatrzyli po sobie z ponownym zdumieniem.

Przygotowania były naprawdę szybkie, Robillard podniósł jeden z pustych plecaków i poprosił Regisa, by wyszedł z nim na zewnątrz. Ostrzegł niziołka, by założył więcej warstw ubrania, aby ustrzec się przed zimnym wiatrem i wielkim chłodem w górze, po czym rzucił na siebie zakłęcie.

– Znasz region, o którym mówił Drizzt? – spytał.

Regis przytaknął, a czarodziej rzucił drugi czar, tym razem na niziołka, znacznie zmniejszając jego rozmiar. Robillard podniósł niziołka i wsunął go do otwartego plecaka, po czym odlecieli razem w jasne światło dnia.

– Malusiołek? – Bruenor spytał z chichotem.

– Bardziej wygląda na malusieniołka – odpowiedziała Catti-brie i oboje roześmieli się.

Ich beztroska wydawała się nie trafiać do Wulfgara, ani też do Drizzta, który rozumiał teraz, gdy

sprawa z Robillardem była w toku, że nadszedł czas, by zajęli się głębszą kwestią, której zdecydowanie nie mogli zignorować, jeśli mieli wkroczyć razem w niebezpieczeństwo z jakąkolwiek szansą na sukces.

* * *

Widział świat tak, jak mógłby go widzieć ptak, mknący pod nim, gdy czarodziej wspinał się wyżej i wyżej w niebo, odnajdując prądy powietrzne, które niosły ich szybko mniej więcej w pożądanym kierunku, na południe i ku morzu.

Z początku Regis zastanawiał się, jak bardzo byli odsłonięci jako czarna kropka na niebieskim niebie, lecz w miarę wznoszenia niziołek zatracił się w obserwacjach. Spoglądał na rozlewający się pod nim krajobraz. Gdy minęli pewną grań górską, grunt pod nimi opadł tak szybko, że niziołkowi brakło tchu. Zauważył poniżej stado jeleni i nabrał otuchy z ich wyglądu, bowiem jeśli były zaledwie małymi, ledwo dostrzegalnymi czarnymi plamkami, to jak mały musiał wydawać się Robillard wraz z nim z ziemi. Jak łatwo było ich pomylić z ptakiem, uświadomił sobie Regis, zwłaszcza zważywszy na ciągnącą się za czarodziejem pelerynę.

Oczywiście nagle uświadomienie sobie, jak wysoko byli, wkrótce wznieciło w Regisie inne obawy i chwycił się mocno barków czarodzieja.

– Przestań tak szczypać! – Robillard wrzasnął przebijając się przez wicher, a Regis posłuchał, choć tylko troszkę.

Wkrótce znaleźli się nad zimnymi wodami, a Robillard sprowadził ich trochę w dół, poniżej linii szczytów górskich. Pod nimi biała woda rozbijała się o liczne majaczące skały, a fale uderzały o skaliste wybrzeże w wojnie toczącej się od tysiącleci. Choć byli już niżej, Regis nie był w stanie powstrzymać się przed ponownym mocnym ściśnięciem.

Wąska strużka dymu przed nimi ostrzegła ich przed obozowiskiem, a Robillard natychmiast spłynął z powrotem w kierunku brzegu, wlatując za najbliższe szczyty i starając się wykorzystać je jako tarczę przeciwko oczom wszelkich potencjalnych wartowników. Ku zaskoczeniu i uldze niziołka, czarodziej stanął na nagim kawałku skały.

– Muszę odnowić czar lotu – Robillard wyjaśnił. – I rzucić kilka innych. – Czarodziej zaczął grzebać w sakiewce szukając różnych komponentów, po czym zabrał się do czarowania. Kilka sekund później zniknął.

Regis pisnął lekko z zaskoczenia i niepokoju.

– Jestem tutaj – wyjaśnił głos Robillarda.

Niziołek usłyszał, że znów rzuca czar – ten sam – i chwilę później Regis również stał się niewidzialny.

– Będziesz musiał wyczuć drogę powrotną do plecaka, zaraz gdy skończę odnawiać czar lotu – wytłumaczył głos niewidocznego czarodzieja, po czym ponownie zabrał się do czarowania.

Wkrótce znaleźli się znów w powietrzu i choć logika mówiła mu, że dzięki niewidzialności był bezpieczniejszy, Regis czuł się dalece mniej bezpieczny, ponieważ po prostu nie widział czarodzieja, podtrzymującego go podczas lotu. Trzymał się z całej siły, gdy Robillard prowadził ich wokół gór, odnajdując niskie przełęcze, które prowadziły generalnie w stronę zauważonego dymu. Wkrótce ów dym znów znalazł się w polu widzenia, tyle że tym razem lecieli do niego od północnego zachodu, a nie od południowego.

Gdy się zbliżyli, ujrzeli, że to rzeczywiście strażnicy. Było ich dwóch, jeden to grubiańsko wyglądający człowiek, a drugi był wielkim, muskularnym osiłkiem – być może niskim ogrem albo stworzeniem o mieszanej ludzko-ogrzej krwi. Byli skuleni nad mizernym ogieńkiem na wysoko położonej grani, pocierając o siebie dłońmi i niezbyt zwracając uwagę na wyznaczone im obowiązki: obserwację krętej przełęczy w wąwozie tuż pod nimi.

– Schwytni przez nas jeńcy wspominali o wąwozie – Regis powiedział do czarodzieja, wystarczająco głośno, by Robillard usłyszał.

W odpowiedzi Robillard pomknął na pomoc i podążył wzdłuż grani aż do końca długiego wąwozu. Następnie zawrócił i obniżył się wraz z niziołkiem wzdłuż opadającej, krętej linii wądołu. Najwyraźniej było to niegdyś koryto rzeczne, wijące się w kierunku morza pomiędzy dwoma długimi ścianami stromych skał, wysokości może stu metrów. Podstawa miała nie więcej jak trzydzieści metrów w najszerszym punkcie, odległość ta zwiększała się wraz z wysokością, tak że szczyty klifów leżały w wielu miejscach dziesiątki metrów od siebie.

Minęli dwóch strażników i zauważyli po drugiej stronie następną parę, lecz czarodziej nie zwolnił na tyle, by Regis mógł się im przyjrzeć.

Czarodziej i jego niezbyt rozentuzjasmowany pasażer obniżali lot, sunąc wzdłuż wąwozu, a ściany przesuwały się wokół nich z prędkością, na skutek której biednemu niziołkowi wirowało w głowie. Robillard zauważył kolejnego wyglądającego na ogra wartownika, lecz niziołek był zbyt oszołomiony od lotu, nawet nie spojrzał, by potwierdzić spostrzeżenia czarodzieja.

Wąwóz rozwijał się pod nimi przez ponad trzysta metrów, a gdy okrążyli ostatni załom, dostrzegli smagane wichrem morze. Na prawo ziemia poprzerywana była różnymi stertami głazów i skał, układając się w poszarpany, nierówny teren. Na lewo, u podstawy wąwozu, majaczyło wysokie wzgórze, mierzące jakieś sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt metrów wysokości. Wzdłuż jego skalistego zbocza znajdowały się otwory, w tym dość duża jaskinia na poziomie gruntu.

Robillard minął ją, wlatując nad morze, po czym zrobił szybki zwrot w lewo, by zatoczyć koło

wokół południowej strony wzgórza. Krajobraz upstrzony był licznymi wielkimi głazami, prawdziwym labiryntem i niebezpieczeństwem dla każdego okrętu, który odważyłby się tam zapuścić. Wzdłuż wybrzeża sterczały jeszcze większe pagórki, jeszcze bardziej osłaniając to miejsce od wszelkich oczu z morza.

Właśnie tam, na południu, na poziomie morza, majaczyła jaskinia wystarczająco wielka, by mógł do niej wpłynąć duży okręt.

Robillard przeleciał obok niej, wznosząc się, gdy dopełniał okrąg. Wraz z Regisem zauważyli wtedy ścieżkę, rozpoczynającą się obok jaskini przy oceanie i pnącą się, gdy okrążała górę od wschodu. Wznosząc się obok wschodniego zbocza, ujrzeli jedne drzwi i mogli sobie z łatwością wyobrazić inne wzdłuż tego przeważnie osłoniętego szlaku.

Robillard wleciał ponad wschodnie zbocze, lecąc z powrotem na północ i wlatując znów do wąwozu. Ku zaskoczeniu i trwodze niziołka, czarodziej wylądował u podstawy pagórka, tuż przy wejściu do jaskini, która była wystarczająco duża, by mogły do niej wjechać jeden przy drugim dwa wozy.

Czarodziej trzymał niewidzialnego niziołka, wciągając go za sobą do groty. Gdy weszli, usłyszeli szorstkie przekomarzanie trzech ogrów.

– Może być lepsza droga do kompleksu dla ciebie i dla drowa – czarodziej zasugerował szeptem.

Niziołek niemal podskoczył na dźwięk głosu za sobą. Regis uspokoił się wystarczająco szybko, by nie pisnąć i nie zaalarmować strażników.

– Zostań tu – wyszeptał Robillard i odszedł.

A Regis znalazł się zupełnie sam, i choć był niewidzialny, czuł się bardzo malutki i bardzo odsłonięty.

* * *

– Niemal mnie zabiłeś pierwszym rzutem swojego młota! – przypomniał Drizzt, po czym uśmiechnął się wraz z Catti-brie, gdy jego słowa wywołały wesołość na ponurej twarzy Wulfgara.

Dyskutowali o starych czasach, naiwnych wspomnieniach zapoczątkowanych przez Drizzta, aby spróbować przełamać lody i wyciągnąć Wulfgara z jego zrozumiałej skorupy. W tym zjednoczeniu nie było nic łatwego, o czym świadczył nie rzednący grymas Bruenora i wyraźne napięcie Wulfgara.

Przytaczali opowieści o pierwszej wspólnej bitwie Drizzta i Wulfgara, w leżu giganta zwanego Biggrinem. Obydwaj trenowali ze sobą oraz rozumieli nawzajem swe style, i w wielu punktach owe

style wspaniale się zazębiały. Jednak rzeczywiście, jak wyraźnie przyznał Drizzt, czasami było w tym więcej szczęścia niż pracy zespołowej lub umiejętności.

Pomimo milczenia Bruenora i jego ciągłego grymasu, drow ciągnął opowieści o starych czasach w Dolinie Lodowego Wichru, o licznych przygodach, o wykuciu Aegis-fanga (wtedy Bruenor i Wulfgar wyraźnie się skrzywili), o podróży do Calimportu, aby uratować Regisa oraz drodze powrotnej na północ i wschód, by odzyskać Mithrilową Halę. Nawet Drizzt był zdumiony ilością tych opowieści, głębią, jaką miała ich przyjaźń. Zaczął mówić o przybyciu mrocznych elfów do Mithrilowej Hali, o tragicznym spotkaniu, które zabrało im Wulfgara, lecz przerwał, zastanawiając się ponownie nad swymi słowami.

– W jaki sposób takie więzi mogły być tak ulotne? – drow spytał bez ogródek. – W jaki sposób interwencja demona mogła rozerwać to, na czego stworzenie poświęciliśmy tak wiele lat?

– To nie był demon Errtu – powiedział Wulfgar, w chwili gdy Catti-brie zaczęła odpowiadać.

Pozostała trójka spojrzała na wielkiego mężczyznę, były to bowiem jego pierwsze słowa, odkąd Drizzt zaczął opowieści.

– To był demon Errtu wszczepiony we mnie – wyjaśnił Wulfgar. Przerwał i przeszedł na bok, kierując się bezpośrednio w stronę Catti-brie, a nie Drizzta. – Albo demony, które były tam wcześniej.

Głos mu się załamał, a gdy podniósł wzrok, w jego kryształowo błękitnych oczach zebrała się wilgoć. Wulfgar zamrugał stoicko i popatrzył z determinacją na kobietę.

– Mogę powiedzieć tylko, że mi przykro – rzekł, a jego zwykle dzwięczny głos był ledwie szeptem.

W chwili, gdy wypowiadał te słowa, Catti-brie wyciągnęła ręce i wzięła go w objęcia, zagrzebując swą twarz w jego wielkim barku. Wulfgar odwzajemnił ów uścisk tysiącrotnie, pochylając twarz ku kasztanowym włosom kobiety.

Catti-brie spojrzała na Drizzta, a drow uśmiechał się i kiwał głową, równie jak ona zadowolony, że ta pierwsza z długiego szeregu barier, czekających ich przed przywróceniem ich przyjaźni do normalnego stanu, została rozbita.

Chwilę później Catti-brie odsunęła się o krok, wycierając oczy i spoglądając na Wulfgara z ciepłym uśmiechem.

– Masz w Delly wspaniałą żonę – powiedziała. – I piękne dziecko, choć nie jest wasze własne.

Wulfgar skinął głową przy jednym i drugim, wydając się w tej chwili bardzo zadowolony, wyglądając jakby właśnie wykonał wielki krok w odpowiednim kierunku.

Jego sieknięcie było wywołane w równym stopniu bólem, co zaskoczeniem, gdy został nagle uderzony w bok. Ciężki cios zachwiał nim. Barbarzyńca odwrócił się i ujrzał zdenerwowanego Bruenora, stojącego z rękoma na biodrach.

– Jeszcze raz uderzysz moją dziewczuchę, a zrobię sobie fajny naszyjnik z twych zębów, chłopcze! Jeśli chcesz nazywać się moim synem, ni bij swojej siostry!

Sposób, w jaki to ujął był oczywiście groteskowy, lecz gdy Bruenor przeszedł tupiąc obok nich i wyszedł z jaskini, wszyscy troje usłyszeli lekkie pociągnięcie nosem i zrozumieli, że krasnolud zachował się w jedyny sposób, na jaki pozwalały jego dumne uczucia, że był równie zadowolony ze zjednoczenia jak wszyscy pozostali.

Catti-brie podeszła wtedy do Drizzta i niedbale, lecz wymownie objęła go ramieniem. Wulfgar z początku wydawał się zaskoczony, przynajmniej równie mocno jak wtedy, gdy uderzył go Bruenor. Stopniowo jednak to zaskoczenie przeszło w wyraz całkowitej akceptacji i pochwały, barbarzyńca uśmiechnął się tęsknie.

– Droga przed nami stała się trudniejsza – powiedział Drizzt. – Jeśli jesteśmy razem i zadowoleni, czy musimy udawać się teraz po Aegis-fanga, przeciwko tym przeszkodom?

Wulfgar popatrzył na niego, jakby nie wierzył w to, co słyszy. Mina barbarzyńcy zmieniła się jednak i to szybko, jakby wydawał się niemal zgodzić z tym rozumowaniem.

– Jesteście tchórzami – Catti-brie bez ogródek odpowiedziała Drizztowi.

Drow skierował na nią zdumione i niedowierzające spojrzenie, zważywszy na jej pasję.

– Nie bierz pod uwagę moich słów – rzekła kobieta. – Zapytaj jego. – Gdy skończyła, wskazała za drowa, który odwrócił się i ujrzał wracającego z tupotem Bruenora.

– Co? – zapytał krasnolud.

– Drizzt uważa, że lepiej by było odpuścić sobie młot – stwierdziła Catti-brie.

Oczy Bruenora otworzyły się szeroko i przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał się rzucić na drowa.

– Jak możesz, ty... ty durny głupi elfie... dlaczego... c-co? – wyjąkał.

Drizzt wykonał dłońmi uspokajający gest i uśmiechnął się lekko, jednocześnie subtelnie wskazując krasnoludowi, by spojrzał na Wulfgara. Bruenor prychał jeszcze przez kilka chwil, zanim zrozumiał, lecz wtedy uspokoił się, położył dłonie na biodrach i odwrócił się do barbarzyńcy.

– No i? – ryknął krasnolud. – Co o tym myślisz, chłopcze?

Wulfgar wziął głęboki oddech, gdy spoczęły na nim spojrzenia trojga przyjaciół. Umieścili go dokładnie w środku tego wszystkiego, tam gdzie było jego miejsce, jak teraz rozumiał, bowiem to jego czyny kosztowały go młot, a skoro był to jego młot, to jego słowo powinno ostatecznie zdecydować, co powinni zrobić.

Jakąż jednak wagę niosła za sobą ta decyzja.

Myśli Wulfgara wirowały wokół wszystkich możliwości, z których wiele było naprawdę ponurych. Co, jeśli poprowadzi towarzyszy do Sheili Kree tylko po to, by banda piratów ich unicestwiła? Albo jeszcze gorzej, uznał, co jeśli założyć, że jedno lub więcej z jego przyjaciół zginie, a on przeżyje? Jak mógłby w ogóle żyć ze sobą, gdyby...

Wulfgar roześmiał się w głos i potrząsnął głową, dostrzegając pułapkę.

– Straciłem Aegis-fanga w wyniku własnego błędu – przyznał, co oczywiście wszyscy już wiedzieli. – I teraz dostrzegam ten błąd, mój błąd. Tak więc udam się za młotem zaraz, gdy będę mógł, przez deszcz i śnieg, przez smoki i piratów, jeśli będzie potrzeba. Nie mogę jednak zmusić was, żadnego z was, abyście się do mnie przyłączyli. Nie będę obwinał nikogo, kto zawróci teraz do Dekapolis, czy któregoś z mniejszych miasteczek leżących w górach. Ja pójdę. To mój obowiązek i odpowiedzialność.

– Myślisz, że pozwolimy ci to zrobić samemu? – stwierdziła Catti-brie, lecz Wulfgar przerwał jej szybko:

– I przyjmę wszelką pomoc, jaką możecie mi zaoferować, choć czuję, że zupełnie na nią nie zasługuję.

– Głupie słowa – prychnął Bruenor. – Pewnie, że idziemy, ty wielki gamoniu. Wsadziłeś twarz w zupę, tak więc ją wyciągamy.

– Niebezpieczeństwa... – zaczął Wulfgar.

– Ogry i głupi piraci – powiedział Bruenor. – Nic ciężkiego. Zabijemy paru, a jeszcze więcej rozpędzimy, odzyskamy twój młot i wrócimy do domu przed wiosną. A jeśli będzie tam smok... – Bruenor przerwał i uśmiechnął się paskudnie. – Cóż, pozwolimy tobie go zabić!

Beztroskie słowa zostały wypowiedziane w idealnej chwili i wszyscy towarzysze wydawali się być właśnie nimi, czworgiem przyjaciół złączonych jedną misją.

– A jeśli kiedykolwiek znowu stracisz Aegis-fanga – ryknął Bruenor, celując w stronę Wulfgara sękatym palcem – zakopię cię, zanim po niego pójdę!

Tyrada Bruenora brzmiała tak, jakby mogła się ciągnąć bez końca, lecz głos, jaki rozległ się na zewnątrz uciszył go i skierował wszystkie głowy w tamtą stronę.

Do małej jaskini weszli Robillard i Regis.

– Znaleźliśmy ich – Regis powiedział, zanim czarodziej zdążył zacząć. Niziołek wsunął pucołowate kciuki pod krawędzie grubej wełnianej kamizelki, przybierając dumną postawę. – Weszliśmy prosto do środka, obok stróżujących ogrów i...

– Nie wiemy, czy to Sheila Kree – przerwał Robillard – lecz wygląda na to, że znaleźliśmy źródło ogrzej wyprawy łupieżczej, duży kompleks tuneli i jaskiń tuż obok morza.

– A nad wodą jest jaskinia dość duża, by mógł do niej wpłynąć okręt – szybko dodał Regis.

– Uważasz, że to Kree? – spytał Drizzt, wpatrując się w Robillarda.

– Tak bym zgadywał – Robillard odparł z zaledwie lekkim wahaniem. – Duszek Morski ścigał to, co uważaliśmy za okręt Kree na tych wodach przy więcej niż jednej okazji, a następnie po prostu go gubił. Zawsze podejrzewaliśmy, że ma ukryty port, być może jaskinię. Kompleks na końcu wąwozu na południu podtrzymuje te przypuszczenia.

– Więc tam musimy pójść – stwierdził Drizzt.

– Nie mogę was tam przenieść – wyjaśniał Robillard. – Z pewnością on jest zbyt wielki, by wisieć mi na plecach podczas lotu – powiedział wskazując na Wulfgara.

– Znasz drogę? – drow spytał Regisa.

Niziołek stanął bardzo prosto, wyglądając tak, jakby chciał zaszalutować drowowi.

– Potrafię to znaleźć – zapewnił Drizsta i Robillarda. Czarodziej skinął głową.

– Dzień marszu, nie więcej – rzekł. – Tak więc wasza droga jest jasna. Jeśli... – przerwał i popatrzył po nich po kolei, zatrzymując w końcu wzrok na Wulfgarze. – Jeśli postanowicie nie zajmować się tym teraz, Duszek Morski z chęcią powita was wiosną, gdy będziemy mogli znaleźć lepszą możliwość, by odzyskać od Sheili Kree stracony przedmiot.

– Idziemy teraz – powiedział Wulfgar.

– Z nadejściem wiosny nie będzie już żadnej Kree do ścigania – rzucił kpiąco Bruenor, po czym, aby podkreślić swoje zdanie, wyciągnął topór i stuknął nim po otwartej dłoni.

Robillard roześmiał się i pokiwał głową.

– Dobry Robillardzie – rzekł Drizzt, stając przed czarodziejem – jeśli wraz z Duskiem Morskim zobaczycie Krwawy Kil na pełnym morzu, pozdrówcie go, zanim go zatopicie. Być może to my sprowadzimy pirata do portu.

Robillard znów się roześmiał, jeszcze głośniej.

– Nie wątpię – powiedział do Drizzta, klepiąc drowa po ramieniu. – Modłę się, abyście wy nas nie zatopili, jeśli spotkamy się na otwartych wodach!

Ten serdeczny humor został doceniony, lecz nie utrzymał się długo. Robillard minął mrocznego elfa, by stanąć przed Wulfgarem.

– Nigdy cię nie polubiłem – rzucił bezceremonialnie.

Wulfgar parsknął – a raczej zaczął, lecz powstrzymał się i pozwolił czarodziejowi kontynuować. Wulfgar spodziewał się nagany, na którą zapewne zasługiwał, zważywszy na swoje czyny. Barbarzyńca wyprostował się i napiął ramiona, lecz nie wykonał żadnego ruchu, by mu przerwać.

– Lecz być może nigdy cię tak naprawdę nie poznałem – przyznał Robillard. – Być może mężczyzna, którym naprawdę jesteś, musi dopiero zostać znaleziony. Jeśli tak, i znajdziesz prawdziwego Wulfgara, syna Beornegara, to wróć, by z nami żeglować. Nawet marudny stary czarodziej, który widział zbyt wiele słońca i nawąchał się zbyt wiele soli, może zmienić zdanie.

Robillard odwrócił się, by pomachać pozostałym, lecz obejrzał się za siebie, kierując w stronę Wulfgara chytre spojrzenie.

– Jeśli ma to oczywiście dla ciebie znaczenie – powiedział, wydając się żartować.

– Ma – Wulfgar powiedział z całą powagą, tonem, który sprawił, że czarodziej zeszywniał, a przyjaciele zdumiali się.

Na twarzy Robillarda pojawiła się mina świadcząca o zaskoczeniu, lecz przyjemnym.

– A więc żegnajcie wszyscy – czarodziej rzekł z głębokim ukłonem. Zakończył przechodząc bezpośrednio i płynnie do czaru teleportacji, powietrze wokół niego spieniło się niczym wielokolorowa woda, zasłaniając jego sylwetkę.

I zniknął, a oni zostali tylko w piątkę. Jak niegdyś.

NADSTAWIANIE POLICZKA

Niebo znów poszarzało, grożąc kolejnym podmuchem zimy, lecz niezrażeni tym przyjaciele wyruszyli ze swego ostatniego obozowiska pełni nadziei i ducha, gotowi walczyć z wszelkimi przeszkodami, jakie mogą znaleźć na swej drodze. Znów byli razem i po raz pierwszy od nieoczekiwanego powrotu Wulfgara z Otchłani wydawało im się to przyjemne. Wydawało się... słuszne.

Gdy Wulfgar po raz pierwszy do nich powrócił, w lodowej jaskini na Morzu Ruchomego Lodu, w środku gwałtownej walki z demonem Errtu, była oczywiście radość, lecz w wielu aspektach było to niezręczne. Dostosowanie się do nowej rzeczywistości było szokiem i sprawdzianem. Wulfgar wrócił z grobu i wszelki żal, jaki czworo przyjaciół w sobie pielęgnowało został nagle odkryty, postanowienia zostały odrzucone na bok.

Radość doprowadziła do wielu niezręcznych, lecz wielce potrzebnych zmian, gdy przyjaciele próbowali się na nowo poznać. Doprowadziło to do katastrofy, do humorów Wulfgara, do wściekłości Wulfgara, oraz w końcu do rozwiązania Towarzyszy z Hali. Teraz jednak byli znów razem.

Wpadli w odpowiedni rytm w swym zdecydowanym marszu, Bruenor prowadził główną grupę, ryjąc szlak swym krzepkim ciałem. Regis szedł następny, obserwując górskie szczyty i prowadząc krasnoluda. Następnie kroczył Wulfgar, z ciężkim berdyszem na ramieniu, dzięki swej wysokości przepatrując szlak z przodu i po bokach.

Catti-brie, idąca kawałek z tyłu, robiła za straż końcową, szła z łukiem w dłoni, mając się na baczności i obserwując drowa, który bezustannie kroczył z boku, raz po jednej stronie, raz po drugiej. Drizzt nie przywołał Guenhwyvar z Planu Astralnego – przekazał wręcz służącą do kontroli pantery figurkę Catti-brie – ponieważ im dłużej mogli zaczekać, tym bardziej wypoczęta będzie wielka kocica. Drow miał zaś przecucie, że będzie potrzebował Guenhwyvar, zanim to wszystko się skończy.

Posuwali się w niezłym tempie do przodu, a śnieg wciąż się utrzymywał. Niedługo po południu Catti-brie dostrzegła gest dłonią wykonany przez drowa, który znajdował się z przodu i na lewo.

– Stój! – wyszeptała do Wulfgara, który przekazał komendę do przodu.

Bruenor zatrzymał się, dysząc ciężko. Zdjął topór z pleców i opuścił jego głowicę na śnieg, opierając się na odwróconej rękojeści.

– Drizzt się zbliża – powiedział Wulfgar, który mógł łatwo spoglądać ponad wałami śnieżnymi i zaspami na drodze.

– Kolejny szlak – drow wyjaśnił, gdy stanął na wale. – Przecina się z tym i biegnie na zachód.

– Powinniśmy pójść stąd prosto na południe – przypomniał Regis.

Drizzt potrząsnął głową.

– To nie jest naturalny szlak – wytłumaczył.

– Tropy? – spytał Bruenor, wydając się dość podekscytowany. – Znowu ogry?

– Inne – powiedział Drizzt, po czym wskazał im, by podążyli za nim.

Zaledwie sto metrów dalej natknęli się na drugi szlak. Był zbitym obszarem śniegu przecinającym się z ich aktualną ścieżką, biegnącym wzdłuż wzniesienia na wschód. Tam, za obszarem głębokiego, nawianego śniegu, przyjaciele ujrzeli niżej położony teren, pełen rozmokłego śniegu, z którego wciąż unosiło się trochę pary.

– Co, na Dziewięć Piekieł, to zrobiło? – spytał Bruenor.

– Polarny robal – wyjaśnił Drizzt.

Bruenor splunął, Regis zatrząsnął się, a Catti-brie stanęła bardziej prosto, mając się na baczności. Wszyscy mieli jakieś doświadczenia ze śmiertcionośnymi remorhazami, przerażającymi polarnymi robalami. Z pewnością wystarczające doświadczenia, by wiedzieć, że nie pragnęli zbytnio walczyć ponownie z jednym z nich.

– Nie chciałbym zostawiać za nami żadnego wroga – wyjaśnił drow.

– Więc myślisz, że powinniśmy pójść i walczyć z tym cholerstwem? – Bruenor spytał powątpiewająco.

Drizzt potrząsnął głową.

– Powinniśmy przynajmniej określić, gdzie jest. To, czy zabijemy stwora czy nie, będzie zależało od wielu rzeczy.

– Na przykład od tego, jak głupi naprawdę jesteśmy – mruknął pod nosem Regis. Usłyszała go tylko Catti-brie, stojąca blisko niego. Popatrzyła na niego z uśmiechem i mruknęła okiem, a niziołek jedynie wzruszył ramionami.

Nie czekając na potwierdzenie, Drizzt pobiegł wyżej, by się rozejrzeć. Był daleko przed nimi,

skradając się wzdłuż łatwiejszej ścieżki wrytej przez dziwnego i potężnego polarnego robala, bestię, która potrafiła podgrzać swój kręgosłup do takiego stopnia, by topić śnieg, oraz, przypomniał sobie drow, sprawiać, że ciało wyparowywało. Znaleźli bestię jedynie kilkaset metrów od głównej ścieżki, w płytkiej kotlinie, pożerającą ostatnią kozicę, jaka została pochwycona przez głęboki śnieg. Grzbiet potężnego stworzenia lśnił od podekscytowania zabójstwem oraz ucztą.

– Bestia nie będzie na nas zwracać uwagi – stwierdził Wulfgar. – Żerują rzadko, a gdy się nasyca, nie szukają dalszej zwierzyny.

– Racja – zgodził się Drizzt i poprowadził ich z powrotem do głównego szlaku.

Parę delikatnych płatków zaczęło w tym momencie unosić się w powietrzu, lecz Regis poprosił ich, by się nie martwili, bowiem w oddali dostrzegł szczególny szczyt górski, który sygnalizował północny kraniec Klasztornego Wąwozu.

Śnieg wciąż padał słabo, gdy piątka towarzyszy dotarła do szlaku na zboczu szczytu, a Klasztorny Wąwóz wił się na południe od nich. Regis objął dowodzenie, wyjaśniając im ogólny bieg krętego koryta, wskazując spodziewane lokalizacje strażników, z lewej i z prawej, oraz kierując ich spojrzenia daleko, daleko na południe, gdzie można było ujrzeć zwieńczony bielą szczyt jednego dużego wzgórza. Niziołek starannie narysował pozostałym to miejsce, pokazując zewnętrzną, opadającą ścieżkę biegnącą od strony morza i dalej, na wschód od tego wyróżniającego się pagórka. Owa ścieżka, jak wyjaśnił, prowadziła do przynajmniej jednych osadzonych w zboczu drzwi.

Regis popatrzył na Drizzta, skinął głową i powiedział:

– I jest jeszcze jedno, bardziej sekretne wejście.

– Myślisz, że byłoby lepiej, gdybyśmy się rozdzielili? – Bruenor spytał z powątpiewaniem niziołka. Odwrócił się, by skierować to pytanie także do Drizzta, widać było bowiem, że wzmianka Regisa wprowadziła drowa w głębokie rozmyślenia.

Drizzt zawahał się. Zwykle Towarzysze z Hali walczyli razem, ramię przy ramieniu, i zwykle z druzgocącymi rezultatami. To nie był jednak dla nich zwyczajny atak. Tym razem ruszali na solidną fortecę, miejsce bez wątplenia bezpieczne i dobrze chronione. Gdyby zdołał wejść wewnętrznymi korytarzami do jakiegoś położonego za osłonami punktu obserwacyjnego, mógłby być w stanie trochę pomóc.

– Określajmy nasz plan po jednym kroku na raz – drow rzekł w końcu. – Najpierw musimy poradzić sobie ze strażnikami, jeśli jacyś są.

– Było paru, gdy poleciałem z Robillardem – powiedział Regis. – Przynajmniej para po każdej stronie wąwozu. Nie wydawali się spieszyć do odejścia.

– A więc musimy pójść inną drogą, by ich ominąć – wtrącił Wulfgar. – Jeśli bowiem uderzymy

na bandę z jednej strony, grupa z przeciwnej strony z pewnością ostrzeże całą okolicę, zanim się do nich w ogóle zbliżymy.

– Chyba, że Catti-brie mogłaby użyć swego łuku... – Regis zaczął mówić, lecz kobieta potrząsnęła głową, spoglądając z powątpiewaniem na dystans pomiędzy wysokimi ścianami wąwozu.

– Nie możemy zostawiać za sobą tych potencjalnych wrogów – zdecydował drow. – Ja pójde na prawo, a wasza reszta na lewo.

– Ba, to głupi pomysł – parsknął Bruenor. – Możesz zabić dwóch półogrów, elfie, może nawet dwóch pełnych ogrów, lecz nie zdążysz tego zrobić tak, by nie wrzasnęli do swych kumpli.

– Więc musimy ukryć prawdę o ataku po drugiej stronie – powiedziała Catti-brie.

Gdy pozostali odwrócili się w jej stronę, zobaczyli, że ma na twarzy minę pełną determinacji. Kobieta popatrzyła na pomocny zachód.

– Robal nie jest głodny – wyjaśniła – lecz to nie znaczy, że nie możemy rozżłościć tego cholerstwa.

* * *

– Ettin? – spytał jeden z półogrych strażników po wschodniej stronie wąwozu.

Drapiąc się po zawieszanej głowie półogry wpatrywał się ze zdumieniem na mierzące ponad dwa metry stworzenie, zbliżające się w jego stronę. Miało dwie głowy i wydawało się należeć do rodziny ettinów, lecz jedna z tych głów wyglądała bardziej ludzko, z blond włosami, druga zaś miała ostre, pomarszczone rysy i gęste rude włosy oraz brodę krasnoluda.

– Huh? – spytał drugi wartownik, podchodząc do swego towarzysza.

– W pobliżu nie ma ettinów – trzeci zawołał z ciepłego miejsca przy ogniu.

– Ale ten idzie – spierał się pierwszy.

I rzeczywiście, dwugłowy stwór zbliżał się szybko, choć nie trzymał broni i nie wykonywał żadnych groźnych ruchów. Półogry mimo to podniosły własną broń i zawołały do zagadkowego stwora, by się zatrzymał.

Zrobił to, ledwie kilka kroków od nich, wpatrując się w strażników z parą zadowolonych uśmiechów.

– Czego chcesz? – spytał jeden z półogrów.

– Żebyś zszedł z drogi! – zakrzyknęła rudowłosa głowa. Żuchwy półogrów opadły nisko chwilę później, gdy wielki człowiek – bowiem był to człowiek! – odrzucił koc, a z jego ramienia zeskoczył rudobrody krasnolud, przetaczając się w lewo. Człowiek także się zerwał, biegnąc w prawo. Tuż za rozdzielającymi się intruzami, kierując się w miejsce, w którym przed momentem stali, a więc kierując się prosto na osłupiałe półogry, pędziła struga pary.

Osiłki wrzasnęły. Polarny robał przedarł się przez śnieżną czapę i podniósł, górując nad nimi.

– To nie ettin, grupki! – wrzasnął półogr przy ognisku. Z lojalnością typową dla swej dzikiej natury, zerwał się i pobiegł na południe wzdłuż skraju wąwozu, w kierunku kompleksu jaskiń.

A raczej próbował, bowiem trzy kroki dalej srebrzysta strzała, podobna do błyskawicy, ugodziła go w biodro tak, że się zachwiał. Spowolniona bestia, kulejąca i popiskująca, nie dostrzegła następnego ataku. Wpadł na nią rudobrody krasnolud, najpierw uderzając swym ciałem, a następnie zamachując się paskudnym wyszczerbionym toporem. Aby mieć pewność, krasnolud obrócił się i uderzył tak mocno tarczą w twarz osuwającego się osiłka, że odbił na jego policzku spieniony kufel.

* * *

Regis usłyszał za sobą zamieszanie i nabrał dzięki niemu otuchy, gdy przedzierał się wzdłuż skraju wąwozu po drugiej stronie, szukając uchwytów tuż pod krawędzią, poza zasięgiem wzroku wartowników. On i Drizzt zostawili tamtą trójkę, kierując się na zachodnią ścianę. Następnie Regis i drow rozdzielili się, drow poszedł od wewnątrz, od tyłu w stosunku do pozycji strażników. Regis, z planem w głowie, udał się wzdłuż ściany.

Z uśmiezku, jaki Drizzt skierował w jego stronę, zanim się rozdzielili, niziołek wywnioskował, że Drizzt zbyt wiele się po nim w walce nie spodziewał, że uważał, iż szukał tylko miejsca, by się ukryć. Regis miał jednak w głowie bardzo określony plan i dotarł już niemal do miejsca, w którym chciał go wprowadzić w życie: szerokiego nawisu z lodu i śniegu.

Przedostał się pod nim, pozostając przy skalnej ścianie, po czym zaczął go odłupywać uderzeniami swego małego buzdyganu.

Zerknął przez ramię na drugą stronę wąwozu i ujrzał, jak polarny robał znów się unosi, trzymając w pysku szamoczącego się półogra. Regis skrzywił się z sympatii dla osiłka, gdy robał odwrócił głowę i wypuścił zdobycz, przerzucając ją nad swymi rogami na lśniący, rozpalony grzbiet. Jakże półogr wił się z bólu!

Kawałek dalej Regis dostrzegł Bruenora, Wulfgara i Catti-brie, biegnących na południe, oddalających się jak najbardziej od polarnego robala oraz trzech rannych – a wkrótce martwych –

półogrów.

Niziołek znieruchomiał, słysząc zamieszanie nad sobą. Wartownicy ujrzeni, co się dzieje po drugiej stronie.

– Pomocy! – Regis zawołał po chwili i wszyscy wokół niego ucichli.

– Pomocy! – powtórzył.

Usłyszał ruch, usłyszał lekki trzask lodu i wiedział, że jeden z tych głupich osiłków wchodzi na nawis.

– Hej, ty mały szczurze! – dobiegł chwilę później ryk, gdy głowa półogra zajrzała w dół. Stwór leżał najwyraźniej na nawisie, wpatrując się z niedowierzaniem w Regisa i wyciągając po niego rękę.

– Złam się... złam się – zażądał Regis, uderzając swym buzdyganem w lód z całej siły, jaką mógł zgromadzić. Musiał przestać grzmocić i odsunąć się na bok, gdy dłoń osiłka zamachnęła się na niego, niemal go trafiając.

Półogr spełził jeszcze niżej. Lód zatrzeszczał i jęknął w proteście.

– Mam cię!

Deklaracja osiłka przeszła w skowyt zaskoczenia i przerażenia, gdy nawis oderwał się, zabierając półogra ze sobą wzdłuż ściany wąwozu.

– Teraz też? – Regis spytał oddalającą się szybko bestię.

– Ano – dobiegła niespodziewana odpowiedź z góry, a gdy Regis podniósł powoli wzrok, ujrzał spoglądającego na niego drugiego wartownika, z włócznią w dłoni i z Regisem zdecydowanie w zasięgu pchnięcia. Niziołek pomyślał, czy się nie puścić, ryzykując gwałtowną jazdą po zboczu, lecz półogr zeszywniał nagle i skoczył naprzód, po czym próbował się odwrócić, lecz został cięty przez twarz. Spadł, przelatując obok niziołka, a na jego miejscu znalazł się Drizzt, leżąc na brzuchu i wyciągając dłoń do Regisa.

Niziołek przyjął podaną dłoń i Drizzt wciągnął go na górę.

– Pięć do zera – powiedział Regis, podekscytowany że zwycięstwo było wyraźnie spowodowane dostarczonymi przez niego informacjami. – Widzisz? Dobrze policzyłem. Czterech, może pięciu, i to tam, gdzie mówiłem!

– Sześciu – sprostował Drizzt, kierując wzrok niziołka do tyłu, ku kolejnemu osiłkowi, leżącemu trupem w powiększającej się kałuży jaskrawoczerwonej krwi. – Przegapiłeś jednego.

Regis wpatrywał się w niego przez chwilę z otwartymi ustami, i wzruszył jedynie ramionami, zbity z tropu.

Przyglądając się okolicy, szybko doszli do wniosku, że nikt z tych dwóch grup nie sprawi im już żadnych kłopotów. Po drugiej stronie cała trójka była martwa, biały robał rozszarpywał ich ciała, zaś dwaj, którzy spadli z krawędzi staczali się, odbijali i lecieli z wysoka. Jeden z nich leżał zupełnie nieruchomo na dnie wąwozu. Drugi, niedaleko swego połamanego towarzysza, był głęboko zagrzebany pod stertą śniegu i lodu.

– Nasi przyjaciele pobiegli skrajem wąwozu – wyjaśnił Regis – ale nie wiem, dokąd się udali.

– Musieli odsunąć się od rozpadliny – stwierdził Drizzt, nie wyglądając na zatroskanego. Omówili taką możliwość, zanim sprowadzili białego robala z jego jadalni. Drow wskazał na dalszą część wądołu, skąd biegła spora liczba wielkich ogrów oraz półogrów. Towarzysze mieli nadzieję usunąć tych strażników nie alarmując głównej bazy, lecz od początku rozumieli, że tak właśnie może się stać – to dlatego wykorzystali białego robala.

– Chodź – Drizzt poprosił niziołka. – Dogonimy naszych przyjaciół, albo oni nas, w odpowiednim czasie. – Ruszył na południe, pozostając tak blisko skraju rozpadliny, jak pozwalała ostrożność.

Niedługo później usłyszeli przechodzący poniżej oddział ogrów, a Drizzt skierował się z powrotem do krawędzi, po czym zszedł lekko w dół i zaraz w prawo, wybierając drogę wzdłuż mniej stromej części wąwozu.

Regis prychał, parskął i szedł z trudem, lecz w jakiś sposób dotrzymywał mu kroku. Niedługo niziołek i drow stanęli na dnie parowu, oddział znajdował się daleko na północy, a pagórek mieszczący w sobie główny kompleks był tuż na południe, już było widać otwór jaskini.

– Jesteś gotów? – Drizzt spytał Regisa.

Niziołek przełknął głośno ślinę, niezbyt podekscytowany perspektywą przebywania wyłącznie z niebezpiecznym Drizstem. Zdecydowanie wolałby, żeby stali przed nim Bruenor i Wulfgar, a Catti-brie osłaniała go tym swoim śmiercionośnym łukiem, lecz było oczywiste, że Drizzt nie zamierza przepuścić okazji, by wejść prosto do leża wrogów.

– Prowadź – Regis usłyszał swój głos, choć nie mógł uwierzyć, że te słowa wydobywają się z jego ust.

* * *

Czworo przywódców bandy Sheili Kree wyszło jednocześnie ze swych pokojów, słysząc wrzaski

z dołu i spoza głównego kompleksu.

– Chogurugga wysłała grupę, by sprawdzić, co się dzieje – Bellany poinformowała pozostałych. Pokój zaklinaczki wychodził na północ, w stronę zamieszania, i mieściły się w nim drzwi na zewnątrz.

– Idź zrobić to samo – powiedziała jej Sheila Kree. – Weź swoją szpiegowską misę i sprawdź, co na nas idzie.

– Słyszałam wrzaski o białym robalu – odparła zaklinaczka.

Sheila Kree potrząsnęła głową, a jej ogniecie czerwone włosy załopotwały dookoła.

– Zbyt dogodne – mruknęła wybiegając z pokoju i pędząc krętym, pochyłym korytarzem, prowadzącym do komnaty Choguruggi oraz Blooga, z Jule Pepper tuż za sobą.

Le'lorinel nie ruszył się jednak, stał jedynie w korytarzu, kiwając porozumiewawczo głową.

– Czy to drow? – spytała Bellany.

Elf uśmiechnął się i wycofał z powrotem do swego prywatnego pokoju, zatraskując drzwi.

Stojąc sama na wspólnym obszarze, Bellany potrząsnęła tylko głową, wzięła głęboki oddech i rozważyła możliwości. Co robić, jeśli okaże się, iż to Drizzt Do'Urden i Towarzysze z Hali idą teraz przeciwko nim. Zaklinaczka miała nadzieję, że to rzeczywiście biały robal wywołał to zamieszanie, nieważne, jakie byłyby koszty odegnania potwora.

Wróciła do swej komnaty i zaczęła szykować czary wieszczące, zamierzając spojrzeć na niespokojną okolicę na pomocy, oraz do Morika, by sprawdzić, wobec kogo tak naprawdę jest lojalny.

* * *

Kilka chwil później Le'lorinel wyslizgnął się od siebie i skierował w tę samą stronę, co wcześniej Sheila i Jule.

Komnata Choguruggi znajdowała się w całkowitym chaosie, dwóch wielkich towarzyszy ogrzycy miotało się, przywdziewając części zbroi i trzymając ciężką broń. Chogurugga stała cicho z boku groty przed otwartą szafą, której półki wypełnione były buteleczkami z eliksirami. Chogurugga przeżuwała po jednej na raz, część chowała do kieszeni, a inne rozdzielała na dwie kupki.

W tylnej części pomieszczenia Bloog leżał w hamaku, zwieszając nogi z obydwu jego stron. Jeśli rozleniwiony osiłek był choć trochę zatroskany zamieszaniem, nie pokazywał tego.

Le'lorinel podszedł do niego.

– On cię znajdzie – elf ostrzegł. – Zostało przepowiedziane, że drow przyjdzie po młot bojowy.

– Drow? – spytał wielki ogr. – Żaden cholerny drow. Biały robal.

– Być może – Le'lorinel odparł, wzruszając ramionami i spoglądając w sposób, który powiedział wyraźnie Bloogowi, iż elf nie sądził, by całe to zamieszanie zostało wywołane przez to stworzenie.

– Drow? – zapytał ogr, nagle wydając się znacznie mniej pewny siebie.

– Znajdzie cię.

– Bloog go zmiążdży! – wrzasnął ogr, wstając, a przynajmniej próbując, choć ruch niemal wyrzucił go z niestabilnego hamaka. – Nikt nie bierze nowego młota Blooga! Zmiążdży go!

– Zmiążdży kogo? – Chogurugga zawołała z drugiej strony. Ogrzyca skrzywiła się, widząc Le'lorinela blisko Blooga.

– Nie będzie tak łatwo, potężny Bloogu – wyjaśnił elf, wymownie nie zwracając uwagi na paskudną Choguruggę. – Chodź, mój przyjacielu. Pokażę ci, jak najlepiej pokonać mrocznego elfa.

Bloog przeniósł wzrok z Le'lorinela na swą wykrzywioną partnerkę, a później z powrotem na delikatnego elfa. Z miną mówiącą Le'lorinelowi, iż był równie zainteresowany zdenerwowaniem Choguruggi, co dowiedzeniem się, czego tylko mógł o drowie, ogromny ogr wy dostał się z hamaka i dźwignął Aegis-fanga na ramię. Potężna broń wydawała się mniejsza przy rozmiarach stwora i jego mięśniach, wyglądała bardziej na młot stolarski.

Zerknąwszy ostatni raz na Choguruggę, tylko by upewnić się, że nieprzewidywalna ogrzyca nie szykowała się do szarży, Le'lorinel wyprowadził Blooga z komnaty. Poszedł z nim z powrotem na górę, kierując się na pomocny kraniec następnego poziomu i pukając mocno do drzwi Bellany.

– Co on tu robi? – zaklinaczka spytała, odpowiedziawszy po kilku minutach na pukanie. – Sheili się to nie spodoba.

– Czego się dowiedziałas? – spytał Le'lorinel. Po twarzy Bellany przemknęła chmura.

– To więcej niż biały robal – potwierdziła. – Widziałam krasnoluda i wielkiego mężczyznę szybko zbliżających się do naszych pozycji.

– Zapewne Bruenor Battlehammer i Wulfgar – odrzekł Le'lorinel. – A co z drowem?

Bellany wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

– Jeśli oni przyszli, to Drizzt Do'Urden także – nalegał Le'lorinel. – Tamta walka ma zapewne odwrócić uwagę. Przyjrzyj się bliżej!

Bellany wykrzywiła twarz, lecz Le'lorinel nie wycofał się.

– Drizzt Do'Urden może już być w kompleksie – dodał elf. To usunęło złość z twarzy Bellany i weszła z powrotem do swego pokoju, zamykając drzwi. Chwilę później Le'lorinel usłyszał, jak rzuca czar i obserwował z uśmiechem, jak drewno drzwi Bellany wydaje się lekko wypaczać, dopasowując się ściśle do framugi.

Walcząc ze sobą, by nie rozeźmiać się głośno, choć zdenerwowany jak nigdy dotąd, Le'lorinel wskazał Bloogowi, by poszedł za nim i skierował się do innych drzwi.

* * *

Regis przysunął swą anielską twarz do skały i nie śmiał oddychać. Usłyszał gwar kolejnej pary osiłków, wraz z warkotem bardziej ludzkiego głosu, gdy przechodzili obok niego oraz Drizztą, kierując się w górę wąwozu, by sprawdzić, co z ich kompanami.

Niziołek nabrał trochę otuchy z faktu, że Drizzt ukrywa się tuż obok niego – dopóki nie obrócił głowy i nie stwierdził, że drow zniknął.

W Regisie zawrzała panika. Słyszał tuż za sobą przeklinającą trójkę wrogów.

– Zbyt cholernie zimno, by ścigać cienie! – warknął człowiek.

– Wielkie robalstwo – powiedział jeden z ogrów.

– I to robi go lepszym? – człowiek spytał sarkastycznie. – Zostawić to paskudztwo, a samo odpelźnie!

– Wielki robal zabił Bonko! – drugi ogr rzekł z oburzeniem.

Człowiek zaczął odpowiadać – zapewne, by zlekceważyć ważność martwego ogra, jak zdał sobie sprawę Regis – lecz najwyraźniej przemyślał to i tylko zaklął pod nosem.

Przeszli tuż obok niziołka, a gdyby podeszli bliżej, otarliby się o regisowe tylne partie.

Niziołek nie był w stanie odetchnąć spokojnie, dopóki ich głosy nie ucichły zdecydowanie, i wciąż stał tam w cieniu, trzymając się ściany.

– Regis – dobiegł szept, a gdy odniósł wzrok, ujrzał Drizzta na półce skalnej nad sobą. – Chodź i to szybko. Droga do jaskini jest czysta.

Zebrawszy całą odwagę, jaką tylko mógł znaleźć, niziołek wdrapał się, ujmując podaną przez drowa dłoń. Przemknęli wzdłuż wąskiej grani, za osłoną ściany głazów, na skraj dużej jaskini.

Drizzt rozejrzał się, po czym wbiegł do środka, ciągnąc Regisa za sobą.

Niedługo później jaskinia zwęziła się w tunel biegnący prosto i rozgałęziający się w dwóch lub trzech miejscach. Powietrze było zadymione od wiszących na ścianach w nieregularnych odstępach pochodni, których tańczące płomienie oświetlały korytarz, rzucając wydłużające się i skrcające cienie.

– Tędy – powiedział Regis, prześlizgując się obok drowa na jednym z rozwidleń i skręcając w lewo. Próbował przypomnieć sobie wszystko, co Robillard powiedział mu o tym miejscu, bowiem czarodziej starannie obejrzał teren, a nawet znalazł drogę kawałek w głąb kompleksu.

Grunt w niektórych miejscach się obniżał, w innych podnosił, choć generalnie schodzili. Przeszli przez ciemniejsze pomieszczenia, w których nie było pochodni, oraz przez inne komnaty, wypełnione stalagmitami, z powodu których droga się wiła, oraz stalaktytami, spoglądającymi na nich groźnie z góry. Na ścianach widniało wiele półek skalnych, zawijających się z powrotem we wspaniałe formacje skalne lub z pasmami wygładzonej przez wodę skały, która wydawała się płynąć. Wiele mniejszych tuneli odchodziło pod każdym możliwym kątem.

Wkrótce Regis zwolnił, a przed nimi słychać było wyraźnie gardłowy głos. Niziołek odwrócił się do Drizzta, z niepokojem na twarzy. Wskazał wymownie w przód, gdzie korytarz skręcał w lewo i z powrotem w prawo, wznosząc się stopniowo.

Drizzt zrozumiał sygnał i wskazał Regisowi, by zaczekał chwilę, po czym wślizgnął się w cienie, poruszając się z taką gracją, szybkością i ciszą, że Regis zamrugał kilkakrotnie, zastanawiając się, czy jego przyjaciel po prostu nie zniknął. Zaraz jednak, gdy zdumienie osłabło, niziołek przypomniał sobie, gdzie jest i zwrócił uwagę na fakt, że jest sam. Szybko czmychnął w cienie z boku.

Drizzt wrócił po krótkiej chwili, ku ogromnej uldze Regisa, z uśmiechem pokazującym, że znalazł szukane miejsce. Drizzt poprowadził go wokół zakrętu i w górę krótkiego podejścia, a następnie po kilku stopniach, które były częściowo naturalne, częściowo wykute, do jaskini, która rozszerzała się w lewo wzdłuż poszarpanego, kamienistego podwyższenia, sięgającego drowowi do piersi.

Głosy były teraz znacznie bliższe, tuż przed nimi i za następnym zakrętem. Drizzt skoczył w lewo, następnie wyciągnął rękę i przyciągnął Regisa do siebie.

– Dużo luźnych kamieni – drow wyjaśnił cicho. – Bardzo uważaj.

Skradali się po rozleglejszym obszarze, trzymając się tak blisko ściany, jak to tylko było możliwe, dopóki nie doszli do miejsca oczyszczonego z kamiennego gruzu. Drizzt przykucnął tam przy ścianie i wsunął dłoń do małej niszy, po czym wyciągnął, pocierając o siebie palcami.

Regis przytaknął porozumiewawczo. Popiół. To był naturalny komin, który Robillard opisał mu podczas lotu powrotnego, a który on opisał następnie Drizztowi.

Drow wszedł pierwszy, zginając swe ciało, by dopasować je dokładnie do wąskiego otworu. Zanim zdołał się w ogóle zastanowić, co go czeka, zanim zdołał zebrać odwagę, Regis usłyszał za sobą liczne głosy, poruszające się korytarzem z tyłu.

Wszedł do środka, w absolutny mrok, przesuając dłonie i znajdując uchwyty, na ślepo posuwając się za drowem.

* * *

Drizzt poczuł się nagle tak, jakby znalazł się z powrotem w Podmroku, w krainie łowcy, gdzie wszystkie jego zmysły musiały pozostawać na skraju perfekcji, jeśli miał mieć jakieś szansę na przeżycie. Usłyszał nagle tak wiele dźwięków: dalekie kapanie wody, zgrzyt kamienia o kamień, okrzyki z dołu i z oddali, przenikające przez szczeliny w skale. Wręcz czuł te odgłosy wrażliwymi opuszkami palców, gdy przesuwał się dalej kominem, zwalniając tylko dlatego, że rozumiał, iż Regis nie był w stanie dotrzymać mu kroku. Drizzt, stworzenie Podmroku, gdzie naturalne kominy były rzeczą powszechną, gdzie nawet niezły nocny wzrok niziołka byłby całkowicie bezużyteczny, mógł wspinać się tym wąskim kominem równie szybko, jak Regis mógłby biec po oświetlonej gwiazdami łące.

Drow zachwycał się fakturą skały, wyczuwając życie tego wzgórza, niegdyś pełnego pędzącej wody. Gładkość krawędzi czyniła wspinaczkę wygodniejszą, a ściany były wystarczająco nierówne, by owa gładkość nie utrudniała wchodzenia.

Przesuwał się cicho, ostrożnie.

– Drizzt – usłyszał pod spodem szept i zrozumiał, że Regis utknął.

Drow cofnął się, opuszczając nogę, by Regis mógł się jej złapać.

– Powinienem być zostać z innymi – niziołek wyszeptał, gdy przedostał się w końcu przez trudny odcinek.

– Nonsens – stwierdził drow. – Czuj życie otaczającej cię góry. – Znajdziemy sposób, by przydać

się tutaj naszym przyjaciółom, być może w sposób kluczowy.

– Nawet nie wiemy, czy tutaj rozpocznie się walka.

– Nawet jeśli nie, nasi wrogowie nie będą spodziewać się nas tutaj, za swoimi plecami. Chodź dalej.

I poszli wyżej i wyżej w głąb góry. Wkrótce usłyszeli dudniące głosy wielkich humanoidów, coraz głośniejsze w miarę ich wspinaczki.

Od komina odchodził krótki, lekko opadający tunel. Dochodziło z niego ciepło i stamtąd właśnie dobiegały wyraźnie te głosy.

Drizzt zaczekał, aż Regis zrówna się z nim w tym szerszym miejscu, po czym ruszył bocznym korytarzem, dochodząc do otworu nad nisko płonącymi węglami wielkiego paleniska.

Wylot tego kominka znajdował się trochę wyżej niż dno zakręcającego tunelu, tak więc Drizzt mógł zajrzeć do rozciągającego się dalej wielkiego pomieszczenia, gdzie troje ogrów, w tym jedna egzotyczna, fioletowoskóra kobieta, miotali się dookoła, przypinając pasy i sprawdzając broń.

Z boku komnaty Drizzt wyraźnie ujrzał inny mocno wydeptany korytarz, wznoszący się w górę. Drow wycofał się do miejsca, w którym czekał Regis.

– W górę – wyszeptał.

Zatrzymał się i wyciągnął bukłak, po czym zmoczył górę swej koszuli i naciągnął ją na dolną połowę twarzy, by ustrzec się przed dymem. Pomógłszy Regisowi zrobić to samo, Drizzt ruszył dalej.

Zaledwie sześć metrów wyżej dotarli do swoistego skrzyżowania. Główny komin szedł dalej w górę, lecz pięć bocznych korytarzy odchodziło od niego na różnych wysokościach i pod różnymi kątami, z niektórych dochodziły ciepło i dym – te boczne tunele były wyraźnie wykute i wykończone dłońmi mniejszymi niż te ogrów.

Drizzt wskazał Regisowi, by cicho szedł za nim, po czym popęzł tunelem, który uznał za prowadzący najbardziej bezpośrednio na północ.

Ogień w kominku płonął mocniej, choć na szczęście drewno nie było zbyt mokre i nie unosiło się z niego wiele dymu. Poza tym kąt, pod jakim szyb odchodził od kominka, był bardziej stromy, więc Drizzt nie mógł zajrzeć do pomieszczenia.

Drow poświęcił chwilę na związanie z tyłu swych długich włosów i zmoczenie ich, po czym przyklęknął, wziął głęboki oddech i ruszył głową naprzód, pełznąc szybem niczym pająk dopóki nie był w stanie wychylić twarzy spod górnej krawędzi kominka. Płomienie paliły się niezbyt nisko pod nim, a iskry unosiły się w górę żądłąc go.

Ten pokój wyglądał zupełnie inaczej niż komnata ogrów poniżej. Był pełen niezłych mebli oraz dywanów, było tu też zbytkowne łóżko. Po drugiej stronie znajdowały się drzwi, częściowo otwarte i prowadzące do innego pomieszczenia.

Drizzt nie był w stanie zbyt wiele tam ujrzeć, lecz dostrzegł kilka stołów pokrytych sprzętami, jakie można by znaleźć w warsztacie alchemicznym. Za tym drugim pokojem majaczyły jeszcze jedne drzwi, wyglądające na cięższe i wokół których wзираło światło dnia.

Był zaintrygowany, lecz nie miał czasu, musiał się bowiem cofnąć przed intensywnym gorącem.

Wrócił do Regisa przy rozwidleniu i opisał mu, co widział.

– Powinniśmy wyjść na zewnątrz i spróbować dostrzec pozostałych – zasugerował niziołek, a Drizzt kiwał właśnie twierdząco głową, gdy usłyszeli echo głośnego głosu dobiegające z jednego z innych bocznych tuneli.

– Bloog miażdży! Nikt bierze nowy młot Blooga!

Drow ruszył, a Regis szedł tuż za nim. Dotarli do kolejnego stromego szybu przy kolejnym kominku, tym razem ledwo co się palącego. Drizzt odwrócił się i wysunął głowę.

Stał tam ogr, gigantyczna, ohydna i rozwścieczona bestia, wymachująca trzymanym jednorącz Aegis-fangiem. Z tyłu, przemawiając do ogra kojącym tonem, stał szczupły elfi miecznik.

Nawet nie czekając na Regisa, drow opuścił się do paleniska, stając przez chwilę okrakiem nad węglami, po czym wszedł śmiało do pokoju.

* * *

Troje przyjaciół biegło jak najszybciej wzdłuż grani, zbaczając od krawędzi, gdy usłyszeli gwar ogrzych posiłków wypadających ze wzgórza poniżej. Musieli zboczyć jeszcze dalej od prostej ścieżki, gdy druga grupa bestii wyłoniła się z pagórka ponad granią, pędząc przez śnieg.

– Na pewno jeszcze wielu jest w środku – stwierdziła Catti-brie.

– Tym większy powód, by wejść! – warknął Bruenor.

– Drizzt i Regis zbliżają się pewnie, jeśli już nie weszli – dodał Wulfgar.

Kobieta, z łukiem w dłoni, wskazała naprzód.

– Wezwiesz kota? – spytał Bruenor.

Catti-brie zerknęła na swój pas, gdzie wsunęła figurkę Guenhwyvar.

– Gdy się zbliżymy – odpowiedziała. Bruenor skinął jedynie głową, wyraźnie jej ufając, i pobiegł za Wulfgarem.

Znajdujący się w przedzie Wulfgar uchylił się nagle, gdy kolejny ogr skoczył ze wzgórza, przez krótką szczelinę na grań, osiłek pędził na niego zamachując się potężnie ciężką maczugą.

Uchyliwszy się z łatwością, Wulfgar kopnął i ciał, wyzynając głęboką szramę w łopatce osiłka. Ogr zaczął się odwracać, lecz nagle zatoczyło nim gwałtownie do przodu, gdy Bruenor zaatakował silnie, wbijając swój topór w rzepekę kolanową osiłka.

Upadł wyjąc.

– Dobij go, dziewczyno! – zażądał Bruenor, przebiegając obok i pędząc do wzgórza. Krasnolud zatrzymał się jednak gwałtownie, plany pokrzyżowała mu rozpadlina oddzielająca wzgórze od zbocza, zbyt szeroka, by mógł ją przeskoczyć.

Następnie Bruenor musiał rzucić się na bok, gdy przemknął obok niego kamień, ciśnięty skądś wzdłuż krawędzi pagórka, dokładnie ponad nim.

Wulfgar minął go wrzeszcząc „Tempus!” i wykonując skok przez szczelinę. Barbarzyńca wpadł na kamienie, lecz wspiął się szybko na wąski szlak wijący się po stromym zboczu.

– Mogłeś mnie najpierw przerzucić – mruknął Bruenor, po czym znów się rzucił na bok, gdy obok przemknął następny głaz.

Krasnolud znalazł drogę, która zaprowadzi go na krętą ścieżkę, lecz wiedział, że do tego czasu będzie daleko za Wulfgarem.

– Dziewczyno! Potrzebuję cię! – zawył.

Odwrócił się i ujrzał, jak powalony ogr znów zadrzał, gdy kolejna strzała wbiła się głęboko w jego czaszkę.

Catti-brie podbiegła, padając na jedno kolano i wypuszczając strumień strzał w ukrytego miotacza. Osiłek znów się wychylił, trzymając głaz wysoko nad głową, lecz cofnął się, gdy obok świsnęła strzała.

Catti-brie i Bruenor usłyszeli odgłosy walki, gdy Wulfgar dotarł do osiłka. Krasnolud pobiegł, a Catti-brie upuściła onyksową figurkę na ziemię, przywołując kocicę, po czym znów zapędziła swój łuk do pracy.

Bowiem na półce skalnej wysoko nad Wulfgarem pojawiło się nowe zagrożenie, grupa łuczników

strzelających, zamiast ciskać kamieniami.

* * *

– Czy to oni? – spytał Morik Łotr, popychając nie poddające się drzwi prywatnej komnaty Bellany. Popatrzył na wypaczone drewno i zrozumiał, że zaklinaczka zablokowała je za pomocą magii. – Bellany?

W odpowiedzi drzwi wydały się odetchnąć i wróciły do normalnego rozmiaru, a Morik wszedł do środka.

– Bellany?

– Sądzę, że twój przyjaciel i jego towarzysze przybyli odzyskać młot – dobiegł głos z prawej strony Morika. Niemal wyskoczył z butów, nie widział bowiem stojącej przed nim kobiety.

– Czarodzieje – mruknął, gdy się uspokoił. – Gdzie jest Sheila Kree?

Nie rozległa się żadna odpowiedź.

– Czy właśnie wruszyłaś ramionami? – domyślił się łotrzyk. Chichot Bellany powiedział mu, że tak.

– A co z tobą? – zapytał Morik. – Będziesz się tu chować, czy dołączysz do walki?

– Sheila poleciła mi wysledzić źródło zamieszania, tak więc zrobiłam – odrzekła niewidoczna zaklinaczka.

Na twarzy Morika rozkwitł uśmiech. Zrozumiał, co oznaczała zagadkowa odpowiedź Bellany. Czekala, by zobaczyć, kto wygra, zanim zdecyduje, co zrobić. Szacunek łotrzyka dla zaklinaczki wzrósł znacznie w tej chwili.

– Masz jeszcze jedno takie zaklęcie? – spytał. – Dla mnie? Bellany zaczęła rzucać czar, zanim jeszcze skończył to pytanie. Po kilku chwilach Morik również zniknął.

– Tylko drobne zaklęcie – wyjaśniła Bellany. – Nie utrzyma się długo.

– Wystarczająco długo, żebym znalazł jakąś ciemną dziurę, by się schować – odpowiedział Morik, lecz urwał szybko, słysząc odgłosy z zewnątrz, ze zbocza górskiego.

– Walczą na ścieżce – wytłumaczyła zaklinaczka.

Chwilę później Bellany usłyszała skrzypnięcie w drugim pokoju i zobaczyła, że światło się rozjaśniło, gdy Morik wyszedł przez drzwi zewnętrzne. Zaklinaczka przeszła na bok komnaty, po czym usłyszała okrzyk zaskoczenia z przeciwnej strony ściany – z pokoju Le'lorinela.

ŚLEPA ZEMSTA

– Zmiażdżyć! Zmiażdżyć – ryknął wielki ogr, zwracając się do elfa i wymachując Aegis-fangiem.

– Potnę, potnę – dobiegła uwaga zza osiłka, tak że obrócił się zaskoczony. – Huh?

Elf przeszedł tak, by stanąć obok ogra i zastygł w miejscu, wpatrując się uważnie w szczupłą ciemną sylwetkę, która weszła do pokoju.

Drizzt powoli podniósł rękę i ściągnął zmoczoną koszulę z twarzy. Ogr zachwiał się, wybałuszając oczy, lecz drow już nawet na niego nie patrzył. Wpatrywał się bacznie w elfa, na parę niebieskich, przetykanych złotem oczu wyglądających na niego z otworów w cienkiej masce, spoglądających na niego z niepokojącą znajomością! żarliwą nienawiścią.

Ogr wyjąkał jeszcze kilka słów, wypalając w końcu:

– Drow!

– I nie przyjaciel – powiedział elf. – Zmiażdż go.

Drizzt, wciąż trzymając sejmitary w pochwach, wpatrywał się jedynie w elfa, próbując określić, gdzie wcześniej widział te oczy, gdzie wcześniej widział tego elfa. I w jaki sposób wiedział on od razu, że był wrogiem, niemal jakby się go spodziewał?

– Przyszedł zabrać twój młot, Bloogu – elf rzekł kusząco.

Ogr rzucił się do działania, jego ryk wstrząsnął kamiennymi ścianami. Chwycił oburącz młot i zamachnął się potężnie na drowa. A raczej próbował, bowiem odchylony do tyłu Aegis-fang uderzył mocno w niski strop, odłamując kamień, który spadł Bloogowi na głowę.

Drizzt nie poruszył się, nie zdjął baczego spojrzenia z elfa, który nie wykonywał żadnych kroków przeciwko niemu, a nawet w jego stronę.

Bloog znów zaryczał i pochylił się lekko. Znów próbował zmiażdżyć drowa, tym razem młot minął strop i wykonał straszliwe uderzenie.

Drizzt, stojący trochę z boku, podskoczył i wykonał długie salto w kierunku ogra, lądując w obrębie ciosu. W chwili, gdy się kręcił, wyciągnął swe sejmitary, po czym wylądował lekko i

wpadł na Blooga, wykonując kilka pchnięć i jedno cięcie, zanim uniknął w stronę przeciwną niż elf.

Ogr z łatwością cofnął Aegis-fanga jedną ręką, drugą zaś próbował złapać drowa.

Drizzt był na to za szybki, a gdy Bloog wyciągnął za nim rękę, drow, który cofał się i wciąż patrzył na ogra, wyprowadził podwójne cięcie w wysuniętą dłoń.

Bloog zawył i przyciągnął skrwawioną rękę, lecz rzucił się naprzód w nagłej i druzgocącej szarży, wymachując szaleńczo Aegis-fangiem.

Drizzt padł na podłogę, rzucił się naprzód, podniósł i przeokoziłkował obok cielska ogra, uzyskując paskudne podwójne cięcie w tylną część biodra Blooga. Zatrzymał się jednak szybko i cofnął, spodziewając się szarży ze strony elfa, który trzymał już wspaniały miecz i sztylet.

Elf jednak tylko się z niego roześmiał i dalej patrzył.

– Bloog cię miażdży! – ryknął uparty ogr, odbijając się od ściany i nacierając znów na Drizzta.

Aegis-fang świsnął w prawo i w lewo, lecz Drizzt wszedł już całkowicie w tryb walki, zdecydowanie nie lekceważąc tego potwora – nie gdy miał on w swym posiadaniu Aegis-fanga i nie po tym, jak niemal przegrał z mniejszym ogrem przy wieży.

Drow uchylił się przed pierwszym zamachem, następnie przed drugim i przy obydwu razach drow zdołał uzyskać kilka małych użądleń w wielkie przedramiona ogra.

Bloog znów się zamachnął, a Drizzt ponownie padł na podłogę. Aegis-fang grzmotnął o kamienie paleniska, wywołując zdumiony pisk Regisa – który wciąż znajdował się w kominie – oraz grymas strachu Drizzta.

Drizzt ruszył mocno naprzód, lecz ogr nie cofnął się przed bliźniaczymi, wykonującymi pchnięcia sejmitarami, akceptując trafienia w zamian za czysty cios w drobną głowę drowa.

Świszczący zamach na odlew Aegis-fangiem, biegnący na bok i w dół, niemal trafił Drizzta, niemal roztrzaskał mu czaszkę na kawałeczki.

Znów pchnął i to mocno, po czym umknął na bok, lecz ogr nie wydawał się ranny, choć krew płynęła mu z licznych zranień.

Drizzt zastanawiał się, ile razy będzie musiał trafić, by powalić tego potwora.

Drizzt zastanawiał się, ile miał czasu, zanim inni pospieszą temu ogrowi na pomoc.

Drizzt zastanawiał się, kiedy ten elf, wyglądający na tak pewnego siebie, zdecyduje się przyłączyć.

Wrzeszcząc do Tempusa, swego boga bitwy, dawnego przewodnika w życiu wojownika, syn Beornegara pędził krętym szlakiem. Czasami ścieżka była otwarta z prawej strony, a czasami blokowały ją niskie kamienne ściany. Czasami góra po lewej była stroma i gładka, innym razem wznosiła się lekko, dając mu lepszy widok na wzgórze.

I dając strażnikom kryjącym się między głazami w górze lepszy widok na niego.

Wulfgar biegł jednak dalej, docierając do miejsca, w którym ścieżka wyrównywała się. Za zakrętem, na platformie, usłyszał ogrzego miotacza głazów. Pomodliwszy się cicho do Tempusa, barbarzyńca rzucił się prosto do natarcia, rycząc, gdy osiłek go zobaczył, uchylając się, gdy zaskoczony ogr rzucił w niego kamieniem.

Widząc, że głaz przelatuje nad celem, ogr sięgnął po ciężką maczugę, lecz Wulfgar był zbyt szybki, by osiłek mógł przygotować broń. Poza tym barbarzyńca był zbyt rozwścieczony, zbyt żądny walki, tak więc ogr otrzymał uderzenie berdyszem. Broń trafiła ze straszliwą siłą, wbijając się głęboko w pierś ogra, rzucając nim na ścianę, po której osunął się w ostatnich chwilach życia.

Kiedy jednak Wulfgar odskoczył, zrozumiał, że jest w opałach. Zadając to potężne uderzenie poczuł bowiem, jak rękojeść berdysza pęka. Nie rozszczepiła się całkowicie, lecz Wulfgar wiedział, że trwałość broni została poważnie naruszona. Co gorsza, głaz w tylnej części platformy przesunął się nagle na bok, odsłaniając wyjście. Wyłonił się stamtąd kolejny półogr, rycząc i szarżując. Obok niego wyszedł niski i ohydny mężczyzna, za nimi zaś rudowłosa, potężnie wyglądająca kobieta.

Strzała odbiła się od kamienia tuż obok wycofującego się barbarzyńcy i zrozumiał, że na tym odsłoniętym obszarze będzie musiał trzymać się bliżej górskiego zbocza.

Skierował się na półogra, po czym zatrzymał się gwałtownie, gdy osiłek opuścił głowę oraz bark i próbował go staranować. Jakże Wulfgar cieszył się w tej chwili, że był szkolony przez Drizzta Do'Urdena, że poznał subtelności i mądrość wykonanego pod odpowiednim kątem odbicia, zamiast otrząsać się po każdym trafieniu i odpowiadać podobnym. Przesunął się o jeden krok na bok, pozostawiając nogę przed pozbawionym równowagi osiłkiem, po czym obrócił się, gdy półogr przemykał obok, wbijając drzewce broni za pachą półogra i napierając z całej siły.

Wulfgar odetchnął lekko, gdy osiłek potoczył się do przodu, przelatując nad krawędzią platformy i turlając się w dół po kamieniach. Nie wiedział, jak nisko po zboczu może spaść, lecz rozumiał, że przynajmniej był na jakiś czas wyłączony z walki.

I dobrze, ponieważ ludzki pirat był już przy nim, wykonując pchnięcie paskudnym mieczem, a Wulfgar musiał się bardzo starać, by utrzymać to żądłace ostrze w odpowiedniej odległości. Co gorsza, dołączyła się rudowłosa kobieta, posługując się wspaniale swym mieczem, omijając

blokujący berdysz i diabelskim pchnięciem zmuszając Wulfgara do wycofania się.

Była dobra. Wulfgar dostrzegł to od razu. Wiedział, że jeśli ma mieć jakąś nadzieję, musiał wykorzystać całą swą energię. Tak więc barbarzyńca zaryzykował, wychodząc o krok do przodu i przyjmując lekkie pchnięcie od mężczyzny z boku.

Owo pchnięcie miało jednak niewielką energię, bowiem gdy mężczyzna zaczął atakować, Wulfgar zdjął ze swej broni prawą dłoń i wykonał nią cios, trafiając pirata w twarz w chwili, gdy zaczynał się uśmiechać. Zanim jego miecz zdołał wbić się głęboko w bok barbarzyńcy, pirat został odrzucony, przewracając się na kamienie.

Tak więc zostali Wulfgar i Sheila Kree – Wulfgar rozpoznał, że to ona właśnie była przywódczynią piratów. Jakże żałował, że nie trzymała Aegis-fanga zamiast tego ostrego miecza. Jakże chciałby przyzwać w tej chwili młot z jej dłoni, by obrócić go przeciwko niej!

Tak jednak nie było, a barbarzyńca musiał starać się usilnie trzymać wojowniczą piratkę poza zasięgiem ciosu, bowiem Sheila zdecydowanie nie była nowicjuską w walce. Wykonała pchnięcie i cięcie, zatoczyła pełen obrót i skierowała miecz w szyję Wulfgara. Barbarzyńca odkrył, że został zepchnięty z powrotem na otwarty teren i otrzymał kolejne trafienie, gdy strzała wbiła mu się ramię.

Sheila uśmiechnęła się.

Wielki ogr wyłonił się z otworu w zboczu. Z góry dobiegł następny ryk, a jeszcze jeden zza Wulfgara – wiedział, że wraca ogr, którego zepchnął.

– Potrzebuję was! – zdesperowany barbarzyńca krzyknął do swych przyjaciół, lecz wiatr pozbawił ten krzyk siły.

Wiedział, że Catti-brie i Bruenor, gdziekolwiek nie byli, zapewne go nie słyszeli. Poczul jak berdysz pęka mu jeszcze bardziej w dłoni i sądził, że broń złamie mu się przy następnym trafieniu.

Znów napał do przodu, przemykając w lewo, starając się opóźnić wejście ogra do walki tak długo, jak to było możliwe. Wtedy jednak ujrzał jeszcze jedną sylwetkę wyłaniającą się z otworu, kolejnego ludzkiego pirata, jak się zdawało, i wiedział, że jest zgubiony.

* * *

Drizzt trafiał raz za razem, używając ciasnej przestrzeni i niskiego stropu przeciwko wielkiemu ogrowi. Drow wiedział, że ten przeciwnik okazałby się znacznie trudniejszy na otwartym terenie, zwłaszcza z Aegis-fangiem w dłoni. Tutaj jednak, gdy już określił prędkość ogra, drow był zbyt szybki i zbyt doświadczony.

Na ryczącym Bloogu otwierała się rana za raną i ogr zaczął wołać do elfa, by doskoczył do niego i pomógł.

I elf rzucił się do przodu, zaś Drizzt przygotował nową strategię, jaką właśnie wymyślił, by zatrzymać ogra pomiędzy sobą a tym najnowszym przeciwnikiem. Zanim jednak drow zdołał ją wprowadzić w życie, ogr szarpnął się gwałtownie. Nowa i głębsza rana pojawiła się za biodrem Blooga, a elf uśmiechnął się paskudnie.

Drizzt popatrzył na elfa ze zdumieniem, podobnie jak ogr.

Elf zaś szybko wbił miecz ponownie. Ogr zawył i obrócił się, lecz Drizzt był już przy nim, wbijając swój sejmitar głęboko w nerkę bestii.

I tak to trwało: dwaj wyszkoleni wojownicy dźgali, zaś biedny Bloog obracał się to w jedną, to w drugą stronę, nie mogąc się otrząsnąć z początkowego zaskoczenia i z głębokich ran.

Wkrótce wielki ogr padł ciężko na podłogę i znieruchomiał.

Drizzt stał wpatrując się w elfa ponad jego ogromnym ciałem. Czubki jego sejmitarów opadły ku podłodze, lecz miał je w gotowości, nie będąc pewien motywacji i zamiarów tamtego.

– Być może jestem przyjacielem – powiedział elf tonem, w którym brzmiała kpina i nieszczerość. – Albo może po prostu sam chciałem cię zabić i znudziły mnie żalosne wysiłki Blooga.

Drizzt zaczął zataczać koło, podobnie jak elf, poruszając się wokół ciała Blooga, używając go jako przeszkody dla potencjalnego wroga.

– Wygląda na to, że tylko ty możesz powiedzieć, która z tych możliwości jest prawdziwa.

Elf parsknął szyderczo.

– Minęło wiele lat, zanim doszło do tego spotkania, Drizzcie Do'Urdenie – dobiegła zaskakująca odpowiedź.

Drizzt wziął głęboki oddech. Elf go właśnie wyzywał, być może był kimś, kto zbadał jego zdolności oraz reputację i przygotował się przeciwko niemu. Nie można go było lekceważyć – widział to po pełnych gracji ruchach wojownika przeciwko Bloogowi – lecz drow przypomniał sobie nagle, że miał tu do stracenia więcej niż tylko tę jedną walkę, że inni liczyli na niego.

– To nie jest chwila na osobiste wyzwania – powiedział.

– To jest dokładnie ta chwila – rzekł elf. – Wszystko zostało przygotowane.

– Regis! – zawołał Drizzt.

Drow rzucił się naprzód, wkładając obydwie sejmity do jednej dłoni, chwytając Aegis-fanga drugą i ciskając go w kominek. Niziołek zeskoczył, by go chwycić, zatrzymując się tylko, by ujrzeć pierwszą wymianę ciosów, gdy elf skoczył na Drizzta, błyskając mieczem i sztyletem.

Drizzt umknął jednak w mgnieniu oka, trzymając sejmity w gotowości, ustawione w idealnej pozycji obronnej.

Regis wiedział, że nie było dla niego miejsca w tych zmaganiach tytanów, zabrał więc młot bojowy i wspinał się z powrotem w górę komina, po czym ruszył innym bocznym korytarzem w kierunku najwyraźniej pustego pokoju, który już obejrżeli.

* * *

Wiatr wiał w dobrą stronę, tak więc Catti-brie usłyszała w końcu desperackie wołanie Wulfgara o pomoc. Wiedziała, że był w kłopotach, słyszała toczącą się na górze walkę, widziała wdrapującego się ogra, który niemal już dotarł do platformy.

Jednak kobieta, która przeskoczyła przez parów na kręty szlak, została zatrzymana w miejscu przez salwę spadających na nią strzał.

Guenhwyvar uformowała się już nareszcie do tego czasu, lecz zanim Catti-brie zdołała wydać jej w ogóle jakieś polecenie, w panterą wbiła się strzała. Wydawszy wielki ryk, kocica odskoczyła.

Catti-brie starała się jak mogła, wykorzystując każdą możliwość, by wychylić się zza zbrocza i wypuścić druzgocący pocisk. Jej strzała przebiła się przez skałę i, zważywszy na okrzyk bólu i zaskoczenia, najwyraźniej trafiła w jednego z łuczników. Było ich jednak wielu, ona zaś tkwiła tutaj i nie mogła się dostać do Wulfgara.

Zdołała wychylić się i wystrzelić w półogra, który uparcie wspinał się z powrotem do barbarzyńcy. Jej pocisk ugodził stwora w biodro i sprawił, że zjechał z powrotem po zbroczu.

Za swe wysiłki Catti-brie sama oberwała jednak strzałą, która wgryzła się jej w przedramię. Padła z powrotem na ścianę z krzykiem. Chwyła delikatnie za drzewce, po czym wzmocniła intensywność spojrzenia i uścisk. Jęcząc z bólu przepchnęła strzałę na drugą stronę. Catti-brie sięgnęła do plecaka, wyciągając bandaż i ciasno zawiązując ranę.

– Bruenorze, gdzie jesteś? – spytała cicho, walcząc z rozpaczą. Całkiem prawdopodobną możliwością wydało jej się w tej chwili, że być może zeszli się wszyscy razem z powrotem, by zostać rozniesieni na strzępy.

– Och, idź do niego, Guen – kobieta poprosiła cicho zawiązując bandaż i krzywiąc się z bólu, gdy wypuszczała kolejną strzałę.

* * *

Walczył wspaniale, czysto instynktownie, bez wściekłości i bez strachu. Został jednak znów trafiony, a potem jeszcze raz, i choć żadna z ran nie była poważna, Wulfgar wiedział, że to tylko kwestia czasu – bardzo krótkiego czasu – zanim go pokonają. Zaśpiewał do Tempusa, uważając to za stosowne, mając nadzieję, że bóg zaakceptuje to, iż umierając będzie śpiewał jego imię.

Bowiem z pewnością nadciągał koniec dla syna Beornegara, gdy rudowłosa piratka i ogr napierali na niego, a broń rozpadała mu się w rękach, poza tym szybko zbliżał się trzeci przeciwnik.

Nikt nie zdoła dotrzeć do niego na czas.

Cieszył się, że przynajmniej zginie honorowo, w walce.

Otrzymał dotkliwe trafienie ze strony rudowłosej piratki, po czym musiał się szybko obrócić, by zastawić się przed ogrem, a w chwili, gdy się obracał wiedział już, że wszystko jest skończone. Właśnie zostawił Sheili Kree lukę, dzięki której mogła go powalić.

Zerknął za siebie, by ujrzeć śmiertelny cios.

Wulfgar, zadowolony po raz pierwszy od tak wielu lat, uśmiechnął się.

* * *

Okrzyki zaskoczenia z góry były dla Catti-brie wskazówką, ośmieliła się wyskoczyć na otwarty teren.

Tam w górze, ponad nią, potężna Guenhwyvar szarżowała na gniazdo łuczników, otrzymując jedną strzałę za drugą, lecz nawet przez chwilę nie zbacząc ani nie zwalniając. Łucznicy stali rozstawieni, więc Catti-brie nie traciła czasu, wbijając strzałę w bok głowy jednego, a następnie strzelając do drugiego.

Wycelowała w trzeciego, lecz wstrzymała strzał, bowiem Guenhwyvar wskoczyła wtedy w gniazdo, roztrącając bandę. Jeden z mężczyzn próbował wspinać się po tyłach, wchodząc wyżej na zbocze, lecz wielka czarna łapa ugodziła go w łydkę i ściągnęła.

Kolejny mężczyzna skoczył przez krawędź gniazda, upadając i odbijając się, woląc upadek niż ponury los w szponach pantery. Desperacko próbował kontrolować swój upadek i w końcu zdołał zatrzymać się na głazie.

Prosto na widoku Catti-brie.

Przynajmniej zginął szybko.

* * *

Sheila Kree miała go jak na talerzu i jej miecz skierował się w odsłonięty bok Wulfgara.

Jednak przywódczyni piratów musiała się wycofać, zanim trafiła w cel, bowiem para nóg owinęła się wokół jej pasa, a para sztyletów wbiła się paskudnie w boki jej szyi.

Doświadczona piratka pochyliła się do przodu, przerzucając nad sobą przebiegłego skrytobójcę.

– Morik, ty psie! – krzyknęła, gdy łotrzyk przeszedł w salto, które ustawiło go tuż obok Wulfgara, z zakrwawionymi sztyletami w dłoniach.

Sheila zatoczyła się do tyłu, czując pewną ulgę, gdy mijali ją jej kolejni wojownicy.

– Zabić ich obu! – wrzasnęła, kuśtykając z powrotem do kompleksu jaskiń.

– Jak za dawnych czasów, co? – Morik powiedział do oszołomionego Wulfgara, który wracał już do walki z ogrzym napastnikiem.

Wulfgar nie był w stanie odpowiedzieć. Potrząsnął jedynie głową na ten niespodziewany ratunek.

– Jak za dawnych czasów? – powtórzył Morik, zaczynając walkę z dwoma brudnymi piratami.

– Nie wygrywaliśmy wielu walk za dawnych czasów – wymownie przypomniał mu Wulfgar, bowiem szansę zdecydowanie nie były wyrównane.

* * *

Drizzt wymachiwał sejmitarami w mgle obrotowych parowań, stopniowo odwracając je i zmieniając swój kąt, przekształcając postawę defensywną w bardziej ofensywną! spychając elfa w tył.

– Dobra robota – pogratulował elf, przeskakując nad jedną z nóg leżącego Blooga.

– Nawet nie znam twego imienia, a jednak żywisz do mnie nienawiść – stwierdził drow.

Elf roześmiał się.

– Jestem Le'lorinel. To wszystko, co musisz wiedzieć. Drizzt potrząsnął głową, wpatrując się w te niesamowite oczy, w jakiś sposób je rozpoznawał, lecz nie był w stanie nigdzie ich umieścić.

I znów wrócił do walki, bowiem Le'lorinel skoczył do przodu, machając z furją swymi klingami.

Miecz skierował się ku głowie Drizzta, on zaś wychwycił go uniesionym sejmitarem. Le'lorinel odwrócił miecz pod zakrzywionym ostrzem drowa i wystąpił naprzód z leworęcznym pchnięciem sztyletem, wspaniałym manewrem.

Drizzt był jednak lepszy. Zaakceptował przebiegły obrót ostrzy i zamiast próbować przesunąć swą drugą klingę naprzód, aby odbić sztylet, skierował się w prawo, wbijając sejmitar w środek, odpychając miecz i zmuszając przeciwnika do przesunięcia i zmiany kierunku pchnięcia sztyletem.

Druga klinga drowa wykonała cięcie, kierując się ku bokowi elfa.

Ostrze odbiło się. Drizzt mógłby równie dobrze próbować ciąć kamień.

Drow wycofał się, obserwując obracającego się i uśmiechającego Le'lorinela. Od razu poznał zakłęcie, bowiem widywał już, jak używali go czarodzieje. Czy ten elf był więc czarownikiem-szermierzem, wojownikiem wyszkolonym zarówno w sztukach walki, jak i w sztukach tajemnych?

Drizzt przeskoczył nad piersią leżącego Blooga, wykonując szybki odwrót na środek pokoju, koło kominka.

Le'lorinel dalej się uśmiechał i podniósł jedną z dłoni, szepcząc coś, czego Drizzt nie usłyszał. Pierścień rozbrzysnął, a elf zaczął się poruszać jeszcze szybciej, przyspieszony przez kolejne zakłęcie.

Och tak, rzeczywiście był przygotowany.

* * *

Regis upuścił Aegis-fanga na płonące kłody, po czym zsunął się tak nisko, jak tylko mógł, obrócił, by wyjść głową naprzód, chwycił się krawędzi kominka i zwiesił. Gdy jego stopy zostały ogarnięte przez płomień, ucieszył się, że nosi ciężkie zimowe buty, zamiast jak zazwyczaj chodzić boso.

Niziołek przyjrzał się pokojowi, widząc tyle, ile opisał Drizzt. Sięgnął do tyłu i wyciągnął Aegis-fanga z ognia, po czym ruszył przez komnatę w kierunku częściowo otwartych drzwi.

Przeszedł przez nie cicho, wchodząc do innego pokoju, tym razem jakiegoś alchemicznego

warsztatu. Majaczyły tam kolejne drzwi, wokół których przebijało się światło dnia.

Niziołek podbiegł do nich, złapał za klamkę i otworzył szarpnięciem.

Nagle został trafiony szeregiem żądających, palących pocisków w biodra i plecy. Pisnąwszy, Regis wydostał się na naturalny balkon, z którego nie miał już dokąd uciekać. Niemał bezpośrednio pod sobą ujrzał walkę, tak więc cisnął młotem bojowym dokąd tylko mógł, co nie było zbyt daleko, i krzyknął do Wulfgara.

Regis wrócił, nie obserwując nawet lotu i turlania się młota. Ujrzał wtedy zaklinaczkę, jej czar niewidzialności rozproszył się. Wpatrywała się w niego spod ściany, a jej ręce zajęte były tkaniem kolejnego zaklęcia.

Regis zaskomlał i wybiegł do głównej komnaty, najpierw kierując się do kominka, a później do kolejnych drzwi.

Powietrze wokół niego stało się gęste od unoszących się pasm kleistego, strunowatego materiału. Niziołek znów zmienił kierunek, biegnąc ponownie w stronę kominka, mając nadzieję, że jego płomienie spalą te magiczne sieci. Nie zbliżył się jednak do niego zanadto, jego kroki skróciły się i został pozbawiony pędu.

Został schwytyany, uwięziony w magicznej pajęczynie, która trzymała go mocno i była tak gęsta, że nawet nie mógł odetchnąć.

I była tam zaklinaczka, przed nim, na skraju sieci, ledwie kilkanaście centymetrów dalej. Uniosła dłoń, trzymając przed twarzą Regisa lśniący sztylet.

* * *

Kolejny łucznik przewrócił się na ziemię. Ignorując dotkliwy ból i ośpienie w ręce, Catti-brie wypuściła z łuku następną strzałę.

Nad Guenhwyvar pojawiło się więcej łuczników. Gdy kobieta wycelowała w tamtą stronę, zauważyła ruch w bardziej niebezpiecznym miejscu, na półce wysoko ponad miejscem, w którym walczył Wulfgar.

Catti-brie obróciła się i niemal wystrzeliła.

Był to Regis, wycofujący się gwałtownie – i Aegis-fang, spadający w dół!

Catti-brie wstrzymała oddech, sądząc, że młot bojowy spadnie aż do morza, lecz zatrzymał się gwałtownie i pozostał w miejscu na małej półce powyżej i z boku.

– Zawołaj go! – wrzasnęła kilkakrotnie.

Zerknąwszy na niższą półkę z łucznikami, gdzie jak wiedziała, Guenhwyvar wciąż walczyła, pobięła ścieżką.

Drizzt dotarł do kominka i padł na jedno kolano, upuszczając Lodową Śmierć na kamienną podłogę i sięgając do płonącego paleniska. Jego ręka zaczęła błyskać, pojawiając się i znikając w żarze, posyłając w Le'lorinela salwę pocisków. Jedno trafienie, po nim następne. Elf zablokował trzecie, lecz pocisk pękł na jego ostrzu i każdy z odłamków również zdołał ugodzić.

Żadne z tych trafień nie było poważne, nie byłoby nim również bez zaklęcia kamiennej skóry, lecz każde z nich, każdy cios w elfa, osłabiał trochę obronny czar.

– Bardzo mądrze, drowie! – pogratulował Le'lorinel, po czym rzucił się do ataku, błyskając mieczem w stronę pochylonego drowa.

Drizzt chwycił swą klingę i zaczął wstawać, po czym padł z powrotem na podłogę i wykonał kopnięcie, lekko trafiając goleń Le'lorinela.

Następnie Drizzt musiał odtoczyć się na bok i saltem stanąć z powrotem na nogach, pod ścianą. Jego sejmitary uniosły się natychmiast, brzęcząc przy każdym parowaniu, gdy Le'lorinel przypuścił w jego stronę serię silnych ataków.

* * *

Berdysz rozpadał mu się w dłoniach, gdy Wulfgar walczył z ogrem.

Z jego boku Morik również był pod silnym naciskiem dwóch piratów, z których każdy trzymał paskudnie wyglądający kord.

– Nie możemy wygrać! – krzyknął łotrzyk.

– Więc dlaczego mi pomogłeś? – zripostował Wulfgar.

Morik odkrył, że następne słowa ugrzęzły mu w gardle. Właśnie, dlaczego wystąpił przeciwko Sheili Kree? W chwili, gdy znów stał się widzialny, na korytarzu biegnącym w dół z komnaty Choguruggi, nie było mu trudno znaleźć kryjówkę i przeczekać walkę. Przeklinając się teraz za to, co musiał uważać za głupią decyzję, łotrzyk wyskoczył do przodu, tnąc sztyletami. Wylądował w obrocie, który rozwał mu szeroko płaszcz.

– Uciekaj! – krzyknął, pozostawiając płaszcz za sobą, gdy para tnących kordów rzuciła się na niego. Przemknął za Wulfgarem, wchodząc pomiędzy dwa wielkie głazy i kierując się na ścieżkę.

– Nie tędy! – wrzasnął jednak szybko, wracając na małą platformę – ścigał go kolejny ogr.

Wulfgar jęknął, gdy ten nowy przeciwnik wydawał się dołączać do walki – i kolejny, jak zauważył, widząc ruch obok Morika.

Jednak to nie był ogr.

Bruenor Battlehammer wskoczył na głaz, gdy Morik przemykał pod nim. Trzymając oburącz topór za plecami, krasnolud wycelował, gdy ten nieświadomy jego obecności ogr pędził w dół.

Trzask!

Uderzenie zabrzmiało tak, jakby rozbiło kamień i wszyscy na platformie przerwali na chwilę walkę, by popatrzeć na rudowłosego krasnoluda o rozszalałych oczach, stojącego na szczycie głazu, z toporem wbitym głęboko w czaszkę ogra, który stał już tylko dlatego, że krasnolud trzymał go w tej pozycji, próbując oswobodzić swą broń.

– Czyż to nie piękny dźwięk? – Bruenor zawołał do Wulfgara. Wulfgar potrząsnął głową i wrócił do defensywnych działań przeciwko ogrowi, do którego dołączyło dwóch piratów.

– Sporo ci to zajęło! – odparł.

– Przestań jazgotać! – odwrzasnął Bruenor. – Moja dziewczyna widziała twój młot, ty dumny głupcze! Zawołaj go, chłopcze!

Ogr przed Wulfgarem cofnął się, by zyskać trochę miejsca do szarży, zaryczał butnie i podniósł głowę, nacierając potężnie.

Wulfgar cisnął swym zniszczonym berdyszem w bestię, która zablokowała go swą pierś i ramieniem, odrzucając kawałki na bok.

– Och, wspaniale! – poskarżył się Morik, który znów był za Wulfgarem, zataczając koło, by zająć walką dwóch piratów.

Jednak Wulfgar nie słuchał jego narzekań ani gróźb ze strony rozwścieczonego ogra. Sam wrzeszczał, ufając słowom Bruenora.

– Co teraz, malutki? – spytał ogr, choć jego mina zmieniła się znacznie, gdy dokończył wypowiedź. W nadstawionych dłoniach Wulfgara pokazał się świetnie wykonany młot bojowy.

– Złap to – stwierdził barbarzyńca, rzucając.

Podobnie jak przy pękniętym berdyszu, ogr próbował przyjąć cios na pierś i ramię, próbował otrzymać uderzenie i odepchnąć młot na bok.

To jednak nie był pęknięty berdysz.

Ogr nie miał pojęcia, dlaczego siedział nagle pod ścianą, nie mogąc złapać tchu.

Uniósłszy rękę wysoko w powietrze, Wulfgar znów zawołał swą broń.

I wróciła do jego dłoni, wojownik i młot bojowy zjednoczyli się ponownie.

Z boku leciał na niego kord, wraz z ostrzegawczym okrzykiem Morika.

Wulfgar szarpnął swym młotem w dół, odtrącając wykonujący pchnięcie sztylet. Z doskonałą równowagą, jakby młot był przedłużeniem jego ręki, Wulfgar odwrócił broń i zamachnął się nią mocno.

Pirat odleciał daleko.

Drugi odwrócił się do ucieczki, lecz Morik dopadł go, zanim dobiegł do otworu, zabijając pchnięciem.

Kolejny ogr wyszedł z jaskini i zmierzył stojącego niedaleko Morika groźnym spojrzeniem, lecz błękitna błyskawica przemknęła między barbarzyńcą i łotrzykiem, wtrącając osiłka z powrotem do środka.

Przyjaciele odwrócili się i ujrzeli Catti-brie, stojącą z hakiem w dłoni.

– Guen walczy na górze – kobieta wyjaśniła.

– A Pasibrzuch pewnie też tam jest i pewnie nas potrzebuje – zawył Bruenor, wskazując na nich.

Pobiegli ścieżką, wijącą się dalej wokół góry. Dotarli do następnego poziomu, szerszej platformy z wprawionymi w zbocze wielkimi drzwiami.

– Nie te – próbował wytłumaczyć Morik. – Wielkie ogry... Łotrzyk zamknął się, gdy Bruenor i Wulfgar rzucili się na drzwi, rąbiąc je młotem i toporem, roztrzaskując drewno w drzazgi. Weszli do środka. Chogurugga i jej podwładni czekali.

Ich broń brzęczała o siebie nieustannie w ruchach, które wydawały się zamglone, dając jeden zlewający się dźwięk.

Sejmitar w prawo, sejmitar w lewo, sejmitar na wprost i Drizzt wykonał mocne pchnięcie w pierś Le'lorinela, które zapewne dobiłoby elfa, gdyby nie kamienny dweomer.

– Ile jeszcze trzeba, by to się zakończyło? – spytał drow, nabierając większej pewności, gdy jego manewry prześlizgiwały się wokół osłon Le'lorinela. – Nie potrzebujemy tego.

Elf nie dał jednak żadnego znaku, by chciał odpuścić.

Drizzt ciął w prawo, po czym obrócił się, gdy Le'lorinel, parując, również zaczął zataczać koło w prawo, a następnie obydwaj zakończyli obroty zderzając się czterema klingami.

Drizzt skierował własne ostrze ponad elfa, kierując klingę Le'lorinela w dół. Gdy elf, jak można się było spodziewać, pchnął na wprost, drow wykonał salto ponad atakiem, lądując i padając na ziemię, gdy miecz świsnął mu nad głową. Drizzt ciął, trafiając w biodro Le'lorinela, po czym kopnął, gdy elf się wycofywał, muskając kolano.

Le'lorinel pisnął z bólu i zatoczył się o kilka kroków.

Zakłęcie się wyczerpało. Następne trafienie sejmitem utoczy krew.

– Nie ma takiej potrzeby – łaskawie powiedział Drizzt. Le'lorinel zmierzył go spojrzeniem i znów się uśmiechnął.

Pierścień został podniesiony i, po słowie wypowiedzianym przez elfa, znów rozblęsnął.

Drizzt zaszarżował, chcąc pokrzyżować ewentualną następną sztuczkę.

Jednak Le'lorinela nie było, zniknął z pola widzenia.

Drizzt zatrzymał się gwałtownie, a oczy powiększyły mu się ze zdumienia. Instynktownie sięgnął do swych własnych magicznych mocy, do wrodzonych drowich zdolności, i przyzwał wokół siebie kulę ciemności, która wypełniła pokój i ustawiła go na równym poziomie z niewidzialnym wojownikiem.

Dokładnie tak, jak spodziewał się Le'lorinel. Bowiem teraz, dzięki czwartemu zakłęciu pierścienia – najbardziej podstępnemu z całej grupy – niewidzialna sylwetka elfa otoczyła się gorejącymi płomieniami.

Drizzt zbliżył się, obracając i rzucając w przód, wykonując jednocześnie cięcia, jak nauczył się dawno temu walcząc na ślepo. Każdy atak był również parowaniem, jego sejmity wirowały z dala od ciała.

Poza tym nasłuchiwał i usłyszał szelest stóp.

Natychmiast się tam znalazł i nabrał otuchy, gdy jego ostrze zadzwoniło o blokujący miecz, trzymany niezdarnie.

Uznał, że elf się przeliczył, że zmienił walkę w taką, w której doświadczony drow miał wielką przewagę.

Uderzył szerokimi cięciami, z lewej i z prawej, trzymając przeciwnika przed sobą.

I znów z lewej i z prawej, po czym Drizzt obrócił się nagle po drugim zamachu, tnąc następnie prawym.

Wiedział, że zwycięstwo należy do niego, wiedział to z pozycji blokującego miecza i sztyletu, że elf nie ma odpowiedniej postawy i pozbawiony jest możliwości obrony.

Jego sejmitar wbił się w bok Le'lorinela, rozrywając ciało.

Jednak, dokładnie w tej samej chwili, Drizzt również został trafiony w bok.

Nie będąc w stanie wycofać się ani spowolnić ciosu, Drizzt musiał dokończyć manewr, sejmitar otarł się o żebro, rozerwał płuco i wyłonił się z powrotem z przodu korpusu elfa.

I taka sama rana wyrzezała się w piersi drowa.

W chwili, gdy w jego wnętrzu eksplodował ból, w chwili, gdy zatoczył się do tyłu, potykając się o nogę Blooga i przewracając mocno na podłogę pod ścianą, Drizzt zrozumiał, co się stało, rozpoznał zakłęcie ognistej tarczy, diabelski czar, który zadawał obrażenia każdemu, kto ugodził w rzucającą go osobę.

Leżał tam z rozciętym płucem, tracąc obficie krew.

Po drugiej stronie Le'lorinel, umierający podobnie jak Drizzt, jęknął.

NIE BEZ SZWANKU

Równie gwałtownie Bruenor i Wulfgar wpadli do wielkiej jaskini. Wulfgar skierował się w bok, by zająć się parą wielkich, opancerzonych ogrów, podczas gdy Bruenor ruszył do najbardziej egzotycznej z tej trójcy, ogrzycy o jasnofioletowej skórze, mającej na sobie wielki lśniący hełm i trzymającej ogromną kosę.

Morik wszedł za rozjuszoną parą, z wahaniem, i nie wykonując żadnych wyraźnych ruchów, by dołączyć do walki.

Z większą energią weszła Catti-brie. Niemal natychmiast wypuściła strzałę, sprawiając, że jeden z dwóch zbliżających się do Wulfgara ogrów zachwiał się.

To uderzenie dało barbarzyńcy wszystko, czego potrzebował. Rzucił się mocno na drugiego osiłka, grzmocąc go raz za razem Aegis-fangiem. Ogr zablokował raz i drugi, jednak trzeci cios trafił go w napierśnik i odrzucił do tyłu.

Wulfgar parł dalej, uderzając.

Zraniony towarzysz ogra próbował wrócić do walki, lecz Catti-brie trafiła go drugą strzałą, a potem trzecią. Wyjąc z wściekłości i bólu, osilek odwrócił się i zamiast walczyć, rzucił się do drzwi.

– Wspaniale – jęknął Morik i krzyknął, gdy wielka sylwetka przemknęła obok, odtrącając go.

Guenhwyvar trafiła pędzącego, najeżonego strzałami ogra. Skoczyła mu na twarz, drapiąc, szarpiąc i gryząc. Osilek stanął, pozbawiony pędu, i zachwiał się do tyłu, tryskając z twarzy fontannami krwi.

– Dobra dziewczynka – powiedziała Catti-brie, po czym odwróciła się i strzeliła ponad Bruenorem, przebijając ogrzycę, a następnie wyciągnęła Khazid-heę. Zatrzymała się i zerknęła na Morika, który stał pod ścianą, kręcąc głową.

– Dobra robota – mruknął z wyraźnym niedowierzaniem.

Naprawdę byli skuteczną grupą!

Magiczna ciemność zniknęła.

Drizzt siedział pod ścianą. Naprzeciwko niego siedział Le'lorinel, niemal w tej samej pozycji i z identyczną raną co drow.

Drizzt popatrzył na swego rannego przeciwnika i otworzył szerzej oczy. Słabe magiczne płomienie wciąż lizały skórę elfa, lecz Drizzt ich nie dostrzegał. Bowiem rana, rozdzierająca skórzaną kamizelkę i przód, odsłaniała pierś – kobiecą pierś.

A Drizzt zrozumiał tak wiele i o tyle lepiej poznał te oczy. Wiedział, kto to, zanim Le'lorinel podniosła rękę i ściągnęła maskę z twarzy.

Elfka, księżycowa elfka, niegdyś małe dziecko, które Drizzt uratował przed drowimi łupieżcami. Elfka doprowadzona do wściekłości mordem ze strony drowów podczas tego pamiętnego, złego dnia, gdy została skąpana we krwi swej własnej zamordowanej matki, by przekonać mroczne elfy, że ona również jest już martwa.

– Na bogów – wydyszał drow, słabym głosem, bowiem brakowało mu powietrza.

– Jesteś martwy, Drizzcie Do'Urdenie – powiedziała elfka, głosem równie słabym i urywającym się. – Moja rodzina została pomszczona.

Drizzt próbował odpowiedzieć, lecz nie był w stanie znaleźć słów. Jak mógłby w tak krótkim czasie wyjaśnić Le'lorinel, że nie uczestniczył w tym mordzie, że ocalił ją kosztem wielkiego osobistego ryzyka, a co ważniejsze, że było mu przykro, tak bardzo przykro, za to co zrobili jego źli pobratymcy.

Wpatrywał się w Le'lorinel, nie żywiąc do niej wrogości, pomimo faktu, że jej błędne działania oraz ślepa zemsta kosztowały ich oboje życie.

* * *

Chogurugga dobrze sobie radziła przeciwko potężnemu Bruenorowi Battlehammerowi, dzięki wzmocnionym eliksirem mięśniom, wzmocnionej eliksirem szybkości i wzmocnionej eliksirem obronie była więcej niż równa krasnoludowi.

Bruenor jedynie warczał i klął, zamachując się potężnie, otrzymując trafienia, które powaliłyby większość przeciwników, i otrząsając się z nich dzięki krasnoludzkiej krzepkości, po czym napierając dalej, tnąc swym toporem.

Przegrywał jednak i wiedział o tym, lecz nagle ponad nim świsnęła strzała Catti-brie, wbijając się w pięć ogrzycy i odrzucając ją w tył.

– Och, dobra dziewczyna! – ryknął krasnolud, wykorzystując okazję, by rzucić się naprzód i przejść do ofensywy.

W chwili, kiedy tam jednak dotarł, ogrzyca miała już w dłoni kolejną fiolkę, którą włożyła do ust, pochłaniając zawartość jednym wielkim haustem.

Gdy Bruenor zbliżył się, zaczynając walkę na nowo, rany ogrzycy zaczęły się zasklepać.

Krasnolud warknął w proteście.

– Cholerny eliksir leczenia! – zawył i trafił w łydkę Choguruggi, otwierając szramę.

Chogurugga natychmiast chwyciła kolejną fiolkę, podobną do ostatniej, i podniosła do ust. Bruenor zaklął na nowo.

Czarna sylwetka przemknęła nad krasnoludem, uderzając w ogrzycę i chwytając ją.

Chogurugga zaczęła się szamotać, gdy Guenhwyvar rozrywała jej twarz, trzymając się mocno przednimi pazurami, drapiąc szaleńczo tylnymi, gryząc i szarpiąc kłami.

Ogrzyca upuściła fiolkę, która spadła na podłogę, lecz nie pękła, upuściła także broń. Chogurugga chwyciła oburącz kocicę, próbując ją odciągnąć.

Zakrzywione pazury pantery trzymały mocno, co oznaczało, że odciągnięcie Guenhwyvar równałoby się z oderwaniem sobie twarzy, i oczywiście Bruenor był tuż obok, uderzając w nogi i korpus Choguruggi potężnymi, paskudnymi cięciami.

Bruenor usłyszał trzask z boku: obok niego była Catti-brie, jej potężny miecz z łatwością przedzierał się przez ciało i kości Choguruggi.

Ogrzyca przewróciła się na podłogę.

Dwoje towarzyszy i Guenhwyvar obrócili się akurat, gdy młot Wulfgara wbił się w czaszkę ostatniego ogra, powalając osiłka prosto na jego martwego partnera.

– Tędy! – Morik krzyknął od wyjścia po drugiej stronie rozległej komnaty, z korytarza biegnącego dalej w głąb kompleksu.

Bruenor przystanął, by poczekać na Catti-brie, gdy kobieta pochyliła się i podniosła upuszczoną przez Choguruggę fiolkę.

– Gdy znajde tego, kto sprzedawal to wszystko tym cholernym ogrom, potne go na plasterki! – oznajmil zdenerwowany krasnolud.

Po drugiej stronie Morik przygryzl dolna warge. Wiedzial kto, widzial bowiem alchemiczny gabinet Bellany.

Towarzysze weszli na gore, do prostego korytarza z piecioma drzwiami, stanowiacego kompleks Sheili Kree. Jekniecie z boku skierowalo ich natychmiast do jednych z drzwi, przez ktore Bruenor przebil sie z typowo krasnoludzka subtelnościa.

Lezal tam Drizzt i lezala elfka, oboje smiertelnie ranni.

Catti-brie weszla zaraz za nim, kierujac sie prosto do Drizzta, lecz drow zatrzymal ja podniesiona dlonia.

– Ocal ja – zažadal bardzo slabym głosem. – Musisz. I stracil przytomnośc.

Wulfgar stal w drzwiach, przerażony, lecz Morik nawet nie zwolnil przy tym pokoju, pobiegl dalej do komnat Bellany. Wpadl do srodka, modlac sie, by zaklinaczka nie zabezpieczyła drzwi pułapką.

Łotrzyk zatrzymal sie tuż za progiem, słyszac wrzask. Obrócił sie i ujrzał niziolka, uwalniajacego sie z magicznej sieci.

– Kim jesteś? – spytal Regis, po czym szybko dodal: – Zobacz, co mam. – Rozsunal koszule, podnoszac rubinowy wisiorek.

– Gdzie jest zaklinaczka? – zažadal odpowiedzi Morik, nawet nie zauwazajac zwodniczego klejnotu.

Regis wskazal na otwarte zewnetrzne drzwi i rozciagajacy sie za nimi balkon, a Morik tam popedzil. Niziolek zerknal wtedy w dol, na swój zaklęty wisiorek, i podrapal sie w głowe, zastanawiajac sie, dlaczego nie wywarl on swego zwyczajowego efektu. Regis cieszył sie, że ten niski mężczyzna był zbyt zajęty, by sie nim kłopotac.

* * *

Catti-brie zatrzymala sie, zaskoczona szczeroscia i žądaniem w głosie Drizzta, gdy dawal jej to niesamowite polecenie. Kobieta obróčila sie ku lezacej elfce, ktorej oddech był równie płytki jak Drizzta, ktorej kazdy oddech, podobnie jak u Drizzta, wydawal sie być jej ostatnim.

– Na Dziewięć Piekiel, nie ma mowy! – ryknal Bruenor, podbiegajac do niej i wrywajac fioletka.

Mamrocząc przekleństwa, krasnolud przypadł do Drizzta i wlał mu do gardła leczniczy płyn.

Drow zakaszłał i niemal od razu zaczął oddychać swobodniej.

– A niech to! – krzyknęła Catti-brie i przebiegła przez pokój do leżącej elfki, podnosząc delikatnie jej głowę i wpatrując się w te oczy.

Puste oczy. I w chwili, gdy Drizzt otworzył znów swoje, dusza Le'lorinel uleciała z jej ciała.

– Chodźcie szybko! – powiedział Regis, zjawiając się przy drzwiach. Niziołek zatrzymał się jednak, widząc leżącego tam tak mocno rannego Drizzta.

– Co jest, Pasibrzuchu? – Bruenor spytał po krótkim milczeniu.

– Z-zaklinaczka – wyjąkał Regis, wciąż wpatrując się w Drizzta. – Em... Morik ją ściga. – Nawet przez chwilą nie odwracając wzroku, pokazał w tamtą stronę.

Wulfgar wybiegł, a Bruenor zawołał do Catti-brie, która klękła przy drowie.

– Zabieraj się tam ze swoim łukiem. Będą cię tam potrzebować.

Kobieta wahała się przez długą chwilę, wpatrując się bezradnie w Drizzta, lecz Bruenor odepchnął ją.

– Idź i to szybko! – zażądał. – Ja nie jestem od zabijania czarodziejów. Twój łuk jest w tym lepszy.

Catti-brie wstała i wybiegła z pokoju.

– Ale wołaj, jak zobaczysz następnego ogra! – krasnolud wrzasnął za nią.

* * *

Bellany zaklęła pod nosem, gdy po tym jak ostrożnie przeszła wzdłuż zbocza, ujrzała Krwawy Kil, wypływający na fali odpływu z jaskini. Pokład roił się od piratów, z których najbardziej rzucała się w oczy Sheila Kree, ranna, lecz tym niezrażona, wykrzykująca rozkazy z mostka.

Bellany natychmiast zanurzyła się w swe magiczne moce, zaczynając rzucać czar, który przeniósłby ją na pokład. Niemal zakończyła, właśnie wypowiadała ostatnie słowa i wykonywała ostatnie ruchy, gdy ktoś chwycił ją z tyłu.

Przerażona zaklinaczka odwróciła się i ujrzała Morika Łotra, z ponurą twarzą i trzymającego ją

mocno.

– Daj mi odejść! – zażądała.

– Nie – powiedział Morik, potrząsając głową. – Nie, błagam.

– Ty głupcze, oni mnie zabijają! – zawyła Bellany, usilnie próbując się wyrwać. – Mogłam cię zabić, ale nie zrobiłam tego! Mogłam zabić niziołka, ale...

Jej głos zamarł jednak przy tych ostatnich kilku słowach, bowiem zza zbrocza wyłoniła się pędząca sylwetka barbarzyńskiego wojownika.

– Co mi zrobiłeś? – pokonana kobieta spytała Morika.

– Czy nie pozwoliłaś niziołkowi żyć? – stwierdził łotrzyk.

– Więcej! Oswobodziłam go! – odparła butnie Bellany. Ucichła, bowiem Wulfgar był już przy nich, górując nad nią.

– Kto to jest? – zażądał odpowiedzi rozwścieczony barbarzyńca.

– Obserwatorka – odrzekł Morik – i nic więcej. Jest niewinna. Wulfgar zmrużył oczy, wpatrując się srogo w ich oboje, a jego mina wskazywała, że niezbyt wierzył łotrzykowi.

Morik uratował mu jednak dziś życie, więc nic nie powiedział.

Wulfgar otworzył szeroko oczy i podszedł bliżej, gdy ujrzał okręt, z rozwijającymi się żaglami, przemykający między skałami. Skoczył na inny głaz, uzyskując lepszy punkt obserwacyjny, i uniosł Aegis-fang, jakby chciał nim cisnąć w odpływający okręt.

Jednak Krwawy Kil był już dawno poza jego zasięgiem.

Za chwilę dołączyła do nich Catti-brie. Nie tracąc czasu naciągnęła Taulmarila i wycelowała w pokład Krwawego Kila.

– Rudowłosa – polecił Morik. Bellany uderzyła go mocno łokciem w zebra i zrobiła w jego stronę skwaszoną minę.

Catti-brie wycelowała w Sheilę Kree, łatwo było ją dostrzec na pokładzie.

Kobieta zatrzymała się jednak i uniosła głowę znad łuku, by uzyskać szersze pole widzenia. Zauważyła liczne fale załamujące się na zanurzonych skałach, wszędzie wokół uciekających piratów, i rozumiała dobrze, jakich trzeba umiejętności, by przeprowadzić statek przez tak niebezpieczne wody.

Catti-brie znów obniżyła łuk, przypatrując się pokładowi.

Gdy odnalazła koło sterowe i trzymającego go marynarza, wystrzeliła.

Pirat został rzucony do przodu, po czym osunął się na pokład, obracając przy tym kołem.

Krwawy Kil wykonał ostry zwrot, marynarze rzucili się z desperacją z każdej strony, by złapać za ster.

Rozległ się trzask, gdy okręt wpłynął na poszarpaną rafę, a wiatr w żaglach popychał go dalej, powodując głębokie rozdzieranie kadłuba.

Uderzenie sprawiło, że wielu piratów zostało wyrzuconych do morza. Inni sami wskoczyli w lodowate wody, gdy okręt rozpadał się pod ich stopami. Jeszcze inni chwyтали się burty lub masztu i trzymali, ile sił.

Pomiędzy nimi wszystkimi stała Sheila Kree. Zaciekła piratka popatrzyła butnie na zbocze, na Catti-brie.

Ona również zniknęła w zimnych wodach, a Krwawy Kil stał się ledwie drzazgami, rozplywającymi się po pędzących falach.

Niewielu ucieknie tym lodowatym objęciom, a ci, którym się to uda, a także ci, którzy nie dostali się na okręt – ogry, półogry oraz ludzie – nie mieli zamiaru znów stawać do walki z potężnymi przyjaciółmi.

Bitwa o Złotą Zatoczkę została wygrana.

EPILOG

Zakopali elfkę, nazywającą siebie Le'lorinel, w glinie, w kompleksie jaskiń, tak blisko wyjścia i gwiazdzistego nocnego nieba, jak to było tylko możliwe.

Drizzt nie pomógł przy kopaniu, bowiem jego paskudnej ranie zdecydowanie daleko było do zaleczenia, lecz obserwował to, każdą chwilę. A gdy złożyli elfkę, nazywającą się naprawdę Ellifain, w zimnej ziemi i przykryli ją wilgotną, zimną gliną, Drizzt Do'Urden stał tam, wpatrując się bezradnie.

– To nie powinno tak być – drow powiedział cicho do Catti-brie, która stała obok niego, podtrzymując go.

– Słyszałam to w twym głosie – odparła kobieta. – Gdy mówiłeś mi, bym ją ratowała.

– I tak żałuję, że tego nie zrobiłaś.

– Ty durny głupcze! – dobiegł zgrzytliwy głos z boku. – Wylecz się szybko, żebym mógł ci przyłożyć w pysk!

Drizzt odwrócił się do Bruenora, odpowiadając na jego grymas własnym.

– Myślisz, że byśmy to zrobili? – zażądał odpowiedzi Bruenor. – Naprawdę tak myślisz? Myślisz, że pozwolilibyśmy ci umrzeć, by uratować tę, która cię zabiła?

– Nie rozumiesz... – Drizzt próbował wyjaśnić, a jego lawendowe oczy były pełne łez.

– A ty uratowałbyś tę przekłętą elfkę zamiast mnie? – ryknął zaciekły krasnolud. – Albo zamiast mej dziewczuchy? Powiesz, że tak, elfie, a będę musiał wycierać twą krew z mego topora!

Prawda tego stwierdzenia przebiła się do Drizta i odwrócił się bezradnie do Catti-brie.

– Nie dałabym jej eliksiru – kobieta powiedziała ze zdecydowaniem. – Zaskoczyłeś mnie, to pewne, ale zaraz wróciłabym z nim do ciebie.

Drizzt westchnął i zaakceptował tę nieuniknioną prawdę, lecz to wszystko wciąż wydawało mu się takie niesłuszne, takie niewłaściwe. Spotkał Ellifain wcześniej; i to nie tak dawno temu, w Księżycowym Lesie, podczas swej powrotnej podróży do Podmroku. Wtedy elfka rzuciła się na niego w morderczym szale, lecz jej klan powstrzymał ją i pozwolił Drizztowi odejść w jego stronę. A Drizzt, choć wiedział, że jej złość była skierowana w złą stronę, nie mógł zrobić nic, by ją

przekonać lub uspokoić.

A teraz to. Poszła za nim z powodu tego, co jego źli pobratymcy uczynili jej matce, jej rodzinie, jej samej.

Drizzt westchnął na ironię tego wszystkiego, serce miał złamane smutnym kierunkiem, w jakim to wszystko podążyło. Gdyby Ellifain prawdziwie się przed nim ujawniła, nigdy nie znalazłby w sobie siły, by podnieść przeciw niej swe klingi, nawet gdyby go chciała zabić.

– Nie miałem wyboru – Drizzt powiedział do Catti-brie, jego głos był ledwie szeptem.

– Elfka sama się zabiła – odrzekła kobieta. Bruenor, podchodzący do swych przyjaciół, zgadzał się z nią całym sercem.

– Powinna żyć i leczyć się z tych ran, które otrzymała przed dekadami – powiedział drow.

Stojący z boku Bruenor parsknął głośno.

– To ty jesteś tym, który powinien żyć – zagrzmiął krasnolud. – I żyjesz.

Drizzt popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

– Ty byś mi dał eliksir – krasnolud nalegał cicho, a Drizzt przytaknął.

– Ale to mnie zasmuca – wyjaśnił drow.

– Gdyby tak nie było, nie byłbyś mi tak bliskim przyjacielem – zapewnił go Bruenor.

Catti-brie uścisnęła mocniej Drizta i pocałowała go w policzek.

Nie popatrzył na nią jednak, stał tam jedynie wpatrując się w nowy grób, z ramionami pochylonymi pod ciężarem świata.

* * *

Pięcioro towarzyszy, wraz z Morikiem i Bellany, opuściło Złotą Zatoczkę dekadzień później, gdy pogoda się poprawiła.

Wiedzieli, że walczyli z czasem starając się przedostać przez góry, lecz dzięki magicznej pomocy Bellany dość szybko dostali się na główną przełęcz przez Grzbiet Świata, prowadzącą na północ do Doliny Lodowego Wichru, oraz na południe, do Luskan.

Tam też się rozdzielili, Morik, Bellany i Wulfgar skierowali się na południe, pozostała czwórka zawróciła zaś z powrotem na północ, do Dekapolis.

Zanim się jednak rozstali, Wulfgar obiecał swym przyjaciołom, że wkrótce będzie w domu.

W domu. W Dolinie Lodowego Wichru.

* * *

Wiosna rozkwitła w pełni, zanim Wulfgar, Delly i Colson znów przybyli do Luskan, kierując się na pomoc, do Doliny Lodowego Wichru.

Całą rodziną złożyli wizytę w Cutlassie, u Arumna i Josiego, oraz u Bellany i Morika, którzy zamieszkali w mieszkaniu Morika – uczynionym znacznie wygodniejszym dzięki staraniom zaklinaczki.

Wulfgar nie został jednak długo w Luskan, jego wóz wytoczył się z powrotem przez bramę po dwóch dniach, bowiem wojownik, znów wiedząc, kim jest, naprawdę niecierpliwił się, by znaleźć się z powrotem w domu ze swymi największymi przyjaciółmi, Delly również pragnęła ujrzeć ten nowy dom, unieść Colson w czystym, rześkim powietrzu osławionej Doliny Lodowego Wichru.

Gdy noc zapadała nad okolicą, zauważyli w oddali gorejące ognisko, tuż przy drodze, a jako że w tym cywilizowanym regionie wszędzie dookoła były farmy, potoczyli się dalej bez strachu.

Wywęszyli mieszkańców obozowiska na długo przed tym, jak byli w stanie ujrzeć ich sylwetki, i choć Delly wyszeptała „gobliny”, Wulfgar wiedział lepiej.

– Krasnoludy – sprostował.

Jako że ta określona grupka nie kłopotowała się wystawianiem wojowników, Wulfgar i Delly wjechali prosto w ich środek, koło ognia, zanim którykolwiek z krasnoludów krzyknął z zaskoczenia lub w proteście. Po chwili wahania, gdy w powietrze wzniosło się wiele paskudnych, wielostrzowych, opatrzonych licznymi zadziarami broni, wytoczył się przed nich najnieprzyjemniejszy, najbardziej cuchnący i najbardziej ożywiony krasnolud, jakiego oboje ludzi kiedykolwiek widziało. Wciąż miał na sobie swą zbroję, choć było oczywiste, że obóz został rozłożony przed wieloma godzinami, a jakaż to była zbroja! Wszędzie było widać ostre jak brzytwy krawędzie, a także liczne małe szpikulce.

– Wulfie! – zagrzemiał Thibbledorf Pwent, hałaśliwy przywódca osławionej Brygady Pogromców Flaków z Mithrilowej Hali. – Słyszałem, żeś nie martwy! – Skończywszy, pokazał wielki, szczerbaty uśmiech i mocno szturchnął Wulfgara. – Twardszy niż kamień, co?

– Dlaczego tu jesteście? – spytał zaskoczony barbarzyńca, niezbyt podekscytowany, widząc tego akurat starego przyjaciela.

Wulfgar żył u boku Thibbledorfa przed laty w Mithrilowej Hali i obserwował niesamowite szkolenia słynnych Pogromców Flaków, grupy dzikich i zaciekłych zbirów. Jednym z okrytych złą sławą bitewnych zagrań taktycznych Pwenta było skoczyć na wroga i zacząć trząść się gwałtownie, tnąc tym samym wroga na strzępy paskudną zbroją.

– Idziem do Doliny Lodowego Wichru – wyjaśnił. – Musim się dostać do króla Bruenora.

Wulfgar chciał poprosić krasnoluda, by rozwinął tę myśl, lecz wstrzymał się, gdy ugodził go wyraźnie tytuł, jaki Thibbledorf złożył właśnie na potężne barki Bruenora.

– Króla?

Thibbledorf opuścił oczy, a ruch ten sprawił, że wszyscy pozostali Pogromcy Flaków, coś koło tuzina, podskoczyli i upadli na jedno kolano. Wszyscy poza swym przywódcą rozpoczęli niską, monotonną inkantację, długie i niskie brzęczenie.

– Chwalmy Moradina, że zabrał Gandaluga Battlehammera – Thibbledorf powiedział uroczyście. – Króla Mithrilowej Hali już nie ma. Król sprzed niego znów jest królem – Bruenor Battlehammer z klanu noszącego jego nazwisko. Długiego życia i dobrego piwa dla króla Bruenora!

Zakończył z okrzykiem, a wszyscy pozostali Pogromcy Flaków podskoczyli w górę. Przypominali grądkę odbijających się głazów, wznoszących w powietrze pięści, z których większość osłonięta była nabijanymi rękawicami.

– Król Bruenor! – ryknęli wszyscy.

– Co to oznacza? – Delly wyszeptała do Wulfgara.

– To oznacza, że nie powinniśmy się za bardzo przyzwyczajać do Dekapolis – odpowiedział barbarzyńca. – Bowiem wkrótce znów znajdziemy się na drodze, nie ma wątpliwości. Na długiej drodze na wschód, do Mithrilowej Hali.

Delly rozejrzała się naokoło po Pogromcach Flaków, którzy tańczyli parami śpiewając „Król Bruenor!” i kończąc każdy okrzyk niskim podskokiem oraz krótkim biegiem, po którym pary zderzały się ze sobą.

– Cóż, przynajmniej nasza droga na pomoc będzie teraz bezpieczniejsza – stwierdziła kobieta. – Choć trochę bardziej wonna.

Wulfgar zaczął przytakiwać, lecz wtedy ujrzał, jak Thibbledorf uderza czołem w czoło innego biednego Pogromcy, pozbawiając krasnoluda przytomności. Thibbledorf potrząsnął głową, by pozbyć

się otępienia, klapiąc szaleńczo wargami. Gdy zobaczył, co zrobił, zawył głośniej i zaszarżował na innego – który przyjął wyzwanie, ryknął i zaszarżował.

I odleciał do spokojnej krainy śpiących Pogromców Flaków.

Thibbledorf zawył jeszcze głośniej i zaczął skakać dookoła, szukając trzeciej ofiary.

– Bezpieczniejsza? Zobaczymy – to było wszystko, co Wulfgar mógł powiedzieć do Delly.